



V Fred Vargas

PO
ZAPADNIĘCIU
NOCY

Królowa francuskiego kryminału
powraca z nową, zatrważającą historią!



WYDAWNICTWO
SONIA DRAGA

Vargas

Fred

PO
ZAPADNIĘCIU
NOCY

Z języka francuskiego przełożyła
Bożena Sęk



WYDAWNICTWO
SONIA DRAGA

Tytuł oryginału:
SOUS LES VENTS DE NEPTUNE

Copyright © Editions Viviane Hamy, 2006.

Copyright © 2016 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga

Copyright © 2016 for the Polish translation by Wydawnictwo Sonia Draga

Projekt graficzny okładki: Mariusz Banachowicz

Redakcja: Ewa Penksyk-Kluczkowska

Korekta: Małgorzata Hordyńska, Joanna Rodkiewicz

ISBN: 978-83-7999-986-6

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione i wiąże się z sankcjami karnymi.

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!

Polska Izba Książki

Więcej o prawie autorskim na www.legalnakultura.pl

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o.o.

Pl. Grunwaldzki 8-10, 40-127 Katowice

tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28

e-mail: info@soniadraga.pl

www.soniadraga.pl

www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga

E-wydanie 2016

Skład wersji elektronicznej:

virtualo

konwersja.virtualo.pl

Spis treści

Dedykacja

I

II

III

IV

V

VI

VII

VIII

IX

X

XI

XII

XIII

XIV

XV

XVI

XVII

XVIII

XIX

XX

XXI

XXII

XXIII

XXIV

XXV

XXVI

XXVII

XXVIII

XXIX

XXX

XXXI

XXXII

XXXIII

XXXIV

XXXV

XXXVI

XXXVII

XXXVIII

XXXIV

XL

XLI

XLII

XLIII

XLIV

XLV

XLVI

XLVII

XLVIII

XLIX

L

LI

LII

LIII

LIV

LV

LVI

LVII

LVIII

LIX

LX

LXI

LXII

LXIII

LXIV

LXV

Nota autorska

Przypisy

Dla Jo Vargas, mojej bliźniaczej siostry

I

Oparty o ciemny piwniczny mur młodszy inspektor Jean-Baptiste Adamsberg wpatrywał się w ogromny kocioł grzewczy, który dwa dni wcześniej całkowicie odmówił posłuszeństwa. W sobotę 4 października, akurat gdy temperatura na zewnątrz spadła do blisko jednego stopnia powyżej zera, przy wietrze dującym prosto z Arktyki. Nie znając się na tym ustroju, inspektor przyglądał się kotłowi i milczącym rurom w nadziei, że jego życzliwy wzrok ożywi urządzenie, a przynajmniej ściągnie tutaj fachowca, który miał przyjść, lecz ciągle się nie zjawiał.

Nie chodziło o to, że Adamsberg jest wrażliwy na chłód albo że ta sytuacja jakoś mu wadzi. Przeciwnie, świadomość, że czasami północny wiatr, nigdzie nie skręcając, prosto z ławicy lodowej dociera aż na ulice XIII dzielnicy Paryża, dawała mu poczucie, że jeden krok wystarczy, a znajdzie się wśród odległych lodowców, będzie mógł po nich chodzić, wydrążyć przerębel, by zapolować na fokę. Pod czarną kurtkę dodatkowo włożył sweter i gdyby tylko o niego chodziło, spokojnie czekałby na przybycie fachowca, wypatrując wychynięcia foczego pyska.

Tyle że ukryte w podziemiach potężne urządzenie w całej pełni uczestniczyło w rozwiązywaniu spraw, które na okrągło sływały do brygady kryminalnej, ogrzewało bowiem trzydzieści cztery kaloryfery, a one z kolei ciała dwudziestu ośmiu policjantów w budynku. Ciała aktualnie zeszywniały z zimna, okutane puchowymi kurtkami, tłoczące się przy automacie do kawy, dłońmi w rękawiczkach obejmujące białe kubeczki. Albo otwarcie uciekające do okolicznych barów. Akta spraw w związku z tym także sztywniały z zimna. Akta najwyższej wagi, akta dotyczące zbrodni. Akta, z którymi ogromny kocioł grzewczy nie miał co począć. I czekał, wyniosły tyran, aż biegly w swej sztuce człowiek zechce przybyć i paść mu do stóp. Na dowód swej dobrej woli Adamsberg zszedł zatem do piwnicy, aby złożyć mu daremny hołd, przede wszystkim zaś aby znaleźć nieco mroku i ciszy, uciec od utyskiwań swoich ludzi.

Utyskiwania te, gdy usiłowano utrzymać temperaturę dziesięciu stopni w biurach, źle wróżyły stażowi DNA w Quebecu, gdzie zanosilo się na chłodną jesień – poprzedniego dnia w Ottawie było minus cztery i miejscami leżał już śnieg. Dwóm tygodniom skupienia się na śladach biologicznych, ślinie, krwi, pocie, łzach, urynie i rozmaitych wydzielinach, na śladach odczytywanych obecnie

przez obwody elektroniczne, sortowanych i badanych, na wszelkiego rodzaju ludzkich płynach ustrojowych, które stały się prawdziwym orężem kryminologii. Na tydzień przed wyjazdem Adamsberg już myślami odleciał do kanadyjskich lasów, ogromnych, jak mu mówiono, usianych milionami jezior. Danglard, jego partner, przypomniał mu zrędlawie, że mają tam wgapiać się w monitory, a w żadnym razie w lustra jezior. Od roku już nadkomisarz Danglard zrzędził. Adamsberg wiedział dlaczego i cierpliwie czekał, aż to zrzęczenie mu przejdzie.

Danglard nie śnił o jeziorach, co dzień modlił się natomiast, by jakaś pałaca sprawa przykuła do miejsca całą brygadę. Od miesiąca roztrząsał swoje rychłe zejście, gdy maszyna wybuchnie gdzieś nad Atlantykiem. Ale teraz, kiedy fachowiec, który miał przyjść, nie przychodził, Danglardowi humor się poprawiał. Pokładał nadzieję w tej niespodziewanej awarii kotła grzewczego, licząc, że jak to i owo zmarznie temu i owemu, rozwieją się absurdalne marzenia o zamarzniętych rozległych przestrzeniach Kanady.

Adamsberg położył dłoń na obudowie kotła i uśmiechnął się. Czy Danglard byłby zdolny zepsuć urządzenie, przewidując zniechęcające skutki braku ogrzewania? Opóźnić przybycie fachowca? Tak, do tego Danglard był zdolny. Jego płynna inteligencja wnikała w najciaśniejsze mechanizmy ludzkiego umysłu. Pod warunkiem jednak, że bazują na rozumie i logice, a właśnie na tej linii, na granicy między rozumem a instynktem, od lat Adamsberg i jego partner różnili się diametralnie.

Inspektor ruszył na górę krętymi schodami, na parterze przeszedł przez dużą salę, po której w zwolnionym tempie kręcili się ludzie, ciężkie postacie pogrubiłe przez szaliki i dodatkowe swetry. Nikt nie wiedział, dlaczego pomieszczenie to nazywano Salą Soborową – pewnie dlatego, myślał Adamsberg, że odbywały się w niej zebrania, posiedzenia, a raczej nasiadówki. W tym samym duchu nazwano Salą Kapituły pomieszczenie obok, skromniejszych rozmiarów, w którym odbywały się narady w mniejszym gronie. Skąd się te nazwy wzięły, Adamsberg nie miał pojęcia. Prawdopodobnie ich autorem był Danglard, którego erudycja wydawała się czasem inspektorowi bezgraniczna i niemal toksyczna. Nadkomisarz ulegał bowiem częstej i nieopanowanej potrzebie wyrzucania z siebie wiedzy, co poniekąd przypominało hałaśliwie otrząsającego się konia. Wystarczył słaby nawet bodziec – rzadko używane słowo, pojęcie zastosowane w niewłaściwym kontekście – by wyzwolić w nim uczony, choć niekoniecznie na temat wywód, który można było przerwać jednym gestem.

Kręcąc głową, Adamsberg dał do zrozumienia tym, którzy pytająco nań spoglądali, kiedy ich mijał, że kocioł nadal nie daje znaku życia. Dotarł do biura Danglarda kończącego pilne raporty z chmurną miną, na wypadek gdyby

nieszczęściem musiał jednak wyruszyć na Labrador, acz nie dotarłby do niego z powodu tej katastrofy nad Atlantykiem wywołanej pożarem lewego silnika, w który wpadło stado szpaków i zatkało go na amen. Taka perspektywa w jego mniemaniu w pełni uzasadniała otwarcie butelki białego wina przed szóstą po południu. Adamsberg przysiadł na rogu stołu.

– Jak stoimy ze sprawą Hernoncourta?

– Zamykamy. Stary baron zdecydował się mówić. Zeznania pełne, jasne.

– Za jasne – zauważył Adamsberg, odsuwając raport i biorąc do ręki gazetę, która starannie złożona spoczywała na stole. – Mamy kolację rodzinną, która przeradza się w jatkę, i staruszka niepewnego, płaczącego się w zeznaniach. Po czym ni stąd, ni zowąd wszystko mu się rozjaśnia, nie ma żadnego etapu pośredniego. Nie, Danglard, tego nie podpisujemy.

Adamsberg hałaśliwie przewrócił kartkę gazety.

– To znaczy? – zapytał Danglard.

– To znaczy, że zaczynamy od początku. Baron wodzi nas za nos. Kryje kogoś, prawdopodobnie córkę.

– I córka by pozwoliła zapuszkować ojca?

Adamsberg przewrócił kolejną kartkę w gazecie. Danglard nie lubił, kiedy kolega czytał jego gazetę. Zwracał mu ją pogniecioną i ponadszarpywaną i w żaden sposób nie dało się potem równo jej poskładać.

– Bywało i tak – odparł Adamsberg. – Arystokratyczna tradycja, a przede wszystkim łagodny wyrok dla schorowanego starca. Mówię ci, nie było etapu pośredniego, a coś takiego jest nie do pomyślenia. To zbyt wyraźna wolta, w życiu nigdy nie ma takich wyraźnych cięć. Czyli w tym czy innym miejscu jest przekręt.

Zmęczony Danglard zapragnął nagle złapać raport i strzelić nim w kąt. I wyrwać gazetę z rąk Adamsberga, który niedbale ją miętosił. Prawdziwe czy nie, będzie musiał zweryfikować te cholerne zeznania barona wyłącznie z powodu mętnych przeczuć kolegi. Przeczuć, które zdaniem Danglarda łączyło pokrewieństwo z prymitywnym gatunkiem mątów, mięczaków beznogich, bezpłetwych, bezgrzbietych i bezbrzuchych, o przejrzystych korpusach, unoszących się pod powierzchnią wody, stworzeń, które doprowadzały do rozpaczki, a wręcz napawały niesmakiem precyzyjny ścisły umysł nadkomisarza. Będzie musiał to zweryfikować, albowiem owe beznogie przeczucia nader często okazywały się słuszne z łaski nie wiadomo jakiej zdolności przewidywania, która kolidowała z najbardziej wyrafinowaną logiką. Zdolności, która za sprawą kolejnych sukcesów przywiodła Adamsberga tutaj, na ten stół, na to stanowisko, stanowisko szefa brygady kryminalnej w XIII dzielnicy. Zdolności, której sam Adamsberg twardo się wypierał, nazywając ją po prostu znajomością ludzi i życia.

– Nie mogłeś powiedzieć wcześniej? – zagadnął Danglard. – Zanim wypichciłem cały raport?

– Dopiero tej nocy przyszło mi to do głowy – wyjaśnił Adamsberg, nagłym ruchem zamykając gazetę. – Kiedy rozmyślałem o Rembrandcie.

Składał dziennik w pośpiechu, rozproszony nagłym niepokojem, który dopadł go z nienacka niczym kot skaczący ci na plecy z wysuniętymi wszystkimi pazurami. Poczuciem wstrząsu, ucisku, z zimnym potem na karku mimo chłodu w biurze. Na pewno zaraz to minie, już mija.

– W takim razie – rzekł Danglard, biorąc do ręki raport – trzeba będzie zostać i zająć się tym. Bo jak inaczej?

– Mordent poprowadzi sprawę pod naszą nieobecność, zrobi to dobrze. A jak tam z Quebeciem?

– Prefekt czeka na naszą odpowiedź jutro o czternastej – odparł Danglard, z niepokojem marszcząc czoło.

– Świetnie. Na dziesiątą trzydzieści w Sali Kapituły zwołaj zebranie ośmiu uczestników stażu... Danglard – podjął inspektor po chwili – nie musisz z nami jechać.

– Nie? Prefekt osobiście zrobił listę uczestników. Jestem na samym szczycie.

W tej chwili Danglard wcale nie wyglądał na jednego z najwybitniejszych członków brygady. Strach i chłód pozbawiły go zwyczajowej dumy. Brzydki i źle wyposażony przez matkę naturę – jak sam mawiał – dbał o nieskazitelną elegancję, aby skompensować rozmyte rysy twarzy i opadające ramiona, a przy tym nadać odrobinę angielskiego szarmu swojemu długiemu obwisłemu ciału. Tego dnia jednak z zaciętą miną, wbity w podszytą futrem kurtkę, we włóczkowej czapce na głowie mógł tylko marzyć o zachowaniu wytwornego stylu. Zwłaszcza że czapkę, należącą pewnie do jednego z pięciorga jego dzieci, zdobił pompon, który Danglard przyciął jako tako, lecz pozostała widoczna czerwona końcówka stwarzająca śmieszny efekt.

– Zawsze można zrzucić winę na gripę z powodu awarii ogrzewania – podsunął Adamsberg.

Danglard chuchnął w dłonie w rękawiczkach.

– Za niecałe dwa miesiące mam dostać awans – wymamrotał – więc nie mogę ryzykować, że szefostwo się wycofa. Mam pięć gęb do wyżywienia.

– Dawaj tę mapę Quebecu. Pokaż, gdzie jedziemy.

– Przecież już ci pokazywałem – odpowiedział Danglard, rozkładając mapę. – Tutaj. – Wskazał palcem punkt niedaleko Ottawy. – Do Hull-Gatineau, dziury zabitej dechami, w której GRC ulokowało jeden z oddziałów Narodowej Bazy Danych Genetycznych.

– GRC?

– Już ci mówiłem – powtórzył Danglerd. – Kanadyjska Żandarmeria Królewska. Inaczej Kanadyjska Królewska Policja Konna. W butach z cholewami i czerwonych kurtkach jak za starych dobrych czasów, kiedy jeszcze Irokezi stanowili prawo wzdłuż brzegów Rzeki Świętego Wawrzyńca.

– W czerwonych kurtkach? Dalej takie noszą?

– Tylko dla turystów. Skoro tak pilno ci jechać, może należałoby się dowiedzieć, gdzie dokładnie się wybierasz?

Adamsberg uśmiechnął się szeroko, a Danglerd zwiesił głowę. Kiedy zamierzał ponarzekać, nie lubił szerokiego uśmiechu Adamsberga. Ponieważ jak mówiono w Plotkarni, czyli w kanciapie, w której ustawiono dystrybutory z kanapkami i z napojami, szeroki uśmiech Adamsberga łamał wszelki opór i topił polarne lody. Danglerd zaś reagował na niego jak każdy, jak dziewczyna, co w jego wieku – przekroczył pięćdziesiątkę – bardzo go peszyło.

– Ale wiem, że to GRC jest nad rzeką Outaouais. Mówiąc z angielska, nad Ottawą – zauważył Adamsberg. – I że są tam stada dzikich gęsi.

Danglerd łyknął białego wina i uśmiechnął się raczej oschle.

– Bernikli – uściślił. – A Outaouais to tylko dopływ. Dziesięć razy większy od Sekwany, ale tylko dopływ. Który wpada do Rzeki Świętego Wawrzyńca.

– Niech ci będzie dopływ. Za dużo wiesz o tym kraju, żeby się wycofać, Danglerd. Jesteś w trybach i pojedziesz. Mam tylko prośbę: uspokój mnie i powiedz, że nie ty ciemną nocą załatwiłeś kocioł grzewczy i że nie ukatrupiłeś w drodze fachowca, który ma przyjść i nie przychodzi.

Danglerd popatrzył na niego z oburzeniem.

– Po co miałbym to robić?

– Żeby w ludziach energia skamieniała, żeby zamarzła w nich żądza przygody.

– Wciskasz mi sabotaż? Chyba nie myślisz tak naprawdę?

– Ot, drobny sabotażyk, niewinny. Lepszy zepsuty kocioł niż roztrzaskanie się boeinga. Bo to prawdziwy powód twojej niechęci do wyjazdu, prawda, nadkomisarzu?

Danglerd walnął pięścią w stół, aż krople wina prysły na raporty. Adamsberg się wzdrygnął. Danglerd mógł utyskiwać, gderać albo zamykać się w milczeniu, w taki bowiem sposób zwykł okazywać dezaprobatę, przede wszystkim jednak był człowiekiem kulturalnym, uprzejmym i dobroci równie wielkiej jak dyskretnej. Ale nieprzejednanym, gdy w grę wchodził jeden temat. Toteż Adamsberg zeszytniał.

– Prawdziwy powód? – rzekł sucho Danglerd, trzymając na stole dłoń zaciśniętą w pięść. – A co ci do mojego „prawdziwego powodu”? Nie ja kieruję tą brygadą i nie ja wysyłam nas na odgrywanie głupków w śniegu. Kurwa.

Adamsberg pokręcił głową. Tyle lat się znali, a Danglard po raz pierwszy prosto w oczy powiedział mu „kurwa”. Dobrze. Nie poczuł się dotknięty z racji swojej niepospolitej nonszalancji i beznamiętności, przez niektórych zwanymi nieczułością i obojętnością i działającymi na nerwy każdemu, kto próbował się przez nie przebić.

– Przypominam ci, Danglard, że to wyjątkowa propozycja współpracy i możliwość poznania najbardziej efektywnego systemu na świecie. Kanadyjczycy wyprzedzają nas o głowę w tej dziedzinie. Wyszlibyśmy na głupków, gdybyśmy odmówili.

– Gadanie! Nie mów, że etyka zawodowa każe ci nas ganiać po lodzie.

– Ależ tak.

Danglard jednym haustem wychylił kieliszek i z brodą wysuniętą do przodu wpatrzył się w Adamsberga.

– O co chodzi, Danglard? – łagodnie spytał Adamsberg.

– O twój powód – mruknął nadkomisarz. – O twój prawdziwy powód. Może o tym byś powiedział, zamiast oskarżać mnie o sabotaż? Może byś dla odmiany powiedział o swoim sabotażu?

No to jesteśmy w domu, pomyślał Adamsberg.

Danglard zerwał się naraz, otworzył szufladę, wyjął z niej butelkę białego wina i szczerze nalał sobie do kieliszka. Następnie zaczął krążyć po pokoju. Adamsberg skrzyżował ramiona, czujnie wypatrując burzy. Na tym etapie gniewu i spożytego wina używanie argumentów nic nie dawało. Gniewu, który z rocznym opóźnieniem właśnie zaczynał wybuchać.

– Dawaj, Danglard, skoro tak ci zależy.

– Camille. Camille jest w Montrealu i ty o tym wiesz. I tylko i wyłącznie dlatego wypychasz nas do tego pieprzonego boeinga.

– To jesteśmy w domu.

– Świetnie.

– Ale ciebie to nie dotyczy, nadkomisarzu.

– Nie? – wrzasnął Danglard. – Rok temu Camille się ulotniła, zniknęła z twojego życia dzięki jednemu z tych diabelskich sabotaży, które tylko ty potrafisz robić. I kto chciał ją zobaczyć? No kto? Ty czy ja?

– Ja.

– A kto ją śledził? Kto ją odnalazł, zlokalizował? Kto ci dostarczył jej adres w Lizbonie? Ty czy ja?

Adamsberg wstał i zamknął drzwi pokoju. Danglard zawsze czcił Camille, pomagał jej i strzegł niczym dzieła sztuki. Na to nic się nie dało poradzić. Jednakże ten opiekuńczy zapał źle się komponował z burzliwym życiem Adamsberga.

- Ty – odpowiedział spokojnie.
- Właśnie. Więc mnie to też dotyczy.
- Ciszej, Danglard. Słyszę cię, nie musisz tak krzyczeć.

Tym razem szczególne brzmienie głosu Adamsberga chyba poskutkowało. Niczym jakiś aktywnie działający produkt jego modulowany tembr otulał adwersarza, nakłaniając go do zawieszenia broni bądź wzbudzając uczucie spokoju, przyjemności czy wręcz pełnego znieczulenia. Komisarz Voisenet, z wykształcenia chemik, często napomykał o tej tajemnicy w Plotkarni, lecz nikt nie potrafił zidentyfikować kojącego specyfiku, którym nasączono głos Adamsberga. Tymianek? Mleczko pszczele? Wosk? Jakaś mieszanka?

Danglard spuścił nieco z tonu.

- I kto – podjął ciszej – pognął do niej do Lizbony i rozpirzył wszystko w niecałe trzy dni?

- Ja.
- Ty. Czyli próżne starania, jak widać.
- Nie twoja sprawa.

Adamsberg wstał i rozchyliwszy palce, wypuścił z dłoni kubek prosto w sam środek kosza na śmieci. Gestem takim, jakim się strzela, celuje. I wyszedł z pokoju równym krokiem, nie oglądając się za siebie.

Danglard zacisnął usta. Wiedział, że przekroczył granicę, zapuścił się za daleko na terytorium zakazane. Tyle że przytłoczony miesiącami dezaprobaty i doprowadzony do ostateczności kanadyjską sprawą nie był w stanie się wycofać. Potarł policzki dłonią w szorstkiej wełnianej rękawiczce, wahając się, rozważając miesiące swojego ciężkiego milczenia, kłamstw, może nawet zdrady. Postąpił dobrze albo źle. Patrząc przez palce, zawiesił wzrok na mapie Quebecu rozłożonej na stole. Czym on się w ogóle przejmuje? Za tydzień będzie martwy, Adamsberg również. Szpaki przerobione na miazgę w turbinie, lewy silnik w ogniu, wybuch nad wodami Atlantyku. Wziął butelkę, łyknął wina. Następnie podniósł telefon i wybrał numer fachowca.

II

Adamsberg spotkał Violette Retancourt przy dystrybutorze kawy. Stał spokojnie za nią, czekając, aż najlepiej zbudowany z jego komisarzy napełni sobie kubek z wymion maszyny – albowiem w mniemaniu inspektora urządzenie z napojami przywodziło na myśl mleczną krowę wygodnie ulokowaną w biurach brygady kryminalnej, czuwającą nad nimi jak milcząca matka. I dlatego je lubił. Retancourt się wyniosła, ledwie go zobaczyła. Zdecydowanie dzisiaj to nie mój dzień, pomyślał Adamsberg, podstawiając kubek pod wymię dystrybutora.

Niezależnie od dnia takiego czy owakiego komisarz Retancourt była przypadkiem rzadko spotykanym. Adamsberg niczego nie mógł zarzucić tej imponującej niewieście, która liczyła sobie trzydzieści pięć lat, mierzyła metr siedemdziesiąt dziewięć, ważyła sto dziesięć kilo, była równie inteligentna jak silna i potrafiła, jak to ujęła, przekształcać swoją energię wedle własnej woli. Istotnie w ciągu roku Retancourt dowiodła swoich urozmaiconych możliwości, w tym piorunującej siły uderzenia, czym zasłużyła sobie na miano filaru brygady, wszechstronnej maszyny bojowej przystosowanej do działań w każdym terenie, na gruncie intelektualnym, taktycznym, administracyjnym, walki wręcz, precyzyjnego strzelania. Tyle że Violette Retancourt nie lubiła inspektora. Bez wrogości – po prostu go unikała.

Adamsberg wziął kubek z kawą, poklepał maszynę w synowskim podziękowaniu i wrócił do swojego biura, zaledwie częścią umysłu zajmując się wybuchem Danglarda. Nie zamierzał trawić godzin na kojeniu niepokojów nadkomisarza – czy to w kwestii boeinga, czy Camille. Zwyczajnie wolałby się od niego nie dowiedzieć, że Camille przebywa w Montrealu, o czym dotąd nie miał pojęcia i co lekko mu zaburzało koncepcję ucieczki do Quebecu. Wolałby, żeby Danglard nie ożywiał obrazów, które on spychał na obrzeża swego pola widzenia, w lepkie grzęzawisko niepamięci, które oblepiało kanciastą żuchwę, rozmywało dziecięce wargi, barwiło błotną szarością jasną skórę tej córki północy. Żeby nie ożywiał miłości, od której on bezgłośnie się oddalał, zamieniając ją na rozliczne doznania oferowane przez inne kobiety. Bezdyskusyjnie pod wpływem kleptomańskiego przymusu, przymusu złodziejaszka łasego na niedojrzałe owoce, co naturalnie mocno raniło Camille. Często widział, jak po jego przechadzce przyciskała ręce do uszu, jakby jej melodyczny kochanek skrobał paznokciem po tablicy, wprowadzając dysonans do jej subtelnej partytury. Camille była muzyczką,

to wszystko tłumaczyło.

Usiadł bokiem w fotelu i podmuchał kawę, wzrok kierując na tablicę między oknami. Wisiały na niej raporty, terminy, a pośrodku notatki zawierające cele misji w Quebecu. Trzy kartki równiutko przymocowane obok siebie trzema czerwonymi pinezkami. Odciski genetyczne, pot, mocz i komputery, liście klonu, lasy, jeziora, karibu. Jutro podpisze rozkaz wyjazdu, a za tydzień odlot. Uśmiechnął się i upił łyk kawy, spokojny, a nawet szczęśliwy.

I wtem poczuł ten sam zimny pot występujący mu na karku, poczuł miażdżący ucisk, pazurzastego kota czepiającego się jego barków. Zgiął się pod wpływem wstrząsu i ostrożnie odstawił kubek na stół. Drugi raz w ciągu godziny dopadł go niepokój, wzburzenie nieznane, jak obcy składający niezapowiedzianą wizytę, uruchamiający donośny sygnał ostrzegawczy, alarm. Adamsberg zmusił się, by wstać, zrobił kilka kroków. Pominąwszy przykre doznanie i zimny pot, jego ciało reagowało normalnie. Przejechał dłońmi po twarzy, rozciągając skórę, pomasował sobie kark. Zmora jakaś, coś w rodzaju konwulsji obronnej. Ukąszenie obawy, przeczucie zagrożenia – i ciało reaguje w obliczu niebezpieczeństwa. A teraz, gdy znowu swobodnie się poruszał, ciągle miał w sobie niewysłowiony smutek niczym złowrogi osad, który pozostawia cofająca się fala.

Dopił kawę i oparł brodę na rękę. Wielokrotnie wcześniej przy różnych okazjach zdarzało mu się, że nie rozumiał siebie, lecz po raz pierwszy to niezrozumienie było takie totalne. Po raz pierwszy na kilka sekund stracił rozeznanie, jakby ktoś obcy przemknął na pokład jego jestestwa i zajął miejsce u steru. Tego był pewien: miał na pokładzie obcego. Ktoś rozsądny wytłumaczyłby mu absurdalność pomysłu i zasugerował zamroczenie grypą. Adamsberg jednak widział w tym coś innego, mianowicie wtargnięcie na chwilkę groźnego nieznajomego, kogoś, kto nie życzy mu dobrze.

Otworzył szafkę i wyjął stare tenisówki. Tym razem nie wystarczy przechadzka albo rozmarzenie. Będzie musiał biegać, może nawet godzinami, najpierw pogna prosto nad Sekwanę, a później wzdłuż jej brzegu. Aby zgubić prześladowcę, wepchnąć go do rzeki albo – czemu nie? – przerzucić na kogoś innego.

III

Oczyszczony, wyczerpany i wykąpany Adamsberg postanowił pójść na kolację do Czarnych Wód Dublinu, mrocznego baru, którego hałaśliwa atmosfera i cierpki zapach często były ostatnim akordem jego przechadzek. Lokal ten, wypełniony samymi Irlandczykami, których rozmów ni w ząb nie rozumiał, miał jedyną w swoim rodzaju przewagę nad każdym innym miejscem: oferował bez ograniczeń obecność ludzi i gwar rozmów, a zarazem samotność doskonałą. Adamsberg zasiadł przy swoim stoliku poplamionym piwem, oddychając powietrzem przesyconym zapachem guinnessa, i u zaprzyjaźnionej kelnerki Enid zamówił porcję wieprzowiny z ziemniakami. Enid nakładała jedzenie zabytkowym długim cynowym widelcem, który Adamsberg bardzo lubił, widelcem z drewnianą zużytą rączką i trzema nierównymi zębami. Patrzył, jak Enid kładzie mięso na talerzu, i wtem obcy wyłonił się brutalnie jak gwałciiciel. Tym razem wydało mu się, że wyczuł atak na ułamek sekundy przed faktem. Leżące na stole dłonie zacisnął w pięści i tak próbował zapobiec wtargnięciu. Spinając ciało, przywołując myśli o czym innym, wyobrażając sobie czerwone liście klonu. Na nic: zmora przeszła przez niego jak tornado pustoszące pola, prędkie, nieuniknione i gwałtowne, po czym obojętnie porzucające ofiarę, aby gdzie indziej kontynuować swoje dzieło.

Kiedy już mógł rozprostować dłonie, wziął sztucce, lecz nie był w stanie zabrać się do jedzenia. Pasma smutku pozostawione przez tornado odebrało mu apetyt. Przeprószył Enid i wyszedł, przepełniony niepewnością ruszył ulicami przed siebie. Przez głowę przemknęło mu wspomnienie ciotecznego dziadka, który jeśli zachorował, zwijał się w kłębek w załomie pirenejskiej skały i czekał, aż dolegliwość przejdzie. Wtedy wstawał i wracał do życia uzdrowiony, bez gorączki, którą pochłonęła skała. Adamsberg się uśmiechnął. W tym wielkim mieście nie znajdzie leża, w którym mógłby się zaszyć jak niedźwiedź, nie znajdzie zapadliny, która by wchłonęła jego gorączkę i łyknęła obcego w całości. Obcego, który może w tej chwili przeniósł się na barki kogoś, kto siedział przy sąsiednim stoliku w irlandzkim pubie.

Zaprzyjaźniony z Adamsbergiem psychiatra, doktor Ferez, niewątpliwie starałby się zidentyfikować mechanizm wtargnięcia. Odślonić ukryte poruszenie, niewyrażoną udrękę, która niczym więzień wstrząsała zniecka swoimi kajdanami. Ich dzwonienie wywoływało zimny pot, skurcze mięśni, wzbierający w gardle krzyk, który przyginał mu plecy. Tak właśnie powiedziałby Ferez

z naznaczoną zatroskaniem łapczywością, którą Adamsberg zawsze u niego zauważał w obliczu niezwykłych przypadków. Zapytałby, o czym rozmawiał, kiedy pierwszy pazurzasty kot skoczył mu na grzbiet. Może o Camille? A może o Quebecu?

Przystanął na chodniku, szperając w pamięci, szukając, co mówił Danglardowi, kiedy po raz pierwszy oblał go pot. A tak, o Rembrandcie. Mówił o Rembrandcie, o braku światłocieni w sprawie Hersoncourta. To się stało wtedy. Czyli sporo przed rozmową o Camille albo Kanadzie. Przede wszystkim należałoby wytłumaczyć Ferezowi, że nigdy wcześniej żaden kłopot nie ściągnął mu na kark rozzłoszczonego kota. Że to coś nowego, coś, czego w życiu jeszcze nie doświadczył, coś niebywałego. Że ilekroć wstrząs następował, on zajmował inną pozycję w innym miejscu, że nie było wspólnego elementu tych zdarzeń. Jaki może być związek między poczciwą Enid a jego partnerem Danglardem, między stolikiem w Czarnych Wodach Dublinu a tablicą na notatki? Między tłumem ludzi w pubie a pustką w biurze? Nie ma żadnego. Nawet taki spryciarz jak Ferez połamałby sobie na tym zęby. I nie dopuściłby do siebie myśli, że obcy wszedł na pokład. Adamsberg poczochnął sobie włosy, roztarł ramiona i uda, na nowo uruchamiając swoje ciało. Po czym ruszył dalej, starając się czerpać ze swych zwyczajnych sił, iść spokojnie, z dystansem spoglądać na przechodniów, z myślą dryfującą po powierzchni umysłu niczym kawałek drewna niesiony przez wodę.

Czwarta fala dopadła go prawie godzinę później, kiedy znalazł się na boulevard Saint-Paul, o kilka kroków od swojego mieszkania. Zgiął się pod wpływem ataku, oparł o latarnię, zastygł, czując podmuch zagrożenia. Zamknął oczy i czekał. Niecałą minutę później wolno uniósł głowę, rozprostował ramiona, poruszył palcami w kieszeniach ogarnięty lękiem, który tornado zostawiło za sobą po raz czwarty, obawą, która wyciskała mu łzy z oczu, smutkiem nienazwanym.

I właśnie nazwać go potrzebował. Nazwać to doznanie, ten alarm. Ponieważ ten dzień zaczęty tak banalnie, wkroczeniem jak zwykle do biur brygady kryminalnej, kończył odmieniony, poruszony, niezdolny wrócić nazajutrz do rutyny. Rano normalny człowiek, wieczorem wstrząśnięty, zablokowany przez wulkan, który się przed nim pojawił, rozdziawiając ognistą paszczę na nieodgadnioną tajemnicę.

Oderwał się od latarni i uważnie rozejrzał po okolicy, jakby badał miejsce zbrodni popełnionej na sobie, szukał znaku mogącego mu wyjawić imię zabójcy, który uderzał z tyłu. Cofnął się o krok, po czym stanął dokładnie w takiej pozycji, w jakiej był w momencie wstrząsu. Wzrokiem powiódł po pustym chodniku,

popatrzył na ciemną witrynę sklepiku po prawej, na tablicę reklamową po lewej. Niczego więcej nie było. Tylko reklamę wyraźnie widział w ciemnościach, podświetloną przez szklane obramowanie. Była to ostatnia rzecz, którą zobaczył tuż przed atakiem. Przyjrzał się jej uważnie. Reprodukacja klasycznego obrazu przeciętego zapowiedzią: „Artyści malarze wśród strażaków XIX w. Wystawa czasowa. Grand Palais. 19 października–17 grudnia”.

Obraz przedstawiał muskularnego chwata o jasnej skórze i czarnej brodzie, rozpartego wygodnie na dużej muszli, która w otoczeniu najad unosiła się na falach oceanu. Adamsberg na chwilę skupił uwagę na tym obrazie, nie pojmując, jakim cudem mógłby sprowokować atak, podobnie jak jego rozmowa z Danglardem, fotel w biurze czy zadymiona sala irlandzkiego pubu. A przecież człowiek nie popada z normalności w chaos ot tak, jakby strzelić palcami. Musi być jakiś etap przejściowy, pośredni. W tym, jak i gdzie indziej oraz w sprawie Hersoncourta brakowało mu światłocieni, pomostu między strefą mroku i światła. Westchnął bezsilnie i zagryzł wargi, wpatrując się w noc, w której krążyły taksówki bez pasażerów. Podniósł rękę, zatrzymał jedną, wsiadł i podał szoferowi adres Adriana Danglarda.

IV

Musiał trzy razy dzwonić, zanim do drzwi podszedł zaspany Danglard. Spiał się na widok Adamsberga, którego rysy jakby się wyostrzyły, nos zrobił się jeszcze bardziej orli, poniżej wysokich kości policzkowych zaległy cienie. A więc złość nie przeszła mu tradycyjnie równie szybko, jak go ogarnęła. Danglard wiedział, że przekroczył granicę. I od tamtej chwili roztrząsał ewentualną konfrontację, może ostrzeżenie. Albo karę? Albo coś gorszego? Niezdolny pohamować ostre krawędzie otchłani swego pesymizmu, przez cały wieczór przeżuwał narastające obawy, starając się ich nie okazać dzieciom, podobnie jak lęku w obliczu problemów z lewym silnikiem samolotu. Najlepszym sposobem, aby niczego nie zauważyły, było zaserwowanie im nowej anegdoty z komisarz Retancourt w roli głównej, co zawsze je cieszyło, a szczególnie fakt, że ta silna kobieta – jakby namalowana przez Michała Anioła, który choć genialny, nie miał ręki do oddania miękkiej chwiejności niewieściego ciała – nosiła imię Violette, delikatnego dzikiego kwiatuszka. Tego dnia Violette rozmawiała po cichu z Hélène Froissy, która miała jakieś zmartwienie. Violette wygłosiła dobitnie jedno zdanie, dla podkreślenia słów waląc dłonią na płask w fotokopiarkę, co uruchomiło urządzenie, którego wózek od pięciu dni był zablokowany na amen.

Jeden z bliźniaków Danglarda zapytał, co by się stało, gdyby Retancourt nie waliła w fotokopiarkę, tylko w głowę Hélène Froissy. Czy naprawiłaby w ten sposób zepsute myśli zmartwionej komisarz? Czy Violette poklepywaniem może wpływać na istoty żywe i na przedmioty? Później dzieci po kolei klepały zepsuty telewizor, aby sprawdzić własną moc – Danglard pozwolił każdemu na jedno tylko klepięcie – lecz nie przywróciło to obrazu na ekran, a najmłodsze uderzyło się w palec. Kiedy dzieci poszły do łóżek, niepokój znowu wpędził go w czarne myśli.

Stojąc przed przełożonym, Danglard podrapał się po torsie w geście iluzorycznej samoobrony.

– Zbieraj się szybko – szepnął Adamsberg. – Jesteś mi potrzebny. Taksówka czeka na dole.

Nieoczekiwany spokój kolegi otrzeźwił Danglarda, który pospiesznie się ubrał, narzucił kurtkę. Adamsberg nie chował do niego urazy, już o wszystkim zapomniał, pogrzebał incydent na dnie swej wyrozumiałości bądź właściwej mu beztroski.

Skoro inspektor przyszedł po niego w nocy, znaczy, że brygada dostała sprawę morderstwa.

– Gdzie? – zapytał, dołączając do Adamsberga.

– Boulevard Saint-Paul.

W drodze na dół Danglard próbował zawiązać krawat i równocześnie owinąć szyję grubym szalikiem.

– Ofiara?

– Szybciej, stary, to pilne.

Wysiedli z taksówki na wysokości tablicy reklamowej. Adamsberg płacił za kurs, Danglard tymczasem zdziwiony rozglądał się po wyludnionej ulicy. Nie było świateł radiowozów, nie było ekipy techników, widział tylko pusty chodnik i uspione budynki. Adamsberg złapał go za rękę i pociągnął szybko do reklamy, którą wskazał, nie zwalniając uchwytu.

– Danglard, co to jest?

– Proszę? – zdumiał się Danglard.

– Ta tablica, kurde. Pytam, co to jest. Co ona przedstawia.

– A ofiara? – dopytywał Danglard, rozglądając się. – Gdzie ofiara?

– Tutaj – odparł Adamsberg, stukając się palcem w pierś. – Odpowiedz. Co to jest?

Danglard pokręcił głową na poły stropiony, na poły zaszokowany. Po czym oniryczny absurd tej sytuacji wydał mu się nagle taki zabawny, że czysta radość rozproszyła w nim zły humor. Wypełniła go wdzięczność dla Adamsberga, który nie tylko przeszedł do porządku nad jego zniewagami, ale jeszcze mimo woli oferował mu tej nocy nadzwyczajne chwile. Albowiem jeden Adamsberg był zdolny tak zwichrować normalne życie, że wydobywał z niego wszelkie ekstrawagancje, przebłycki zaskakującego piękna. Bo i cóż mu szkodziło w środku nocy obudzić kolegę i w przenikliwym zimnie zawlec go pod Neptuna?

– Co to za gość? – powtórzył Adamsberg, nie puszczać jego ręki.

– Neptun wyłaniający się z morza – odparł Danglard z uśmiechem.

– Na pewno?

– Neptun albo Posejdon, jak wolisz.

– To bóg mórz czy piekieł?

– Są braćmi – wyjaśnił Danglard ucieszony, że ciemną nocą robi wykład z mitologii. – Trzej bracia: Hades, Zeus i Posejdon. Posejdon włada morzami, błękitem wód i sztormami, ale też głębinami i ich zagrożeniami.

Adamsberg chwilę wcześniej puścił jego ramię i teraz słuchał z rękami założonymi z tyłu.

– Tutaj – podjął Danglard, wskazując palcem reklamę – jest w otoczeniu

swojego dworu i demonów. Tu mamy dobre uczynki Neptuna, a tu jego moc wymierzania kary symbolizowaną przez trójząb i przez złowrogiego węża, który wciąga w morskie głębiny. To akademicki obraz, faktura mało wyrazista, sentymentalna. Nie potrafię zidentyfikować autora. Nieznany malarz, pewnie wieszany w mieszczańskich salonach i prawdopodobnie...

– Neptun – przerwał mu Adamsberg w zamyśleniu. – Dobra, Danglard, bardzo ci dziękuję. Wracaj do domu, do łóżka. I przepraszam, że cię obudziłem.

Zanim Danglard zdążył się upomnieć o wyjaśnienia, Adamsberg już zatrzymał taksówkę i wepchnął go do niej. Nadkomisarz patrzył przez okno, jak kolega oddala się wolnym krokiem, obserwował jego szczupłą czarną postać, trochę pochyloną, lekko kołyszącą się w ciemnościach. Uśmiechnął się, machinalnie potarł sobie głowę i natrafił palcami na obrzynek pompona u czapki. Ogarnięty nagle niepokojem trzy razy dotknął go na szczęście.

V

W domu Adamsberg przejrzał swoją mocno zróżnicowaną biblioteczkę w poszukiwaniu książki, z której mógłby się dowiedzieć czegoś więcej o Neptunie-Posejdonie. Znalazł stary podręcznik historii i w nim na stronie sześćdziesiątej siódmej bóg mórz objawił mu się w całej krasie, dzierżąc w ręku swój atrybut. Adamsberg poprzyglądał mu się chwilę, przeczytał krótki opis towarzyszący reprodukcji płaskorzeźby, po czym z książką w ręce rzucił się na łóżko w ubraniu, umordowany i zmartwiony.

Wrzaski kotów walczących gdzieś na dachu obudziły go około czwartej nad ranem. Otworzył oczy w ciemności, wpatrzył się w jaśniejszy prostokąt okna na wprost łóżka. Kurtka zawieszona na kłamce tworzyła szeroką nieruchomą sylwetkę, sylwetkę intruza, który wdarł się do jego sypialni i obserwował go we śnie. Obcego, który w niego wtargnął i nie chciał odstąpić. Adamsberg na moment przymknął oczy i zaraz je otworzył. Neptun i jego trójzęb.

Tym razem ręce zaczęły mu drżeć, tym razem serce szybciej zabiło. Nie miało to nic wspólnego z czterema tornadami, które przeżył wcześniej – teraz doświadczył zaskoczenia i strachu.

Długo pił z kranu w kuchni, ochlapał sobie twarz i głowę zimną wodą. Przetrzęsął następnie wszystkie szafki w poszukiwaniu jakiegoś alkoholu, czegoś mocnego, szczypiącego w gardło, ostrego, byle czego. Gdzieś musiało być coś takiego, przynajmniej jakaś resztką we flasce pozostawionej któregoś wieczoru przez Danglarda. Znalazł wreszcie kamionkową butelkę, szybko ją odkorkował. Przystawił szyjkę do nosa, przeczytał etykietę. Jałowcówka, 44 stopnie. Gruba butelka drżała mu w rękach. Nalał sobie do szklanki i wychylił duszkiem. Dwukrotnie, raz za razem. Poczł nagle, że ciało mu wiotczeje, ciężko opadł na stary fotel, zostawiwszy zapaloną małą lampkę.

Teraz, gdy pod wpływem alkoholu zwiotczały mu mięśnie, mógł rozmyślać, kombinować, coś zrobić. Spróbować ujrzeć potwora, którego wspomnienie Neptuna wywabilo nareszcie z nory. Obcego, strasznego intruza. Niepokonanego butnego zabójcę, którego nazywał Trójzębem. Nieuchwytnego mordercę, który trzydzieści lat wcześniej wstrząsnął posadami jego życia. Przez czternaście lat Adamsberg go ścigał, tropił, za każdym razem licząc, że dopadnie drania, i bez

ustanku gubiąc ruchliwy cel. Biegając, upadając, znowu biegając.

I upadając. W tym pościgu gdzieś zgubił nadzieję, przede wszystkim jednak stracił brata. Trójzęb zawsze mu się wymykał. Tytan, diabeł, piekielny Posejdon. Unoszący trójzębną broń i zabijający jednym ciosem w brzuch. Zostawiający za sobą ofiary nadziane na nią, naznaczone trzema czerwonymi dziurami ułożonymi w jednej linii.

Adamsberg wyprostował się w fotelu. Trzy czerwone pinezki w jednej linii na ścianie biura, trzy zakrwawione dziury. Długi trójzębny widelec, którego używała Enid, odbicie dziur zostawianych przez Trójzęba. I Neptun z uniesionym atrybutem swojej władzy. Właśnie te obrazy tak mu dopiekły, wywołały tornada, wzbudziły w nim lęk, uwolniły skądś z głębin strach, który znowu wrócił.

Powinienem był wiedzieć, myślał teraz. Powiązać siłę wstrząsów z bolesnym zasięgiem długiego marszu za Trójzębem. Nikt bowiem nie wzbudził w nim większego cierpienia i przerażenia, rozpacz i gniewu niż ten człowiek. Jamę, którą zabójca wydrążył w jego życiu, Adamsberg musiał przed szesnastoma laty zasypać, zamurować, a potem zapomnieć. Otworzyła mu się nagle pod nogami tego dnia – bez powodu.

Wstał i zaczął krążyć po pokoju z założonymi rękami. Z jednej strony czuł się oswobodzony, niemal świeży po zidentyfikowaniu źródła zagrożenia. Tornada już się nie powtórzą. Przerażało go jednak brutalne objawienie się Trójzęba. W poniedziałek 6 października wyłonił się niczym duch przechodzący nagle przez mur. Niepokojące było to przebudzenie, niewytłumaczalny powrót. Adamsberg schował jałowcówkę do szafki, starannie opłukał szklankę. Chyba że zrozumie dlaczego, dowie się, z jakiego powodu starzec zmartwychwstał. Znowu brakowało mu związku między swoim spokojnym przejściem do brygady kryminalnej i pojawieniem się Trójzęba.

Usiadł na podłodze z plecami przy kaloryferze, rękami obejmując kolana, rozmyślając o swoim ciotecznym dziadku, który tak się kulił w załomie skał. Musiał się skupić, wpatrzeć w jeden punkt, zapuścić wzrok jak najgłębiej i nie popuszczać. Wrócić do pierwszego pojawienia się Trójzęba, do najwcześniejszej fali. A zatem do chwili, gdy mówił o Rembrandcie, gdy wyjaśniał Danglardowi lukę w sprawie Hernoncourta. Odtworzył tę scenę w myślach. O ile zapamiętywanie słów wymagało od niego ogromnego wysiłku, o tyle obrazy wbijały mu się w pamięć tak łatwo jak kamyki w miękką ziemię. Zobaczył siebie siedzącego na rogu stołu Danglarda, zobaczył niezadowoloną minę partnera w czapce z obciętym pomponem, kubek białego wina, światło padające z lewej. I siebie mówiącego o światłocieniach. W jakiej pozycji? Z rękami skrzyżowanymi? Na kolanach? Z jedną dłonią na stole? Z obiema w kieszeniach? Co robił wtedy

z rękami?

Trzymał w nich gazetę. Wziął ją ze stołu, rozłożył i w czasie rozmowy kartkował, nie widząc treści. Nie widząc? A może przeciwnie, widział ją? Może widział ją tak wyraźnie, że z czeluści pamięci wyłoniło się ostrze?

Popatrzył na zegarek. Piąta dwadzieścia rano. Zerwał się, poprawił wygniecioną kurtkę i wyszedł. Siedem minut później wyłączał alarm przy wejściu do siedziby brygady i wchodził do środka. Na dole panował ziąb, nie zjawił się fachowiec, który miał przyjść o dziewiętnastej.

Pozdrowił dyżurnego i przemknął do biura partnera bezszelestnie, by ludzie z nocnej zmiany nie zorientowali się, że przyszedł. Włączył tylko lampkę na biurku i rozejrzał się za gazetą. U Danglarda na pewno by się nie poniewierała na blacie – istotnie, znalazł ją w szufladzie szafki. Nie tracąc czasu na siadanie, zaczął przewracać kartki w poszukiwaniu jakiegoś neptunowego znaku. Było gorzej, niż sądził. Na stronie siódmej, poniżej tytułu *Dziewczyna zamordowana trzema ciosami nożem w Schiltigheim*, widniało złej jakości zdjęcie ciała na noszach. Chociaż zostało prześwietlone, wyraźnie było widać jasnoniebieski sweter dziewczyny i na nim w górnej części brzucha trzy czerwone dziury w jednej linii.

Obszedł stół i usiadł w fotelu Danglarda. Miał w rękach ostatni fragment światłocieni, trzy rany dostrzeżone kątem oka. Krwawe znamię widziane tyle razy w przeszłości, znaczące przejście mordercy, znamię, które przez szesnaście lat spoczywało gdzieś w jego pamięci. Wydobyło je na powierzchnię to zdjęcie, które uruchomiło donośny alarm i obwieściło powrót Trójzęba.

Teraz Adamsberg był spokojny. Wyrwał kartkę z gazety, poskładał ją i schował do wewnętrznej kieszeni kurtki. Wszystkie elementy układanki znajdowały się na swoim miejscu, fale już nie wrócą. Tak jak nie wróci Trójzab ekshumowany zwyczajną zbieżnością obrazów. Po tym krótkim nieporozumieniu na powrót zniknie w swojej jaskini zapomnienia.

VI

Zebranie ośmiorga uczestników misji quebeckiej odbyło się w temperaturze 8 stopni Celsjusza w atmosferze, której posępność wzmagał ziąb. Nic by z niego nie wyszło, gdyby nie budująca obecność komisarz Violette Retancourt. Nie miała rękawiczek ani czapki, lecz nie okazywała po sobie, że coś jej przeszkadza. W przeciwieństwie do reszty kolegów, którzy wypowiadali się przez zęby z napięciem w głosie, mówiła jak zwykle gromko i dobitnie, zwłaszcza że była żywo zainteresowana tą misją. Siedziała między Voisenetem okutanym w szalik po uszy i młodym Estalère'em, który darzył wszechstronną komisarz prawdziwą czciami niczym potężną boginię, korpulentną Junonę skrzyżowaną z Dianą łowczynią i dwunastorękim Śiwą. Retancourt krzepiła, dowodziła, podsumowywała. Najwyraźniej tego dnia przemieniła swoją energię w siłę przekonywania, toteż Adamsberg z uśmiechem pozwalał jej robić swoje. Mimo burzliwej nocy czuł się rozluźniony i na powrót w dyspozycji takiej jak zwykle. Po jałowcówce nie łupała go nawet głowa.

Danglard obserwował inspektora, który kołysał się na krześle z właściwą mu nonszalancją, ewidentnie puściwszy w niepamięć urazę z poprzedniego dnia, a nawet ich nocną rozmowę w obecności boga mórz. Retancourt gadała i gadała, zbijając argumenty przeciwko wyjazdowi, Danglard zaś czuł, że szybko ustępuje pola, że jakaś przemożna siła pcha go ku wejściu do boeinga z silnikami zapchanymi przez szpaki.

Retancourt wygrała. O dwunastej dziesięć wyjazd do GRC w Gatineau przegłosowano stosunkiem siedmiu głosów „za” przy jednym sprzeciwu. Adamsberg zakończył zebranie i wyszedł, by przekazać prefektowi decyzję grupy. W korytarzu zatrzymał Danglarda.

– Nie martw się – powiedział. – Będę trzymał linę. Świetnie mi to wychodzi.

– Jaką linę?

– Tę, która trzyma samolot – wyjaśnił Adamsberg, przyciskając kciuk do palca wskazującego.

Kiwnął głową na potwierdzenie obietnicy i oddalił się. A Danglard zadał sobie pytanie, czy kolega aby z niego nie drwi. Wydawał się jednak poważny, jakby uważał, że faktycznie trzyma liny, które nie pozwalają samolotom spaść. Danglard przesunął dłoń po resztkach pomponu, od ostatniej nocy będącego dlań kojącym punktem odniesienia. I o dziwo uspokoił się trochę na myśl o tej linie i o

Adamsbergu, który będzie ją trzymał.

Na rogu ulicy mieściła się duża piwiarnia, w której siedziało się znakomicie, lecz jadło podle, a naprzeciwko nieduży bar, w którym siedziało się podle, za to jadło znakomicie. Owego egzystencjalnego wyboru o kapitalnym znaczeniu prawie codziennie musieli dokonywać członkowie brygady, wahając się między zadowoleniem podniebienia w lokalu ciemnym i niedogrzanym a wygodą w starej piwiarni, w której zachowano ławy z lat trzydziestych, lecz zatrudniono szefa kuchni od siedmiu boleści. Tego dnia kwestia ogrzewania przeważyła i około dwudziestu agentów ruszyło do piwiarni. Nosiła miano Piwiarnia Filozofów, co jakoś kłóciło się z klientelą, skoro dziennie przewijało się przez nią w sumie blisko sześćdziesięciu gliniarzy generalnie pozbawionych ciągot do roztrząsania wzniosłych dylematów. Adamsberg przyuważył, dokąd zmierzają jego ludzie, i skręcił do Kopca, niedogrzanego baru. W ciągu ostatniej doby niewiele jadł, bo przecież z irlandzkiej potrawy zrezygnował pod wpływem uderzenia fali.

Skończywszy danie dnia, wyjął kartkę z gazety wymiętoszoną w wewnętrznej kieszeni kurtki i rozłożył ją na stole zaintrygowany morderstwem w Schiltigheim, przez które przeżył nawałnicę. Ofiara, dwudziestodwuletnia Élisabeth Wind, została zamordowana prawdopodobnie około północy, kiedy jak w każdy sobotni wieczór na rowerze wracała ze Schiltigheim do swojej wioski odległej o trzy kilometry. Ciało znaleziono w zaroślach jakieś dziesięć metrów od drogi gminnej. Oględziny wstępne pozwoliły stwierdzić uderzenie w głowę oraz trzy ciosy ostrym narzędziem zadane w brzuch i będące przyczyną śmierci. Dziewczyna nie została zgwałcona ani nawet obnażona. Szybciutko zatrzymano podejrzanego, niejakiego Bernarda Vétilleux, lat trzydzieści osiem, kawalera, bez stałego miejsca zamieszkania, znalezionego pięćset metrów od miejsca zbrodni: pijany w sztok spał na poboczu drogi. Żandarmi utrzymywali, że przeciwko Vétilleux mają niezbity dowód obciążający, choć człowiek ów twierdził, że nic nie pamięta z nocy zabójstwa.

Adamsberg dwukrotnie przeczytał artykuł. Wolno pokręcił głową, wpatrzony w jasny sweter przedziurawiony w trzech miejscach. To oczywiście niemożliwe. O tym wiedział lepiej niż ktokolwiek inny. Przesunął dłonią po kartce z gazety, na moment się zawahał, po czym wyjął telefon komórkowy.

– Danglard?

Jego partner odebrał w Piwiarni Filozofów, mówiąc z pełnymi ustami.

– Komendant żandarmerii w Schiltigheim w departamencie Bas-Rhin. Mógłbyś mi poszukać?

Danglard miał w małym palcu nazwiska inspektorów we wszystkich miastach Francji, ale w żandarmerii nie był taki mocny.

– To takie pilne jak identyfikacja Neptuna?

– Niezupełnie, ale tego samego rzędu.

– Oddzwonię za kwadrans.

– Przy okazji nie zapomnij się przypomnieć fachowcowi od kotła.

Adamsberg kończył podwójną kawę – znacznie gorszą niż kawa od mlecznej krowy w brygadzie – kiedy Danglard się odezwał.

– Komendant Thierry Trabelmann. Masz na czym zapisać numer?

Adamsberg zanotował na papierowym obrusie. Zaczekał, aż na zegarze ściennym w Kopcu wybiła druga, i zadzwonił na posterunek żandarmerii w Schiltigheim. Komendant Trabelmann wykazał niejaką rezerwę. Słyszał już wcześniej o inspektorze Adamsbergu – słyszał i dobrze, i źle – toteż wahał się, jaką przyjąć postawę.

– Nie zamierzam pozbawiać pana tej sprawy – zapewnił Adamsberg na wstępie.

– Tak się mówi, a wiadomo, jak to się kończy. Żandarmi wykonują parszywą robotę, a jak tylko pojawi się coś ciekawego, gliniarze zaraz ich wyślizgują.

– Proszę tylko o potwierdzenie, to wszystko.

– Nie wiem, co tam panu chodzi po głowie, inspektorze, ale musi pan wiedzieć, że mamy winnego, i to bezapelacyjnie.

– Bernarda Vétilleux?

– Tak, twardy dowód. Narzędzie zbrodni znalezione pięć metrów od ofiary, po prostu zostawione w trawie. Pasuje jak ulał do ran. Z odciskami palców Vétilleux na trzonku po prostu.

Po prostu. I wszystko jasne. Adamsberg zastanowił się szybko, czy powinien to ciągnąć czy dać sobie spokój.

– Ale Vétilleux zaprzecza? – podjął.

– Jeszcze jak moi ludzie go zgarnęli, był naprany jak stodoła. Ledwie mógł ustać na nogach. Jego zaprzeczenia są nic niewarte: niczego nie pamięta, tylko że się schlał.

– Ma kartotekę? Karany za napaść?

– Nie. Ale zawsze jest ten pierwszy raz.

– W artykule piszą o trzech ciosach ostrym narzędziem. Czy to nóż?

– Przebijak.

Adamsberg milczał przez chwilę.

– Raczej niespotykane – skomentował.

– Nie takie rzadkie. Ci bezdomni taszczą ze sobą dosłownie wszystko.

A przebijak przydaje się do otwierania konserw, zamków u drzwi... Niech pan sobie nie łamie głowy, gwarantuję, że mamy gościa.

– Jeszcze jedno, komendancie – szybko rzekł Adamsberg, czując, że w Trabelmannie narasta zniecierpliwienie. – Czy ten przebijak jest nowy?

W słuchawce na chwilę zapadła cisza.

– Skąd pan wie? – spytał wreszcie Trabelmann podejrzliwie.

– Jest nowy, tak?

– Potwierdzam. Ale co to zmienia?

Adamsberg wsparł czoło na dłoni i wpatrzył się w zdjęcie w gazecie.

– Mam prośbę, komendancie. Niech mi pan prześle zdjęcia ciała, zbliżenia ran.

– Niby czemu miałbym to zrobić?

– Bo grzecznie proszę.

– Tak po prostu?

– Nie odbiorę panu tej sprawy – zapewnił Adamsberg. – Ma pan moje słowo.

– A co się pan tak tego uczeplił?

– Z powodu wspomnienia z dzieciństwa.

– A, skoro tak... – rzekł Trabelmann nagle z szacunkiem w głosie i uległością, jakby wspomnienia z dzieciństwa stanowiły powód bezdyskusyjny i kluczowy.

VII

Fachowiec, który nie przychodził, wreszcie dotarł do celu, podobnie jak cztery zdjęcia od komendanta Trabelmanna. Na jednym wyraźnie było widać rany na ciele ofiary, ujęcie z góry, szeroki plan. Adamsberg już całkiem dobrze sobie radził z komputerem, lecz bez pomocy Danglarda nie wiedział, jak powiększyć fotografię.

– Co my tu mamy? – mruknął nadkomisarz, siadając na miejscu Adamsberga i przejmując stery urzędzenia.

– Neptuna – odparł Adamsberg, uśmiechając się półgębkiem. – Odciskającego swój znak na błękitnie fal.

– Ale co to jest? – dopytywał dalej Danglard.

– Stale mi zadajesz pytania, ale nie podobają ci się moje odpowiedzi.

– Lubię wiedzieć, czym się zajmuję.

– Trzy dziurki z Schiltigheim, potrójny ślad trójzębu.

– Neptuna? To jakaś obsesja?

– Morderstwo. Dziewczyna zginęła od trzech ciosów przecinakiem.

– Trabelmann nam to przysłał? Ma odebraną sprawę?

– Skądże.

– Więc czemu?

– Nie wiem czemu. Nic nie wiem, póki nie zobaczę tego powiększenia.

Danglard się nadał, przystępując do pobierania obrazów. Nie cierpiał tego „nie wiem”, jednego z najczęściej powtarzanych zdań Adamsberga, słów, które wielokrotnie zwodziły go na bezdroża, a czasem wręcz w bagno. Dla Danglarda było to preludium do manowców myśli i często ogarniał go strach, że Adamsberg na dobre w nich ugrzęźnie.

– Czytałem, że złapali gościa – zauważył Danglard.

– Tak. Mają też narzędzie zbrodni z jego odciskami.

– I co ci tu nie gra?

– Wspomnienie z dzieciństwa.

Ta odpowiedź nie podziałała na Danglarda tak uspokajająco jak na Trabelmanna. Przeciwnie, nadkomisarz poczuł, że rośnie w nim obawa. Wykadrował obraz w maksymalnym powiększeniu i uruchomił drukowanie. Adamsberg czekał na kartkę, którą drukarka wolno wypluwała. Chwycił ją za rozek, dosuszył szybko, machając nią w powietrzu, po czym włączył lampkę

i zaczął oglądać z bliska. Danglard nierozumiejącym wzrokiem patrzył, jak inspektor bierze do ręki linijkę, mierzy w jednym kierunku, w drugim, rysuje kreskę, zaznacza kropką środek krwawych ran, rysuje następną kreskę, znowu mierzy. W końcu odłożył linijkę i zaczął krążyć po pokoju ze zdjęciem w dłoni. Kiedy się wreszcie zatrzymał, Danglard zobaczył na jego twarzy coś w rodzaju bólu pomieszanego ze zdziwieniem. O ile jednak przy wielu okazjach widywał na ludzkiej twarzy te banalne emocje, o tyle po raz pierwszy je oglądał na flegmatycznym obliczu Adamsberga.

Inspektor wyjął z szafki nową teczkę, schował do niej mizerne dossier i starannie wypisał na wierzchu tytuł: „Trójzab nr 9”, na końcu stawiając pytajnik. Będzie musiał pojechać do Strasburga, obejrzeć zwłoki, co przyhamuje załatwianie spraw związanych z wyjazdem do Quebecu. Postanowił, że sceduje to na Retancourt, bo jeśli chodzi o ten projekt, entuzjazmem biła wszystkich na głowę.

– Chodźmy do mnie do domu, Danglard. Jak nie zobaczysz, nie zrozumiesz.

Danglard wstąpił do swojego pokoju po dużą czarną teczkę ze skóry, z którą przypominał z wyglądu angielskiego nauczyciela, a czasem duchownego w cywilu, i podążył za Adamsbergiem przez Salę Soborową. Inspektor zatrzymał się przy Violette Retancourt.

– Zajrzyjcie do mnie pod koniec dnia – powiedział. – Musicie mi ulżyć.

– Nie ma sprawy – odparła Retancourt, ledwie podnosząc wzrok nad segregatora. – Mam dyżur do północy.

– Świetnie. Widzimy się wieczorem.

Adamsberg już opuścił salę, kiedy dogonił go prostacki rechot sierżanta Favre’a i zaraz jego nosowy głos.

– Potrzebuje jej, żeby mu ulżyła – szydził. – Retancourt, nadchodzi wielki wieczór, wieczór defloracji fiołka. Szef jest z Pirenejów, już on umie skakać po górach. Fachura od niezdobytych szczytów.

– Momencik, Danglard – rzekł Adamsberg, przytrzymując partnera.

Wrócił do sali z Danglarem depczącym mu po piętach i skierował się prosto do pokoju Favre’a. Zapadła cisza jak makiem zasiał. Adamsberg złapał za obrzeże metalowy stół i mocno go pchnął. Stół przewrócił się z łoskotem, na ziemię poleciały papiery, raporty, diapozytywy. Favre z kubkiem kawy w ręce zastygł oniemiały. Adamsberg chwycił brzeg krzesła i poderwał je do góry – poleciało w tył razem z sierżantem i kawą, która wylała mu się na pierś.

– Odszczekanie, Favre, przeprosiny i skrucha. Czekam.

Szlag by to, pomyślał Danglard, przecierając oczy. Obserwował napięte ciało

Adamsberga. W ciągu dwóch dni dostrzegł u niego więcej nowych emocji niż w ciągu wielu lat wspólnej pracy.

– Czekam – powtórzył Adamsberg.

Favre oparł się na łokciach, by odzyskać nieco godności w obliczu kolegów, którzy ukradkiem ściągali ku epicentrum awantury. Tylko Retancourt, cel złości Favre'a, ani drgnęła. Przestała jednak układać dokumenty w segregatorze.

– Co mam odszczekać? – wydarł się Favre. – Prawdę? A co takiego powiedziałem? Że jest pan asem we wspinaczce? Nie tak jest?

– Czekam, Favre – powtórzył raz jeszcze Adamsberg.

– Chujki – warknął Favre, zaczynając się gramolić z podłogi.

Adamsberg wyrwał Danglardowi z rąk czarną teczkę i wyjął z niej pełną butelkę, którą rąbnął o metalową nogę stołu. Po pokoju rozprysły się kawałki szkła i wino. Z resztką rozbitej butelki w garści zrobił krok w stronę Favre'a. Danglard chciał pociągnąć kolegę w tył, lecz Favre jednym ruchem dobył broń i wycelował w Adamsberga. Oglądający to członkowie brygady osłupieli, patrząc na sierżanta, który śmiał wymierzyć z rewolweru do inspektora! I na swojego szefa, który w ciągu roku dwukrotnie tylko na ich oczach nagle się rozsierdził i równie szybko uspokoił. Każdy na gwałt się zastanawiał, jak by tu zakończyć to starcie, i każdy liczył, że Adamsberg zaraz odzyska swą zwykłą obojętność, upuści szyjkę butelki i odejdzie, wzruszywszy ramionami.

– Odłóż broń, durny glino – powiedział Adamsberg.

Favre ze wzgardą rzucił rewolwer, inspektor zaś obniżył nieco butelkę. Ogarnęło go naraz niemiłe uczucie, że przesadził, ulotna pewność groteski zachowania, choć nie wiedział, czy pod tym względem góruje Favre czy on. Rozluźnił palce. Sierżant się poderwał i jednym wściekłym ruchem chlasnął utłuczonym dnem butelki, raniąc Adamsberga w lewą rękę, jakby ciął nożem.

Favre'a pociągnięto na krzesło i unieruchomiono. Następnie wszystkie głowy zwróciły się ku inspektorowi, czekając na jego werdykt w obliczu tej całkiem nowej sytuacji. Adamsberg gestem powstrzymał Estalère'a, który już podnosił słuchawkę telefonu.

– Nie jest głęboka – rzekł głosem znowu spokojnym, przyciskając do tułowia zgiętą rękę. – Zawiadomcie naszego lekarza, poradzi sobie. – Skinął na Mordenta i podał mu ułomek butelki. – Schowajcie do worka. Dowód rzeczowy moich rękoczynów. Próba zastraszenia podwładnego. Weźcie też jego magnum i denko, dowody rzeczowe jego napaści bez zamiaru... – Przejechał dłonią po włosach, szukając słowa.

– Z zamiarem! – wrzasnął Favre.

– Stul pysk! – ryknął Noël. – Nie pogarszaj swojej sytuacji, już dość narozrabiałeś!

Adamsberg popatrzył na niego zdziwiony. Noël zwykle kwitował uśmiechem pieprzne żarty kolegi. Widać jednak powstał rozdziew między życzliwością Noëla a grubiaństwem Favre'a.

– ...bez zamiaru uszkodzenia ciała – ciągnął Adamsberg, skinąwszy na Justina, aby notował. – Powód konfliktu: zniewagi sierżanta Josepha Favre'a pod adresem komisarz Violette Retancourt i oszczerstwo. – Podniósł głowę, by policzyć obecnych agentów. – Dwunastu świadków – dodał.

Voisenet go posadził, obnażył mu prawe ramię i przystąpił do udzielania pierwszej pomocy.

– Przebieg zajścia – podjął Adamsberg ze znużeniem w głosie. – Groźby słowne ze strony przełożonego, napaść i zastraszenie, brak środków przymusu bezpośredniego wobec sierżanta Favre'a i zamiaru spowodowania szkód fizycznych.

Adamsberg zacisnął zęby, gdy Voisenet przyłożył mocno tampon do rany, by zatamować krwawienie.

– Użycie przez sierżanta broni służbowej i ostrego narzędzia, lekkie skaleczenie stłuczonym szkłem. Ciąg dalszy znacie, dokończcie raport sami i wyślijcie do policji na policję. Nie zapomnijcie sfotografować miejsca zdarzenia.

Justin wstał i podszedł do inspektora.

– Co robimy z butelką wina? – szepnął. – Mówią, że wyjął ją pan z teczki Danglarda.

– Mówią, że wziąłem ją z tego stołu.

– Powód obecności białego wina w lokalu brygady o wpół do czwartej po południu?

– Toast wzniesiony wcześniej na cześć wyjazdu do Quebecu? – zasugerował Adamsberg.

– Aha. – Justin z ulgą kiwnął głową. – Bardzo dobry pomysł.

– A Favre? Co z nim zrobić? – spytał Noël.

– Zawieszenie, odebranie broni. Sędzia zdecyduje, czy dopuścił się agresji czy tylko działał w obronie własnej. Zobaczymy po moim powrocie.

Adamsberg wstał i oparł się zaraz na ramieniu Voiseneta.

– Ups!... – rzekł komisarz. – Stracił pan dużo krwi.

– Nie martwcie się, Voisenet, zaraz idę do lekarza.

Wyszedł podtrzymywany przez Danglarda, zostawiając podwładnych zaskoczonych, niezdolnych zebrać myśli i chwilowo osądzić to, co zaszło.

VIII

Adamsberg wrócił do domu z ręką na temblaku, nafaszerowany antybiotykami i środkami przeciwbólowymi, które siłą zaaplikował mu Romain, lekarz sądowy. Rana wymagała założenia sześciu szwów.

Z lewą ręką drętwą z powodu znieczulenia miejscowego niezgrabnie otworzył szafę w sypialni. Wezwał na pomoc Danglarda, by wyjąć karton ze swoim archiwum stojący na dole razem ze starymi butami. Danglard umieścił karton na niskim stoliku, po czym zasiedli przy nim naprzeciwko siebie.

– Wyjmij wszystko – poprosił Adamsberg. – Wybacz, ale sam nie dam rady.

– Na Boga, czemuś rozbił tę butelkę?

– Bronisz tego drania?

– Favre to ostatni gnojek. Ale tą butelką popchnąłeś go do agresji. To w stylu tego gościa. I normalnie nie w twoim.

– Widocznie mając z kimś takim do czynienia, zmieniam styl.

– Czemu po prostu nie przywołałeś go do porządku jak ostatnio?

Adamsberg bezradnie rozłożył zdrową rękę.

– Napięcie? – ostrożnie podsunął Danglard. – Neptun?

– Może.

Tymczasem Danglard zdążył wyjąć z pudła osiem opisanych teczek, które rozłożył na stoliku. Na każdej widniał tytuł: „Trójzęb nr 1”, „Trójzęb nr 2” i tak dalej aż do numeru 8.

– Musimy jeszcze pogadać o butelce w twojej teczce. To zaszło za daleko.

– Nie twoja sprawa – odparł Danglard, powtarzając wcześniejsze słowa kolegi.

Adamsberg kiwnął głową.

– Zresztą coś ślubowałem – dodał Danglard. Ślubował, dotykając resztek pomponu u czapki, lecz tego nie uznał za stosowne ujawnić. – Jeśli wrócę żywy z Quebecu, nie wypiję więcej niż jedną szklaneczkę za jednym posiedzeniem.

– Wrócisz, bo będę trzymał linę. Dlatego możesz postanowienie od razu wcielić w życie.

Danglard niechętnie przytaknął. W tym zamieszaniu w ostatnich godzinach zupełnie zapomniał, że Adamsberg ma trzymać samolot. Teraz jednak bardziej ufał swojemu pomponowi niż inspektorowi. Zastanowił się przelotnie, czy przycięty pompon ma taką samą moc ochronną jak cały, co było poniekąd zagadnieniem takim jak pytanie o możliwości erotyczne eunucha.

– Opowiem ci pewną historię, Danglard. Słuchaj uważnie, jest długa, ciągnęła się przez czternaście lat. Zaczęła się, kiedy miałem dziesięć lat, wybuchła, kiedy miałem osiemnaście, i rozgrywała się aż do trzydziestego drugiego roku mojego życia. Tylko nie zapomnij, że jak ja opowiadam, ludzie przysypiają.

– Dzisiaj mi to nie grozi – odparł Danglard, podnosząc się. – Nie masz przypadkiem czegoś mocniejszego? Zdenerwowało mnie to wszystko.

– Jest jałowcówka za oliwą z oliwek w górnej szafce w kuchni.

Po chwili Danglard wrócił zadowolony ze szklanką i ciężką glinianą butelką. Nalał sobie, po czym odniósł butelkę na miejsce.

– Zaczynam – powiedział. – Jedna szklaneczka za jednym posiedzeniem.

– No, ale to mimo wszystko czterdzieści cztery stopnie.

– Liczy się intencja, gest.

– A, jasne, to zmienia postać rzeczy.

– Zmienia, zmienia. W co się znowu mieszasz?

– W coś, co nie dotyczy mnie, tak samo jak nie dotyczy ciebie. Nawet zamknięte sprawy zostawiają ślad.

– Zgadza się – przyznał Danglard.

Adamsberg poczekał, aż kolega upije kilka łyżeków trunku.

– W mojej wsi w Pirenejach – zaczął – mieszkał starzec, którego my, dzieci, nazywaliśmy „Panem”. Dorośli używali jego tytułu i nazwiska: sędzia Fulgence. Mieszkał sam we Dworze, wielkim domiszczu na uboczu otoczonym drzewami i murem. Do nikogo się nie wtrącał, z nikim nie rozmawiał, nie cierpiał dzieci i budził w nas blady strach. Zbieraliśmy się w kilku, żeby go wypatrywać wieczorem, kiedy wyprowadzał do lasu psy, dwa wielkie owczarki francuskie. Co więcej mogę ci powiedzieć z perspektywy dziesięcio-, dwunastolatka? Był stary, bardzo wysoki, siwe włosy zaczesywał gładko do tyłu, we wsi nigdy nie widziano tak wypielęgnowanych dłoni jak jego, nigdy nie noszono takich eleganckich ubrań. Jakby co wieczór wracał z opery, mawiał nasz proboszcz, a przecież proboszcz ma obowiązek okazywać wyrozumiałość. Sędzia Fulgence nosił jasną koszulę, cienki krawat, ciemny garnitur i zależnie od pory roku krótki albo długi płaszcz z czarnego albo szarego sukna.

– Jakiś fabrykant? Szpaner?

– Nie, człowiek zimny jak ryba. Kiedy przychodził do wsi, dziadkowie, którzy przesiadywali na ławce, kłaniali mu się z szacunkiem, ich szept niósł się z jednego końca rynku na drugi, równocześnie cichły wszystkie rozmowy. To było coś więcej niż poważanie, to była fascynacja podszyta jakby strachem. Sędzia Fulgence zostawiał po swoim przejściu gromady niewolników, których nie obdarzał ani jednym spojrzeniem, jak statek zostawia za sobą spienioną wodę i dalej prze

naprzód. Można by go sobie wyobrazić, jak rozsądza sprawy, siedząc na kamiennej ławie, a pirenejscy nędzarze czołgają mu się u stóp. Ale przede wszystkim budził strach. W każdym. W dużych i małych, w młodych i starych. I nikt by nie potrafił powiedzieć dlaczego. Matka nie pozwalała nam chodzić w okolice Dworu, a my oczywiście licytowaliśmy się o to, kto wieczorem odważy się podejść bliżej. Prawie co tydzień wymyślaliśmy nowe wyzwanie, żeby przeżyć dreszczyk emocji. I prawdopodobnie żeby pokazać, kto z nas ma jaja. A najgorsze ze wszystkiego było to, że mimo wieku sędziego Fulgence zachował wielką urodę. Babcie szeptem, by w niebiesiech ich nie usłyszano, mawiały, że ma diabelską urodę.

– Wytwór wyobraźni dwunastolatka?

Zdrową ręką Adamsberg poszperał wśród teczek i z jednej wyjął dwie czarno-białe fotografie. Pochylił się i rzucił je Danglardowi na kolana.

– Sam zobacz, stary, i powiedz, czy to wytwór dziecięcej wyobraźni.

Danglard przyjrzał się zdjęciom sędziego, jedno było trzyćwiertciowe, drugie prawie z profilu. Gwizdnął bezgłośnie.

– I co? Robi wrażenie? – spytał Adamsberg.

– Ogromne – przyznał Danglard, odkładając zdjęcia na miejsce.

– A mimo to bez kobiety. Samotny kruk. Taki był to człowiek. Dzieciaki, jak to dzieciaki, latami go nękały. To było zawsze wielkie wyzwanie sobotniego wieczoru. A to się wydłubywało kamienie z muru, a to wyskrobywało coś na bramie, a to wrzucało mu śmieci do ogrodu, puszki, zdechłe ropuchy, wybebeszone wrony. Takie są wiejskie dzieci, Danglard, i ja też taki byłem. W naszej bandzie były chłopaki, które ropuchom wtykały do pyska zapalony papierosa i po trzech, czterech wdechach zwierzak eksplodował. Jak fajerwerk, wnętrzości tryskały wokoło. Patrzyłem na to. Przysypiasz?

– Nie – odparł Danglard i upił malutki łyżeczek jałowcówki, którą jak żebrak ze smutną miną gospodarował oszczędnie.

Kwestią trunku Adamsberg w ogóle się nie przejmował, jego partner bowiem nalał sobie po sam brzeg szklanki.

– Nie – powtórzył Danglard. – Mów dalej.

– Nie było nic wiadomo o jego przeszłości ani rodzinie. Wiedziano tylko, bo o tym trąbiło się dookoła, że był kiedyś sędzią. Sędzią tak potężnym, że nadal miał wpływy. Kiedyś Jeannot, jeden z największych waśniaków w naszej bandzie...

– Czekał – przerwał mu zatroskany Danglard. – Ropucha naprawdę eksplodowała czy to taka przenośnia?

– Naprawdę. Nadymała się, osiągała rozmiar zielonego melona i nagle wybuchała... O czym to mówiłem?

– O Jeannocie.

– Jeannot ważniak, któregośmy bezgranicznie podziwiali, przelazł przez mur Dworu. Schował się między drzewami i rzucił kamieniem w okno. I potem nasz Jeannot stanął przed sądem w Tarbes. W czasie rozprawy miał jeszcze na sobie ślady po ataku owczarków, które o mało go nie rozszarpały. Sąd skazał go na pół roku poprawczaka. Jedenastoletniego chłopaka za jeden rzut kamieniem! Sędzia Fulgence mu to załatwił. Miał takie długie ręce, że jednym ruchem mógł zmieść cały kraj, trząsł sądami, gdzie tylko mu się podobało.

– Ale jak to się działo, że ropucha paliła papierosa?

– Danglard, czy ty mnie słuchasz? Opowiadam ci historię diabła, a ty mi stale wyjeżdżasz z tą cholerną ropuchą!

– Jasne, że słucham, ale swoją drogą jakim cudem ropucha paliła?

– Tak było i już. Jak się wetknęło jej fajkę do pyska, ropucha zaczynała się nadymać. Nie jak facet, który spokojnie siedzi sobie przy barze, nie. Tylko jak ropucha, która jak głupia zaczyna się nadymać, nadyma się i nadyma, puch, puch, puch. I nagle eksploduje. – Adamsberg zakreślił szeroki łuk prawą ręką, demonstrując, jak się rozpryskiwały trzewia.

Danglard powiódł wzrokiem za łukiem i pokiwał głową, jakby rejestrował jakiś doniosły fakt. Następnie zwięźle przeprosił.

– Mów dalej – powiedział, upijając jałowcówki na palec. – Wpływy sędziego Fulgence’a. Takie nosił nazwisko, Fulgence, prawda?

– Tak. Honoré Guillaume Fulgence.

– Dziwne nazwisko. Fulgence. Od *fulgur*, grom, błyskawica. Pasowało do niego jak ulał, jak sądzę.

– Tak chyba mówił proboszcz. U mnie w domu w nic się nie wierzyło, ale ja bez przerwy przesiadywałem u proboszcza. Po pierwsze miał owczy ser i miód, pycha, jak się to je razem. Po drugie na plebanii było mnóstwo książek w skórze. W większości oczywiście religijnych, z dużymi ilustracjami bogato ozdobionymi czerwienią i złotem. Strasznie mi się podobały te obrazki. Kopiowałem je dziesiątkami. We wsi nie było nic więcej do kopiowania.

– Iluminowanymi.

– Proszę?

– Obrazki religijne są iluminowane czerwienią i złotem.

– Tak? Ja zawsze mówię, że są zdobione.

– Iluminowane.

– Niech ci będzie.

– W twojej wsi żyli sami starcy?

– Dla dziecka wszyscy dorośli są starzy.

– Ale czemu ropucha wdychała dym, jak się włożyło papierosa do pyska?

Puch, puch, puch, aż eksplodowała?

– Skąd mam wiedzieć? – rzekł Adamsberg, wznosząc ręce.

Ten instynktowny gest wyrwał mu z ust jęk bólu. Inspektor szybko opuścił lewą rękę i przyłożył prawą dłoń do opatrunku.

– Pora na środek przeciwbólowy – zauważył Danglard, zerknąwszy na zegarek.
– Przyniosę ci.

Adamsberg kiwnął głową, ocierając czoło zroszone potem. Ależ z tego Favre’a ciężki kretyn. Danglard zniknął w kuchni ze swoją szklanką, pohałasował szafkami i kurkami, po czym wrócił, niosąc wodę i dwie tabletki. Podał je Adamsbergowi, który połknął proszki, odnotowując mimochodem, że poziom jałowcówki w szklance cudownie się podniósł.

– Przy czym to byliśmy? – zapytał.

– Przy iluminacjach starego proboszcza.

– A tak... Miał też inne książki, dużo poezji, ze zdjęciami. Kopiowałem, rysowałem i podczytywałem kawałki. Robiłem to jeszcze w wieku osiemnastu lat. Jednego wieczoru, kiedy czytałem i bazgrałem u niego przy dużym drewnianym stole, który śmierdział zjełczalym tłuszczem, stało się TO. Dlatego dotąd pamiętam słowo w słowo ten fragment wiersza, utkwiał mi w głowie jak pocisk i siedzi przez cały czas. Koło dziesiątej wieczorem odłożyłem książkę na półkę i poszedłem połączyć po górach. Wspiąłem się na Conche de Sauzec...

– Aha... – przerwał mu Danglard.

– Wybacz. To wzniesienie, które góruje nad wsią. Siedziałem na szczycie i powtarzałem po cichu wersy, które przeczytałem na plebanii, przekonany, że jutro nie będę ich już pamiętał.

– Powiedz.

– „Jakiż bóg, jaki zniwiarz wieczystego lata rzucił, kiedy odchodził w inną stronę świata, ten sierp ze złota w polu kwitnym gwiazdami”¹

– To Victor Hugo.

– Tak? A kto zadaje to pytanie?

– Kobieta o obnażonej piersi, niejaka Rut.

– Rut? Zawsze myślałem, że ja się nad tym zastanawiałem.

– Nie, Rut. Hugo nie znał cię, nie pamiętasz? To końcówka długiego poematu *Sen Booza*. Ale powiedz, czy żabom tak samo się robi? Znaczą palą, puch, puch, puch i eksplozja? Czy tylko ropuchom?

Adamsberg rzucił mu znudzone spojrzenie.

– Sorry – powiedział Danglard, popijając ze szklanki.

– Recytowałem to i bardzo mi się podobało. Byłem po pierwszym roku pracy w charakterze wywiadowcy, posterunkowego policji w Tarbes. Przyjechałem do

rodziny na dwutygodniowy urlop. To był sierpień, wieczorem robiło się chłodno, więc ruszyłem do domu. Myłem się po cichutku, bo w dziewięcioro mieszkaliśmy w dwóch i pół pokoju, i wtedy zjawił się Raphaël. Wyglądał jak nawiedzony, ręce miał całe we krwi.

– Raphaël?

– Mój młodszy brat. Wtedy szesnastoletni.

Danglard oniemiały odstawił szklanę.

– Twój brat?! Myślałem, że masz tylko pięć siostr.

– Miałem brata, Danglard. Byliśmy prawie jak bliźniacy, jak dwa palce u jednej ręki. Niedługo będzie trzydzieści lat, jak go straciłem.

Zdumiony Danglard zachował pełne uszanowania milczenie.

– Wieczorem spotykał się z dziewczyną wysoko, na szczycie wieży ciśnień. To nie była jakaś tam miłostka, tylko prawdziwa miłość od pierwszego wejrzenia. Lise, ta dziewczyna, chciała za niego wyjść, kiedy dorosną. Co w naszej matce budziło strach, a rodziców Lise wprawiało we wściekłość, bo nie życzyli sobie, żeby ich najmłodsza córka związała się z prostym chłopem jak Raphaël. Lise była córką mera, rozumiesz.

Adamsberg zamilkł i dopiero po chwili był w stanie podjąć przerwany wątek.

– Raphaël złapał mnie za rękę i powiedział: „Ona nie żyje, Jean, nie żyje, została zabita”. Zasłoniłem mu usta dłonią, obmyłem go z krwi i wyciągnąłem na dwór. Płakał. Wypytywałem go i wypytywałem. Co się stało, Raphaël? Opowiedz, na Boga. „Nie wiem”, odpowiedział. „Kłęczałem tam, na wieży ciśnień, we krwi, z przecinakem w ręce, a ona nie żyła, Jean, nie żyła, miała w brzuchu trzy dziury”. Błagałem go, by nie krzyczał, nie płakał, nie chciałem, żeby ktoś z rodziny go usłyszał. Spytałem, skąd się wziął ten przecinak, czy należy do niego. „Nie wiem, miałem go w ręce”. A wcześniej co robiłeś? „Nie pamiętam, Jean, przysięgam. Popiłem mocno z kumplami”. Czemu chlałeś? „Bo Lise mi powiedziała, że jest w ciąży. Byłem przerażony. Nie chciałem jej skrzywdzić”. Co robiłeś wcześniej, Raphaël? Między kumplami a wieżą ciśnień? „Szedłem przez las na spotkanie z nią jak zwykle. Nie wiem, albo dlatego, że się bałem, albo dlatego, że się nawaliłem, biegłem i walnąłem w tablicę, upadłem”. W jaką tablicę? „Emeriac. Po burzy jest przekrzywiona. Potem była wieża ciśnień. Trzy czerwone dziury, Jean, a ja trzymałem przecinak”. I między jednym a drugim nic nie pamiętasz? „Nic, Jean, zupełnie nic. Może przez to, że rąbnąłem głową w tę tablicę, straciłem rozum, a może jestem w ogóle stuknięty albo masz brata potwora. Nie mogę sobie przypomnieć, kiedy... kiedy ją uderzyłem”.

– Zapytałem go, gdzie jest przecinak – kontynuował Adamsberg. – Porzucił go na górze, przy Lise. Spojrzałem w niebo i powiedziałem: Mamy szczęście, będzie

padało. Potem kazałem Raphaëlowi porządnie się umyć, wleźć do łóżka i mówić każdemu, kto by dopytywał, że od piętnaście po dziesiątej graliśmy w karty na podwórku. Od piętnaście po dziesiątej graliśmy w karty, jasne, Raphaël? Ty wygrałeś pięć razy, a ja cztery.

– Fałszywe alibi – skomentował Danglard.

– Zgadza się, i ty jeden o tym wiesz. Wszedłem na wieżę i faktycznie znalazłem tam Lise, tak jak Raphaël opowiadał, zamordowaną trzema ciosami ostrym narzędziem. Zabrałem przecinak cały unurzany we krwi, z trzonkiem pokrytym odciskami palców. Przycisnąłem go do swojej koszuli, żeby mieć jego odcisk i długość, potem schowałem go za pazuchę. Padał drobny deszczyk, zmywając ślady stóp w okolicy zwłok. Poszedłem wyrzucić przecinak do sadzawki Torque.

– Gdzie?

– Torque to rzeczka, która wije się przez las. Miejscami są w niej głębokie zapadliny w skale, mówimy na nie sadzawki. Wywaliłem przecinak do dziury głębokiej na sześć metrów, na wierzch wrzuciłem ze dwadzieścia kamieni. Nie było mowy, żeby szybko wypłynął na wierzch.

– Fałszywe alibi i ukrywanie dowodów.

– Owszem. I nigdy tego nie żałowałem. Nie miałem nawet krzty wyrzutów sumienia. Kochałem brata nad życie. Miałem go pogrzyźć?

– Twoja sprawa.

– Moją sprawą był też sędzia Fulgence. Bo kiedy siedziałem na Conche de Sauzec, skąd miałem widok na las i dolinę, widziałem go. Szedł tamtędy. Przypomniałem sobie to w nocy, kiedy trzymałem brata za rękę, żeby zasnął.

– Widok z góry był taki rozległy?

– Na pewnym odcinku skalista ścieżka była wyraźnie widoczna. Sylwetka odcinała się na niej na zasadzie kontrastu.

– Psy? Po psach go rozpoznałeś?

– Nie, po letnim płaszczu. Jego tors odcinał się w kształcie trójkąta. Wszyscy mężczyźni we wsi nosili się tak, że wyglądali jak szerszy czy węższy prostokąt, wszyscy też byli dużo niżsi od niego. To był sędzia, Danglard. Szedł ścieżką, która prowadziła do wieży ciśień.

– Raphaël też się gdzieś tam pętał. I jego pijani kumple. Ty także.

– Mam to gdzieś. Następnego dnia przelazłem przez mur i przeszukałem zabudowania Dworu. W szopie między szuflami i rydlami znalazłem trójzębne widły. Trójząb, Danglard. – Adamsberg podniósł zdrową rękę z wystawionymi trzema palcami. – Trzy zęby, trzy dziury w jednej linii. Popatrz na zdjęcie zwłok Lise – dodał, wyjmując fotografię z teczki. – Popatrz, jak równiutko są rozłożone

rany. Jak mój brat, nawalony i spanikowany, mógłby trzy razy tak równo wrazić przecinak w jej ciało?

Danglard przyjrzał się zdjęciu. Rany faktycznie leżały na jednej linii w równych odstępach. Zrozumiał teraz, dlaczego Adamsberg tak wymierzył fotografię ze Schiltigheim.

– Byłeś wtedy młodym wywiadowcą, złotodziobem. Jak zdobyłeś to zdjęcie?

– Ukradłem – odparł spokojnie Adamsberg. – Ten trójzęb, Danglard, był stary, o ozdobnym wypolerowanym drzewcu, z zardzewiałym poprzecznym prętem. Ale zęby miał błyszczące, wypucowane, bez śladu ziemi, bez żadnych zabrudzeń. Czyste, niewinne, świeżutkie jak poranek. Co na to powiesz?

– Że to zastanawiające, ale nie obciążające.

– Że to jasne jak woda w sadzawce. Kiedy zobaczyłem to narzędzie, prawda objawiła mi się jak na dłoni. Ekspłodowała.

– Jak ta ropucha.

– Prawie. Posypał się grad świństw i podłości, prawdziwe trzewia Pana tego miejsca. A Pan sobie stał w drzwiach szopy, trzymając na smyczy te dwa piekielne brytany, które pogryzły Jeannota. Obserwował mnie. A kiedy sędzia Fulgence cię obserwował, Danglard, to nawet mając osiemnaście lat, człowiek łyso się czuł. Zapytał, czego tu szukam, z tą suchą złością w głosie typową dla niego. Odpowiedziałem, że chciałem mu wyciąć numer, poodkręcać wszystkie śruby u stołu stolarskiego. Od lat tak bardzo mu dokuczałem, że uwierzył i władczym gestem wskazał wyjście, mówiąc krótko: „Jazda stąd, młodzieńcze. Liczę do czterech”. Jak wariat pogałem do ogrodu. Wiedziałem, że na „cztery” spuszcza psy. Jeden z owczarków złapał mnie za portki, ale udało mi się wyrwać i przeleźć przez mur. – Adamsberg podciągnął nogawkę spodni i wskazał na nodze długą szramę. – Dotąd mam ukąszenie sędziego Fulgence’a.

– Ukąszenie psa – poprawił Danglard.

– Na jedno wychodzi. – Adamsberg łyknął jałowcówki ze szklanki kolegi. – Na rozprawie nie wzięto pod uwagę, że widziałem Fulgence’a, jak szedł przez las. Świadek subiektywny. Ale co najważniejsze, nie zabezpieczono trójzębu jako dowodu rzeczowego. A przecież rozstaw ran idealnie pasował do rozstawu zębów. Ten zbieg okoliczności paskudnie mieszał sądowi przez jakiś czas. Później zarządzono nowe ekspertyzy pod wpływem sędziego, który co rusz wymyślał nowe groźby. Kolejne badania rozwiały obawy zainteresowanych: nie zgadzała się głębokość ran. Za długie o pół centymetra. Kretyni, Danglard. Jakby sędzia nie mógł najpierw wbić trójzębu, a potem bez trudu wetknąć w każdą ranę przecinaka, który następnie włożył mojemu bratu w rękę. Co tam kretyni. Tchórze. Łącznie z przewodniczącym składu sędziowskiego, istnym sługusem Fulgence’a.

Najprościej było zrzucić wszystko na szesnastoletniego chłopaka.

– Głębokość ran zgadzała się z długością przecinaka?

– Była identyczna. Ale nie mogłem wysunąć tej teorii, skoro narzędzie zbrodni jakimś cudem zniknęło.

– Naprawdę cudem.

– Wszystko przemawiało przeciwko Raphaëlowi: Lise była jego dziewczyną, wieczorem spotykali się na wieży ciśnień, była w ciąży. Zdaniem sądu mój brat się wystraszył i zabił ją. Tyle że widzisz, brakowało im najważniejszego, aby go skazać: narzędzia zbrodni i dowodu, że Raphaël o tej porze był na miejscu zbrodni. A nie było go tam, bo grał ze mną w karty. Na podwórku, pamiętasz? Zeznałem to pod przysięgą.

– A twoje słowo jako policjanta liczyło się podwójnie.

– Tak, i wykorzystałem to. Tak, kłamałem do samego końca. A teraz jeśli chcesz wydobyć przecinak z dna sadzawki, wolna droga. – Adamsberg spojrzał na partnera, mrużąc oczy, i uśmiechnął się po raz pierwszy, odkąd zaczął swoją opowieść. – Próżny trud – dodał. – Dawno temu wyłowiłem przecinak i wyrzuciłem go do śmietnika w Nîmes. Bo wodzie nie można ufać. Jej bogu też nie.

– Twój brat został więc uniewinniony?

– Tak. Ale ludzkiemu gadaniu nie było końca, pogłoski nabrzmiewały, zaczęły się pogroźki. Nikt z nim nie rozmawiał, wszyscy się go bali. A jemu nie dawała spokoju ta luka w pamięci, nie był w stanie dojść, czy to zrobił czy nie. Rozumiesz, Danglard? Nie był w stanie dojść, czy jest mordercą. I dlatego nie śmiał się do nikogo zbliżyć. Wybebeszyłem sześć starych poduszek, by mu pokazać, że wbijając narzędzie trzy razy, nie da się trafić w jednej linii. Zadałem dwieście cztery ciosy, żeby go przekonać, ale na próżno. Był załamany, trzymał się z dala od ludzi. Pracowałem w Tarbes i nie mogłem codziennie go wspierać. I w ten sposób straciłem brata, Danglard.

Danglard podał mu swoją szklanę i Adamsberg łyknął z niej dwa razy.

– Później tylko jedno miałem w głowie: dopaść sędziego. Wyjechał z naszych stron, bo i jemu plotki nie dawały żyć. Chciałem go dopaść, postawić przed sądem, oczyścić mojego brata. Bo tylko ja jeden wiedziałem, że Fulgence jest winny. Winny morderstwa i winny zniszczenia mojego Raphaëla. Przez czternaście lat ścigałem go bez wytchnienia, tropiłem w kraju, w archiwach, w prasie. – Położył rękę na teczkach. – Osiem morderstw, osiem ciał z trzema dziurami w jednej linii. Rozłożonych w czasie między rokiem tysiąc dziewięćset czterdziestym dziewiątym a osiemdziesiątym trzecim. Osiem spraw zamkniętych, ośmiu winnych złapanych jak muchy praktycznie z narzędziem zbrodni w ręce: siedmiu biedaków w pace

i mój brat, który odszedł. Fulgence zawsze się wymykał. Diabeł zawsze się wymyka. Danglard, weź te teczki, przeczytaj uważnie akta w domu. Ja lecę do brygady, muszę pogadać z Retancourt. Zайдę do ciebie późnym wieczorem, dobrze?

IX

Po drodze Danglard przeżuwał ostatnie odkrycia. Brat, zbrodnia, samobójstwo. Prawie bliźniak obwiniany o popełnienie morderstwa, wykluczony przez otoczenie, zmarły. Dramat tak wielki, że Adamsberg nigdy o tym nie mówił. I jakże w tych okolicznościach uwierzyć w oskarżenie na podstawie tylko sylwetki sędziego ujranej na górskiej ścieżce i trójzębu znalezionej w szopie? Na miejscu Adamsberga on także rozpaczliwie szukałby winnego zamiast swojego brata. I instynktownie wskazałby wroga publicznego numer jeden.

„Kochałem brata nad życie”. Wydawało mu się, że od nocy zabójstwa Adamsberg z uporem wbrew wszystkim niejako trzymał za rękę Raphaëla. I z tego powodu od trzydziestu lat odsuwał się od świata innych, nie mógł bowiem przez niego kroczyć, bo jeszcze by wypuścił tę rękę, zostawił brata w poczuciu winy za czyjąś śmierć. A w takim razie jedynie pośmiertne udowodnienie niewinności Raphaëla i jego powrót do świata mogłyby uwolnić rękę Adamsberga. Albo też, pomyślał Danglard, tuląc do siebie teczkę, udowodnienie, że zbrodnię popełnił jego brat. Jeżeli Raphaël faktycznie zabił, Adamsberg będzie musiał kiedyś zaakceptować tę prawdę. Nie może przecież iść przez życie, cały czas trwając w błędnym przekonaniu o winie przerażającego starca. Jeżeli zawartość teczek pozwoli wysnuć takie wnioski, będzie musiał przyhamować inspektora i siłą otworzyć mu oczy, choćby i brutalnie, i boleśnie.

Po kolacji, kiedy dzieci były już w swoich pokojach, usiadł zatroskany przy stole z trzema piwami i ośmioma teczkami. Wszystkie dzieci położyły się o wiele za późno. Przy kolacji nieopatrznie wpadł na pomysł, aby im opowiedzieć o ropusze z papierosem w pysku, puch, puch, puch i eksplozja, i nie mógł się potem opędzić od pytań. Dlaczego ropucha eksplodowała? Dlaczego ropucha paliła? Jakiego melona wielkość osiągała? Czy wnętrza wylatywały wysoko? Czy tak samo robi się węzom? Danglard w końcu stanowczo im zakazał wszelkich eksperymentów, zabronił wkładać papierosa do pyska jakiegokolwiek węzowi, ropusze czy salamandrze, podobnie zresztą jak jaszczurce, rybie i w ogóle wszelkim stworzeniom. Było już po jedenastej, gdy wreszcie pięć tornistrów zostało zapiętych, naczynia pomyte i światła pogaszone.

Danglard przeglądał zawartość teczek chronologicznie, zapamiętując nazwiska

ofiar, miejsce, godzinę, tożsamość winnych. Osiem morderstw, wszystkie popełnione, jak zauważył, w latach nieparzystych. No ale rok nieparzysty to raptem jedna szansa na dwie, nie dowodzi nawet zbiegu okoliczności. Tylko uparte przeświadczenie Adamsberga połączyło te rozmaite sprawy i chwilowo nic nie dowodziło, że były dziełem jednego człowieka. Osiem morderstw w różnych regionach Francji: Loire-Atlantique, Turenna, Dordogne, Pireneje. Niemniej można było sobie wyobrazić, że sędzia często się przenosił, aby przeciwdziałać zagrożeniu. Ofiary także były rozmaite, w różnym wieku, różnej płci i wyglądu: młodzi i starzy, dorośli, mężczyźni i kobiety, grubi i chudzi, bruneci i blondyni. Co nie za bardzo pasowało do ciasnych ram obsesji seryjnego zabójcy. Narzędzia zbrodni również nie były takie same: przecinak, nóż kuchenny, sprężynowy, myśliwski, stępiony śrubokręt.

Danglard pokręcił głową dość zniechęcony. Liczył, że zdoła podążyć za Adamsbergiem, lecz ta różnorodność stanowiła poważną przeszkodę.

Aczkolwiek faktycznie obrażenia miały cechy wspólne: za każdym razem trzy głębokie rany w korpusie, pod żebrami lub w brzuchu, wcześniej uderzenie w głowę, aby ogłuszyć ofiarę. Jakie jednak było prawdopodobieństwo, że wśród wszystkich morderstw popełnionych we Francji w ciągu półwiecza znajdzie się kilka z trzema ranami w brzuch? Bardzo duże. Brzuch to cel rozległy, łatwy do trafienia i nieodporny na ciosy. A jeśli chodzi o trzy ciosy, to czy nie wynikają z czegoś na kształt oczywistości? Trzy ciosy się zadaje, aby mieć pewność, że ofiara umrze. Statystycznie to częsta liczba ran. Nie ma w tym nic ze znaku szczególnego, podpisu. To tylko trzy ciosy, coś niejako powszechnie spotykanego.

Danglard otworzył sobie drugie piwo i z uwagą pochylił się nad ranami. Musiał solidnie wykonać swoją robotę, spróbować nabrać pewności w tę czy w drugą stronę. Te trzy ciosy bezdyskusyjnie ułożone były na jednej linii – albo prawie na jednej. I niewątpliwie minimalne były szanse, żeby zadając cios trzykrotnie, tak równo trafić. Co oczywiście nasuwało skojarzenia z trójzębem. Podobnie jak głębokość cięć, możliwa przy użyciu narzędzia zaopatrzonego w stylisko, natomiast rzadko się zdarza, żeby nóż wbito trzy razy pod rząd po samą rękojeść. Jednakże pewien szczegół w raportach burzył tę nadzieję: używane ostrza różniły się szerokością i długością. Co więcej, odległość między ranami także była inna w poszczególnych przypadkach, tak samo jak ich ułożenie w jednej linii. Różnice nie były wielkie, rzędu jednej trzeciej, jednej czwartej centymetra, przy czym któraś z ran mogła być przesunięta nieco w bok albo na dół. I te rozbieżności wykluczały użycie tego samego narzędzia. Trzy rany były bardzo podobne, ale niewystarczająco, by przyjąć, że zadano je tą samą ręką i tym samym narzędziem.

Ponadto wszystkie te sprawy zostały zamknięte, winni zatrzymani, czasem

nawet przyznali się do morderstwa. Ale z wyjątkiem jeszcze jednego nastolatka, równie miękkiego i przerażonego jak Raphaël, wszystko to byli nędzarze, bezdomni pijacy albo włóczędzy, w chwili aresztowania w stanie wyjątkowego upojenia alkoholowego. Nietrudno więc było wymusić zeznania na takich zagubionych ludziach, skorych do pogrążenia siebie.

Danglard odsunął dużego białego kota, który ułożył mu się na stopach. Był gorący i ciężki. Nie zmienił zwierzakowi imienia, odkąd przed rokiem Camille mu go zostawiła, wyjeżdżając do Lizbony. Wtedy była to malutka biała kulka o niebieskich ślepkach, nazywał go więc Kulką. Kociak powoli urósł, nie dobierając się pazurami ani do ścian, ani do foteli. Ilekroć Danglard spojrział na niego, zawsze myślał o Camille, która nie była mocna w samoobronie. Podniósł kota, ująwszy go pod brzuch, wziął go za łapkę i jednym pazurem podrapał jąską. Pazurki się nie wysunęły. Kulka była szczególnym przypadkiem. Postawił kota na stole, po czym jednak ułożył go z powrotem na swoich stopach. Skoro ci tam dobrze, siedź sobie.

Żaden z aresztowanych, zanotował Danglard, nie pamiętał chwili morderstwa, wszyscy przejawiali osobliwą amnezję. W swojej karierze policjanta spotkał się z dwoma przypadkami zaniku pamięci po zabójstwie: raz z powodu odmowy zmierzenia się z czymś strasznym, drugi raz z powodu wyparcia czynu. Jednakże tym rodzajem amnezji na tle psychicznym nie można było wyjaśnić podobieństw w ośmiu przypadkach. Alkoholem za to owszem. Swego czasu, gdy Danglard był młodszy i chlał bez umiaru, bywało, że się budził z pustką w głowie, z luką w pamięci, którą nazajutrz wypełniali towarzysze popijawy. Przyhamował, dowiedziawszy się, że zebrał oklaski od sporej publiki, kiedy w Awinionie nago na stole recytował Wergiliusza. Po łacinie. W tym czasie miał już spory brzuszek i kiedy o nim pomyślał, przechodził go dreszcz. To dopiero musiał być widok! Bardzo był wesoły według kolegów, bardzo miły według koleżanek. Tak, amnezja alkoholowa... Znał tę bestię aż za dobrze, lecz nie dało się przewidzieć, kiedy wkroczy do akcji. Czasem nawet człowiek schlany w trupa pamięta wszystko, a czasem nie.

Adamsberg cicho zapukał dwa razy do drzwi. Danglard wetknął sobie Kulkę pod pachę i poszedł otworzyć. Inspektor obrzucił kota wzrokiem.

– Dobrze się ma? – zapytał.

– Jako tako – odparł Danglard.

Temat zamknięty, wiadomość przyjęta. Usiedli obaj przy stole, Danglard położył kota na swoich stopach, po czym wyłuszczył wątpliwości, które mu się nasunęły w związku z tą prawdziwą bądź pozorną serią zabójstw. Adamsberg słuchał z lewą ręką przyciśniętą do siebie, prawą podpierając policzek.

– Wiem – przerwał Danglardowi. – Myślisz, że nie miałem dość czasu, by przeanalizować i porównać wszystkie wymiary ran? Znam je na pamięć. Znam wszystkie różnice, głębokość, kształt i odchylenie każdej. Wbij sobie jednak do głowy, że sędzia Fulgence naprawdę, ale to naprawdę nie jest zwyczajnym człowiekiem. Nie byłby taki głupi, żeby zabijać zawsze tym samym narzędziem. Nie, Danglard, ten facet jest bardzo silny, ale morduje trójzębem. To jego znak i symbol władzy.

– Zdecyduj się – napomniał go Danglard. – Jedno narzędzie zbrodni czy kilka? Rany są różne.

– Tu mamy to samo. W różnicach rozstawu zadziwiające jest to, że są niezbite, Danglard, wręcz bezsporne. Odstępy między ranami zmieniają się w poziomie i w rozstawie, ale nieznacznie. No zobacz. Niezależnie od wariantu długość linii wszystkich trzech ran nigdy nie przekracza szesnastu dziewięć centymetra. Tak było u Lise Autan, w której przypadku mam pewność, że sędzia użył swojego trójzębu: długość całkowita szesnaście dziewięć centymetra, odległość między pierwszą a drugą raną cztery siedem centymetra, między drugą a trzecią pięć centymetrów. Popatrz na inne ofiary. Czwarty z kolei, Julien Soubise, zamordowany nożem: pięć i cztery centymetra oraz cztery osiem przy całkowitej długości linii dziesięć i osiem centymetra. Numer osiem, Jeanne Lessard, użyto przecinaka: cztery i pół centymetra i cztery osiem, długość całkowita szesnaście i dwie dziesiąte centymetra. Najdłuższe linie były przy przecinakach i śrubokrętach, najkrótsze przy nożach z powodu cienkiego ostrza. Ale nigdy linia nie przekracza szesnastu dziewięć centymetra. Jak to wytłumaczysz? Jak wytłumaczysz, że ośmiu różnych morderców zadających zawsze trzy ciosy nigdy nie rozkłada ran na linii dłuższej niż szesnaście dziewięć centymetra? Odkąd to istnieje jakaś matematyczna granica, kiedy zadaje się ciosy w brzuch?

Danglard w milczeniu ściągnął brwi.

– Jeśli chodzi o inne odmiany ciosów – podjął Adamsberg – to przy ciosie od dołu różnice są jeszcze mniejsze: nie większe niż cztery milimetry w wypadku noża i jeszcze mniej w wypadku przecinaka. Maksymalna szerokość linii ciosu: dziewięć milimetrów. Nie więcej, ani razu nie była szersza. Taka była szerokość ran na ciele Lise. Jak wytłumaczysz to ograniczenie? Jakąś zasadą? Kodeksem zabójców? Każdy był naprany jak stodoła, ręce im latały. Żaden nic nie pamiętał. Wszyscy byli pogubieni. I co, ani jeden nie odważył się zadać ciosów na linii dłuższej niż szesnaście dziewięć centymetra i szerszej niż dziewięć milimetrów? Jakim cudem, Danglard?

Danglard szybko myślał, przychyłając się do argumentów inspektora. Ale nie pojmował, jak te różnice w ranach da się pogodzić z użyciem jednego narzędzia

zbrodni.

– Wiesz, jak wyglądają trójzębne widły używane na wsi? – zapytał Adamsberg, szkicując na kartce. – Tu masz stylisko, tu wzmocnioną poprzeczną belkę, a tu trzy zęby. Stylisko i belka są stałe, ale rozstaw zębów i same zęby da się zmieniać. Rozumiesz, Danglard? Rozstaw zębów i zęby da się zmieniać! Choć oczywiście w granicach stałej wielkości belki, czyli w tym przypadku szesnastu dziewięć centymetra długości i dziewięciu milimetrów szerokości.

– Chcesz powiedzieć, że gość za każdym razem rozlutowuje trzy zęby i tymczasowo przylutowuje do belki trzy inne ostrza, zawsze inne?

– No właśnie! On nie może zmienić narzędzia. Jest z nim neurotycznie związany, co świadczy o patologii. Narzędzie musi być to samo, dla niego to warunek bezwzględny. Stylisko i poprzeczna belka są jego duchem. Ale pan sędzia przezornie za każdym razem wymienia zęby na ostrza różnych noży, przecinaki i tak dalej.

– Lutowanie nie jest takie łatwe.

– Przeciwnie, to nic trudnego. A nawet jeśli lut nie trzyma mocno, nie zapominaj, że narzędzie służy tylko raz. I ma wejść poziomo, nie służy do przewracania ziemi.

– Idąc za twoim rozumowaniem, morderca za każdym razem musi się zaopatrzyć w cztery takie same noże czy przecinaki: od trzech odcina ostrza, żeby je zamocować na trójzębie, a czwarty wkłada do ręki swojemu kozłu ofiarnemu.

– Zgadza się, i to nic trudnego. Dlatego zawsze narzędzie zbrodni jest pospolite, a przede wszystkim nowe. Nowiutkie narzędzie w rękach włóczęgi, uważasz, że to logiczne?

Danglard niespiesznie potarł dłonią podbródek.

– W wypadku tej Lise działał inaczej – rzekł. – Zabił trójzębem, dopiero potem wcisnął przecinak do każdej rany.

– Tak samo było w czwartym przypadku, w którym obwiniono także nastolatka, również chłopaka ze wsi. Pewnie sędzia pomyślał, że dochodzenie, skąd się wzięło nowiutkie narzędzie w rękach młodocianego, zaprowadzi śledczych w ślepy zaułek i w końcu ktoś dojdzie, na czym polega przekręt. Wolał wybrać stary przecinak, dłuższy niż zęby trójzębu, i wbić go po fakcie w rany.

– To się trzyma kupy – przyznał Danglard.

– Trzyma się mocno jak elementy mozaiki. Ten sam człowiek, to samo narzędzie. Bo widzisz, Danglard, sprawdziłem to. Kiedy sędzia się wyprowadził, przetrząsnąłem Dwór od piwnic po strych. W szopie zostały wszystkie narzędzia oprócz trójzębu. Zabrał ze sobą cenny sprzęt.

– Skoro tropy są tak wyraźne, dlaczego nikt wcześniej nie odgadł prawdy?

Przecież czternaście lat uganiałeś się za gościem.

– Powody były cztery. Po pierwsze, wybacz, ale każdy rozumował tak jak ty i tego się trzymał: różne narzędzia zbrodni, różne rany, a więc różni zbrodniarze. Po drugie, śledczy działali na różnym terenie, regiony nie wymieniały się informacjami, znasz ten ból. Po trzecie, za każdym razem idealny winowajca podawany był dochodzeniowcom jak na dłoni. No i nie zapominaj o wpływach sędziego, który dzięki temu był w zasadzie nietykalny.

– Skoro jednak zbudowałeś oskarżenie, dlaczego gdzieś z tym nie poszedłeś?

Adamsberg uśmiechnął się smutno.

– Przez kompletny brak wiarygodności. Każdy od razu wiedział, że osobiście jestem wmieszany w sprawę, i uznawał moje oskarżenie za subiektywne i obsesyjne. Każdy był przekonany, że wymyśliłbym nie wiadomo co, byle uniewinnić Raphaëla. A ty jak uważasz, Danglard? W dodatku moja hipoteza obciążała wpływowego sędziego. Nigdy nie pozwolono mi posunąć się dalej. „Adamsberg, pogódźcie się z tym, że wasz brat zabił tę dziewczynę. Jego zniknięcie to przyznanie się do winy”. I dalej grożono mi procesem o zniesławienie.

– Blokada – podsumował Danglard.

– Mówisz to z przekonaniem? Rozumiesz już, że sędzia zabił pięć razy, zanim dopadł Lise, a potem jeszcze dwa razy? Osiem morderstw w ciągu trzydziestu czterech lat. To coś więcej niż seryjne zabójstwa, to starannie obmyślona mrówcza robota rozplanowana na całe życie, dawkowana, podzielona. Wytropiłem pięć pierwszych zabójstw, grzebiąc w archiwach, i mogłem przeoczyć inne. O dwóch ostatnich dowiedziałem się, bo miałem na oku sędziego i śledziłem bieżące wiadomości. Fulgence był świadom, że nie odpuściłem, zmuszałem go do ucieczki bez końca. Ale mi się wymykał. I jak widzisz, Danglard, to jeszcze nie koniec. Fulgence zamartwychwstał: po raz dziewiąty zabił w Schiltigheim. To jego dzieło, wiem o tym. Trzy rany w jednej linii. Muszę tam pojechać, żeby sprawdzić wymiary, ale zobaczysz, że rany są ułożone na jednej linii nie dłuższej niż szesnaście dziewięć centymetra. Przecinak był nowy. Podejrzany jest bezdomnym alkoholikiem, nic nie pamięta. Pasuje jak ulał.

– Mimo wszystko – rzekł Danglard z grymasem na twarzy – jeśli dodać Schiltigheim, będziemy mieli sekwencję zbrodni rozciągniętą na pięćdziesiąt cztery lata. Tego jeszcze w annałach kryminalistyki nie widziano.

– Trójzęba nie widziano. Wyjątkowego potwora. Nie wiem, jak cię do tego przekonać. Nie znałeś go.

– Mimo wszystko... – powtórzył Danglard. – Przerywa w osiemdziesiątym trzecim roku i zaczyna od nowa dwadzieścia lat później? Bez sensu.

– A kto powiedział, że nie zabijał w międzyczasie?

– Ty. Śledziłeś wiadomości. I na nic nie trafiłeś przez dwadzieścia lat.

– Tylko dlatego, że w osiemdziesiątym siódmym dałem sobie spokój.

Powiedziałem ci, że tropiłem go przez czternaście lat, nie przez trzydzieści.

Zaskoczony Danglard podniósł głowę.

– A dlaczego? Miałeś dość czy były naciski?

Adamsberg wstał i chwilę krążył po pokoju z głową przechyloną ku rannej ręce. Podszedł następnie do stołu, oparł się o blat prawą dłonią i nachylił do partnera.

– Bo w osiemdziesiątym siódmym roku Fulgence umarł.

– Proszę?

– Umarł. Sędzia Fulgence umarł szesnaście lat temu śmiercią naturalną w Richelieu, swoim ostatnim miejscu zamieszkania. Dziewiętnastego listopada tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego siódmego roku. Na atak serca potwierdzony przez lekarza.

– O rany, jesteś pewien?

– Jasne. Natychmiast się o tym dowiedziałem, byłem na pogrzebie. Cała prasa się rozpisywała na ten temat. Patrzyłem, jak jego trumnę opuszczają do grobu, patrzyłem, jak ziemia przykrywa potwora. I tamtego ponurego dnia ogarnęła mnie rozpacz, że nigdy nie uniewinnię swojego brata. Sędzia wymknął mi się na dobre.

Zapadła cisza, której Danglard nie potrafił przerwać. Oniemiały dłonią na płask mechanicznie gładził teczki.

– No, Danglard, powiedz coś. Spróbuj. Odważ się.

– Schiltigheim – wyszeptał Danglard.

– Właśnie. Schiltigheim. Sędzia wrócił z piekieł i znowu mam szansę. Rozumiesz? Mam szansę! I tym razem jej nie przegapię.

– Jeśli dobrze rozumiem – z wahaniem zaczął Danglard – sędzia musiał mieć jakiegoś ucznia, syna, naśladowcę...

– Nic z tych rzeczy. Nie miał żony, nie miał dziecka. Sędzia to samotny łowca. Schiltigheim jest jego dziełem, a nie naśladowcy.

Obawa odbierała nadkomisarzowi mowę. Wahał się chwilę, w końcu zdecydował się na życzliwe zainteresowanie.

– To ostatnie morderstwo bardzo cię poruszyło. Straszny zbieg okoliczności.

– Nie, nie, żaden zbieg okoliczności.

– Posłuchaj – zaczął spokojnie Danglard. – Sędzia nie żyje od szesnastu lat. Zostały z niego kości półtora metra pod ziemią.

– I co z tego? Mam to gdzieś. Obchodzi mnie tylko ta dziewczyna z Schiltigheim.

– Kurde – zdenerwował się Danglard – coś ty sobie ubzdurał?

W zmartwychwstanie wierzysz?

– Wierzę w czyny. To on. A ja znów mam szansę. Miałem zresztą znaki.

– Jak to: znaki?

– No znaki. Ostrzegawcze. Kelnerka w barze, reklama, pinezki.

Teraz i Danglard wstał z miejsca dosyć przerażony.

– Na Boga, znaki?! Odkąd to jesteś mistykiem? Za czym gonisz, inspektorze? Za zjawą? Widmem? Nieumarłym? I gdzie on niby się podziewa? Siedzi w twojej głowie?

– Gonię za Trójzębem. Który bardzo niedawno mieszkał w pobliżu Schiltigheim.

– On nie żyje! Nie żyje! – krzyknął Danglard.

Na oczach pełnego obaw nadkomisarza Adamsberg zaczął jedną ręką chować do torby tekturowe teczki, starannie je wsuwając jedna po drugiej.

– A co śmierć może zrobić diabłu, Danglard?

Wziął kurtkę i uniósłszy na pożegnanie zdrową rękę, wyszedł.

Danglard strapiony opadł na krzesło, popijając piwo. Już po nim. Już po Adamsbergu, którego wessała spirala szaleństwa. Pinezki, kelnerka w barze, reklama i nieumarły. Pogubił się, zabrął dużo dalej, niż się wydawało. Przepadł na amen, poniosły go złe wiatry.

Przespawszy się kilka godzin, Danglard spóźniony zjawił się w pracy. Na biurku czekała na niego wiadomość. Adamsberg z rana wsiadł do pociągu do Strasburga. Wróci nazajutrz. Pomyślał o komendancie Trabelmannie i pomodlił się, by okazał wyrozumiałość.

X

Z daleka stojący na placu przed strasburskim dworcem komendant Trabelmann wyglądał na dobrze zbudowanego niewysokiego gburę. Abstrahując od jego żołnierskiej łysiny, Adamsberg skupił uwagę na centralnych krągłościach twarzy komendanta i dopatrywał się w nich niejakej stanowczości i pogody ducha. Oraz słabej na razie możliwości otwarcia na nieprawdopodobne dowody, które przywiózł. Ściskając mu dłoń, Trabelmann bez powodu zaśmiał się krótko, mówił dobitnie i głośno.

– Wojenne rany? – zapytał, wskazując rękę inspektora na temblaku.

– Dość burzliwe zatrzymanie – potwierdził Adamsberg.

– Ile ich ma pan na koncie?

– Zatrzymań?

– Blizn.

– Cztery.

– A ja siedem. I nie ma gliniarza, który by mnie pobił w liczbie szwów. – Trabelmann znowu się roześmiał. – Przywiózł pan swoje wspomnienie z dzieciństwa?

Adamsberg z uśmiechem wskazał torbę.

– Jest tutaj. Ale nie wiem, czy się panu spodoba.

– Posłuchać nie zawadzi – odrzekł komendant, otwierając samochód. – Zawsze lubiłem opowieści.

– Nawet mordercze?

– A zna pan inne? – spytał Trabelmann, ruszając. – Kanibal w Czerwonym Kapturku, dzieciobójca w Królownie Śnieżce, pożarcie Tomcia Paluszka... – Zatrzymał się na czerwonym świetle i znów zaśmiał. – Morderstwa, wszędzie morderstwa. A Sinobrody! To ci dopiero piękny seryjny zabójca! Najbardziej w tej historii podobała mi się ta cholerna plama z krwi, która nie chciała zejść z klucza. Myta, skrobana, wycierana wracała jak dowód winy. Często przychodzi mi na myśl, kiedy wymyka mi się jakiś zbrodniarz. Mówię sobie wtedy: możesz uciekać, chłopie, ale plama znów się pojawi, a ja cię dopadnę. Po prostu. Pan ma coś takiego?

– W historii, którą przywiozłem, jest coś z Sinobrodego. Są trzy plamy z krwi, które ktoś wyciera, a one stale wracają. Ale tylko dla tego, kto chce je widzieć, jak w bajce.

- Muszę wpaść do Reichstett po jednego z moich ludzi, to kawałek drogi. Może by pan zaczął opowiadać? Od „był sobie raz człowiek”?...
- ...który mieszkał sam w Dworze z dwoma psami – zaczął Adamsberg.
- Dobry początek, inspektorze, podoba mi się – rzekł Trabelmann, po raz czwarty wybuchając śmiechem.

Zatrzymawszy samochód na niedużym parkingu w Reichstett, komendant spoważniał.

– W pańskiej historii kupa rzeczy przekonuje. Nie dyskutuję z tym. Ale jeżeli, powtarzam: jeżeli małą Wind zamordował pański człowiek, znaczyłoby to, że od pół wieku poluje z trójzębem, który przyjmuje różną postać. Wyobraża pan to sobie? W jakim wieku musiałyby zacząć ten pański Sinobrody? W podstawówce?

Styl inny niż Danglarda, lecz obiekcja ta sama, co naturalne.

- No raczej nie.
- Kiedy on się właściwie urodził?
- Nie mam pojęcia – skłamał Adamsberg. – Nic nie wiem o jego rodzinie.
- Tak czy owak gość nie jest młody, hę? Co najmniej siedemdziesiąt, osiemdziesiąt latek, nie?
- Tak.
- Co tu dużo gadać, sam pan wie, ile trzeba siły, żeby obezwładnić dorosłego i zadać mu śmiertelny cios przecinakiem.

– Trójzab zwiększa siłę ciosu.

– Ale zabójca później odciągnął ofiarę i jej rower w pole, jakieś dziesięć metrów od drogi, musiał przejść przez rów i wspiąć się na wyniosłość. Wie pan, co znaczy ciągnąć bezwładne ciało, prawda? Élisabeth Wind ważyła sześćdziesiąt dwa kilo.

– Kiedy ostatnio widziałem tego człowieka, nie był młody, ale trzymał się krzepko. Naprawdę, Trabelmann. Ponad metr osiemdziesiąt pięć, sprawiał wrażenie silnego i żwawego.

– Sprawiał wrażenie... – powtórzył Trabelmann, otwierając tylne drzwi swojemu człowiekowi, sierżantowi, którego powitał krótkim wojskowym salutem.

– Jak dawno to było?

– Dwadzieścia lat temu.

– A toś mnie ubawił, Adamsberg, ale dobre i to. Mogę tak do pana mówić?

– Proszę.

– Ominiemy Strasburg i polecimy prosto na Schiltigheim. Katedra poczeka. Przypuszczam, że nie zależy ci na zwiedzaniu?

– Dzisiaj nie.

– Ja w ogóle za tym nie przepadam. Starocie zwyczajnie mnie nie kręcą. Zauważ, że widziałem ją ze sto razy, ale nie lubię i już.

– A co lubisz, Trabelmann?

– Żonę, dzieciaki, swoją robotę.

Proste.

– I bajki. Przepadam za bajkami.

Nie takie proste, poprawił się Adamsberg.

– Ale bajki to przecież starocie – zauważył.

– Jasne, dużo starsze niż ten twój jegomość. Mimo to mów dalej.

– Moglibyśmy najpierw wstąpić do kostnicy?

– A co? Chcesz sobie pomierzyć? Nie ma sprawy.

Adamsberg kończył opowiadać, gdy wchodzili do Instytutu Medycyny Sądowej. Kiedy Trabelmann zapominał trzymać się prosto, jak właśnie teraz, nie był wyższy od niego.

– Co? – zawołał teraz, przystając na środku holu. – Sędzia Fulgence? Odbiło ci, inspektorze?

– Bo co? – spokojnie zapytał Adamsberg. – W czymś to ci przeszkadza?

– Psiakrew, wiesz, kim jest sędzia Fulgence? To już nie bajka! Jakbyś mi powiedział, że ogniem ziele księżę, a nie smok.

– Piękny jak księżę, owszem, co nie przeszkadza, że ziele ogniem.

– Czy ty słyszysz, co mówisz, Adamsberg? O procesach Fulgence’a napisano książkę. Chyba nie każdy sędzia ma prawo do książki o swoich sprawach, nie? To był ktoś, człowiek sprawiedliwy.

– Sprawiedliwy? Nie lubił ani kobiet, ani dzieci. Nie tak jak ty.

– Ja tam nie porównuję. To była ważna figura, wszyscy go szanowali.

– Wszyscy się go bali, Trabelmann. Był bezwzględny i surowy.

– Sprawiedliwość musi być wymierzona.

– I to z hukiem. Z Nantes dyrygował sądem w Carcassonne.

– Bo miał autorytet i trafność osądu. A toś mnie ubawił, Adamsberg, ale dobre i to.

Podbiegł do nich człowiek ubrany na biał.

– Panowie, trochę szacunku.

– Cześć, Ménard – przerwał mu Trabelmann.

– O, przepraszam, komendancie. Nie poznałem pana.

– Przedstawiam panu kolegę z Paryża. Inspektor Adamsberg.

– Znam pana z nazwiska – powiedział Ménard, ściskając mu dłoń.
– To kawalarz – zaznaczył Trabelmann. – Ménard, chcemy obejrzyć Élisabeth Wind.

Ménard ostrożnie uniósł prześcieradło, odkrywając zwłoki. Adamsberg przyglądał się przez kilka chwil młodej ofierze, potem delikatnie przekręcił jej głowę, by obejrzyć wybroczyny na karku. Następnie skupił uwagę na ranach w brzuchu.

– Jeśli się nie mylę – odezwał się Trabelmann – ma coś koło dwudziestu, dwudziestu dwóch centymetrów długości.

Adamsberg pokręcił głową z powątpiewaniem i z torby wyjął centymetr.

– Pomóż mi, Trabelmann. Mam tylko jedną rękę.

Komendant rozwinął centymetr nad ciałem, Adamsberg zaś dokładnie przyłożył jego początek do zewnętrznego brzegu pierwszej rany i pociągnął do skraju trzeciej.

– No i mamy szesnaście siedem centymetra. A nie mówiłem? Ani milimetra więcej. Jak zwykle.

– Przypadek po prostu.

Nie odpowiadając, Adamsberg umieścił drewnianą linijkę jako punkt odniesienia i zmierzył maksymalną szerokość linii ran.

– Osiem milimetrów – oznajmił, zwijając metr.

Trabelmann lekko speszony kiwnął tylko głową.

– Przypuszczam, że głębokość ran możesz mi podać na posterunku – powiedział Adamsberg.

– Tak. Mogę też pokazać przecinak i człowieka, który miał go w ręce. I jego odciski palców.

– Czy mimo wszystko przejrzysz moje materiały?

– Nie jestem gorszym fachowcem niż ty, inspektorze. Nie bagatelizuję żadnego tropu.

I Trabelmann zaśmiał się krótko, choć Adamsberg absolutnie nie widział powodu do wesołości.

Na posterunku w Schiltigheim Adamsberg położył stertę swoich teczek na biurku komendanta, zaraz też sierżant przyniósł mu przecinak w foliowym worku. Narzędzie było pospolite, zupełnie nowe, tyle że ubrudzone zaschniętą krwią.

– Jeśli dobrze rozumiem – powiedział Trabelmann, sadwiąc się za stołem – powtarzam: jeśli... powinniśmy w dochodzeniu szukać miejsca zakupu czterech

przecinaków, a nie jednego.

– Owszem, tyle że to strata czasu. Morderca – Adamsberg nie śmiał wymienić nazwiska Fulgence’a – nie pozwalała sobie na błąd, jakim byłoby kupowanie czterech przecinaków naraz, bo zwróciłby na siebie uwagę jak pierwszy lepszy amator. Dlatego wybiera modele pospolite. Kupuje w kilku sklepach i w odstępach czasu.

– Też bym tak zrobił.

W biurze stanowczość komendanta zyskiwała na sile, a kompulsywna wesołość malała. Może pozycja siedząca, pomyślał Adamsberg, albo urzędowe otoczenie blokuje te porywy.

– Jeden przecinak mógł być kupiony w Strasburgu we wrześniu – powiedział – drugi w lipcu w Roubaix i tak dalej. Od tej strony nie da się tego ugryźć.

– Ano – przyznał Trabelmann. – Chcesz zobaczyć tego człowieka? Jeszcze parę godzin, a zmięknie i zacznie gadać. Słuchaj, kiedyśmy go zgarnęli, miał w sobie co najmniej półtorej flaszki whisky.

– Stąd zanik pamięci.

– Fascynują cię te zaniki, co? Mnie ani trochę. Bo powołując się na nie i na zaburzenia umysłowe, facet ma pewność, że zarobi jakieś dziesięć, piętnaście lat mniej. Jest o co walczyć, nie? I wszyscy znają tę sztuczkę. Dlatego wierzę w amnezję jak w księcia z bajki przemienionego w smoka. Ale zobacz go sobie, Adamsberg, przekonaj się sam.

Bernard Vétilleux, człowiek około pięćdziesiątki, wysoki, chudy, o obrzmiałej twarzy, półleżąc na pryczy, obojętnie popatrzył na wchodzącego do celi Adamsberga. Ten glina czy inny, co go to obchodzi? Adamsberg spytał, czy zgodzi się porozmawiać, Vétilleux przytaknął.

– I tak nie ma tu co gadać – rzekł bezbarwnym głosem. – Nic nie wiem, nic nie pamiętam.

– Rozumiem. A co było wcześniej, zanim się pan znalazł na tej szosie?

– Ech, nawet nie wiem, jak tam doszedłem. Nie lubię chodzić. A trzy kilometry to przecież kawał drogi.

– Ale wcześniej – nalegał Adamsberg. – Przed szosą.

– A, tamto, jasne, że tamto pamiętam. Chłopie, nie zapomniałem całego życia! Tylko tę cholerną szosę i co było potem.

– Rozumiem – powtórzył Adamsberg. – Co pan robił wcześniej?

– Co pan robił, co pan robił... Chlałem.

– Gdzie?

- Z początku w knajpie.
- W której knajpie?
- W Koreczku koło warzywniaka. Później, prawdę mówiąc, nie pamiętam.
- Co było dalej?

– Wypieprzyli mnie jak zwykle, bom się spłukał do cna. Taki byłem schlany, żem nawet zebrać nie miał sił. Tom się rozejrzał za jakimś kącikiem, żeby się przekimnąć. Bo ciężko ustać w takiej chwili. Mam taki stały kącik, ale zajął mi go facet z trzema kundlami. No to poczłapałem dalej, aż wylądowałem na placu w takim żółtym plastikowym pudle dla dzieciaków, takim domku. Ciepłej w nim trochę. To taka norka z drzwiczkami. A na ziemi jest jakby mech. Ale sztuczny, żeby dzieciaki się nie poobijały.

- Co to za plac?
- No plac. Taki ze stołami do ping-ponga, niedaleko knajpy. Nie lubię chodzić.
- A potem? Byłeś sam?

– Jakiś gościu chciał się tam też wepchnąć. Masz pecha, chłopie, powiedziałem sobie. Ale zaraz zmieniłem zdanie, bo gościu miał ze sobą dwie flaszki. A to fart, pomyślałem, i zaraz powiedziałem, co i jak. Jak chcesz chatę, dzielisz się gorzałą. Zgodził się. Nie był chytry.

- Pamiętasz go? Jak wyglądał?

– Hm, pamiętać, pamiętam, tyle że tego już popiłem. A ciemno było choć oko wykol. No i kto patrzy człowiekowi w zęby, jak ma flaszkę przed sobą? Faceta miałem gdzieś, ważna była gorzała.

– Ale coś przecież pamiętasz. Spróbuj opowiedzieć. Wszystko, co pamiętasz. Jak mówił, jak wyglądał, jak pił... Był wysoki, gruby, chudy, niski, młody, stary?

Vétilleux podrapał się po głowie, jakby łechtął szare komórki, i usiadł na pryczy, gapiąc się przed siebie przekrwionymi oczami.

- Ech, nic tu człowiekowi nie dają.

Adamsberg to przewidział, toteż do kieszeni wsunął piersiówkę koniaku. Zerknął na Vétilleux, wzrokiem wskazał mu sierżanta pilnującego celi.

- Aha... – pojął Vétilleux.

- Później – rzekł Adamsberg bezgłośnie, samymi ustami.

Vétilleux wykonał ćwierć obrotu i kiwnął głową.

– Na pewno masz świetną pamięć – podjął Adamsberg. – Opowiedz o tym człowieku.

– Stary – oświadczył Vétilleux – ale i młody, trudno powiedzieć. Z ikrą, o... Ale stary.

- Jak był ubrany? Pamiętasz?

- Jak gościu, który na noc ma dwie flaszki. I szuka kącika, żeby się przytulić.

Stara kurtka, szalik, dwie czapki naciągnięte na oczy, grube rękawice... co tam trzeba, żeby nie odmrozić sobie jaj.

– W okularach? Ogolony?

– Bez okularów, czapkę miał na oczach. Brody też nie miał, ale nie był świeżo ogolony. Nie śmierdział.

– To znaczy?

– Nocuję z chłopakami, którzy śmierdzą, tak to już jest, każdy po swojemu. Ja chodzę do łaźni dwa razy na tydzień, nie lubię śmierdzieć. I nie sikam do tej budy dla dzieciaków. Bo widzisz, jak ktoś chła, wcale nie znaczy, że nie szanuje małych. Małe są fajne. Nawet z takim jak ja pogadają jak z każdym. „Masz tatę? Masz mamę?” Fajne są małe, póki starzy nie nawciskają im głupot do głowy. No więc ja nie leję w ich domku. One mnie szanują, więc ja też je szanuję.

Adamsberg obejrzał się na sierżanta pełniącego wartę.

– Sierzancie, mógłby mi pan przynieść szklankę wody i dwie aspiryny? – poprosił. – Rana – wyjaśnił, wskazując zabandażowaną rękę.

Sierżant kiwnął głową i odszedł. Vétilleux skwapliwie wyciągnął rękę i wsunął do kieszeni piersiówkę koniaku. Niecałą minutę później sierżant wrócił z wodą i aspiryną. Adamsberg zmusił się do połknięcia tabletek.

– A widzisz, to mi coś przypomina – rzekł Vétilleux, wskazując kubek. – Ten gość miał coś, co nie było zwyczajne przy takim poczęstunku. Taki kubek jak ten. No i on miał swoją flaszkę, a ja swoją. Nie pił z gwinta, rozumiesz? Trochę taki picuś-glancuś z manierami.

– Jesteś tego pewien?

– Jasne. I pomyślałem sobie, że ten gość spadł z wysoka. Wiesz, tacy się zdarzają, spadają z wysoka. Przykładowo baba takiego rzuci i już, zaczyna się chłanie, a potem jazda w dół. Albo firma mu padnie i znów zagląda do kielicha. Mnie, kurna, takie coś nie rusza. Facet nie może się stoczyć dlatego, że baba puściła go w trąbę albo interes mu się rozsypał. Zawsze mówię, kurna, że trzeba się jakoś trzymać. Bo ja, rozumiesz, wcale się nie poddałem. Nie spadłem z wysoka, bo już byłem na dole. I tylko tam zostałem. Czujesz różnicę?

– No pewnie – odparł Adamsberg.

– Ja nie osądzam, rozumiesz. Ale to jednak różnica. Fakt, że jak Josie mnie puściła kantem, nie było łatwo. Z tym że wiesz, już wcześniej grałem zdrowo. Dlatego mnie szurnęła. Trudno jej się dziwić, ja tam nie osądzam. Może tylko tłuste dupy, które nie rzucają ani grosika. Takim, fakt, czasem nafajdałem pod drzwiami. Ale w domku dzieciaków w życiu.

– Jesteś pewien, że spadł z wysoka?

– Jasne, chłopie. I to nie tak dawno. Bo widzisz, w tej ferajnie człowiek szybko

przestaje się brzydzić i nosić własny kubek. Przez pierwsze trzy, cztery miesiące taszczysz go ze sobą, a potem ciągniesz z gwinta z każdej flaszki, która się napatoczy. Jak ja. Tyle że nie piję ze śmierdzącymi, ale to co innego, kwestia powonienia, ja tam nie osądzam.

– Czyli twoim zdaniem on nie był na ulicy dłużej niż cztery miesiące?

– Bo ja wiem? Nie mam radaru w oczach. Ale to było raczej świeże. Pewnie baba go wyrzuciła i wylądował, jak wylądował.

– Rozmawialiście wtedy?

– Nie bardzo. O tym, że gorzałka niezła... O pogodzie, że psa by nie wygonił na dwór... Takie tam, jak zwykle.

Vétilleux cały czas trzymał rękę na swym grubym swetrze, w miejscu gdzie pod nim w kieszeni koszuli schował piersiówkę.

– Długo został?

– Wiesz, czas nie ma znaczenia.

– Chodzi mi o to, czy poszedł czy spał z tobą w tym domku.

– Nie pamiętam. Tam urwał mi się film. Może ja poszedłem, nie wiem.

– A potem?

Vétilleux rozłożył ręce i opuścił je na kolana.

– Potem pamiętam szosę. Rano. Żandarmów.

– Śniło ci się coś? Pamiętasz jakiś obraz, uczucie?

Aresztant zmarszczył brwi, położył rękę na swetrze, długimi paznokciami drapiąc zniszczoną wełnę. Adamsberg znowu obejrzał się na sierżanta, który dla rozprostowania nóg dreptał w miejscu.

– Sierżancie, byłby pan tak uprzejmy i przyniósł mi moją torbę? Muszę zrobić notatki.

Vétilleux nagle się ożywił i w okamgnieniu węzowym gestem wydobył piersiówkę spod swetra, odkręcił i pociągnął kilka łyków. Zanim sierżant wrócił, butelka znowu była pod swetrem. Adamsberga ogarnął podziw na taką zręczność i szybkość tego człowieka. Organ używany rozwija się. Vétilleux był inteligentnym facetem.

– Takie coś... – rzekł nagle z zarumienionymi policzkami. – Śniło mi się, że wyszukałem sobie taki wygodniutki, ciepłutki kąt do spania. I złościło mnie, że nie mogę z niego korzystać jak należy.

– Dlaczego?

– Bo rzygać mi się chciało.

– Często tak masz? Znacząco często wymiotujesz?

– Nigdy.

– A często śnisz, że jest ci ciepło?

– Słuchaj, gdyby mi się nocami śniło, że jest mi ciepło, miałbym życie jak w Madrycie, chłopie.

– Masz przecinak?

– Nie. A jeśli, to od tego gościa z góry. Znaczy od gościa z góry, który spadł. Albo gdzieś go podiwańłem. Skąd mam wiedzieć? Wszyscy tylko mówią, że zabiłem tym jakąś biedaczkę. Może się przewróciła gdzieś na szosie, może wziąłem ją za wielkiego niedźwiedzia? Kurna, nie wiem.

– Wierzysz, że tak było?

– No przecie są odciski palców. I byłem w pobliżu.

– A czemu miałbyś odciągnąć w pole wielkiego niedźwiedzia i jego rower?

– A bo to wiadomo, co się dzieje w głowie takiego pijanicy jak ja? Wiem tylko, że strasznie mi jej żal, bo nie lubię nikomu robić krzywdy. Zwierząt nie zabijam, to czemu miałbym zabijać ludzi? Choćby jako niedźwiedzie? Nie wydaje mi się, żebym się bał niedźwiedzi. Podobno pełno ich mają w Kanadzie. Grzebią w śmietnikach, jak ja. Pasowałoby mi to zobaczyć, pogrzebać z nimi w śmietnikach.

– Vétilleux, jeśli chcesz się dowiedzieć wszystkiego o niedźwiedziach... – Adamsberg przysunął usta do jego ucha. – Nic nie mów, do niczego się nie przyznawaj – szepnął. – Trzymaj pysk na kłódkę, mów tylko prawdę. Że nic nie pamiętasz. Obiecaj, że tak zrobisz.

– Hej! – przerwał mu sierżant. – Przepraszam, panie inspektorze, ale zabronione jest szeptanie z zatrzymanymi.

– Bardzo przepraszam, sierżancie. Opowiadałem mu pieprzny kawał o niedźwiedziu. Chłopak nie ma tu wiele rozrywki.

– Mimo wszystko jak nie wolno, to nie wolno.

Adamsberg bez słowa popatrzył na Vétilleux. Zrobił minę mającą znaczyć: „Zrozumiano?”. I Vétilleux kiwnął głową. „Obiecujesz?” – bezgłośnie spytał. W odpowiedzi Vétilleux znów kiwnął głową, oczy miał zaczerwienione, lecz wzrok jasny. Ten glina przyniósł mu piersiówkę, jest kumplem.

Adamsberg wstał i zanim wyszedł z celi, położył zdrową dłoń na ramieniu Vétilleux i lekko ścisnął, co miało znaczyć: „Na razie, liczę na ciebie”.

Kiedy wracali do biura komendanta, sierżant szybko spytał Adamsberga, czy za przeproszeniem mógłby mu opowiedzieć ten kawał o niedźwiedziu. Adamsberg wyłgał się tylko dzięki Trabelmannowi, który nie dopuścił go do słowa, pytając:

– I jak?

– Gaduła.

– Coś takiego! W każdym razie nie przy mnie. To niezguła.

– Straszna niezguła – zgodził się Adamsberg. – Nie gniewaj się, że to powiem, ale takiego alkoholika jak Vétilleux niebezpiecznie brać na drastyczny odwyk. Mogłoby się to źle dla niego skończyć.

– Wiem, wiem, inspektorze. Przysługuje mu szklaneczka wina do każdego posiłku.

– Lepiej potroić dawkę. Wierz mi, to niezbędne.

– W porządku – zgodził się Trabelmann ani trochę nieurazony. – A jak tam pogawędka? – spytał, siadając za stołem. – Co nowego?

– To inteligentny, wrażliwy facet.

– Zgadza się. Tyle że jak się schła, nie jest wart funta kłaków. Często ten, który bije żonę, do wieczora chodzi łagodny jak baranek.

– Ale Vétilleux nie ma kartoteki. Nie był notowany, prawda? Policja strasburska to potwierdziła, tak?

– Zgadza się. On jest z tych, co to nie stwarzają problemów. Dopóki coś w nich nie pęknie. Jesteś po jego stronie?

– Wysłuchałem go.

Adamsberg streścił obiektywnie spotkanie z Vétilleux, pomijając jedynie szybkie podanie mu piersiówki.

– Nic nie stało na przeszkodzie – zakończył – żeby go wsadzono do samochodu na tylne siedzenie. Było mu ciepło, wygodnie, ale go mdliło.

– No co ty? Tylko dlatego, że było mu ciepło, dorabiasz samochód, jazdę, kierowcę? Tylko tyle?

– Tak.

– Nie rozśmieszaj mnie, Adamsberg. Zachowujesz się jak facet, który z pustego kapelusza wyciąga królika.

– Co nie zmienia faktu, że wyciąga tego królika.

– Myślisz może o tym drugim włóczędzie?

– O włóczędzie, który pił z własnej butelki i z kubka. O włóczędzie z góry. Starym.

– Ale mimo wszystko o włóczędzie.

Może, choć to nic pewnego.

– Powiedz no, inspektorze, czy w całej twojej karierze udało się komuś przekonać cię do zmiany zdania?

Adamsberg potrzebował kilku chwil, by rzetelnie zastanowić się nad pytaniem.

– Nie – przyznał wreszcie ze szczyptą żalu w głosie.

– Tego się obawiałem. No to pozwól sobie powiedzieć, że masz ego wielkie jak ten blat po prostu.

Adamsberg bez słowa zmrużył tylko oczy.

– Nie mówię tego, żeby ci zrobić na złość. Ale w tej sprawie zjawiasz mi się tu z pakietem własnych hipotez, w które nikt nigdy nie wierzył. Potem dopasowujesz fakty tak, żeby ci odpowiadały. Nie powiem, są w twojej analizie ciekawe elementy. Tyle że nie badasz drugiej strony, nie chcesz nawet o niej słyszeć. A ja tu mam napranego faceta znalezionego trzy kroki od ofiary, z narzędziem zbrodni obok pełnym jego odcisków. Chwytasz?

– Rozumiem twój punkt widzenia.

– Ale masz go gdzieś i obstajesz przy swoim. Wszyscy mogą się po prostu wypchać ze swoją robotą, hipotezami i wrażeniami. Powiedz mi jedno: po ulicach gania na wolności masa morderców. I ty, i ja mamy szafy pełne nierozwiązanych spraw. A to nawet nie była twoja sprawa. Więc dlaczego? Dlaczego akurat ona tak cię wzięła?

– Jak przeczytasz teczkę numer sześć, z roku siedemdziesiątego trzeciego, dowiesz się, że oskarżonym nastolatkiem był mój brat. To mu zniszczyło życie. Straciłem go.

– A więc to było twoje „wspomnienie z dzieciństwa”? Nie mogłeś powiedzieć mi wcześniej?

– Nie chciałbyś mnie słuchać. Za bardzo jestem uwikłany, osobiście zaangażowany.

– Zgadza się. Umoczonego rodzina... Nie ma nic gorszego, gliniarz zaraz idzie w odstawkę. – Z westchnieniem wyjął ze stosu teczkę numer 6 i położył ją na wierzchu. – Posłuchaj, Adamsberg – podjął – ze względu na twoją renomę przekopię się przez te materiały. W ten sposób wymiana będzie pełna i obiektywna. Ty będziesz znał moje klocki, a ja twoje. Pasuje? Widzimy się jutro rano. Masz przywoity hotelik dwieście metrów stąd, po wyjściu z budynku skręć w prawo.

Adamsberg długo błąkał się po polach, zanim stanął się w hotelu. Nie miał pretensji do Trabelmanna, który okazał się chętny do współpracy. Tyle że komendant nie bardziej niż inni da posłuch jego teorii. Gdziekolwiek się zjawiał z tą sprawą, zawsze widział niedowierzanie w oczach, wszędzie sam musiał dźwigać na barkach ciężar winy sędziego.

Trabelmann słuszność miał w jednym: Adamsberg nie odpuści. Rozpiętość ran po raz kolejny pasowała do schematu, nie przekraczała bowiem szerokości poprzecznego pręta trójzębu. Vétilleux został wybrany, potem człowiek w czapce naciągniętej na oczy poszedł za nim i wykończył go flaszką gorzały. I dbał przy tym, by nie dotknąć śliny towarzysza popijawy. Następnie wpakował Vétilleux do

samochodu i zawiózł w pobliże miejsca, gdzie już dokonała się zbrodnia. Wystarczyło, że stary zacisnął palce moczymordy na przecinaku i rzucił go obok. Po czym spokojnie odjechał, zostawiając kolejnego kozła ofiarnego na pastwę gorliwości Trabelmanna.

XI

Przyszedłszy o dziewiątej rano na posterunek, Adamsberg przywitał się z dyżurnym sierżantem, tym samym, który chciał usłyszeć kawał o niedźwiedziu. Sierżant na migi dał mu do zrozumienia, że sprawy mają się jak najgorzej. Istotnie – Trabelmann wyzbył się całej życzliwości okazywanej poprzedniego dnia, czekał na niego, stojąc w swoim biurze z rękami skrzyżowanymi, prosty jak struna.

– Jaja sobie ze mnie robisz, Adamsberg? – zapytał ze złością. – Czy wy, gliniarze, macie wszystkich żandarmów za durniów?

Adamsberg stał bez ruchu przed komendantem. W takiej sytuacji najlepiej pozwolić się wygadać. Domyślał się, że tak będzie. Nie sądził jednak, że Trabelmann tak szybko dojdzie do sedna. Nie docenił go.

– Sędzia Fulgence umarł szesnaście lat temu! – wrzeszczał Trabelmann. – Kojfnął, strzelił kopytami! To już nie bajeczka, Adamsberg, tylko powieść grozy! I nie mów mi, że nie wiedziałeś! Twoje notatki kończą się na osiemdziesiątym siódmym roku!

– Oczywiście, że wiedziałem. Byłem na jego pogrzebie.

– I swoimi głodnymi kawałkami zajmujesz mi cały dzień? Wmawiasz mi, że ten stary zamordował małą Wind w Schiltigheim? I nie przyszło ci do głowy, że pocziwy żandarm Trabelmann wywie się tego i owego o sędzi?

– To prawda, nie pomyślałem o tym i przepraszam. Ale skoro zadałeś sobie trud, żeby to zrobić, znaczy, że przypadek Fulgence’a zaintrygował cię wystarczająco, by wywiedzieć się czegoś więcej.

– W co ty grasz, Adamsberg? W podchody z duchem? Wolę nie myśleć, że tak, bo to by znaczyło, że twoje miejsce jest nie na policji, tylko u czubków. Po coś tu właściwie przyjechał?

– Wymierzyć rany, przesłuchać Vétilleux i podsunąć ci ten trop.

– Myślisz może o jakimś kontynuatorze? Naśladowcy? Synu?

Adamsberg odniósł wrażenie, że przeżywa kolejne etapy rozmowy z Danglardem sprzed dwóch dni.

– Ani o kontynuatorze, ani o synu. Fulgence działa sam.

– Masz świadomość, że właśnie z zimną krwią dowodzisz swojego szaleństwa?

– Mam świadomość, że ty tak uważasz. Pozwolisz mi pożegnać się z Vétilleux?

– Nie! – ryknął Trabelmann.

– Twoja sprawa, jeśli chcesz postawić przed sądem człowieka niewinnego.

Obszedł Trabelmanna, by zabrać swoje teczki i niezgrabnie włożyć je do torby, co wymagało czasu, skoro robił to jedną ręką. Komendant mu nie pomógł, tak samo jak wcześniej nie pomógł mu Danglard. Na pożegnanie wyciągnął dłoń do Trabelmanna, który ani drgnął, stojąc dalej ze skrzyżowanymi rękami.

– Cóż, wcześniej czy później jeszcze się zobaczymy, Trabelmann, przy głowie sędziego nadzianej na trójząb.

– Wiesz co, Adamsberg? Pomyliłem się.

Zaskoczony inspektor podniósł na niego wzrok.

– Twoje ego nie jest wielkie jak ten stół, tylko jak strasburska katedra.

– Której nie lubisz.

– Zgadza się.

Adamsberg ruszył do wyjścia. W biurze, korytarzach, w holu na dole cisza spowiła wszystko, wytłumiła głosy, ruchy, tupot kroków. Był już za drzwiami, gdy ujrzał, że podąża za nim młody sierżant.

– Panie inspektorze, a ten kawał o niedźwiedziu?

– Nie idźcie za mną sierżancie, tu chodzi o waszą posadę.

Mrugnął do niego i odmaszerował, nie mając do dyspozycji samochodu, który by go odwiózł na dworzec w Strasburgu. Jednakże w przeciwieństwie do Vétilleux dla niego kilka kilometrów pieszo to nie był „kawał drogi”, lecz przechadzka ledwie wystarczająca, by pozbyć się z głowy nowego przeciwnika, którego sędzia Fulgence dodał do jego kolekcji.

XII

Na pociąg do Paryża Adamsberg musiał czekać jeszcze dobrą godzinę, toteż jakby na przekór Trabelmannowi postanowił złożyć uszanowanie katedrze strasburskiej. Obszedł ją całą naokoło, ponieważ taki był jego los zdaniem komendanta, który utrzymywał, że ma ego wielkich rozmiarów budowli sprzed wieków. Następnie przeszedł się nawą główną, ambitem, a nawet poczytał tabliczki informacyjne. „Budowla w najczystszy, najśmielszym stylu gotyckim”. Ha, czego więcej chciał Trabelmann? Podniósł głowę, patrząc na szczyt strzelistej wieży, „arcydzieła wznoszącego się na wysokość 142 metrów”. On ledwie osiągnął regulaminowy wzrost pozwalający na przyjęcie do policji.

Kiedy w pociągu przechodził przez bar, rzędy buteleczek przywiodły mu na myśl Vétilleux. O tej porze Trabelmann z pewnością wiódł go już drogą wyznaczonym zamroczone zwierzę do rzeźni. Chyba że Vétilleux wspomniał Adamsbergowe namowy, chyba że odmówił współpracy. Nie do wiary, jak bardzo Adamsberg miał za złe nieznaną Josie, że odeszła od Vétilleux, że zostawiła go na równi pochyłej, podczas gdy on zostawił Camille w trakcie zwrotu o sto osiemdziesiąt stopni.

W biurach brygady zaskoczył go zapach kamfory, toteż zatrzymał się w Sali Soborowej, gdzie Noëlowi siedzącemu w rozpiętej koszuli, z czołem opartym na skrzyżowanych palcach, masowała kark komisarz Retancourt. Jej dłonie przesuwają się od barków do potylicy kolistymi i podłużnymi ruchami, które wprawiały Noëla w iście dziecięcą błogość. Wzdrygnął się, zauważywszy inspektora, i czym prędzej pozapinał koszulę. Retancourt natomiast nie okazała ani cienia zmieszania, spokojnie zakręciła tubkę z pastą, krótko zaszalutowała inspektorowi.

– Za moment jestem do dyspozycji – powiedziała. – Noël, przez dwa, trzy dni uważaj, nie wykonuj gwałtownych ruchów szyją. A jakbyś dźwigał coś cięższego, to raczej w lewej ręce niż w prawej. – Skierowała się ku Adamsbergowi, Noël wyszedł z sali. – Przy tym spadku temperatury – wyjaśniła naturalnym tonem – dostał przykurczu mięśni i kręczy karku.

– Potraficie temu zaradzić?

– Jako tako. Przygotowałam papiery związane z wyjazdem do Quebecu,

formularze są wysłane, wizy załatwione. Bilety na samolot przyjdą po południu.

– Dziękuję, Retancourt. Danglard gdzieś tu jest?

– Czeka na pana. Wczoraj wieczór uzyskał przyznanie się do winy córki Hernoncourta. Adwokat zamierza wnioskować o uznanie przejściowego upośledzenia umysłowego, co zresztą wydaje się prawdą.

Danglard podniósł się na jego widok i z niejakim zakłopotaniem wyciągnął do niego rękę.

– Ty przynajmniej ściskasz mi dłoń – rzekł Adamsberg z uśmiechem. – Bo Trabelmann już tego nie robi za żadne skarby świata. Daj mi do podpisu raport w sprawie Hernoncourta. I gratuluję zamknięcia dochodzenia.

Kiedy podpisywał papiery, Danglard przyglądał mu się badawczo, czy nie ironizował aby, ponieważ Adamsberg odmówił aresztowania barona i wskazał ten trop. Ale nie, na jego twarzy nie było nawet cienia szyderstwa, powinszowania wydawały się szczere.

– Źle poszło w Schiltigheim? – spytał nadkomisarz.

– Z jednej strony bardzo dobrze. Nowy przecinak i linia ran długości szesnastu siedem centymetra, szeroka na osiem milimetrów. Tak jak mówiłem: ten sam pręt poprzeczny. Winny to królik bez norki, niegroźny i schlany, wymarzony łup dla sokoła. Przed tragedią jakiś starzec przyszedł go dobić. Rzekomy brat w niedoli. Ale wytwornie popijający gorzałkę z kubka, bo nie chciał tknąć butelki naszego króliczka.

– A z drugiej strony?

– Zdecydowanie gorzej. Trabelmann się zaparł. Jego zdaniem uczepliłem się swojego punktu widzenia i w ogóle nie biorę pod uwagę opinii innych. Dla niego sędzia Fulgence to pomnik. Ja zresztą też, ale innego rodzaju.

– Jakiego?

Adamsberg się uśmiechnął.

– Katedra strasburska. Twierdzi, że mam ego wielkie jak katedra.

Danglard gwizdnął cicho.

– Perła architektury średniowiecznej – skomentował. – Z wieżą wysoką na sto czterdzieści dwa metry ukończoną w tysiąc czterysta trzydziestym dziewiątym roku, arcydzieło Johanna Hültza...

Lekkim gestem Adamsberg przerwał ten erudycyjny popis.

– Mimo wszystko to nie byle co – skwitował Danglard. – Porównywać ego do budowli gotyckiej... egotyckiej... Ten Trabelmann to jakiś kawalarz?

– Tak, w porywach. Ale kiedy to mówił, nie było mu do śmiechu, wyrzucił

mnie jak jakiegoś łapserdaka. Na jego usprawiedliwienie muszę dodać, że dowiedział się o śmierci sędziego. Nie bardzo mu się to spodobało. Cóż, zdarzają się ludzie, którym wadzą takie pomysły. – Adamsberg podniósł rękę, by nie dopuścić partnera do słowa. – Pomógł? – zapytał. – Pomógł ci masaż Retancourt?

Danglard poczuł, że znów ogarnia go irytacja.

– No przecież widzę – ciągnął Adamsberg. – Kark masz zaczerwieniony i pachniesz kamforą.

– Miałem kręcz karku. To nie zbrodnia, o ile wiem.

– Przeciwnie. Nie ma nic złego w dogadzaniu sobie i podziwiam talenty Retancourt. Jeśli nie masz nic przeciwko, to skoro wszystko mamy podpisane, pójdę pochodzić. Jestem zmęczony.

Danglard nie wytknął koledze typowej dlań sprzeczności, nie próbował też mieć ostatniego słowa. Skoro Adamsberg chce mieć ostatnie słowo, niech je sobie ma i z nim odejdzie. Nie załatwią swoich konfliktów popisami krasomówczymi.

W Sali Kapituły Adamsberg skinął na Noëla.

– Co z Favre'em? Gdzie jesteście?

– Przesłuchany przez inspektora i zawieszony do zakończenia dochodzenia. Pan ma być jutro o jedenastej na przesłuchaniu u Brézillona.

– Widziałem notatkę.

– Nie byłoby problemu, gdyby pan nie rozbił tej butelki. Favre ma taką naturę, że nie mógł wiedzieć, czy użyje pan ułamka przeciwko niemu czy nie.

– Ja też nie, Noël.

– Proszę?

– Ja też nie – powtórzył Adamsberg spokojnie. – W sumie teraz też nie wiem. Raczej bym go nie zaatakował, ale pewności nie mam. Ten kretyń doprowadził mnie do szewskiej pasji.

– Kurde, szefie, niech pan takich rzeczy nie mówi przy Brézillonie, bo będzie pan ugotowany. Favre będzie się trzymał swojej wersji, że działał w obronie koniecznej, a pan może mieć kłopoty. Utrata wiarygodności i zaufania, zdaje pan sobie sprawę?

– Zdaję sobie – przyznał Adamsberg zdziwiony jego troską, o którą nigdy dotąd by go nie podejrzewał. – Ostatnio łatwo wyprowadzić mnie z równowagi. To dlatego, że dźwigam na barkach zjawę, a niewygodnie z nią chodzić.

Noël był przyzwyczajony do niezrozumiałych aluzji inspektora, toteż pominął jego słowa milczeniem.

– Do Brézillona nic z tych rzeczy niech pan nie mówi – podjął z niepokojem. –

Żadnych spowiedzi, żadnych introspekcji. Niech pan powie, że rozbił butelkę, by zrobić wrażenie na Favrze. I że chciał ją pan rzucić na podłogę oczywiście. Myśmy wszyscy tak myśleli i tak będziemy zeznawali.

Komisarz patrzył Adamsbergowi w oczy, oczekując jego zgody.

– W porządku, Noël.

Ściskając mu dłoń, Adamsberg miał osobliwe wrażenie, że na krótko ich role się odwróciły.

XIII

Adamsberg długo chodził zimnymi ulicami, przytrzymując z przodu poły kurtki, z torbą podróżną na ramieniu. Przeszedł na drugi brzeg Sekwany, później bez konkretnego celu maszerował w kierunku północnym, zmagając się z kłębowiskiem myśli. Chętnie by wrócił do spokoju tamtej chwili sprzed trzech dni, kiedy przyłożył rękę do zimnego kotła centralnego ogrzewania. Wydawało mu się, że od tej pory wszystko dokoła się porozpryskiwało jak paląca papierosa ropucha. Jak kilka fajczących razem ropuch, które rozprysły się w niedługich odstępach czasu. Chmura wnętrzości rozlała się na wszystkie strony i teraz czerwonym deszczem spadała pomieszanymi obrazami. Wyłonienie się sędziego jak torpeda, nieumarłego, trzy rany ze Schiltigheim, wrogość jego partnera, twarz brata, strasburska wieża wysoka na sto czterdzieści dwa metry, księżę przemieniony w smoka, ułomek butelki nastawiony na Favre'a. A także napady złości – na Danglarda, na Trabelmanna i przewrotnie również na Camille, która go zostawiła. Nie. To on zostawił Camille. Stawiał sprawy na odwrót, jak księcia i smoka. Złość na wszystkich. A więc także złość na siebie, rzekłby spokojnie Ferez. Odchrząń się, Ferez.

Przystanął, kiedy sobie uświadomił, że w chaosie tych myśli zastanawia się właśnie, czy gdyby wepchnął całego smoka przez drzwi katedry strasburskiej, budowla by go wciągnęła i puch, puch, puch eksplodowałaby? Oparł się o latarnię, sprawdził, czy nigdzie w pobliżu nie czyha na niego wizerunek Neptuna, i przetaił twarz dłonią. Był zmęczony, rana mu doskwierała. Połknął dwie tabletki, nie popijając, rozejrzał się i stwierdził, że nogi zanosły go aż do Clignancourt.

A zatem szlak miał wytyczony. Skręciwszy w prawo, ruszył do starego domku Clémentine Courbet skulonego w głębi uliczki na obrzeżach pchłego targu. Nie widział staruszki od roku, od głośnej sprawy odwróconych czwórek. I nie sądził, że jeszcze kiedyś ją zobaczy.

Zapukał w drewniane drzwi nagle szczęśliwy, licząc, że staruszka będzie w domu, że będzie się krzątała po mieszkaniu lub na strychu. I że go pozna.

Otworzyły się drzwi i stanęła w nich tęga kobieta w kwiecistej sukience i w wyblakłym niebieskim fartuchu kuchennym.

– Przepraszam, że nie podaję ręki, inspektorze – rzekła Clémentine,

podsuwając mu przedramię – ale właśnie kucharzę.

Adamsberg uścisnął przedramię staruszki, która wytarła o fartuch umączone ręce i wróciła do pieca. Poszedł za nią uspokojony. Clémentine niczemu się nie dziwiła.

– Niechże pan odstawi torbę – powiedziała – i siądzie sobie wygodnie.

Adamsberg usiadł na krześle kuchennym i przyglądał się jej krzątaniu. Na stole leżało rozwałkowane ciasto, z którego Clémentine szklanką wycinała krążki.

– Na jutro – wyjaśniła. – Ciastka, bo mi się kończą. Niech pan się poczęstuje z puszki, to resztką. A potem niech nam pan naleje po kieliszeczku porto, nie zaszkodzi panu.

– Czemu tak pani myśli?

– A bo ma pan strapienie. Wie pan, że ożeniłam wnuka?

– Z Lizbeth? – spytał Adamsberg, nalewając sobie porto i biorąc ciastko z puszki.

– Ano. A pan?

– Ja zrobiłem odwrotnie.

– Coś takiego! Dokuczała panu? Takiemu pięknemu mężczyźnie?

– Przeciwnie.

– Czyli pan jej dokuczał?

– Tak.

– Niedobrze – oznajmiła staruszka, upijając trzecią część swojego porto. – Taka miła dziewczuszka.

– Skąd pani wie?

– Jakże to? Dość czasu przesiedziałam w pana komisariacie. Jak nie ma co robić, gra się w coś, rozgląda, gada...

Clémentine wstawiła ciastka do starego piekarnika na gaz, zamknęła skrzypiące drzwiczki i ze zmarszczoną brwią zajrzała do środka przez zadymioną szybkę.

– Tak to już jest – podjęła – że kto ugania się za dziewczynami, podnosi raban, jak trafi na tę jedyną, nie? Do narzeczonej ma o to pretensje.

– Znaczy że co?

– Znaczy że ta miłość przeszkadza mu dalej uganiać się za innymi. I za to narzeczoną trzeba ukarać.

– W jaki sposób ją karze?

– Do licha, pokazując jej, że ją zdradza na prawo i lewo. Wtedy panna uderza w szloch, a jemu się to nie podoba. Nie dziwota, nikt nie lubi patrzeć się na łyzy. No i ją zostawia.

– Co potem? – spytał Adamsberg słuchający uważnie, jakby staruszka snuła jakąś niezwykłą epopeję.

– A chodzi wkurzony, bo stracił pannę. I przejrzał na oczy, że bałamucić inne to jedno, a kochać to co innego. Dwie różne rzeczy.

– Dlaczego dwie?

– A bo uganianie się za pannami to żadne szczęście dla mężczyzny. A miłość w tym uganianiu przeszkadza. No więc taki podrywacz tu skubnie, tam skubnie, ale nigdy nie jest zadowolony. I raz pannie się dostanie, raz jemu.

Clémentine otworzyła drzwiczki piekarnika, zajrzała do środka, zamknęła.

– To wszystko prawda – przyznał Adamsberg.

– Nie trzeba mieć szkół, żeby to pojąć – odparła, zamaszystym ruchem przecierając stół ścierką. – Odsmażę żeberka wieprzowe.

– Czemu w ogóle podrywacz podrywa?

Staruszka podparła się dużymi pięściami pod boki.

– No bo tak jest łatwiej. Żeby kochać, trzeba dać coś z siebie, za to przy uganianiu się za innymi nie ma tego obowiązku. Lubi pan żeberka z fasolką szparagową? Sama ją obierałam.

– Mam tu jeść?

– Akurat pora. Musi się pan dobrze odżywiać, pośladków prawie pan już nie ma.

– Nie chcę pani wyjadać żeberek.

– Mam dwa kawałki.

– Wiedziała pani, że przyjdę?

– E, no, nie prorokuję przecież. Znajoma chwilowo u mnie mieszka. Ale dzisiaj wróci bardzo późno. Nawet przez to byłam trochę zła o te żeberka. Zjadłabym jutro drugą porcję, choć nie lubię wieprzowiny dwa dni pod rząd. Nie wiem czemu, ot, tak mi się ubzdurało. Dorzucę dREW do ognia, popilnuje pan piekarnika?

Główne pomieszczenie, niewielkie i zagracone starymi kwiecistymi fotelami, ogrzewał tylko kominek. Na resztę domu musiały wystarczyć dwa piece na drewno. Temperatura w pokoju nie przekraczała 15 stopni. Adamsberg nakrył do stołu, gdy Clémentine podsycala ogień.

– Nie w kuchni – sprzeciwiła się, zabierając talerze. – Skoro mam światowego gościa, choć raz rozsiądziemy się w salonie. Niech pan dopije porto, dodaje sił.

Adamsberg posłusznie wykonywał wszystkie polecenia – i faktycznie, okazało się, że całkiem przyjemnie siedzi się przy stole w saloniku, plecami do ognia na kominku. Clémentine nałożyła mu jedzenie na talerz i nie pytając, po brzegi nalala wina do kieliszka. Założyła sobie pod szyję serwetkę w kwiaty, drugą podała Adamsbergowi, który zrobił to samo.

– Pokroję panu mięso – powiedziała. – Z tą ręką sam pan nie da rady. To też daje panu do myślenia?

– Nie, w tej chwili za bardzo nie myślę.

– Jak się nie myśli, zawsze są z tego kłopoty. Głowa jest od tego, żeby ją sobie łamać, synku. Wadziłoby panu, gdybym mówiła panu po imieniu?

– Nie, skądże.

– No, dość tych dyrdymałów – rzekła Clémentine, wracając na swoje miejsce.

– Mów, co się stało? Narzeczona wzięła i poszła?

– W tej chwili mam skłonność do atakowania wszystkich.

– I stąd ta ręka?

– Na przykład.

– Widzisz, synku, nie zawsze jestem przeciwko awanturom, bo to oczyszcza nerwy. Ale jeśli dotąd się nie awanturowałeś, o, to warto pogłówkować. Albo to się wiąże z przykrościami po odejściu panny, albo z czym innym, albo ze wszystkim do kupy. Nie zostawisz chyba tych żeberek, hę? Talerz ma być pusty. Nie jesz, a potem tracisz pośladki. Przyniosę ryż na mleku. – Po chwili postawiła przed Adamsbergiem miseczkę z deserem. – Jakbyś u mnie pobyl dwa tygodnie, ładnie bym cię podtuczyła – oznajmiła. – Co więcej cię trapi?

– Taki jeden nieumarły.

– Aha, no, ale to się może poukładać. Łatwiej z tym sobie poradzić niż z miłością. Co zrobił?

– Zamordował osiem razy i znowu zaczął zabijać. Trójzębem.

– A jak dawno nie żyje?

– Szesnaście lat.

– Gdzie ostatnio zabił?

– Pod Strasburgiem w zeszłą sobotę. Dziewczyne.

– Jakoś mu dokuczyła?

– Nawet go nie znała. To potwór, Clémentine, piękny straszny potwór.

– Ano, może być i tak. Dziewięć trupów Bogu ducha winnych to nie byle co.

– Tyle że nikt mi nie wierzy. Nikt.

– Bo widzisz, synku, ludzie to często zakute łby. Jak się zaprą, niczego nie wbijesz takim do głowy, szkoda fatygi. Jeśliś próbował to zrobić, szargałeś sobie nerwy na darmo.

– Ma pani słuszność.

– Skoro innych mamy już załatwionych – ucięła Clémentine, zapalając grubego papierosa – gadaj, z czym przychodzisz. Przesuniesz nam fotele bliżej kominka? Kto by się spodziewał, że będzie takie zimno, nie? Podobno przyszło z bieguna północnego.

Ponad godzinę Adamsberg relacjonował staruszce fakty, zupełnie nie wiedząc, dlaczego to robi. Przerwało im na chwilę przybycie starej przyjaciółki Clémentine, damy niemal równie wiekowej jak ona, blisko osiemdziesięcioletniej. Była jednak w przeciwieństwie do Clémentine szczupła, drobna i krucha, o twarzy pokrytej regularnymi zmarszczkami.

– Josette, moja droga, poznaj inspektora, o którym ci kiedyś mówiłam. Nie bój się, to nie jest zły chłopak.

Adamsberg odnotował włosy ufarbowane na jasny blond, wytworny kostium i perłowe kolczyki, wspomnienie dawno minionego życia zamożnej mieszczki. Na nogach za to miała kontrastujące z górą ciężkie buty sportowe. Josette nieśmiało się przywitała, po czym drobnym kroczeniem oddaliła się do gabineczku zastawionego komputerami wnuka Clémentine.

– Czego miałyby się bać? – spytał Adamsberg.

– Policjant to nie byle kto – westchnęła Clémentine.

– Przepraszam.

– Wróćmy do twoich spraw, synku, zostawmy Josette. Zeznanie, żeś grał w karty z bratem, to był dobry pomysł. Najprostsze rozwiązania są zwykle najlepsze. A powiedz, ten przecinak nie leży dalej przypadkiem tam, gdzieś go wrzucił? Bo w końcu wypłynie.

Adamsberg podjął opowieść, regularnie dorzucając do kominka i błogosławiąc Bóg wie jaki powiew wiatru, który popchnął go do Clémentine.

– Dureń z tego żandarma – skwitowała Clémentine, wrzucając niedopałek do ognia. – Każdy głupi wie, że księżę z bajki może się przemienić w smoka. Trzeba być ograniczonym gliną, żeby tego nie rozumieć.

Adamsberg pólleżał na starej kanapie, ranną rękę trzymając na brzuchu.

– Dziesięć minut odpocznę, Clémentine, i zbieram się.

– Nie dziwota, żeś zmęczony, bo z tym nieumarłym masz niezły pasztet. Ale trzymaj się swoich przeczuć, synku. Pewności nie ma, że się sprawdzą, ale i nie ma, że się nie sprawdzą.

Clémentine odwróciła się na chwilę, by przegrzebać palenisko, i Adamsberg w tym czasie zasnął głęboko. Staruszka wzięła jeden z koców, które okrywały fotele, i przyrzuciła nim inspektora.

Kiedy udawała się na spoczynek, spotkała Josette.

– Śpi na kanapie – wyjaśniła, do słów dołączając gest. – Ten chłopak nie ma

ostatnio farta. Ale bardziej mnie martwi, że nie ma też pośladeków, zauważyłaś?

- Sama nie wiem, Clémie, nie znałam go wcześniej.
- Nie ma, mówię ci. Trzeba go podpaść.

Inspektor pił kawę w kuchni w towarzystwie Clémentine.

- Przepraszam panią, nie wiem, kiedy usnąłem.
- Nic nie szkodzi. Skoroś spał, synku, znaczy, żeś tego potrzebował. Zjedz drugą grzankę. A skoro idziesz do szefa, trzeba cię doprowadzić do porządku. Przeprasuję ci kurtkę i spodnie, nie możesz iść taki wymiętoszony.

Adamsberg przejechał dłonią po podbródku.

- Weź golarzkę mojego wnuka, jest w łazience – powiedziała, zabierając jego ubranie.

XIV

O dziesiątej Adamsberg wyszedł z domu w Clignancourt z pełnym brzuchem, ogolony, w wyprasowanych ciuchach i z umysłem chwilowo oporzędzonym pod dobroczynnym wpływem Clémentine. W wieku osiemdziesięciu sześciu lat staruszka potarfiła dawać, nie licząc. A on? Przywiezie jej coś z Quebecu. Na pewno mają tam ciepłą odzież nieznaną w Paryżu. Jakiś kraciasty kubrak podbity niedźwiedzią skórą do noszenia po domu albo mokasyny z cholewką ze skóry łosia. Coś niespotykanego, jak ona.

Zanim stawił się u przełożonego, wspomniął przestrogi pełnego obawy komisarza Noëla, z którym Clémentine w pełni się zgodziła: „Okłamywanie siebie to jedno, ale okłamywanie policji to czasami konieczność. Nie warto się podkładać dla honoru. Honor to sprawa osobista i gliniarzom nic do tego”.

Inspektor Brézillon buchalteryjnie doceniał wyniki pracy Adamsberga, który o głowę przewyższał innych jego dochodzeniowców. Nie przepadał jednak za nim ani za jego sposobem bycia. Niemniej pamiętał, ile miał przykrości w trakcie nie tak dawnej sprawy odwróconych czwórek, która osiągnęła takie rozmiary, że ministerstwo o mało jego nie przeznaczyło na odstrzał. Jako funkcjonariusz sił porządkowych, ze sztywnym podejściem do kwestii wymiaru sprawiedliwości, Brézillon wiedział, ile zawdzięcza Adamsbergowi. Ale ta bójka z sierżantem narobiła mu kłopotu, przede wszystkim zaś zaskoczyło go takie zachowanie nonszalanckiego młodszego inspektora. Wysłuchał wersji Favre’a i wulgarna tępota sierżanta nadzwyczajnie go zniesmaczyła. Wysłuchał także sześciorga świadków zdarzenia – wszyscy uparcie bronili Adamsberga. Tymczasem szczegół z rozbitą butelką liczył się ogromnie. W policji na policję były nie tylko osoby życzliwe Adamsbergowi, a głos Brézillona miał być decydujący.

Młodszy inspektor Jean-Baptiste Adamsberg w oszczędnych słowach przedstawił swoją wersję faktów, w której rozbita flaszka miała złamać butę Favre’a, podziałać jako napomnienie. „Napomnienie” – Adamsberg znalazł to słowo, idąc, i uznał, że pasuje do jego kłamstwa. Brézillon wysłuchał go z zatroskaną miną i Adamsberg wyczuł, że raczej skłonny jest mu pomóc wykaraskać się z kłopotów. Jasne jednak było, że klamka jeszcze nie zapadła.

– Ostrzegam was, inspektorze, i to poważnie – oświadczył Brézillon, kiedy się

rozstawali. – Dochodzenie potrwa z miesiąc albo dwa. Żeby mi do tej pory nie było żadnych wybryków, niesubordynacji, zgrzytów. Macie przycupnąć, rozumiecie?

Adamsberg przytaknął.

– I gratuluję zakończenia sprawy Hernoncourta – dorzucił Brézillon. – Ta rana nie będzie wam przeszkadzała w stażu w Quebecu?

– Nie. Lekarz mnie poinstruował co i jak.

– Kiedy wyjazd?

– Za cztery dni.

– Nieźle się składa. Przynajmniej o was zapomną.

Po tych dwuznacznych słowach na pożegnanie Adamsberg wyszedł zamysłony z gmachu przy quai des Orfèvres. „Macie przycupnąć, rozumiecie?” Trabelmann by się zaśmiał. Wieża strasburska, sto czterdzieści dwa metry. „A toś mnie ubawił, Adamsberg, ale dobre i to”.

O czternastej siedmiu uczestników stażu w Quebecu zebrało się w celu wysłuchania instrukcji technicznych i dotyczących zachowania. Adamsberg rozdał im odbitki rozpiski stopni i insygniów Kanadyjskiej Żandarmerii Królewskiej, których sam jeszcze się nie nauczył.

– Nie popełnić nietaktu, to rozkaz dotyczący wszystkich – zaczęła. – Zapamiętać insygnia. Będziecie mieli do czynienia z kapralami, sierżantami, inspektorami i nadintendentami. Oficer, który nas powita, to naczelny nadintendent Aurèle Laliberté pisane razem.

Parę osób się roześmiało.

– Właśnie tego należy unikać: śmiechu. Ich nazwiska i imiona różnią się od naszych. Poznacie w GRC ludzi, którzy się nazywają Ladouceur, Lafrance, a nawet Louisseize. Żadnych śmiechów. Poznacie osoby o imieniu Ginette albo Philibert młodsze od siebie. Nie wolno wam się śmiać, tak samo jak z ich akcentu, słownictwa i sposobu mówienia. Kiedy oni mówią szybko, niełatwo ich zrozumieć.

– Na przykład? – spytał skrupulatny Justin.

Adamsberg zwrócił pytające spojrzenie na Danglarda.

– Na przykład coś takiego – odparł nadkomisarz. – „Najsampierw wykaraulę ci fackę, a po tym założę bajer”.

– A co to znaczy? – zagadnął Voisenet.

– Najpierw skuję ci mordę, a potem będę gadał.

– To już wiecie – rzekł Adamsberg. – Postarajcie się to ogarnąć i darujcie sobie ironię w razie czego, żeby cała ta wyprawa nie spaliła na panewce.

– Mieszkańcy Quebecu – wpadł mu w słowo Danglard słabym głosem –

uważają Francję za macierz, ale nie lubią Francuzów, nie ufają nam. Uważają, i słusznie, że jesteśmy pogardliwi, wyniośli i szyderczy, że mamy Quebec za podrzędną prowincję wsioków i drwali.

– Liczę na was – podjął Adamsberg. – Liczę, że nie będziecie się zachowywali jak turyści, w dodatku z Paryża, że nie będzie głośnego komentowania wszystkiego i obgadywania.

– Gdzie będziemy mieszkali? – zagadnął Noël.

– W Hull, sześć kilometrów od GRC. Każdy będzie miał swój pokój z widokiem na rzekę i bernikle. Dostaniemy do dyspozycji samochody służbowe. Bo tam się nie chodzi, tylko jeździ.

Omawianie szczegółów potrwało jeszcze blisko godzinę, po czym wszyscy się rozeszli, pogadując między sobą z zadowoleniem z wyjątkiem Danglarda, który blady ze strachu powlókł się jak skazaniec. Jeżeli szpaki jakimś cudem nie wpadną w lewy silnik w tamtą stronę, na pewno bernikle wpakują się w prawy w drodze powrotnej. A taka bernikla jest z dziesięć razy większa od szpaka. W ogóle wszystko jest w tej Kanadzie większe.

XV

Adamsberg dużą część soboty spędził na obdzwanianiu agencji nieruchomości, których listę – bardzo długą – sporządził, kierując się położeniem w okolicach Strasburga, samym zaś miastem się nie interesując. Żmudna to była robota, a polegała na zadawaniu za każdym razem tych samych, tak samo brzmiących pytań. Czy w niezbyt odległej, ale nieokreślonej przeszłości samotny starszy mężczyzna wynajął albo kupił nieruchomość, a konkretnie duży dom na uboczu? Czy ostatnio ten nabywca wypowiedział wynajem bądź wystawił nieruchomość na sprzedaż?

Dopóki Adamsberg przed szesnastu laty nie zakończył swojej obławy, jego podejrzenia na tyle niepokoiły Trójzęba, że po każdym morderstwie przenosił się gdzie indziej, wymykając się skutecznie. Adamsberg się zastanawiał, czy sędzia, nawet martwy, zachował ów odruch ostrożności. Każde jego miejsce zamieszkania, które Adamsberg poznał, było domem wolno stojącym, luksusowym, typu dworek. Sędzia dysponował znaczną fortuną, toteż każdy dom należał do niego, nie był wynajęty, Fulgence bowiem nie życzył sobie, by właściciel go nachodził.

Bez trudu Adamsberg zgadywał, w jaki sposób Fulgence zgromadził taki kapitał. Jego niezwykle cechy, głębia analiz, groźna skuteczność i wyjątkowa pamięć procesów z ostatnich stu lat, a do tego niezapomniana charyzmatyczna uroda zapewniły mu wielką popularność. Cieszył się reputacją „człowieka, który wie”, był niczym Ludwik Święty rozstrzygający pod dębem, co jest złe, a co dobre. Za takiego mieli go zarówno zwykli ludzie, jak i koledzy po fachu, doprowadzeni do ostateczności bądź poirytowani jego nadzwyczajnymi wpływami. Nieposzlakowany urzędnik wymiaru sprawiedliwości nigdy nie wykraczał poza granice prawa i deontologii. Ale jeśli przy okazji jakiegoś procesu naszała go ochota, wystarczyło, że subtelnym ruchem dał do zrozumienia, ku której stronie się skłania, a natychmiast się to rozchodziło i pozostali sędziowie składu stawali za nim jak jeden mąż. Adamsberg podejrzewał, że nieraz bliscy oskarżonego, a nawet prawnicy sownie płacili sędziemu, aby jego preferencje przechyliły się raczej na tę niż na drugą stronę.

Już ponad cztery godziny uparcie, choć bez efektu wydzwaniał do agencji. Dopiero za czterdziestym drugim razem młody człowiek przyznał, że istotnie sprzedał

kiedyś rezydencję otoczoną parkiem, położoną między Haguenau i Brumath.

– Ile kilometrów od Strasburga?

– Dwadzieścia trzy w linii prostej na północ.

Właściciel, niejaki Maxime Leclerc, kupił posiadłość – Der Schloss, Zamek – prawie cztery lata wcześniej i wystawił ją na sprzedaż poprzedniego rana z nagłych przyczyn zdrowotnych. Wyprowadził się natychmiast, agencja dopiero co otrzymała klucze.

– Osobiście je przekazał? Widział go pan?

– Przyniosła je gosposia. W agencji nikt nigdy go nie widział. Kupił majątek za pośrednictwem swojego prawnika, korespondencyjnie, wszystkie dokumenty przesyłano pocztą. W tamtym czasie pan Leclerc nie mógł podróżować z powodu komplikacji pooperacyjnych.

– O... – rzekł tylko Adamsberg.

– To legalne, inspektorze. Policja potwierdziła zgodność dokumentów.

– A zna pan może nazwisko i adres tej gosposi?

– Pani Coutellier z Brumath. Mogę zdobyć namiary na nią.

Denise Coutellier wrzeszczała do telefonu, by przekrzyczeć gromadę wykłócających się dzieci.

– Czy mogłaby pani opisać swojego pracodawcę? – poprosił Adamsberg donośnie, mimowolnie dostosowując się do niej.

– Znaczy wie pan – odkrzyknęła – nigdy go nie widziałam. Przychodziłam na trzy godziny w poniedziałek rano i na trzy godziny we czwartek, w tym samym czasie co ogrodnik. Szykowałam jedzenie, zostawiałam zapasy na następne dni. Uprzedził mnie, że go nie będzie, to był człowiek bardzo zajęty. Miał coś wspólnego z sądem gospodarczym.

Oczywiście, pomyślał Adamsberg. Niewdzialna zjawia.

– W domu były książki?

– Bardzo dużo. Ale nie powiem panu jakie.

– Gazety?

– Miał prenumeratę. Przychodził dziennik i „Les Nouvelles d’Alsace”.

– Poczta?

– To nie należało do mnie, a biurko było zawsze zamknięte. Nic dziwnego, sąd... Jego wyjazd był prawdziwym zaskoczeniem. Napisał mi miły liścik, w którym dziękował za wszystko, życzył mi pomyślności, zostawił też instrukcje i szczodłą odprawę.

– Jakie instrukcje?

– Żebym przyszła w sobotę zrobić generalne sprzątanie, obojętne jak długo potrwa, bo Zamek będzie wystawiony na sprzedaż. Potem miałam zanieść klucze do agencji. Byłam tam niecałą godzinę temu.

– Liścik napisał odręcznie?

– Ach, nie. Pan Leclerc zawsze pisał do mnie na maszynie. Pewnie to taki zawodowy nawyk.

Adamsberg już miał zakończyć rozmowę, gdy kobieta powiedziała:

– A co do wyglądu, to niełatwo go opisać. Wie pan, tylko raz go widziałam, i to krótko. W dodatku cztery lata temu.

– Kiedy się wprowadzał? Widziała go pani?

– Pewnie. Nie można przecież pracować u kogoś, kogo się nie zna.

– Pani Coutellier – rzekł Adamsberg szybciej – proszę go jak najdokładniej opisać.

– Zrobił coś złego?

– Przeciwnie.

– No, bo bardzo bym się zdziwiła. Schludny, skrupulatny. Przykro, że zapadł na zdrowiu. Tak jak go pamiętam, powiedzmy, że miał koło sześćdziesiątki. A wyglądał... normalnie.

– Proszę spróbować go opisać. Wzrost, waga, włosy...

– Momencik, panie inspektorze.

Denise Coutellier uciszyła dzieci, po czym wróciła do telefonu.

– No więc był nie bardzo wysoki, raczej tęgi, o rumianej twarzy. Włosy... hm, szpakowate, zaczesane do tyłu. Miał brązowy sztruksowy garnitur i krawat, pamiętam też bieliznę.

– Momencik, notuję.

– Ale niech pan jednak uważa – powiedziała kobieta znowu mocno podniesionym głosem – bo pamięć płata figle, prawda? Powiedziałam „nie bardzo wysoki”, ale w sumie mogłam się pomylić. Jego garnitury miały większy rozmiar. Powiedzmy, że raczej na wzrost metr osiemdziesiąt, chociaż zdawało mi się, że ma najwyżej metr siedemdziesiąt. Tęgi człowiek wydaje się niższy. Co do włosów, to mówiłam o szpakowatych, ale w łazience znajdowałam tylko siwe. W ciągu czterech lat można osiwieć, w tym wieku to szybko postępuje. Dlatego mówię, że pamięć i rzeczywistość to dwie różne sprawy.

– Czy przy domu są jakieś budynki gospodarcze, przybudówki?

– Jest dawna stajnia, stodoła i stróżówka. Ale pan Leclerc z nich nie korzystał, nie zajmowałam się nimi. Samochód wstawiał do stajni. A ogrodnik w stodole trzymał narzędzia.

– Potrafiłaby pani powiedzieć, jakiej marki był samochód, jakiego koloru?

– Nigdy go nie widziałam, pana przecież nie było, kiedy przychodziłam. A nie miałam kluczy do budynków gospodarczych, mówiłam panu.

– Czy w samym domu – zaczął Adamsberg, myśląc o cennym trójzębie – miała pani wstęp do wszystkich pomieszczeń?

– Z wyjątkiem strychu, który był zamknięty na stałe. Pan Leclerc mówił, że szkoda czasu na to gniazdo kurzu.

Melina Sinobrodego, powiedziała by komendant Trabelmann. Miejsce zakazane, kryjówka strachów.

Adamsberg popatrzył na zegarek. A raczej na zegarki. Jeden sam sobie kupił dwa lata wcześniej, drugi otrzymał od Camille w Lizbonie – męski zegarek, który wygrała w konkursie ulicznym. I który Adamsberg postanowił nosić jako rękojmię odrodzenia ich związku, i to akurat w przeddzień zerwania. Od tej pory nie zdejmował z przegubu tego drugiego zegarka, wodoszczelnego, wyposażonego w liczne pokrętełka, chronometry i minicyferblaty, których zastosowania nie znał. Jeden zdaje się mógł pokazać, za ile sekund trafi cię piorun. Bardzo przydatne, pomyślał Adamsberg. Nie zrezygnował z noszenia własnego zegarka na skórzanym pasku, trochę za luźnym, tak że stale trącał sąsiada. Od roku miał zatem dwa zegarki na nadgarstku lewej ręki. W brygadzie każdy zwrócił mu na to uwagę, on zaś każdemu odpowiedział, że owszem, także to zauważył. I tak nosił obydwie zegarki, nie wiedząc dlaczego, przez co tracił więcej czasu rano i wieczorem, kiedy je zakładał i zdejmował.

Jeden zegarek wskazywał za minutę trzecia, drugi cztery minuty po trzeciej. Zegarek od Camille się spieszył – Adamsberg nie próbował ustalić, dlaczego tak się dzieje, ani wyregulować ich. Odpowiadała mu ta różnica w czasie, wyciągał sobie z niej średnią, która jego zdaniem była właściwą godziną. A więc w tej chwili półtorej minuty po trzeciej. Zdąży złapać pociąg do Strasburga.

Wydelegowany przez agencję nieruchomości młody człowiek, którego zielone zdziwione oczy przypomniały Adamsbergowi sierżanta Estalère'a, odebrał go ze stacji w Haguenau o 18.47 i zawiózł do Zamku Maxime'a Leclerca, rozległej posiadłości otoczonej lasem sosnowym.

– Sąsiadów tu nie uświadczy, he? – powiedział Adamsberg, zaglądając do każdego pomieszczenia w pustym domu.

– Pan Leclerc zaznaczył, że przede wszystkim zależy mu na spokoju. To wielki samotnik. Spotykamy takich w tym fachu.

– Tak pan myśli? Że to odludek?

– Albo życie dało mu popalić – zaryzykował młody człowiek – i wolał mieszkać z dala od świata. Pani Coutellier mówiła, że miał dużo książek. Czasami to dowód.

Ze względu na rękę na temblaku Adamsberg skorzystał z pomocy młodego człowieka i długą chwilę poświęcił, by zebrać odciski palców tam, gdzie miał nadzieję, iż pani Coutellier nie użyła szmaty, szczególnie z drzwi, klamek i włączników światła. Na strychu podłoga była z nieheblowanych desek, z których niewiele dało się odczytać. Ale pierwsze sześć metrów nie sprawiało wrażenia powierzchni nietkniętej od czterech lat, ledwie dostrzegalne nierówności naruszały równą poza tym warstwę kurzu. Pod belką od ciemnej podłogi odcinała się odrobinę jaśniejsza linia. Ostrożnie można było przyjąć, że jeśli ten człowiek chował gdzieś trójząb, to na przykład tutaj, gdzie zostało po nim ulotne wspomnienie. Szczególną uwagą obdarzył Adamsberg przestronną łazienkę. Pani Coutellier nie żałowała rano ścierki, lecz wielkość pomieszczenia dawała niejaka nadzieję. Istotnie w wąskiej szparze między stopą umywalki a ścianą zebrał nieco zbitego kurzu, w którym pozostało kilka matowych siwych włosów.

Młody człowiek z agencji, cierpliwy, acz zdziwiony, otworzył mu stodołę, potem stajnię. Klepisko w niej pozamiatano, tak że nie było widać żadnych śladów opon. Maxime Leclerc zniknął niczym eteryczna zjawia.

Szyby w stróżówce pokrywała warstwa brudu, lecz domek wcale nie był nieużywany, jak sądziła pani Coutellier. Zgodnie z oczekiwaniami Adamsberga pewne znaki zaświadczały, że ktoś tam bywał: brud na posadzce naruszony, czysty fotel wiklinowy, a na jedynej półce delikatne ślady, prawdopodobnie po paru stertach książek. Tam właśnie krył się Maxime Leclerc na trzy godziny w poniedziałek i w czwartek, czytając w fotelu z dala od wzroku gosposi i ogrodnika. Fotel ów i czytanie w samotności przypomniały Adamsbergowi ojca rozkładającego gazetę z fajką w dłoni. Tamto pokolenie powszechnie paliło fajkę – przypomniawszy sobie, że sędzia też ją miał, z pianki morskiej, jak z podziwem mawiała jego matka.

– Czuje pan? – odezwał się do towarzyszącego mu młodego człowieka. – Czuje pan ten zapach? Słodkawy zapach tytoniu fajkowego?

Tutaj fotel, stolik i klamki u drzwi powycierano z wiele mówiącą starannością. Chyba że, powiedziałaby Danglard, niczego nie wytarto, bo umarli nie zostawiają odcisków palców, ot co. Najwyraźniej jednak czytają jak wszyscy.

Adamsberg zwolnił pracownika agencji po wpół do dziesiątej wieczorem na

dworcu w Strasburgu, gdzie młody człowiek czuł się zobowiązany go zawieźć, ponieważ o tej porze z Haguenau nie odjeżdżał już żaden pociąg. Tym razem skład do Paryża odjeżdżał za sześć minut, toteż inspektor żadną miarą nie zdążyłby sprawdzić, czy jakiś smok nie utknął przypadkiem we wrotach katedry. Byłoby o tym głośno, uznał.

Przez całą drogę robił notatki, zapisując bez ładu i składu wszystkie szczegóły zauważone w Zamku. Cztery lata, które Maxime Leclerc w nim spędził, nosiły znamiona największej dyskrecji. Dyskrecji, która nadzwyczajnie współgrała z jego ulotnieniem się, wymownym zniknięciem.

Tęgi człowiek, z którym rozmawiała pani Coutellier, nie był Maxime'em Leclerkiem, lecz jednym z jego totumfackich oddelegowanym z tą krótką misją. Sędzia dysponował znaczącą armią ludzi na swoje usługi, poszatowaną siecią, którą zbudował sobie w ciągu długich lat sprawowania urzędu. A to odroczenie wyroku, a to łagodne orzeczenie czy ukrycie jakiegoś faktu i podsądny uzyskiwał uniewinnienie lub krótką karę więzienia. Tyle że trafiał wówczas do koszyka dłużników, z którego Fulgence czerpał później w zależności od potrzeb. Sieć ta rozpościerała się wszędzie, zarówno w świecie przestępczym, jak i zamożnych mieszczan, biznesmenów, urzędników, a nawet w policji. Załatwienie sobie fałszywych dokumentów na nazwisko Maxime'a Leclerca nie stanowiło żadnej trudności dla Trójzęba. Podobnie jak rozesłanie swoich wasali po całej Francji w razie potrzeby. Albo ściągnięcie na określoną godzinę grupy ludzi w celu błyskawicznej przeprowadzki. Żaden z zakładników sędziego nie mógł się wyzwolić spod jego pieczy, nie wyjawiając swojej przewiny i nie ryzykując wznowienia procesu. Właśnie jeden z takich ongiś uniewinnionych wcielił się na chwilę w rolę właściciela Zamku, by porozmawiać z gospożą. Następnie sędzia Fulgence wprowadził się tam jako Maxime Leclerc.

Adamsberg rozumiał przeprowadzkę sędziego, zdziwiło go natomiast, że odbyła się tak szybko. Tak wielki pośpiech z wystawieniem na sprzedaż posiadłości i opuszczeniem domu nie bardzo przystawał do ogromnej przeczności Fulgence'a. Chyba że zaskoczyło go coś nieoczekiwanego. Z pewnością nie Trabelmann, który nie miał pojęcia, pod jakim nazwiskiem występuje.

Adamsberg zmarszczył brwi. Co to powiedział Danglard właśnie o tożsamości sędziego, o jego nazwisku? Coś po łacinie, jak wiejski proboszcz. Zrezygnował z telefonu do kolegi, który z powodu Camille, nieumarłego i lotu samolotem co dzień darzył go większą wrogością. Postanowił pójść za radą Clémentine i zaczął szperać we własnej głowie. To było u niego po incydencie z butelką. Danglard popijał jałowcówkę i rzucił coś w stylu, że nazwisko Fulgence pasuje do sędziego „jak ulał”. I Adamsberg zgodził się z nim.

Fulgence od *fulgur*, grom, błyskawica, tak powiedział Danglard. A Leclerc pewnie też od jakiegoś łacińskiego słowa, które dało po francusku *éclair*, jasność, błyskawica. *L'éclair*, Leclerc. I jeśli się nie mylił, „Maxime” znaczyło coś jak „największy”. Maxime Leclerc. Największy, najjaśniejszy. Największa jasność, błyskawica. Sędzia Fulgence nie mógł nosić nazwiska świadczącego o skromności.

Pociąg zaczynał hamować przed wjazdem na Gare de l'Est. Pycha doprowadza do upadku największych, pomyślał Adamsberg. I dzięki temu on dopadnie sędziego. O ile jego katedra wznosiła się gotycko na wysokość stu czterdziestu dwóch metrów, co pozostawało do udowodnienia, o tyle budowla Fulgence'a musiała sięgać chmur. Na tych wyżynach sędzia stanowił swoje prawo, rzucał sierpy ze złota w polu kwitnącym gwiazdami. Jego brata jak tylu innych cisnął na pastwę sądów i do celi. Adamsberg poczuł się naraz bardzo malutki. „Macie przycupnąć”, polecił Brézillon. Cóż, to właśnie robił, aczkolwiek w torbie wiozł kilka włosów, które wypadły umarłemu.

XVI

We wtorek 14 października grupa ośmiorga uczestników misji quebeckiej czekała na wejście na pokład boeinga 747, start o 16.40, przewidywane lądowanie o północy, godzina 18.00 czasu lokalnego. Adamsberg czuł, że powtarzane w głośnikach miękkim głosem słowa „przewidywane lądowanie” ścisną Danglerdowi żołądek. Uważnie go obserwował od dwóch godzin, odkąd kręcili się po porcie w Roissy.

Reszta ekipy jakby odmłodziła w niezwykłych okolicznościach, w których brygada kryminalna przeobraziła się w grupkę podnieconych nastolatków. Adamsberg zerknął na komisarz Froissy, kobietę zasadniczo dość wesołą, lecz jeszcze niezupełnie w sosie po potężnym dołku – zawód miłosny, jak usłyszał w Plotkarni. Choć Froissy nie podzielała dziecięcego podniecenia kolegów, wyglądało na to, że odmiana dobrze jej robi, zauważył nawet, że uśmiechnęła się kilka razy. Za to Danglerd!... Wydawało się, że niepodobna wyrwać nadkomisarza z ponurych przewidywań. Jego wysoka postać, z przyrodzenia obwisła, miękła jeszcze bardziej, w miarę jak zbliżała się godzina odlotu. Jakby nogi odmawiały mu posłuszeństwa, siedział niczym przyspawany do metalowego wyprofilowanego krzeselka, które na oko zassało go niczym miska z wodą. Trzy razy Adamsberg widział, jak sięga do kieszeni i wkłada jakąś tabletkę do bezbarwnych ust.

Świadomi jego złego samopoczucia koledzy dyskretnie udawali, że go nie widzą. Skrupulatny Justin, który zawsze wstrzymywał się z wyrażeniem własnego zdania w obawie, że sprawi komuś przykrość lub podważy czyjś pomysł, teraz na przemian dowcipkował i gorączkowo przeglądał quebeckie insygnia policyjne. W odróżnieniu od Noëla, ciągle w ruchu, szybkiego, wtrącającego się do wszystkiego. On tylko czekał, żeby coś się działo, toteż przy okazji podróży był w swoim żywiole. Podobnie jak Voisenet. Ten był chemik i przyrodnik oczekiwał po pobycie w Quebecu narzędzi naukowych, ale także wszelkiego rodzaju przeżyć natury geologicznej i zoologicznej. Dla Retancourt oczywiście nie było żadnego problemu, ta kobieta urodziła się do adaptacji, znakomicie się wpasowywała w każde okoliczności. Jeśli chodzi o młodego nieśmiałego Estalère'a, to jego duże zielone zawsze zdziwione oczy tylko szukały czegoś nowego i ciekawego, na czym mogłyby spocząć. Potem zdziwienia w nich było jeszcze więcej. Krótko mówiąc, uznał Adamsberg, każdy widzi jakąś korzyść dla siebie albo poluzowanie dyscypliny, co skutkuje hałaśliwym kolektywnym podnieceniem.

Jeden Danglerd się z tego wyłamywał. Swoje pięcioro dzieci wraz z Kulką oddał pod opiekę życzliwej sąsiadki z szóstego piętra i od tej strony wszystko byłoby w porządku, gdyby nie perspektywa, że je osieroci. Adamsberg kombinował, jak by tu wyrwać partnera spod wpływu narastającej paniki, lecz nadwątlone stosunki niewiele pozostawiały miejsca na pociechę. Chyba żeby, pomyślał Adamsberg, zaatakować mury od drugiej strony: sprowokować go, zmusić do działania. A cóż może być lepszego od relacji z wizyty u zjawy w Zamku? Jasne, nic bardziej nie wkurzy Danglerda, a złość jest o wiele pewniejszym niż strach sposobem na stymulację i odwrócenie uwagi. Od dłuższej chwili z uśmiechem to rozważał, gdy wezwanie pasażerów rejsu do Montrealu-Dorval poderwało wszystkich na nogi.

Miejsca zajmowali obok siebie w połowie boeinga, Adamsberg zaś postarał się, by Danglerd siedział po jego prawej stronie, jak najdalej od iluminatora. Demonstrowana przez promienną stewardesę instrukcja postępowania w razie wybuchu, rozszczelnienia kabiny, upadku maszyny do morza i radosnej ewakuacji trapami wcale nie poprawiła sytuacji. Danglerd po omacku zaczął szukać swojej kamizelki ratunkowej.

– Przestań – rzekł mu Adamsberg. – Jak pierdyknie, wylecimy przez okno, nawet tego nie czując, rozbryźniemy się jak ropucha, puch, puch, puch i eksplozja.

Nic, zero reakcji na bladej twarzy nadkomisarza.

Kiedy maszyna podkołowała na pas i tam się zatrzymała, a po chwili silniki ryknęły pełną mocą, Adamsberg pomyślał, że naprawdę straci partnera, który eksploduje zupełnie jak ta przeklęta ropucha. Podczas całego startu i wznoszenia Danglerd siedział z palcami kurczowo wbitymi w poręczę fotela. Adamsberg poczekał, aż samolot osiągnie wysokość przelotową, i spróbował zająć czymś kolegę.

– Tutaj – zaczął tłumaczyć – masz ekran. Puszczają dobre filmy. Jest też kanał kulturalny. O widzisz – dodał, zaglądając do programu – nadają dokument o początkach włoskiego odrodzenia. Ciekawe, co? Włoskie odrodzenie.

– Znam – burknął Danglerd z nieruchomym wzrokiem i palcami wciąż wczepionymi w poręczę.

– Ale początki?

– Też znam.

– Możesz włączyć sobie radio, jest dyskusja o koncepcji estetyki według Hegla. Warto chyba posłuchać, nie?

– Znam – powtórzył Danglerd ponuro.

Cóż, skoro ani początki odrodzenia, ani Hegel nie zdołały zainteresować Danglerda, sytuacja jest poniekąd rozpaczliwa, uznał Adamsberg. Zerknął na swoją

sąsiadkę z drugiej strony, Hélène Froissy, która z twarzą zwróconą do iluminatora już zasnęła albo pogrążyła się w smutnych rozmyślaniach.

– Danglard, wiesz, co robiłem w sobotę? – zagadnął Adamsberg.

– Nie obchodzi mnie.

– Wskoczyłem obejrzeć ostatnie domostwo naszego nieboszczyka sędziego. Niedaleko Strasburga. Domostwo, które jak przechodzimur opuścił sześć dni po morderstwie w Schiltigheim.

W obwisłych rysach twarzy nadkomisarza Adamsberg spostrzegł jakby leciutkie drżenie, co uznał za reakcję zachęcającą.

– Opowiem ci.

Adamsberg snuł i snuł swoją relację, nie pomijając żadnego szczegółu, z detalami opisując strych Sinobrodego, jego stajnię, stróżówkę, łazienkę, o właścicielu mówiąc zawsze „sędzia” albo „nieboszczyk”, albo „zjawa”. Gniewu w sobie nadkomisarz nie zdołał wykrzesać, pojawiało się za to na jego obliczu niezadowolenie wymieszane z zainteresowaniem.

– Ciekawe, prawda? – rzekł na koniec Adamsberg. – Niewidzialny dla wszystkich, obecny, a jakby go nie było.

– Odludek – skwitował Danglard opanowanym głosem.

– Odludek, który tak zaciera za sobą ślady? Który zostawia po sobie, a i to wyłącznie przez pechowe przeoczenie, ledwie kilka śnieżnobiałych włosów?

– Nic z tymi włosami nie zdziałasz – mruknął Danglard.

– Zdziałam, zdziałam. Mogę je porównać.

– Niby z czym?

– Z włosami pobranymi z grobu sędziego w Richelieu. Wystarczy wystąpić o zgodę na ekshumację. Włosy długo zachowują strukturę. Przy odrobinie szczęścia...

– Co to? – przerwał mu Danglard zmienionym głosem, prostując się. – Co to za świst?

– System regulacji ciśnienia w kabinie, to normalne.

Danglard z przeciągłym westchnieniem na powrót oparł się w fotelu.

– Nie mogę sobie przypomnieć, co to mówiłeś na temat znaczenia nazwiska Fulgence’a – skłamał Adamsberg.

– Od *fulgur*, grom, błyskawica – nie oparł się Danglard. – Albo od czasownika *fulgeo*, jaśnieć, lśnić, świecić się. W znaczeniu przenośnym błyszczeć, być sławnym, brylować.

Adamsberg zarejestrował nowe znaczenia, które jego partner wykopywał ze swoich zasobów wiedzy.

– A „Maxime”? Co byś powiedział o imieniu „Maxime”?

– Nie mów, że nie wiesz – gderliwie odparł Danglard. – Od łacińskiego *maximus*, największy, najważniejszy.

– Jeszcze ci nie zdradziłem, pod jakim nazwiskiem nasz człowiek kupił Zamek. Jesteś ciekawy?

– W ogóle.

Danglard od początku był w pełni świadom, że Adamsberg ze wszystkich sił stara się odwieść jego myśli od obaw, i chociaż złościła go ta historia z Zamkiem, był mu wdzięczny za troskę. Zostało im tylko sześć godzin i dwanaście minut lotu. Byli teraz nad Atlantykiem i jeszcze dobrą chwilę zejdzie, zanim się znajdą nad lądem.

– Maxime Leclerc. Co powiesz na to?

– Że Leclerc to bardzo popularne nazwisko.

– Nie udawaj, Danglard. Maxime Leclerc: największy, najjaśniejszy, błyskotliwy. Sędzia nie zdecydował się przybrać pospolitego nazwiska.

– Można się bawić słowami jak cyframi, sprawiać, żeby mówiły, co tylko ci się zamarzy. Można je naciągać w nieskończoność.

– Gdybyś nie czepiał się tak kurczowo swojej racjonalności – obstawał przy swoim Adamsberg z czystej chęci prowokacji – przyznałbyś, że mój pogląd na sprawę Schiltigheim zawiera pewne interesujące tezy.

Inspektor zatrzymał dobrego ducha pod postacią stewardesy, która roznosiła kubki z szampanem, a patrzący niewidzącym wzrokiem Danglard nawet jej nie zauważał. Ponieważ Froissy podziękowała za alkohol, wziął dwa kubki i wetknął je Danglardowi w dłoń.

– Pij – rozkazał. – Obydwa dla ciebie, ale masz pić po jednym, jak obiecałeś.

Danglard kiwnął głową z niejaką wdzięcznością.

– Bo z mojego punktu widzenia – podjął Adamsberg – pewności nie ma, że się sprawdzą, ale i nie ma, że się nie sprawdzą.

– Kto ci to powiedział?

– Clémentine Courbet. Pamiętasz ją? Byłem u niej niedawno.

– Jeżeli zaczynasz się kierować mądrościami starej Clémentine, czarno widzę przyszłość brygady.

– Coś ty taki pesymista, Danglard?... Ale fakt, że nazwiskami można się bawić i bawić. Na przykład moim. Adamsberg, Góra Adama. Pierwszego Człowieka. To dopiero facet, nie? I to na górze. Zastanawiam się, czy nie stąd by się wzięła ta...

– Katedra strasburska – wpadł mu w słowo Danglard.

– Prawda? A twoje nazwisko, Danglard? Co może znaczyć?

– To nazwisko zdrajcy z *Hrabiego Monte Christo*. Prawdziwego łajdaka.

– O, to ciekawe.

– Co więcej – rzekł Danglard, który zdążył opróżnić obydwie kubki szampana – pochodzi od „d’Anglard”, a „Anglard” wywodzi się z germańskiego „Angil-hard”.

– Gadaj, co to znaczy.

– W słowie *angil* są dwa rdzenie: miecz i anioł. A *hard* znaczy twardy.

– Czyli mamy coś w rodzaju Niezłomnego Anioła z Mieczem. O, to o wiele więcej niż jakiś tam samotny Pierwszy Człowiek, który wymachuje rękami na górze. Zdaje się, że katedra strasburska nie jest w stanie stawić czoła twojemu aniołowi zemsty. W dodatku jest zakorkowana.

– Tak?

– Ano. Przez smoka.

Adamsberg zerknął na swoje zegarki. Jeszcze ponad pięć godzin czterdzieści cztery i pół minuty lotu. Czuł, że jest na dobrej drodze, tylko jak długo zdoła tak wytrzymać? W życiu mu się nie zdarzyło gadać przez siedem godzin z rzędu.

Wtem dobrą drogę ucięły jak nożem sygnały świetlne, które zamigotały na przedniej ścianie kabiny.

– Co jest? – zaniepokoił się Danglard.

– Zapnij pas.

– Niby czemu?

– Z powodu dziur w powietrzu. To nic takiego. Może trochę trząść i tyle.

Adamsberg zwrócił się z prośbą do Pierwszego Człowieka z Góry, by zrobił coś ze wstrząsami, zminimalizował je. Ale Pierwszy Człowiek miał inne zajęcia i olał go. A turbulencje, niestety, okazały się silne, maszyna wpadała w kilkumetrowe dziury. Nawet najbardziej zblazowani pasażerowie musieli przerwać lekturę, stewardesy przypinały się do strapontenów, jakaś młoda kobieta krzyknęła. Danglard zacisnął powieki i szybko oddychał. Hélène Froissy obserwowała go z niepokojem. Adamsberg wpadł na pewien pomysł i obrócił się do Retancourt, która siedziała za Danglardem.

– Komisarzu – rzekł cicho między oparciami foteli – Danglard się rozsypuje. Umielibyście zrobić mu jakiś masaż usypiający? Albo jakiś inny, żeby go otumaniał, ogłupił, znieczulił?

Retancourt kiwnęła głową, co Adamsberga niespecjalnie zdziwiło.

– Zadziała – odparła – pod warunkiem że nie będzie wiedział, że ja to robię.

Adamsberg mrugnął porozumiewawczo.

– Danglard – powiedział do kolegi, biorąc go za rękę – trzymaj oczy zamknięte, zajmie się tobą stewardesa.

Dał znak Retancourt, że może robić swoje.

– Niech mu pan rozepnie trzy guziki u koszuli – poprosiła, wyswobodzając się z pasa bezpieczeństwa.

Po czym czubkami palców, szybkimi jak u pianisty dotknięciami samych opuszek, zaczęła wodzić od szyjnej części kręgosłupa do skroni, które lekko uciskała. Froissy i Adamsberg obserwowali jej działania w trakcie turbulencji wstrząsających samolotem, spoglądając to na Retancourt, to na twarz Danglarda. Nadkomisarzowi najpierw uspokoił się oddech, potem twarz mu się rozluźniła i w niecały kwadrans później już spał.

– Zażywał coś na uspokojenie? – zapytała Retancourt, odrywając kolejno palce od szyi nadkomisarza.

– Cały wagon – odparł Adamsberg.

Retancourt popatrzyła na zegarek.

– W nocy pewnie oka nie zmrużył. Pośni co najmniej cztery godziny, możemy być spokojni. Jak się obudzi, będziemy już nad Nową Fundlandią. Bliskość lądu działa uspokajająco.

Adamsberg i Froissy wymienili spojrzenia.

– Zawsze mnie zadziwia – szepnęła Froissy. – Zawód miłosny zmiażdżyłaby na swojej drodze jak gnidę.

– E tam, to absolutnie nie są gnidy, tylko wysokie mury. Żaden wstyd, jeśli trudno się na nie wspiąć.

– Dziękuję – rzekła cicho Froissy.

– Wiecie, komisarzu, że Retancourt nie lubi mnie?

Froissy nie zaprzeczyła.

– Powiedziała wam dlaczego? – zapytał.

– Nie, w ogóle o panu nie mówi.

Wysoka na sto czterdzieści dwa metry wieża może się zachwiać z błahego powodu: że tęga Retancourt nie raczy nawet o tobie mówić, pomyślał Adamsberg. Zerknął na Danglarda. We śnie wróciły mu kolory na twarz, turbulencje ustawały.

Samolot zaczynał schodzić do lądowania, kiedy nadkomisarz obudził się zdziwiony.

– To zasługa stewardesy – wyjaśnił mu Adamsberg. – Zna się na tym. I tak szczęśliwie się składa, że jak będziemy wracali, też ma z nami lecieć. Za dwadzieścia minut lądujemy.

Pominąwszy dwa napady strachu, gdy maszyna z łoskotem wypuściła podwozie i kiedy na skrzydłach uruchomiono hamulce aerodynamiczne, Danglard, ciągle jeszcze pozostający pod wpływem masażu uspokajającego, prawie normalnie przeżył lądowanie. Po przylocie był jak nowo narodzony, podczas gdy inni członkowie ekipy patrzyli otępiąłym wzrokiem. Dwie i pół godziny później

każdy był już ulokowany w swoim pokoju. Ze względu na różnicę czasu zajęcia miały się zacząć dopiero nazajutrz o godzinie czternastej czasu lokalnego.

Adamsbergowi przydzielono na piątym piętrze kawalerkę, nowiutką i bielutką jak na pokaz, w dodatku z balkonem. Gotycki przywilej. Długą chwilę stał na nim oparty o barierkę, kontemplując rzekę Outaouais, z angielską Ottawę, która płynęła dołem dzikim korytem, i dalej, na drugim jej brzegu, światła wieżowców Ottawy. Miasta.

XVII

Nazajutrz pod budynek zajechały trzy samochody GRC. Rzucały się w oczy, na białych bokach każdy miał bizoni łeb z na poły łagodnym, na poły zawadiackim wyrazem pyska, otoczony klonowymi liśćmi i zwieńczony koroną angielską. Na francuskich gości czekali trzej mundurowi. Jeden z nich, którego Adamsberg zidentyfikował po naramiennikach jako naczelnego nadintendenta, nachylił się do sąsiada.

– Jak ci się widzi, który to ten ichni inspektor? – zapytał.

– Najmniejszy. Czarniawy w czarnej kapocie.

Adamsberg słyszał prawie każde słowo. Brézillon i Trabelmann ucieszyliby się na pewno: najmniejszy. Równocześnie rozpraszały go malutkie czarne wiewiórki, które skakały po ulicy żywo i bez obaw jak wróble.

– Krucafiks, nie zasuwaj mi tu bajeru – odezwał się nadintendent. – Ten, co się odstawił jak proszalny dziad?

– Nie sipaj się, mówię ci, to on.

– A nie przypadkiem ten galantny wielki belbas?

– Mówię ci, to ten czarniawy. Nie byle kto u nich, as. Lepiej trzymaj jadaczkę na kłódkę.

Nadintendent Aurèle Laliberté pokręcił głową i ruszył ku Adamsbergowi z wyciągniętą ręką.

– Witamy, panie młodszy inspektorze. Nie zanadto sterany podróżą?

– Nie, dziękuję, wszystko w porządku – ostrożnie odpowiedział Adamsberg. – Miło mi pana poznać.

Wszyscy ze wszystkimi przywitali się w zakłopotanym milczeniu.

– Żałuję, że taka dziś pogoda – oznajmił Laliberté tubalnym głosem, uśmiechając się szeroko. – Nagle zaczęło mrozić. Zapraszam do wozów, mamy dziesięć minut drogi. Dziś nie będziemy z was wypruwać flaków w robocie – dodał, gestem zachęcając Adamsberga, by zajął miejsce w jego samochodzie. – Ot, taki rekonesans.

Placówka GRC mieściła się w zalesionym parku, który zdawał się rozciągać równie daleko jak we Francji las. Laliberté jechał tak wolno, że Adamsberg mógł się przyjrzeć niemal każdemu drzewu po kolei.

- Macie tu dużo przestrzeni – rzekł z podziwem.
 - Tak. Jak to mówimy: nie mamy historii, ale mamy geografie.
 - A to są klony? – spytał, wskazując palcem drzewa za oknem.
 - Ano.
 - Myślałem, że mają czerwone liście.
 - Nie widzą ci się dość czerwone? To nie flaga przecie. Są czerwone, pomarańczowe, żółte... Inaczej nudno by było. To ty jesteś teraz główny szef?
 - Zgadza się.
 - Jak na młodszego inspektora toś się nie wysztafiował. Pozwalają wam się tak nosić w Paryżu?
 - W Paryżu policja to nie wojsko.
 - Nie nerwuj się. U mnie co w myśli, to na języku i walę prosto z mostu. Lepiej, żebyś wiedział. Widzisz te budynki? To GRC, tu koniec jazdy – powiedział Laliberté, hamując.
- Paryska grupka skupiła się przed nowiutkimi wielkimi prostopadłościanami z cegły i szkła wyrosłymi pośród czerwonych drzew. Drzwi wejściowych strzegła gryząca coś czarna wiewiórka. Adamsberg przyzostał trzy kroki z tyłu, by zapytać Danglarda:
- Tu taki mają zwyczaj, że do wszystkich mówią „ty”?
 - Tak, to u nich normalne.
 - Też mamy się do nich tak zwracać?
 - Jak kto woli i może. Dostosowujemy się.
 - Jak on cię nazwał? Wielki belbas? Co to znaczy?
 - Wielki niezdarny spaślak.
 - A, rozumiem. Jak sam Aurèle Laliberté powiada, u niego co w myśli, to na języku.
 - Wygląda na takiego – potwierdził Danglard.

Laliberté poprowadził francuską ekipę do rozległej sali konferencyjnej – czegoś w rodzaju ich Sali Soborowej – i szybko dokonał prezentacji. Z ramienia quebeckich sił porządkowych występowali: Mitch Portelance, Rhéal Ladouceur, Berthe Louiseize, Philibert Lafrance, Alphonse Philippe-Auguste, Ginette Saint-Preux et Fernand Sanscartier. Następnie nadintendent stanowczym tonem zwrócił się do swoich agentów:

- Dobierta się każdy z jednym z paryskiej brygady i co dwa, trzy dni bedzieta się wymieniali. Mata się przykładać, ale żeby mi się żaden nie sadził na nie wiadomo co, to nie inwalidzi. Przyjechali tu na praktykę, uczyć się. Więc uczta ich

najsampierw w zółwym tempie. I nie sipać mi się, jakby was nie rozumieli albo jakby gadali inaczej niż my. To nie większe pacany niż wy z tej tylko racji, że są Francuzami. Liczę na was.

W sumie powiedział mniej więcej to samo co Adamsberg swojej ekipie kilka dni wcześniej.

W czasie nużącego zwiedzania gmachu Adamsberg skupił się na zlokalizowaniu dystrybutora napojów, który wydawał głównie „zupy”, ale też kawę w kubkach wielkości kufła do piwa, oraz na przypatrywaniu się twarzom nowych kolegów. Od razu poczuł sympatię do sierżanta Fernanda Sanscartiera, jedyne podoficera w grupie, którego pełne rumiane oblicze i przesycone niewinnością ciemne oczy zdawały się z góry skazywać na rolę „dobrego”. Pasowałoby mu znaleźć się z nim w parze. Tyle że przez najbliższe trzy dni za towarzystwo miał mieć Aurèle’a Lalibertégo – w końcu szarża nakłada obowiązki. Zwolniono ich punktualnie o osiemnastej i odprowadzono do służbowych samochodów zaopatrzonych w opony zimowe. Tylko młodszemu inspektorowi Adamsbergowi przydzielono osobisty wóz.

– Czemu nosisz dwa zegarki? – zapytał Laliberté, kiedy Adamsberg już siedział za kierownicą.

Inspektor się zawahał.

– Z powodu różnicy czasu – wyjaśnił niespodziewanie dla siebie. – Muszę dopilnować paru dochodzeń we Francji.

– Nie możesz przeliczać w głowie jak wszyscy?

– Tak jest szybciej – wykręcił się Adamsberg.

– Jak wolisz. No to bywaj, *man*, do jutra o dziewiątej.

Adamsberg prowadził wolno, patrząc uważnie po drzewach, ulicach, ludziach. Opuściwszy park Gatineau, znalazł się w bliźniaczym mieście miasta Hull, którego osobiście nigdy nie nazwałby miastem, ciągnęło się bowiem kilometrami na płaskim terenie pociętym na kwadraty przez puste czyste ulice z nielicznymi domami o murach obłożonych drewnem. Nie widział tu żadnych staroci, żadnych odpadających tynków, nawet kościoły bardziej przypominały miniatury z cukru niż katedrę strasburską. Tu najwyraźniej nikomu się nie spieszyło, jezdnią wolno sunęły potężne pikapy mogące przewozić nawet ze sześć kubików drewna.

Nie widział kawiarni, restauracji, sklepów. Zauważał gdzieś pojedyncze sklepiki typu „szwarc, mydło i powidło”, w tym jeden w odległości około stu

metrów od ich bloku. Z satysfakcją poszedł do niego piechotą, słuchając chrzęstu śniegu pod nogami. Wiewiórki nie usuwały mu się z drogi – istotna różnica w porównaniu z wróblami.

– Gdzie tu można znaleźć jakąś restaurację, bar? – zapytał kasjerki.

– W centrum, tam znajdziesz wszystko co potrzebne nocnym markom – odparła życzliwie. – To pięć kilometrów stąd, musisz podjechać wozem.

Na odchodnym powiedziała mu dzień dobry i miłego wieczoru, *bye*.

Centrum miasta było nieduże, toteż Adamsberg w niecały kwadrans przemierzył jego równoległe ulice. Kiedy wszedł do Tetrastychu, zakłócił seans czytania wierszy przed gęsto zebraną milczącą publicznością, czym prędzej zatem się wycofał, zamykając za sobą drzwi. Będzie musiał wspomnieć o tym Danglardowi. Ostatecznie wylądował w barze w stylu amerykańskim pod szyldem Pięć Niedzieli, w przegrzanej przestronnej sali ozdobionej łbami karibu, niedźwiedzi i flagami quebeckimi. Kelner przyniósł mu kolację krokiem spokojnym, nie spiesząc się i pogadując o życiu. Talerz miał rozmiar półmiska z porcją na dwie osoby. Wszystko jest większe w Kanadzie. I wszystko jest spokojniejsze.

Z drugiego końca sali ktoś do niego pomachał. I Ginette Saint-Preux, niosąc swój talerz, bez ceregieli przyszła do jego stolika.

– Nie wadziłoby ci, żebym się dosiadła? – spytała. – Też wieczoram sama.

Bardzo ładna, elokwentna i szybka Ginette wdała się w ożywioną rozmowę. Pytała o pierwsze wrażenia z Quebecu, o różnice z Francją. Bardziej płasko? A jaki jest Paryż? Jak mu idzie w pracy? Wesoło? A w życiu? Aha... Ona ma dzieci i różne hobby, zwłaszcza muzykę. Na dobry koncert jednak trzeba jechać do Montrealu, to by go interesowało? A jakie on ma hobby? Aha, rysowanie, chodzenie, marzenie? Nie może być! A jak to się robi w Paryżu?

Około jedenastej Ginette zainteresowała się jego dwoma zegarkami.

– Bidulku – zakończyła, wstając. – Fakt, przy tej różnicy czasu masz już piątą rano.

Ginette zapomniała wziąć ze stołu zielony folder, który przez całą rozmowę zwijała i rozwijała. Adamsberg wolno go rozłożył, patrząc zmęczonym wzrokiem. Koncerty Vivaldiego w Montrealu, 17–21 października, na kwintet smyczkowy, klawesyn i pikolo. Dzielna dziewczyna z tej Ginette, żeby pchać się ponad czterysta kilometrów na jakiś kwintet.

XVIII

Adamsberg ani myślał strawić całego pobytu, tkwiąc w jednym miejscu z oczami wlepionymi w pipetki i kody kreskowe. Wyszedł już o siódmej rano zwabiony przez rzekę. Ogromną rzekę Indian Outaouais. Szedł jej brzegiem aż do wylotu jakiejś drogi gruntowej. „Przenoska – przeczytał na tablicy informacyjnej – użyta przez Samuela de Champlaina w 1613 r.” Natychmiast się w nią zagłębił ucieszony, że kroczy śladem pionierów i Indian, podróżników dźwigających pirogi na ramionach. Nie było łatwo iść tym szlakiem, pełną wądołów ścieżką opadającą czasem nawet o metr. Widoki jednak były zachwycające: wodna kipiela, łoskot wodospadów, kolonie ptaków, brzegi czerwone od klonów. Przystanął przed kamieniem pamiątkowym pośród drzew prezentującym dzieje tego faceta, Champlaina.

– Cześć – rozległo się za jego plecami.

Na płaskiej skale wystającej nad wodę siedziała dziewczyna w dżinsach i paliła papierosa w świetle wczesnego ranka. W tym jej „cześć” Adamsberg wychwycił coś bardzo paryskiego.

– Cześć – odpowiedział.

– Francuz – stwierdziła dziewczyna. – Co tu robisz? Zwiedzasz?

– Pracuję.

Dziewczyna zaciągnęła się, wydmuchnęła dym i cisnęła niedopałek do wody.

– A ja jestem ugotowana. No więc chwilowo czekam.

– Jak to ugotowana? – ostrożnie spytał Adamsberg, odczytując jednocześnie inskrypcję na kamieniu Champlaina.

– W Paryżu poznałam chłopaka, Kanadyjczyka, studiował prawo. Zaproponował, żebym z nim pojechała, i zgodziłam się. Wyglądał na super chuma.

– Chuma?

– No kumpla, przyjaciela, chłopaka. Chcieliśmy mieszkać razem.

– Aha – skomentował Adamsberg z rezerwą.

– I wiesz, co pół roku później zrobił mój chum? Puścił w trąbę Noëllę, która się obudziła z ręką w nocniku.

– Ty jesteś Noëlla?

– Tak. Ostatecznie przygarnęła ją kumpelka.

– Aha – powtórzył Adamsberg, który wcale nie był ciekaw tych szczegółów.

– No i teraz czekam – ciągnęła dziewczyna, zapalając kolejnego papierosa. –

Ciułam dolary w jednym barze w Ottawie i jak tylko uzbieram dość, wracam do Paryża. Głupia historia, co?

– A co tu robisz tak wcześnie?

– Noëlla słucha wiatru. Często przychodzi tu rano, wieczorem. Pomyślałam sobie, że nawet jak ktoś jest ugotowany, musi znaleźć sobie swoje miejsce. Wybrałam tę skałę. Jak się nazywasz?

– Jean-Baptiste.

– A na nazwisko?

– Adamsberg.

– Czym się zajmujesz?

– Jestem gliną.

– Śmieszne. Na gliniarzy mówią tu byki, psy albo świniaki. Mój chum ich nie lubił. „Won z bykami!” mawiał. I zawsze się wywijał. Pracujesz z glinami z Gatineau?

Adamsberg kiwnął głową i korzystając ze śniegu z deszczem, który właśnie zaczął padać, zebrał się do powrotu.

– Cześć – powiedziała dziewczyna, nie ruszając się ze skały.

Za dwie dziewiąta Adamsberg zaparkował przed gmachem GRC. Stojący w drzwiach Laliberté zamasyście kiwnął na niego.

– Właż szybko! – zawołał. – Wali żabami! *Hey, man*, a coś ty robił? – dodał, patrząc na ubłocone spodnie inspektora.

– Wyłożyłem się na przenosce – wyjaśnił Adamsberg, wykruszając zaschniętą ziemię.

– Chodziłeś gdzieś rano? Nie może być!

– Chciałem zobaczyć rzekę. Wodospady, drzewa, dawną przenoskę...

– Krucafik, chybaś blekotu się nażarł – rzekł Laliberté ze śmiechem. –

A jakżeś się hrymnął?

– To znaczy? Nie obraż się, kolego, ale nie zawsze rozumiem, co mówisz.

– Nie turbuj się, nie biorę tego do siebie. I mów mi Aurèle. Chodziło mi o to, jak się przewróciłeś.

– Na stromiźnie ścieżki pośliznąłem się na kamieniu.

– Dupsko potłuczone?

– Nie, nic mi nie jest.

– Jeden z twoich jeszcze nie przyjechał. Ten wielki belbas.

– Nie mów tak o nim, Aurèle. On rozumie quebecki.

– Nie może być!

– Jest obkuty we wszystkim. Może wygląda na rozlazłego, ale w głowie nie ma ani grama tłuszczu. Tylko trudno mu się podnieść z rana.

– Chodź, strzelimy se kawę, póki go nie ma – zaproponował nadintendent, kierując się do dystrybutora. – Masz *many*?

Adamsberg wyjął z kieszeni garść obcych drobnych i Laliberté wyłowił właściwą monetę.

– Chcesz gołą czy prawdziwą?

– Prawdziwą – zaryzykował Adamsberg.

– To cię postawi na kulasy – rzekł Aurèle, podając mu wielki parujący kubek. – Czyli co, rano idziesz pooddychać?

– Idę pochodzić. Rano, w ciągu dnia, wieczorem, o każdej porze. Lubię to, potrzebne mi.

– Tiaaa... – powiedział Aurèle z uśmiechem. – Chyba że chodzisz jurzyć. Szukasz dziuni? Dziewczyny?

– Nie. Ale o dziwo, spotkałem jedną taką, siedziała sama niedaleko kamienia Champlaina o ósmej rano. Wydało mi się to dziwne.

– Nawet całkiem porąbane, chcesz powiedzieć. Dziunia w lesie... szuka czegoś. Tam nikt nie chodzi. Nie daj się zbajtłować, Adamsberg. Wpaść łatwo, a potem zostajesz jak ten pacan.

Męskie rozmowy przy dystrybutorze, pomyślał Adamsberg. Wszędzie takie same.

– No, koniec radości – skwitował nadintendent. – Nie będziemy godzinami rajdać o babach, mamy robotę.

Laliberté wydał polecenia parom zebranych w sali. Tandemy się dobrały, Danglard był z niewinnym Sanscartierem. Laliberté panie połączył z paniami, prawdopodobnie ze względów obyczajowych: Retancourt za partnerkę miała delikatną Louiseize, a Froissy – Ginette Saint-Preux. Temat dnia: teren. Zbieranie śladów w ośmiu domach, których właściciele zgodzili się wziąć udział w doświadczeniu. Na specjalny kartonik pozwalający zamocować ślady biologiczne, dobitnie ogłaszał Laliberté, oburącz prezentując im rzeczony kartonik niczym hostię. Zapobiegający zakażeniom bakteryjnym i wirusowym bez konieczności zamrażania.

– Innowacja, która oszczędza, jeden: czas, dwa: pieniądze, trzy: miejsce.

Słuchając rzeczowego wywodu nadintendenta, Adamsberg siedział na krześle przechylony, z rękami w kieszeniach jeszcze wilgotnych spodni. Palcami natrafił na zielony folder, który zabrał ze stolika w barze, aby zwrócić go Ginette Saint-

Preux. Broszurka była w żalonym stanie, przemoczona, toteż wydobył ją z kieszeni ostrożnie, by nie potargać papieru, dyskretnie rozłożył na stole i nakrył dłonią, aby się rozprostowała.

– Dzisiaj – ciągnął Laliberté – pobieranie, jeden: potu, dwa: śliny i trzy: krwi. Jutro: łez, moczu, smarków i złuszczonego naskórka. Spermy od tych obywateli, którzy się zgodzą napełnić probówkę.

Adamsberga przeszedł dreszcz. Nie z powodu próbki napełnionej przez obywatela, lecz przez to, co przeczytał, wygładzając zmoczony papier.

– Pilnujta się – gromko kończył Laliberté, zwracając się do paryskiej ekipy – żeby kody na kartonikach odpowiadały kodom na woreczkach. Jak to zawsze powtarzam, trza umieć zliczyć do trzech: akuratność, akuratność i jeszcze raz akuratność. Nie znam innego sposobu, żeby się udało.

Do samochodów ruszyło osiem dwójek zaopatrzonych w adresy obywateli, którzy uprzejmie udostępniali swoje mieszkania i ciała na potrzeby ćwiczeń w zbieraniu śladów. Adamsberg w drodze zatrzymał Ginette.

– Chcę to pani oddać – powiedział, podając jej zielony folderek. – Zostawiła go pani w barze, a wydawało mi się, że zależy pani na nim.

– Przebóg, zastanawiałam się, gdzie go utknęłam.

– Przykro mi, trochę zamókł.

– To nic. Lecę zanieść go do biura. Możesz powiedzieć Hélène, że zaraz jestem?

– Ginette – rzekł Adamsberg, przytrzymując ją za rękę i wskazując folderek – czy ta Camille Forestier od altówki jest członkiem kwintetu montrealskiego?

– Ja cię, nie. Alban mi mówił, że etatowa skrzypaczka zaciążyła i w czwartym miesiącu zaniemogła, akurat jak się zaczynały próby.

– Alban?

– Pierwsze skrzypce, znam go, to mój chum. Poznał tę Forestier, Francuzkę, wziął ją na przesłuchanie. Dosłownie go rozłożyła i krucafiks, od ręki ją zatrudnił.

– *Hey!* Adamsberg! – zawołał Laliberté. – Ruszysz w końcu tyłek?

– Dzięki, Ginette – powiedział Adamsberg, kierując się ku partnerowi.

– A nie mówiłem? – skomentował nadintendent ze śmiechem, wsiadając do wozu. – Zawsze musisz się umizgiwać, co? I to do jednej z moich inspektorek, i to już drugiego dnia. Powiem ci, miglanc z ciebie!

– Nic z tych rzeczy, Aurèle, rozmawialiśmy o muzyce. I to klasycznej – dodał Adamsberg, jakby klasyczność zaświadczała o czystości ich relacji.

– O muzyce, *my eye!* – kpił Laliberté, uruchamiając silnik. – Nie zgrywaj mi tu

świętoszka, akurat ci uwierzę. Widziałeś się z nią wczoraj wieczór, *right*?

- Przypadkiem. Jadłem w Pięciu Niedzielach i dosiadła się do mnie.
- Spasuj z Ginette. Mężatka, i to na całego.
- Oddałem jej tylko taki jeden kwit. Chcesz, to wierz.
- Nie sipaj się. Żartuję.

Po pracowitym dniu, który upłynął w rytm tubalnych pokrzykiwań nadintendenta, po pobraniu wszystkich śladów u usłużnych państwa Jules'a i Lindy Saint-Croix Adamsberg wsiadał do samochodu służbowego.

- Co porabiasz wieczór? – zapytał Laliberté, wetknąwszy głowę przez okno.
- Popatrzę na rzekę, połażę. Potem pójdę na kolację do centrum.
- Masz diabła za skórą, musisz być ciągle w ruchu.
- Lubię to, już ci mówiłem.
- Głównie lubisz się powałkonić. Ja tam nigdy nie chodzę jurzyć do centrum.

Za dobrze mnie tam znają. Jak mnie przyciśnie, wyskakuję do Ottawy. No, *man*, baw się dobrze! – dodał, klepiąc w drzwi auta. – Serwus, i do jutra.

– Łzy, mocz, smarki i sperma – wyrecytował Adamsberg, przekręcając klucz w stacyjce.

– Sperma... Miejmy nadzieję – rzekł Laliberté, marszcząc brwi z profesjonalną troską. – O ile Jules Saint-Croix zdobędzie się na wysiłek jeszcze dzisiaj. Z początku niby się zgodził, ale zdaje mi się, że mu się odechciało. Krucafiks, nie zmusisz człowieka.

Adamsberg zostawił Lalibertégo z jego próbowkowym zmartwieniem i pojechał prosto nad rzekę.

Nasłuchawszy się szumu fal Outaouais (z angielska Ottawy), ruszył przenoską, pieszo zmierzając do centrum. Jeżeli dobrze rozgryzł topografię, ścieżka powinna go doprowadzić do mostu przy wodospadzie Chaudières. Stamtąd był już raptem kwadrans do centrum. Wyboistą dróżkę oddzielał od szosy pas lasu, który pogrążał ją w kompletnej ciemności. Adamsberg pożyczył latarkę od Retancourt, jedynej z grupy, która zabrała taki sprzęt, toteż szedł w miarę swobodnie, uchylając się przed nisko zwieszonymi gałęziami, udało mu się też ominąć jezioro powstałe z wód rzeki na jej brzegu. Nie czuł już zimna, kiedy dotarł do końca przenoski, o dwa kroki od żelaznego mostu, gigantycznej konstrukcji, której skrzyżowane belki skojarzyły mu się z trzy razy wyższą wieżą Eiffla przerzuconą przez Outaouais.

Bretońska naleśnikarnia w centrum starała się przypominać ojczyście strony właściciela, na wystrój składały się bowiem sieci, koła ratunkowe i suszone ryby. Oraz trójząb. Adamsberg zastygł na jego widok – wyzywająco tkwił na ścianie naprzeciwko. Morski trójząb, atrybut Neptuna z trzema cienkimi zębami zakończonymi haczykowato. Bardzo się różnił od jego osobistego trójzębu, wideł, narzędzia rolniczego, grubego i ciężkiego, trójzębu ziemnego, można powiedzieć. Tak jak się mówi o robakach ziemnych i robakach morskich. Tyle że zostawił daleko za sobą, we mgłach po drugiej stronie Atlantyku, ostre trójzęby i eksplodujące ropuchy.

Kelner przyniósł mu nadzwyczajnych rozmiarów naleśnik, zagadując o życiu.

Po drugiej stronie Atlantyku zostały trójzęby, ropuchy, sędziowie, katedry i strychy Sinobrodego.

Zostały, lecz czekały na niego, czyhały na jego powrót. Wszystkie tamte twarze i rany, wszystkie lęki przywiązane do niego niezniszczalną liną pamięci. Jeśli zaś chodzi o Camille, to nawet tutaj się pojawiła, w samym sercu miasta zagubionego gdzieś w bezmiarze kanadyjskich przestrzeni. W zakłopotanie wprowadzała go myśl o tych pięciu koncertach w odległości dwustu kilometrów od GRC, jakby mu groziło, że usłyszy altówkę z balkonu swojego pokoju. Żeby tylko Danglard się o tym nie dowiedział, jedynie tego pragnął. Nadkomisarz gotów był ekstrakugiem pognać do Montrealu i przez cały następny dzień z wyrzutem spozierać na Adamsberga, międląc coś pod nosem.

Zamówił kawę i lampkę wina na deser i nie odrywając oczu od jadłospisu, uświadomił sobie, że ktoś usiadł przy jego stoliku, nie pytając o pozwolenie. Dziewczyna od kamienia Champlaina, która przywołała kelnera, by zamówić drugą kawę.

– Udany dzień? – spytała z uśmiechem.

Zapaliła papierosa i nie kryjąc się, uważnie mu się przyjrzała.

Szlag by to, pomyślał Adamsberg i zastanowił się dlaczego. Kiedy indziej skwapliwie by wykorzystał okazję. Nie miał jednak ochoty zaciągnąć tej dziewczyny do łóżka, czy to dlatego, że zgryzoty ubiegłego tygodnia jeszcze nie przestały działać, czy też dlatego, że starał się bardzo, by nie ziściły się przewidywania nadintendenta.

– Przeszkadzam – stwierdziła dziewczyna. – Jesteś zmęczony. Byki cię wypompowały.

– No właśnie – przyznał i uświadomił sobie, że nie pamięta jej imienia.

– Masz mokrą kurtkę – zauważyła, dotykając go. – Samochód ci przecieka?

Przyjechałeś rowerem?

Cóż ona tak dopytuje? Musi wszystko wiedzieć?

– Przyszedłem piechotą.
– Tutaj nikt nie chodzi piechotą. Nie zauważyłeś?
– Zauważyłem. Ale szedłem przenoską.
– Całą? Ile czasu ci to zajęło?
– Trochę ponad godzinę.
– No, no, miglanc z ciebie, jak by powiedział mój były.
– A czemu miglanc?
– Bo w nocy przenoska to jaskinia pedałów.
– Co z tego? Co mi mogą zrobić?
– I gwałcicieli. Pewności nie mam, tak mówią. Ale kiedy Noëlla idzie tam wieczorem, nigdy się nie zapuszcza za kamień Champlaina. Stamtąd też może popatrzeć na rzekę.

– I to duża.

Noëlla ściągnęła wargi.

– Woda to woda... Obsługiwałam dzisiaj jakichś kretyńskich Francuzów, jestem padnięta. Jestem kelnerką w Karibu, mówiłam ci? Nie lubię, jak przychodzą Francuzi rozwrzeszczaną grupą, wolę tutejszych, są miłsi. Z wyjątkiem mojego byłego. Pamiętasz, że mnie zostawił jak ostatni drań?

Dziewczyna znowu się nakręciła, Adamsberg zaś nie wiedział, jak się od niej uwolnić.

– O, zobacz jego zdjęcie. Przystojniak, co? Z ciebie też przystojniak. Na swój sposób. Nie bardzo zwyczajny, taki nierówny, trochę tego, trochę owego, no i nie jesteś za młody. Ale podobają mi się twoje oczy i nos. I lubię, jak się uśmiechasz – dodała, muskając palcem jego powieki i usta. – I jak mówisz. Lubię twój głos. Wiesz, że masz fajny głos?

– Hej, Noëlla – przerwał jej kelner, stawiając przed nimi zamówienie. – Dalej robisz w Karibu?

– No. Muszę zebrać kasę na bilet.

– Ciągłe ci się cni za twoim byłym?

– Czasem wieczorem. Jedni mają chandrę rano, drudzy wieczór. Mnie dopada wieczór.

– Daj se z nim siana. Psy go zwinęły.

– Żartujesz? – Noëlla aż się wyprostowała.

– Gdzie tam, słowo! Chamanił auta i sprzedawał na nowych blachach. Wyobrażasz se?

– Nie wierzę – powiedziała Noëlla, kręcąc głową. – Pracował w branży informatycznej.

– Tępaś jak noga stołowa, dziunia. Twój chum bajerował jak najęty. Otwórz

oczy, Noëlla. Nic nie zmyślam, pisali w gazecie.

– Pierwsze słyszę.

– Czarno na białym pisali w lokalnej gazecie Hull. Kiedyś wieczór się nachirzył i psy go capnęły. Dał dyla, ale mogę ci powiedzieć, że niedługo cieszył się wolnością. Ten twój były to wredny sukinkot. Naprawdę, daj se na wstrzymanie, uruchom kalapitrę. Chciałem ci to powiedzieć, żebyś go tak nie żałowała. Sorry, wołają mnie do stolika.

– No nie do wiary – rzekła Noëlla, wybierając palcem osad z cukru z dna swojej kawy. – Wadziłoby ci, gdybym wypła z tobą drinka? Muszę się otrząsnąć.

– Dziesięć minut – uległ Adamsberg. – Później idę spać – zapowiedział.

– W porządku – zgodziła się Noëlla, zamawiając drinka. – Jesteś zajęty. Wyobrażasz sobie? Mój były!...

– „Daj se na wstrzymanie, uruchom kalapitrę” – powtórzył Adamsberg. – Co ci właściwie radził? Zapomnieć? Wymazać go z pamięci?

– Nie, to znaczy: „Zatrzymaj się nad tym chwilę i dobrze się zastanów”.

– A „nachirzyć się”?

– Zalać się w trupa. Dość, Noëlla to nie słownik.

– Chciałem zrozumieć tę historię.

– No to sam widzisz, że jest jeszcze głupsza, niż myślałam. Muszę się rozerwać – powiedziała i duszkiem dopiła drinka. – Odwiozę cię.

Zaskoczony Adamsberg zawahał się z odpowiedzią.

– Jestem samochodem, a ty piechotą – wyjaśniła Noëlla niecierpliwie. – Nie chcesz chyba wracać przenoską?

– Tak zamierzałem.

– Leje jak z cebra. Boisz się mnie? Czterdziestoletni facet, i to gliniarz, boi się Noëlli?

– Ależ nie – odparł Adamsberg z uśmiechem.

– I dobrze. Gdzie mieszkasz?

– Niedaleko rue Prévost.

– A, wiem, ja trzy bloki dalej. Chodź.

Adamsberg wstał, nie pojmując, dlaczego z taką rezerwą podchodzi do zaproszenia ślicznej dziewczyny.

Noëlla zahamowała przed blokiem Adamsberga, który jej podziękował i otworzył drzwi.

– Nie pocałujesz mnie na pożegnanie? Jak na Francuza nie jesteś uprzejmy.

– Wybacz, jestem góralem. Prostakiem.

Ze ściągniętą twarzą cmoknął ją w policzki, a ona zmarszczyła brwi urażona. Otworzył sobie drzwi bloku, pozdrowił strażnika wciąż na posterunku, choć było już po jedenastej. Po prysznicu wyciągnął się na szerokim łóżu. W Kanadzie wszystko jest większe. Z wyjątkiem wspomnień, które robią się malutkie.

XIX

Temperatura spadła, rano było minus cztery. Adamsberg pobiegł popatrzeć na rzekę. Na przenosce brzegi minisadzawek pozamarzały, zaczął je więc rozbijać ciężkimi buciorami pod czujnym okiem wiewiórek. Już miał iść dalej, gdy myśl o Noëlli usadowionej w pobliżu kamienia przyhamowała go jak smycz. Zawrócił i przysiadł po drodze na głazie, by poprzyglądać się rywalizacji kolonii kaczek i stada bernikli. Wszędzie tak samo: terytoria i wojny. Jedna z gęsi najwyraźniej pełniła rolę naczelnego gliniarza, z despotyczną wytrwałością krążyła uparcie tam i z powrotem, rozpościerając skrzydła i trzaskając dziobem. Adamsbergowi nie spodobała się ta bernikla. Wyróżniała się spośród innych plamką na piórach, którą zapamiętał, bo postanowił nazajutrz sprawdzić, czy również będzie pełniła funkcję przywódcy czy też gęsi stosują demokratyczną rotację. Zostawił ptaki z ich sprawami i wrócił do samochodu. Weszła pod niego wiewiórka, której ogon zauważył wystający zza tylnej opony. Ruszył pomalutku, zrywami, żeby jej nie przejechać.

Nadintendent Laliberté odzyskał dobry humor, kiedy się dowiedział, że Jules Saint-Croix spełnił obywatelski obowiązek i napełnił probówkę, którą schował do grubej koperty.

– Fundamentalna!... Sperma jest fundamentalna! – gromko obwieścił Laliberté Adamsbergowi i rozerwał kopertę, nie bacząc na obecność państwa Saint-Croix, którzy kulili się w kącie. – Dwa doświadczenia robimy – ciągnął, wymachując probówką na środku salonu. – Pobranie próbek na świeżo i na sucho. Na świeżo, czyli tak, jakby pozostały w narządach rodnych ofiary. Na sucho nastęcza problemy zależnie od podłoża. Inaczej pobierasz próbkę z tkaniny, drogi, trawy czy dywanu. Najgorzej jest z trawą. Słuchasz? Umieścimy nieduże ilości w czterech strategicznych miejscach: na drodze, w ogrodzie, w łóżku i na dywanie w salonie.

Państwo Saint-Croix wymknęli się z pokoju jak winowajcy, im zaś całe przedpołudnie zeszło na rozmieszczaniu kropelek spermy to tu, to tam, wokół każdej rysowali kółko kredą, żeby się nie pogubić.

– Póki będzie schło – oznajmił Laliberté – przeniesiemy się do ubikacji i zajmiemy się moczem. Weź kartonik i przybornik.

Państwo Saint-Croix przeżyli trudny dzień, nadintendent natomiast był usatysfakcjonowany. Lindę zmusił do płaczu, aby pobrać próbki jej łez, a Jules'owi kazał biegać na zimnie, by zdobyć jego smarki. Wszystkie zabiegi okazały się skuteczne, wrócił zatem do GRC triumfalnie z właściwie opisanymi kartonikami i przybornikami. W ciągu tego dnia pojawiła się jedna tylko przeszkoda: w ostatniej chwili musiano dokonać zamiany ekip, ponieważ dwaj wolontariusze twardo odmówili oddania swoich próbek żeńskim tandemom. Co doprowadziło Lalibertégo do szewskiej pasji.

– Krucafiks, Louiseize! – ryknął do telefonu. – Czy tych ludzi pogięło? Co się tak trzęsą o tę spernę? Zdaje im się, że to płynne złoto? Nie wadzi im, jak dziuniom je oddają gdzie popadnie i jeszcze się cieszą, a jak przyjdzie do roboty, nie ma żadnego! Weź za fackę jednego z drugim i załatw to!

– Nie mogę, szefie – odparła delikatna Berthe Louiseize. – Zaparł się jak muł. Musimy się zamienić z Portelance'em.

Laliberté w końcu uległ, lecz jeszcze wieczorem nie mógł się pogodzić z taką zniewagą.

– Faceci – rzekł do Adamsberga, kiedy zajechali przed GRC – czasem jak się zawezmą, to z kijem nie przystępuj. Skorośmy skończyli z pobieraniem próbek, już ja im nagadam do słuchu. Też mi obywatelska postawa! Dziewczyny z mojego oddziału wiedzą sto razy więcej o spermie niż te dwa pacany.

– Daj spokój, Aurèle – próbował mu przemówić do rozsądku Adamsberg. – Olej gości.

– Dla mnie to sprawa osobista, Adamsberg. Jak ci się chce, idź wieczór na baby, ale ja po wieczerzy muszę tym dwóm mułom nazdać jak świni do koryta.

Tego dnia Adamsberg odkrył, że wylewna jowialność nadintendenta idzie w parze z drugą stroną jego natury, równie żywiołową. Człowiek serdeczny, bezpośredni i nietaktowny był zarazem upartym zajadłym cholerykiem.

– Chyba nie tyś go tak wpienił? – spytał Adamsberga niespokojny sierżant Sanscartier. Mówił cicho w nieco przygarbionej postawie osoby nieśmiałej.

– Nie, jacyś dwaj kretyni, którzy nie chcieli dać próbek kobietom.

– A, to i dobrze. Mogę ci dać jedną radę? – dodał, wlepiając w Adamsberga swe przesycone niewinnością oczy.

– Gadaj.

– Dobry z niego chum, ale jak opowiada wica, lepiej się śmiać i trzymać jadaczkę na kłódkę. Znaczy nie prowokuj go. Bo jak szef się rozsierzdzi, drzewa przed nim drżą.

– Często mu się to zdarza?

– Jak ktoś mu się sprzeciwi albo jak wstanie lewą nogą. Wiesz, że

w poniedziałek będziemy w parze?

Po grupowej kolacji zorganizowanej w Pięciu Niedzielach, aby uczcić pierwszy krótki tydzień w Kanadzie, Adamsberg wrócił do siebie przez las. Poznał już dobrze ścieżkę, wyczuwał jej zapadliska i osuwiska, dostrzegał migotanie przybrzeżnych jezior, toteż przebył ją szybciej niż w tamtą stronę. W pół drogi przycupnął, by zawiązać sznurówkę, i wtedy padł na niego snop światła.

– *Hey, man!* – rozległ się gruby napastliwy głos. – Coś tak czapnął? Szukasz czego?

Adamsberg skierował na niego latarkę i ujrzał rosnącego człowieka, który przyglądał mu się, stojąc w rozkroku, w mundurze leśnika i w uszance naciągniętej na oczy.

– A bo co? – zapytał Adamsberg. – Przenoska chyba jest dla wszystkich, nie?

– *Aaa...* – odezwał się obcy po chwili. – Jesteś ze starego kraju? Francuz, nie?

– Tak.

– Skąd to wiem? – powiedział mężczyzna, tym razem ze śmiechem, i podszedł bliżej Adamsberga. – Bo jak mówisz, zdaje mi się, jakbyś czytał. Co tu robisz? Idziesz na chłopów?

– A ty?

– Nie ubliżaj mi, ja pilnuję placu. Nie da rady zostawić sprzętu na noc, za dużo wart.

– Jakiego placu?

– Nie widzisz? – odparł nieznajmomy, omiatając latarką teren za Adamsbergiem.

W części lasu górującej nad przenoską Adamsberg dojrzał w mroku pikapa, przenośny barak i różne narzędzia ustawione pod drzewami.

– Co to za roboty? – zapytał uprzejmie, bo jak zauważył, w Quebecu nie wypadało kończyć rozmowy ot, tak.

– Karczują uschłe drzewa i sadzą klony – wyjaśnił nocny strażnik. – Myślałem, żeś se upatrzył jakie narzędzia. Dalibóg, wybacz, żeś cię nastraszył, ale taka to robota, *man*. Często tu tak latasz po nocy?

– Lubię to.

– Zwiedzasz?

– Jestem policjantem. Pracuję z GRC w Gatineau.

To wyjaśnienie rozwiało ostatnie wątpliwości strażnika.

– *OK, man*, w porządku. Może byś wpadł na browarek?

– Dzięki, ale muszę spadać. Mam robotę.

– No to trudno, *man*. Trzym się. *Bye, bye*.

Adamsberg zwolnił, dochodząc do kamienia Champlaina. Noëlla siedziała na swoim głazie okutana w gruby anorak. Widział jej żarzącego się papierosa. Wycofał się bezszelestnie i wszedł w las, aby ją ominąć. Po trzydziestu metrach wrócił na przenoskę i żwawym krokiem pomaszerował dalej. Kurde, przecież ta dziewczyna to nie diabeł. Ta myśl brutalnie przywołała wspomnienie sędziego Fulgence'a. Człowiekowi się zdaje, że o czymś zapomniał, tymczasem to coś tkwi ci w głowie, w samym centrum czoła w postaci trzech dziur w jednej linii. Tylko zasnutych nieznacznie ulotną atlantycką mgłą.

XX

Voisenet zaplanował, że w weekend pojedzie w lasy i nad jeziora zaopatrzone w lornetkę i aparat fotograficzny. Ponieważ dysponowali ograniczoną liczbą samochodów, zabierał ze sobą Justina i Retancourt. Pozostali czterej agenci woleli miasto i wybierali się do Ottawy oraz Montrealu. Adamsberg postanowił samotnie pojechać na północ. Zanim rano wyruszył w drogę, poszedł sprawdzić, czy gęgająca bernikla odstąpiła stróżowanie koledze. Nie wątpił bowiem, że to samiec.

Nie, despotyczny ptak nie ustąpił nawet o cal. Inne gęsi chodziły za nim krok w krok, skręcały, kiedy szef zmieniał kierunek, nieruchomości, gdy przechodził do działania i ledwie dotykając wody, gnał ku kaczkom z rozpostartymi szeroko skrzydłami i piórami nastroszonymi, by wydawać się większy. Adamsberg pogroził mu pięścią i wrócił do samochodu. Zanim wszedł i ruszył, zajrzał pod wóz, czy nie przycupnęła tam jakaś wiewiórka.

Pojechał prosto na północ, w miejscowości Kazabazua zatrzymał się na lunch, po czym pognął dalej drogami ziemi bez końca. W Quebecu w odległości większej niż dziesięć kilometrów od miasta szosami w ogóle się nie przejmowano – nie były wyasfaltowane, skoro każdej zimy nawierzchnia pękała pod wpływem mrozów. Jeśli będę dalej tak jechał prosto jak strzełił, pomyślał z rozkoszą, znajdę się naprzeciwko Grenlandii. O czymś takim nie ma co marzyć w Paryżu po wyjściu z pracy. Ani w Bordeaux. Umyślnie zablądził, zawrócił na południe i przystanął na skraju lasu w pobliżu jeziora Pink. Las był bezludny, ziemię pokrytą czerwonymi liśćmi znaczyły łąty śniegu. Czasem tablica ostrzegawcza zalecała uważać na niedźwiedzie i wypatrywać śladów ich pazurów na pniach buków. „Pamiętaj: niedźwiedź czarny wspina się na drzewa w poszukiwaniu bukwi”. Fajnie, pomyślał Adamsberg, podniósł głowę i musnął palcem zabliznione szramy po pazurach na pniu, szukając zwierzęcia w koronie drzewa. Dotąd natknął się tylko na bobrowe tamy i na odchody jakiejś rogacizny. Same tropy i ślady, zwierzęcia żadnego nie zobaczył. Podobnie jak Maxime’a Leclerca w Zamku w Haguenau.

Nie myśl o Zamku, tylko zobacz to różowe jezioro.

Jezioro Pink opisywano jako niewielki zbiornik wodny pośród tysięcy rozrzuconych po Quebecu, lecz Adamsbergowi wydało się duże i bardzo ładne. Ponieważ od pobytu w Strasburgu nabrał nawyku zwracania uwagi na tablice informacyjne, uważnie przeczytał spotkaną nad jeziorem Pink, z której się dowiedział, że trafił nad jezioro jedyne w swoim rodzaju.

Odrzuciło go. Ostatnio wciąż miał do czynienia z rzeczami wyjątkowymi i nie czuł się z tym dobrze. Odegnął te myśli takim jak zwykle gestem i wrócił do lektury. Jezioro Pink miało dwadzieścia metrów głębokości, jego dno pokrywała trzymetrowa warstwa szlamu. Dotąd wszystko było w porządku. Ale właśnie z powodu głębokości zbiornika wody powierzchniowe nie mieszały się z wodami dolnej warstwy. Poniżej piętnastego metra w ogóle się nie ruszały, nigdy nie mieszały, nie były dotleniane, podobnie jak osady przydenne liczące dziesięć tysięcy sześćset lat. W sumie jezioro na pozór zwyczajne, skwitował Adamsberg, takie różowoniebieskie, ale przykrywa drugie, wiecznie stojące, pozbawione tlenu, martwe. Skamielinę. A najgorsze, że dotąd żyją w nim ryby morskie, pozostałość z czasów, kiedy było tu morze. Adamsberg obejrzał rysunek ryby przypominającej skrzyżowanie karpia z pstrągiem, na grzbiecie mającej kolce. Na próżno powtórnie z uwagą przeczytał tablicę – nieznaną rybę nie nadano nazwy.

Żywe jezioro na jeziorze martwym. Miejsce życia bezimiennego stworzenia znanego jedynie z rysunku, z obrazka. Wychylił się przez drewnianą barierkę, próbując dojrzeć pod różową wodą nieruchome kształty. Dlaczego o czym tylko pomyśli, wszystko sprowadza go do Trójzęba? Na przykład ślady niedźwiedzi pazurów na pniach... Albo to martwe jezioro, w którym jednak toczy się życie bezgłośnie, ukryte pod powierzchnią żyjącą, jezioro błotniste, mroczne, w którym krąży istota pozostała z zamierzchłych czasów...

Wahał się chwilę, w końcu wyjął notes z kieszeni anoraku. Chuchając w dłoń, skopiował starannie rysunek tej cholernej ryby, która pływała między niebem a piekłem. Planował, że długo pobędzie w lesie, lecz z powodu tego jeziora ruszył z powrotem. Wszędzie natykał się na nieboszczyka sędziego, wszędzie natrafiał na niepokojące wody Neptuna i na ślady jego przeklętego trójzębu. Co by zrobił Laliberté w obliczu takiej prześladowanej go udręki? Czyby się roześmiał i machnięciem wielkiego łapska odegnął wszystko, opowiadając się za akuratnością, akuratnością i jeszcze raz akuratnością. A może uczepliłby się tropu i nie popuścił? Oddalając się od jeziora, Adamsberg miał nieodparte uczucie, że role się odwróciły i teraz jego ofiara wbija weń zęby. Wbija kolce, pazury, ostrza. No nie da się ukryć, Danglard słusznie podejrzewa u niego prawdziwą obsesję.

Wrócił do samochodu wolnym krokiem. Jego zegarki, ustawione na czas miejscowy z zachowaniem pięciominutowej różnicy, wskazywały dwanaście i pół minuty po czwartej. Krążył pustymi szosami, szukając znieczulenia pośród bezmiaru lasów, w końcu zdecydował się wrócić na tereny zamieszkane. Zwolnił, dojeżdżając do parkingu przed swoim blokiem, po czym ostrożnie przyspieszył,

zostawił za sobą Hull i podążył w kierunku Montrealu. Robił dokładnie to, czego nie chciał zrobić. I powtarzał to sobie przez całe dwieście kilometrów. Tyle że auto samo jechało niczym zdalnie sterowana zabawka ze stałą prędkością dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę, trzymając się tylnych świateł pędzącego przodem pikapa.

Samochód wiedział, że zmierza do Montrealu, Adamsberg zaś doskonale pamiętał informacje z zielonego folderku – miejsce i godzinę. Chyba że, pomyślał, wjeżdżając do miasta, zdecyduje się na kino albo teatr, bo niby czemu nie? Jeśli tak się stanie, będzie musiał zmienić samochód, zostawić ten przeklęty wóz i znaleźć taki, który go nie zawiezie ani nad jezioro Pink, ani na koncert montrealskiego kwintetu. O dwudziestej drugiej trzydzieści sześć i pół wśliznął się do kościoła tuż po antrakcie i zajął miejsce w ławkach z przodu, w miejscu zasłoniętym białą kolumną.

XXI

Muzyka Vivaldiego obejmowała go zewsząd, uruchamiając kłęby przetaczających się pomieszanych myśli. Widok Camille wodzącej smyczkiem altówki poruszał go bardziej, niżby chciał, lecz była to przecież jedynie ukradziona godzinka i skrywane emocje, które do niczego nie zobowiązywały. Skrzywienie zawodowe sprawiało, że odbierał linię melodyczną jako naprężającą się nieodgadnioną tajemnicę, niemal trzeszczącą z bezsilności, po czym rozluźniającą się w nieoczekiwanej miękkiej harmonii, podsuwającą na przemian komplikacje i rozwiązania, pytania i odpowiedzi.

Właśnie w jednej z takich chwil, gdy smyczki przystępowały do „podpowiedzi”, myślami naraz wrócił do pospiesznego wyjazdu Trójzęba z Zamku w Haguenau. Poszedł tym tropem, nie odrywając oczu od smyczka Camille. Zawsze zmuszał sędziego do ucieczki, tylko taką wątłą miał nad nim władzę. Przyjechał do Schiltigheim we środę, a nazajutrz Trabelmann zapałał oburzeniem. Dzięki czemu było czasu aż nadto, by wydarzenie wyciekło i pojawiło się w piątek w wiadomościach lokalnych. Tego samego dnia Maxime Leclerc wystawił posiadłość na sprzedaż i opróżnił dom. Skoro tak, to teraz nawzajem o sobie wiedzieli. Adamsberg znowu ścigał nieboszczyka, a nieboszczyk był świadom, że myśliwy ponownie jest na tropie. I w takim razie Adamsberg stracił swoją jedyną przewagę, a potęga nieboszczyka mogła mu w każdej chwili zatarasować drogę. Człowiek zorientowany wart jest dziesięciu, lecz ten facet wart był tysiąca ludzi. Po powrocie do Paryża będzie musiał dostosować strategię do tego nowego zagrożenia, wymknąć się brytanom, które będą chciały mu odgryźć nogi. „Jazda stąd, młodzieńcze. Liczę do czterech”. Biegnij, Adamsberg, biegnij.

O ile się nie myli. Pomyślał ciepło o Vivaldim, który z zaświatów przesyłał mu sygnał ostrzegawczy. Porządny gość z tego Vivaldiego, świetny chum, a grał go wyjątkowy kwintet. Samochód nie na darmo przywiózł tu Adamsberga. Przywiózł go, by skradł godzinkę z życia Camille i wychwycił cenne ostrzeżenie muzyka. Na tyle swobodnie porozumiewał się teraz z nieboszczykami, że równie dobrze mógł usłyszeć szept Antonia Vivaldiego, i miał pewność, że ten człowiek to świetne towarzystwo. Facet, który wymyślił taką muzykę, może podszeptywać tylko znakomite rady.

Dopiero pod sam koniec koncertu Adamsberg zauważył Danglarda, który nie odrywał wzroku od swojej protegowanej. Ten widok zepsuł mu całą przyjemność. Czemuż on się we wszystko miesza? Czemu wiecznie wtyka nos w jego życie? Zawsze doskonale poinformowany o koncertach, był tutaj, trwał na posterunku dzielny, wierny, nieposzlakowany Danglard. Kurde, Camille nie jest jego, psiakrew. O co mu chodzi, że z tak bliska roztacza nad nią pieczę? Chce wejść w jej życie? Ogarnęła go straszna złość na partnera. Szpakowaty dobroczyńca wciskający się przez drzwi, które strapienie Camille pozostawiło przed nim uchylone.

Prędkość, z jaką Danglard zniknął z kościoła, zaskoczyła Adamsberga. Nadkomisarz obszedł świątynię i czekał na wyjście muzyków. Z pewnością aby im pogratulować. Aż tu niespodzianka: Danglard wstawił sprzęt do samochodu i usiadł za kierownicą, zabierając Camille ze sobą. Adamsberg pojechał za nimi, pragnąc się dowiedzieć, jak daleko kolega posunie się w uprzejmości. Po krótkim postoju i dziesięciu minutach jazdy nadkomisarz zaparkował wóz i otworzył drzwi Camille, która podała mu tobołek zawinięty w kocyk. Kocyk oraz to, że tobołek wydawał krzyki, pozwoliły Adamsbergowi ogarnąć sprawę w całej rozciągłości.

Dziecko, niemowlę. Sądząc po rozmiarach tobołka i po głosie, malutkie, może miesięczne. Zastygły patrzył, jak drzwi domu zamykają się za tymi dwojgiem. Danglard, te wstrętne draniu, parszywy złodzieju...

A Danglard zaraz wyszedł, przyjaźnie machając do Camille, i wsiadł do taksówki.

Dobry Boże, dziecko, rozpamiętywał Adamsberg w drodze powrotnej do Hull. Teraz, gdy Danglard przestał być uwodzicielem i na powrót wszedł w rolę pocziwego życzliwego nadkomisarza – co wcale nie umniejszało urazy, którą Adamsberg czuł do niego – myśli inspektora skupiały się na Camille. Za sprawą jakiej sztuczki dorobiła się dziecka? Uświadomił sobie, że taka sztuczka wymaga choćby przelotnego udziału mężczyzny. Miesięczne dziecko, zaczął liczyć. Plus dziewięć daje dziesięć. Camille więc po dziesięciu raptem tygodniach znalazła sobie jego następcę. Adamsberg wcisnął pedał gazu, bo nagle stracił cierpliwość, musiał wyprzedzić te cholerne samochody, które grzecznie wlokły się z uświęconą prędkością dziewięćdziesięciu na godzinę. Dowód był jak na dłoni, a Danglard o wszystkim od początku wiedział i nie pisnął ani słowa. Adamsberg pojmował jednak, że kolega oszczędzał go, nie wyjawiając mu tej wieści, która teraz go poraziła. Tylko dlaczego? Na co liczył? Że Camille latami będzie opłakiwała utraconą miłość? Że przemieni się w posąg, który on będzie ożywiał, kiedy mu się

spodoba? Jak w bajkach? rzekłby Trabelmann. Nic z tych rzeczy, Camille się ugięła, żyła dalej i po prostu spotkała jakiegoś faceta. Cierpka była ta prawda i z trudem dopuszczał ją do siebie.

Nie, pomyślał, kładąc się do łóżka. Nigdy właściwie nie pojmował tego tak, że faktycznie traci Camille, kiedy ją tracił. Proste jak drut, lecz bezużyteczne. Na scenę wkroczył ten cholerny ojciec, który jego, Adamsberga, spychał na margines. Nawet Danglard opowiedział się przeciwko niemu. Bez trudu potrafił sobie wyobrazić nadkomisarza, jak wchodzi na porodówkę i ściska dłoń temu nowemu, człowiekowi godnemu zaufania, pewnemu w przeciwieństwie do niego, Adamsberga, oferującemu całą swoją prawość. Facetowi bez zarzutu, prostolinijnemu, przemysłowcowi z labradorem, z dwoma labradorami, w nowych butach ze sznurowadłami.

Adamsberg nienawidził go całym sobą. Tego wieczoru utłukłby go jak psa razem z jego psami. On, policjant, gliniarz, byk, pies – zabiłby go. Trójzębem. Bo niby czemu nie?

XXII

Przebudziwszy się późno, Adamsberg nie poszedł podglądać szefa bernikli, w ogóle zrezygnował z kontemplacyjnej wyprawy nad jeziora. Od razu skręcił w przenoskę. W niedzielę dziewczyna nie pracowała, były zatem spore szanse, że spotka ją przy kamieniu Champlaina. Siedziała tam istotnie z dwuznacznym uśmiechem na ustach i zapalonym papierosem, gotowa pójść do niego.

W urzeczeniu swojej towarzyszki Adamsberg znalazł niejaką pociechę po przykrości, której doświadczył poprzedniego dnia. O szóstej wieczorem przystąpił do pozbywania się jej. Siedząca nago na łóżku Noëlla o niczym nie chciała słyszeć, upierała się, że zostanie na noc. Nie ma mowy, łagodnie tłumaczył jej Adamsberg, ubierając ją powoli, jego koledzy niedługo wrócą. Musiał włożyć jej kurtkę i pod rękę podprowadzić ją do drzwi.

Ledwie Noëlla znalazła się na zewnątrz, przestał o niej myśleć i zadzwonił do Mordenta do Paryża. Komisarz należał do ludzi sów, Adamsberg wiedział zatem, że nie obudzi go kwadrans po północy. Oprócz tego, że był obowiązkowym gryziپیórkiem, cechowało go niemodne zamiłowanie do akordeonu i piosenki ludowej, a tego wieczoru wrócił z jakiejś zabawy nadzwyczajnie zadowolony.

– Prawdę mówiąc, Mordent – powiedział Adamsberg – nie dzwonię z wieściami. Wszystko biegnie jak trzeba, ekipa się spisuje, nic się nie dzieje.

– A jak tam koledzy zza oceanu? – spytał mimo wszystko komisarz.

– W porządku, jak mówią tutaj. Sympatyczni i kompetentni.

– Wieczory macie wolne czy o dziesiątej gaszenie świateł?

– Wolne, ale od tej strony niczego nie tracicie. Jeśli chodzi o lokale rozrywkowe i festyny to w Hull-Gatineau mamy raczej plażę. Bez wypasu, jak mówi Ginette.

– Ale ładnie tam jest?

– Bardzo ładnie. W robocie wszystko gra?

– Nic takiego się nie dzieje. Czemu pan dzwoni, szefie?

– W sprawie „Les Nouvelles d’Alsace” z piątku dziesiątego października. Albo jakiejś innej gazety regionalnej czy lokalnej, nie wiem.

– Czego szukamy?

– Morderstwo popełnione w Schiltigheim wieczorem w sobotę czwartego października. Ofiara: Élisabeth Wind. Dochodzenie prowadzi komendant Trabelmann. Oskarżony: Bernard Vétilleux. Szukam artykułu czy choćby

wzmianki o wizycie policjanta z Paryża i o podejrzeniu, że to robota seryjnego mordercy. Czegoś w tym guście. Z piątku dziesiątego, nie z innego dnia.

– Policjant z Paryża to pan, jak się domyślam?

– Zgadza się.

– Ściśle tajne czy do omawiania w Plotkarni?

– Ściśle tajne, Mordent. Przez tę sprawę mam same kłopoty.

– Pilne?

– Superpilne. Dajcie mi znać, jak tylko coś znajdziecie.

– A jak nic nie znajdzie?

– To też będzie informacja. Tak czy owak odezwijcie się.

– Momencik, szefie – zatrzymał go jeszcze Mordent. – Mógłby mi pan pchnąć codziennie mail ze szczegółami tego, coście robili w GRC? Brézillon chce dostać dokładny raport po waszym powrocie, a pewnie ucieszyłby się pan, gdybym ja się nim zajął.

– Jasne. Dzięki za pomoc, Mordent.

Raport. Zupełnie o nim zapomniał. Adamsberg sprężył się, by spisać dla Mordenta, co robili w minionych dniach, póki miał na świeżo starania Jules’a i Lindy Saint-Croix. W samą porę się za to zabrał, ponieważ pojawienie się w ostatnim czasie Fulgence’a, świeżo upieczonego tatusia i Noëlli już zepchnęło kartoniki z próbkami moczu i potu na obrzeża jego myśli. Dość rad był, że następnego dnia uwolni się od jowialnego twardziela Lalibertégo, a jego towarzyszem będzie Sanscartier Dobry.

Późnym wieczorem usłyszał, że na parking wjeżdża samochód. Wyrzął z balkonu i zobaczył wysiadającą grupę montrealską z Danglardem na czele schylonym w zamieci śnieżnej. Jemu chętnie by nazwał jak świni do koryta, jak by powiedział nadintendent.

XXIII

Jakie to dziwne, że trzy dni wystarczą, by wyzbyć się zdziwienia i zacząć popadać w rutynę, myślał Adamsberg, parkując przed gmachem GRC, kilka metrów od gorliwej wiewiórki, która strzegła drzwi. Uczucie obcości słabło, ciało zaczynało mościć sobie gniazdko na nowym terenie i dopasowywać je do siebie, tak jak stopniowo wysiaduje się fotel do swoich kształtów. W ten poniedziałek każdy zajął w sali konferencyjnej to samo co wcześniej miejsce, aby wysłuchać nadintendenta. Po pracy w terenie przysłała pora na laboratorium, wydobywanie próbek, umieszczenie ich na krążkach o średnicy dwóch milimetrów, włożenie krążków do dziewięćdziesięciu sześciu komórek płytki laboratoryjnej. Te polecenia Adamsberg ospale zanotował na użytek dziennego raportu dla Mordenta.

Zostawił Fernandowi Sanscartierowi wyjęcie kartoników, umieszczenie krążków w sekwenatorze, uruchomienie automatycznych kapilar. Potem obaj oparci o białą poręcz patrzyli na poruszające się tam i z powrotem igły. Od dwóch dni Adamsberg źle spał, toteż otumaniał go monotony ruch dziesiątków synchronicznie pracujących kapilar.

– Omrocza cię? Chcesz, to skoczę po prawdziwą.

– Podwójną poproszę. Mocną.

Sierżant wrócił po chwili, ostrożnie niosąc kubki.

– Nie sparz się – powiedział, podając kawę Adamsbergowi.

Stanęli obydwaj jak przedtem, wychyleni przez barierkę.

– Jeszcze trochę – odezwał się Sanscartier – a nie wyszczasz się spokojnie w śnieg, bo zaraz się pokażą kody kreskowe i trzy gliniarskie śmigłowce.

– Jeszcze trochę – powtórzył po nim Adamsberg – a nie trzeba będzie przesłuchiwać ludzi.

– Jeszcze trochę, a nawet oglądać ich nie będzie trzeba. Starczy usłyszeć głos, czasem o coś się zapytać. Pójdzie się na miejsce zbrodni, zbierze opary potu, capnie gościa w domu, zakuje w bransoletki i dostarczy w skrzyni na miarę.

– Jeszcze trochę, a padniemy z nudów.

– Smakuje ci kawa?

– Nie bardzo.

– To nie nasza specjalność.

– Nudzisz się tu, Sanscartier?

Sierżant zastanowił się nad odpowiedzią.

– Pasowałyby mi wrócić w teren. Żeby się dało posługiwać własnymi oczami. I wyszczać się na śnieg, rozumiesz. Zwłaszcza że moja dziunia siedzi w Toronto. Ale nie mów tego szefowi, zmyłby mi głowę.

Zapaliło się czerwone światelko, a oni jeszcze chwilę stali bez ruchu, patrząc na nieruchome kapilary. W końcu Sanscartier z ociąganiem odsunął się od poręczy.

– No, do roboty. Jak nas szef przyłapie, że się opieszaliśmy, wścieknie się jak sto pięćdziesiąt.

Wyjęli z sekwenatora płytkę i porozkładali kolejne kartoniki. Potem zabawa z krążkami, komórkami. Sanscartier ponownie uruchomił urządzenie.

– Często robisz w terenie w Paryżu? – zapytał.

– Jak najczęściej. Poza tym chodzę, włóczę się, marzę.

– Farciarz. Rozwiązujesz sprawy, szuflując chmury?

– W pewnym sensie – odparł Adamsberg z uśmiechem.

– A teraz idzie ci jakoś?

Adamsberg się skrzywił.

– Nie bardzo. I raczej szufluję ziemię.

– Trafiła ci się kość?

– Pełno kości. Nadziałem się na kompletnego nieboszczyka. Ale to nie ofiara, tylko sprawca. Martwy od dawna gość dalej zabija.

Adamsberg wpatrzył się w piwne oczy Sanscartiera, niemal tak okrągłe jak aksamitne kulki umieszczane na zabawkach.

– Ha – skomentował Sanscartier – skoro dalej zabija, znaczy, że nie całkiem umarł.

– Umarł – obstawał Adamsberg. – Umarł na pewno, mówię ci.

– Ale nie chce odejść – oświadczył Sanscartier, rozkładając ręce. – Miota się jak diabeł w święconej wodzie.

Adamsberg na powrót oparł się o poręcz. Dotąd wspierała go tylko Clémentine, teraz wreszcie znowu ktoś niewinnie wyciągał do niego pomocną dłoń.

– Łebski z ciebie gliniarz, Sanscartier. Faktycznie powinieneś pracować w terenie.

– Tak myślisz?

– Jestem pewien.

– W każdym razie – rzekł sierżant, kręcąc głową – jak przyjdzie co do czego, będziesz miał tęgą przeprawę z tym swoim diabłem. Jedno ci powiem: pilnuj się. Niejeden będzie cię wyśmiewał i opowiadał, że gadasz jak po blekocie.

– Czyli?

– No żeś przeholował, robisz z muchy słonia.

– Aaa, to już mi mówili.

– Więc zamknij jadaczkę i nie próbuj nikogo przekonywać. Ja ci powiadam, że w moim uważaniu miglanc z ciebie i jesteś na dobrym tropie. Szukaj tego przeklętego demona i póki nie złapiesz go za fraki, nie pchaj się przed oczy.

Adamsberg stał wychylony przez poręcz, czując, jak rozlewa się w nim ulga pod wpływem słów kolegi o czystym czole.

– A powiedz, Sanscartier, czemu ty nie bierzesz mnie za świra?

– Bo żaden z ciebie świr, to jasne jak słońce. Idziesz coś zjeść? Minęło południe.

Nazajutrz wieczorem, po dniu spędzonym przy linii automatycznego sekwencjonowania DNA, Adamsberg z żalem rozstał się z kolegą, który tak dobrze na niego działał.

– Z kim jutro jesteś w parze? – spytał Sanscartier, odprowadzając go do samochodu.

– Z Ginette Saint-Preux.

– W porządku z niej chum. Możesz być spokojny.

– Ale ciebie będzie mi brakowało – odparł Adamsberg, ściskając mu dłoń. – Oddałeś mi wielką przysługę.

– Ja? Jakim cudem?

– Ano tak się złożyło. A ty? Z kim pracujesz?

– Z tą drogą w utrzymaniu. Przypomnisz mi, jak się nazywa?

– Z drogą w utrzymaniu?

– No... z grubą – przetłumaczył Sanscartier zakłopotany.

– Aha. Violette Retancourt.

– Wybacz, że jeszcze do tego wracam, ale jak dopadniesz tego cholernego nieboszczyka, choćby i za dziesięć lat, mógłbyś dać mi znać?

– Tak cię to obchodzi?

– Bardzo. I polubiłem cię.

– Dam ci znać. Nawet za dziesięć lat.

Adamsberg nadzieją się na Danglarda w windzie. Dwa dni z Sanscartierem Dobrym stonowały w nim złość, toteż na później odłożył pragnienie kolejnej przeprawy z partnerem.

– Wychodzisz gdzieś wieczorem? – zagadnął neutralnym głosem.

– Padnięty jestem. Wrzucę coś na ruszt i idę spać.

– A jak dzieci? U nich w porządku?

– Tak, dzięki – odparł lekko zdziwiony nadkomisarz.

Adamsberg uśmiechał się, idąc do swojego mieszkania. Ostatnimi czasy Danglardowi nie bardzo wychodziło ukrywanie czegoś. Poprzedniego dnia o osiemnastej trzydzieści Adamsberg słyszał, jak odjeżdża samochodem, a wrócił blisko drugiej nad ranem. Tyle czasu akurat potrzebował, aby pojechać do Montrealu, wysłuchać tego samego koncertu i spełnić dobry uczynek. Niedostatek snu nocą zabarwiał mu na ciemno podkwoy pod oczami. Poczciwy Danglard, był przekonany, że trzyma sprawę w sekrecie, choć został przejrany. Tego wieczoru oddany nadkomisarz wybierał się na ostatni występ kwintetu, czekała go więc kolejna wyprawa tam i z powrotem do Montrealu.

Przez okno Adamsberg widział, jak Danglard ukradkiem wymyka się z budynku. Szerokiej drogi i miłego koncertu, nadkomisarzu. Patrzył za odjeżdżającym samochodem, gdy zadzwonił do niego Mordent.

– Przepraszam za spóźnienie, szefie, ale mieliśmy tu urwanie głowy, facet chciał zabić żonę i równocześnie dzwonił do nas. Trzeba było otoczyć budynek.

– Są straty?

– Nie, facet posłał pierwszą kulkę w pianino, a drugą sobie w stopę. Na szczęście kompletna niedojda.

– Macie coś z Alzacji?

– Najlepiej przeczytam panu tekst, jest na stronie ósmej: „Morderstwo w Schiltigheim zakwestionowane? W związku z dochodzeniem prowadzonym przez żandarmerię w Schiltigheim w sprawie tragicznej śmierci Élisabeth Wind w nocy czwartego października sąd wydał nakaz tymczasowego aresztowania Bernarda Vétilleux. Jak donoszą nasze źródła, B. Vétilleux został przesłuchany przez wysokiego rangą funkcjonariusza policji z Paryża. Zdaniem tych samych źródeł zabójstwo popełnione na dziewczynie może być dziełem seryjnego mordercy operującego na terenie całego kraju. Tę hipotezę zdecydowanie odrzucił komendant Trabelmann prowadzący dochodzenie. Z jego oświadczeń wynika, że to jedynie pogłoski. Komendant stanowczo potwierdził zasadność aresztowania B. Vétilleux”. Tego pan szukał, szefie?

– Właśnie tego. Dobrze schowajcie ten artykuł. Teraz trzeba się tylko modlić, żeby Brézillon nie czytał „Les Nouvelles d’Alsace”.

– Pasowałoby panu, żeby tego Vétilleux uniewinnili?

– Tak i nie. Ciężko jest szuflować ziemię.

– W porządku – rzekł Mordent, nie drążąc tego. – Dzięki za maile. Te kartoniki, kapilary, krążki... wygląda to ciekawie, ale bez zachwyty.

– Justin czuje się jak ryba w wodzie, Retancourt bez problemu się adaptuje, Voisenet widzi w tym coś nadprzyrodzonego, Froissy cierpi w milczeniu, Noël się

niecierpliwi, Estalère dziwi, a Danglard jeździ na koncerty.

– A pan, inspektorze?

– Ja?... Mówią o mnie, że „szufluję chmury”. Zachowaj to dla siebie, Mordent, tak samo jak artykuł.

Po Mordencie Adamsberg przerzucił się na Noëllę, której rosnąca namiętność za każdym razem odrywała jego myśli od irytującego odkrycia dokonanego w Montrealu. Dziewczyna, nadzwyczajnie zdeterminowana, szybko rozwiązała problem miejsca ich spotkań. Adamsberg znajdował ją przy kamieniu Champlaina, po czym w ciągu kwadransa ścieżką docierali do wypożyczalni rowerów, w której jedno z gilotynowych okien się nie domykało. Dziewczyna przynosiła w plecaku wszystko, co uważała za niezbędne do przetrwania, czyli kanapki, napoje i karimatę. Około jedenastej Adamsberg się żegnał i wracał przenoską, którą znał teraz jak własną kieszeń, przechodził koło wycinki, po drodze gestem pozdrawiał strażnika, później jeszcze przed snem witał rzekę Outaouais.

Praca, rzeka, lasy i dziewczyna. Zasadniczo podchodził do rzeczy od tej dobrej strony. Zostawiał gdzieś daleko świeżo upieczonego tatusia, a co się tyczy Trójzęba, to powtarzał sobie słowa Sanscartiera: „Migłanc z ciebie i jesteś na dobrym tropie”. Chciał wierzyć Sanscartierowi, chociaż z aluzji rzucanych przez Portelance’a i Ladouceura wynikało, że jeśli chodzi o intelekt, nie należy do najwyższej cenionych w grupie.

Tego wieczoru sielski obrazek z Noëllą coś zmaćło. Krótka wymiana zdań, na szczęście szybko ucięta.

– Zabierz mnie ze sobą – poprosiła dziewczyna wyciągnięta na karimacie.

– Nie mogę, jestem żonaty – odruchowo odpowiedział Adamsberg.

– Kłamiesz.

Pocałował ją, by zamknąć jej usta.

XXIV

Dni w tandemie z Ginette Saint-Preux minęły przyjemnie, pominąwszy rosnący stopień skomplikowania wiedzy przekazywanej stażystom z Francji, tak że Adamsberg musiał robić notatki pod dyktando koleżanki. „Przeniesienie do komory amplifikacji genowej, utworzenie kopii próbki w aparacie multiplikacji termicznej”.

W porządku, Ginette, jak tam chcesz.

Ale Ginette, równie gadatliwa jak uparta, zauważała maślany wzrok Adamsberga i nastawała:

– Nie rznij głupa, nietrudno to pojąć. Wyobraź sobie fotokopiarkę molekularną, z której wychodzą miliardy kopii. Kapujesz?

– Kapuję – mechanicznie odpowiadał Adamsberg.

– Produkty amplifikacji są oznaczone fluorescencyjnym markerem, który ułatwia wykrycie ich w świetle laserowym. Rozumiesz już?

– Wszystko rozumiem, Ginette. Ty rób, a ja będę się przyglądał.

We czwartek wieczorem Noëlla czekała na niego na rowerze z uśmiechem i zdecydowaniem na twarzy. Rozłożywszy karimatę na podłodze wypożyczalni, położyła się wsparta na łokciu i sięgnęła po swój plecak.

– Noëlla ma dla ciebie niespodziankę – powiedziała, wyjmując kopertę. I ze śmiechem pomachała nią.

Adamsberg wyprostował się nieufnie.

– Zdobyła miejsce na ten sam lot co ty we wtorek.

– Wracasz do Paryża? Już?

– Wracam do ciebie.

– Noëlle, jestem żonaty.

– Kłamiesz.

Tym razem też ją pocałował, zaniepokojony bardziej niż poprzednio.

XXV

Adamsberg przystanął, by pogadać z wiewiórką trzymającą wartę przed GRC, byle jak najbardziej odwlec początek pracy w parze z Mitchem Portelance'em. Tego dnia wiewiórka zwerbowała sobie młodszą koleżankę, która mocno ją rozpraszała w trakcie żmudnych obowiązków. Nie można było tego powiedzieć o oschłym Mitchu, dużej klasy naukowcu, który zajął się genetyką z powołania i największą miłością darzył łańcuchy kwasu deoksyrybonukleinowego. W odróżnieniu od Ginette nie dopuszczał do siebie myśli, że Adamsberg może nie śledzić jego wyjaśnień, a tym bardziej że nie podziela jego pasji, toteż galopem wyłuszczał swoje. Adamsberg zapisywał w notesie to czy tamto, rozumiejąc jedynie fragmenty wygłaszanego z żarem wykładu. „Umieszczenie każdej próbki na porowatym grzebieniu... Wstawienie do sekwenatora...”

Na grzebieniu, zapisał Adamsberg.

„Naniesienie DNA na żel elektroforetyczny, separacja za pomocą pola elektrycznego”.

Żel elektroforetyczny.

– I hajda! – rzucił Portelance. – Zaczyna się wyścig cząsteczek, w czasie którego fragmenty DNA przechodzą przez żel, by dotrzeć do mety.

– No proszę.

– Czyli do detektora, który wyłapuje poszczególne fragmenty, w miarę jak wychodzą z sekwenatora po kolei, od najkrótszych do najdłuższych.

– Niesamowite – skomentował Adamsberg, rysując dużą królową mrówek, a za nią ze sto skrzydlatych samców.

– Co tam bazgrzesz? – zainteresował się zezłoszczony Portelance.

– Wędrówkę fragmentów przez żel. Żeby to sobie utrwalić.

– A oto i efekt – zawołał Portelance, wskazując palcem ekran. – Profil dwudziestu ośmiu prążków uzyskanych w sekwenatorze. Piękny, nie uważasz?

– Bardzo.

– Ta kombinacja – ciągnął Mitch – czyli tu konkretnie mocz Jules'a Saint-Croix, jakbyś nie pamiętał, to profil genetyczny, jedyny taki na świecie.

Adamsberg przyjrzał się przemianie moczu Jules'a w dwadzieścia osiem prążków. Oto Jules, oto człowiek.

– Gdyby to był twój mocz – ciągnął Portelance odrobinę mniej spięty – widzielibyśmy oczywiście coś zupełnie innego.

- Ale też byłoby dwadzieścia osiem prążków? Nie sto czterdzieści dwa?
- Dlaczego sto czterdzieści dwa?
- A tak. Pytam tylko.
- Dwadzieścia osiem. Słowem, jeśli kogoś zabijesz, daruj sobie sikanie na zwłoki. – Tu Mitch Portelance zaśmiał się sam. – Spokojnie, tylko wyluzowuję.

W czasie przerwy na lunch Adamsberg wypatrył Voiseneta, który pił prawdziwą kawę, rozmawiając z Ladouceurem. Dał mu znak i po chwili Voisenet przyszedł do niego w kącie.

- Załapaliście to, Voisenet? Ten żel, gonitwę, dwadzieścia osiem prążków?
- W miarę.
- A ja nie. Bądźcie tak miły i poślijcie raport dzienny Mordentowi, ja nie jestem w stanie.
- Portelance jest za szybki? – zaniepokoił się komisarz.
- No. A ja za wolny... Powiedzcie, Voisenet – dodał Adamsberg, wyjmując notes – kojarzy wam się z czymś ta ryba?

Voisenet z zainteresowaniem obejrzał szkic stworzenia, które buszowało w głębinach jeziora Pink.

- W życiu czegoś takiego nie widziałem – przyznał zaintrygowany. – Na pewno nie ma błędów w tym rysunku?
- Ani jednej płetwy nie brakuje.
- W życiu nie widziałem – powtórzył komisarz, kręcąc głową. – A wiem co nieco o ichtiofaunie.

- O czym?
- O rybach.
- To mówcie tak od razu z łaski swojej. Mam dość problemów ze zrozumieniem naszych kolegów, więc nie komplikujcie mi dodatkowo życia.
- Skąd jest ta ryba?
- Z takiego cholernego jeziora. Właściwie z dwóch jezior położonych jedno na drugim. Żywe jezioro jest na martwym.

- Proszę?
- Dwadzieścia metrów głębokości, trzy metry szlamu sprzed dziesięciu tysięcy lat. Na samym dnie życia brak, ale wyżej pływa to rybsko, które pamięta czasy, kiedy tam było morze. Inaczej mówiąc, żywa skamielina, której nie powinno tam być. W zasadzie nasuwa się pytanie, dlaczego przetrwała i jakim cudem. W każdym razie udało jej się i teraz miota się w tym jeziorze jak diabeł w święconej wodzie.

– O kurde... – sapnął Voisenet pod wrażeniem, nie mogąc oderwać wzroku od rysunku. – Jest pan pewien, że to nie czyjś wymysł, legenda?

– Tablica informacyjna wyglądała jak najbardziej serio. O czym myślicie? O potworze z Loch Ness?

– Nessie to nie ryba, tylko gad. Gdzie to jest, szefie? Gdzie jest to jezioro?

Adamsberg z nieobecny wzrokiem nie odpowiedział.

– Gdzie to jest? – powtórzył Voisenet.

Adamsberg przeniósł spojrzenie na kolegę. Właśnie się zastanawiał, co by się działo, gdyby Nessie cały przepchnął się przez wrota katedry strasburskiej. Głośno by o tym było. Wydarzenie byłoby niezwykle, acz o efekcie niezbyt piorunującym, gdyby potwór z Loch Ness nie ział ogniem z nozdrzy, a więc gdyby nie był w stanie spopielić klejnotu sztuki gotyckiej.

– Przepraszam, zamyśliłem się. To jezioro Pink niedaleko stąd. Różowoniebieskie, wspaniałe lustro. Dlatego uważajcie na pozory. A jak wypatrzycie tę rybę, złapcie mi ją za jaja.

– O nie – zaprotestował Voisenet. – Nie krzywdzę ryb, kocham je.

– Ha, a ja tej nie lubię. Chodźcie, pokażę wam jezioro na mapie.

Adamsberg zadbał, by tego wieczoru nie natknąć się na Noëllę: zaparkował parę ulic dalej, wszedł do budynku tylnymi drzwiami przez piwnicę, trzymał się z dala od przenoski. Poszedł skrótem przez las, przeciął wycinkę, minął się ze strażnikiem, który niedawno zjawiał się na posterunku.

– *Hey, man!* – zawołał stróż, szeroko machając ręką. – Rozprostowujesz kulasy?

– Tak, witaj – odparł Adamsberg z uśmiechem, nie przystając.

Latarkę włączył, dopiero gdy poczuł się bezpieczny, po przebyciu dwóch trzecich trasy, daleko za kamieniem, za który Noëlla nigdy się nie zapuszczała, i wrócił na ścieżkę.

A ona czekała na niego dwadzieścia metrów dalej oparta o buk.

– Chodź – powiedziała, biorąc go za rękę. – Mam ci coś do powiedzenia.

– Idę na kolację z kolegami, nie mogę.

– To zajmie chwilę.

Adamsberg dał się zaprowadzić do wypożyczalni rowerów, gdzie usiadł ostrożnie w odległości dwóch metrów od dziewczyny.

– Kochasz mnie – oznajmiła Noëlla bez wstępów. – Zobaczyłam to już za pierwszym razem, kiedy przyszedłeś przenoską.

– Noëlle...

– Wiedziałałam – nie dopuściła go do słowa. – Wiedziałałam, że to ty i że mnie kochasz. Tak mi powiedział. Dlatego codziennie przychodziłam do tego kamienia. I nie na darmo.

– Kto ci powiedział?

– Taki jeden stary Indianin, Szaunis. Przepowiedział mi to. Że druga połówka Noëlli objawi się jej na skale nad rzeką dawnych Outaouais.

– Stary Indianin – powtórzył Adamsberg. – Gdzieś go znalazła?

– W Sainte-Agathe-des-Monts. To Algonkin, pochodzi z ludu Outaouais. On wie. Czekałam i to jesteś ty.

– Na Boga, Noëlle, chyba w to nie wierzysz?

– Ty. – Noëlla wycelowała w niego palcem. – Kochasz mnie tak, jak ja Kocham ciebie. Póki rzeka będzie płynęła, nic nas nie rozdzieli.

Wariatka, kompletna wariatka. Laliberté miał słuszość. Ta dziewczyna sama o świcie na przenosce, kompletnie porąbane.

– Noëlle... – rzekł, podnosząc się i zaczynając krążyć po pomieszczeniu. – Noëlle, wspomniała z ciebie dziewczyna, jesteś piękna, bardzo cię lubię, ale wybaczone, nie Kocham cię. Jestem żonaty, Kocham żonę.

– Kłamiesz, nie masz żony. Stary Szaunis tak mi powiedział. I Kocham mnie.

– Nie, Noëlle. Znamy się raptem sześć dni. Ty byłaś przygnębiona z powodu swojego byłego, ja byłem sam i tyle. Na tym kończy się ta historia, przykro mi.

– Wcale się nie kończy, zaczyna się na zawsze. Tutaj – dodała, wskazując swój brzuch.

– Co tutaj?

– Tutaj – powtórzyła spokojnie Noëlla. – Nasze dziecko.

– Kłamiesz – rzekł Adamsberg głuchym głosem. – Nie możesz wiedzieć tak szybko.

– Mogę. Testy dają odpowiedź po trzech dniach. A Szaunis mi przepowiedział, że zajdę z tobą w ciążę.

– Nieprawda.

– Prawda. I nie zostawisz Noëlli, która cię Kocha i nosi twoje dziecko.

Adamsberg instynktownie popatrzył na okno. Szybko podniósł kwaterę i wyskoczył na zewnątrz.

– Do wtorku! – zawołała za nim Noëlla.

Skierował się na ścieżkę rowerową i biegł aż do swojego samochodu. Zadyszany wskoczył do niego i ruszył do lasu, jadąc krętymi drogami gruntowymi, zdecydowanie za szybko. Zatrzymał się przy samotnie stojącym sklepiku, kupił

piwo i kawałek pizzy. Pożarł ją jak dzikus, przysiadłszy na pniu przy drodze na skraju lasu. Znalazł się w pułapce i nie miał jak uciec przed tą na poły obłąkaną dziewczyną, która trzymała go za gardło. Tak niezrównoważoną, że miał pewność, iż we wtorek zjawi się na lotnisku, a potem wprowadzi do niego w Paryżu. Powinien był zgadnąć, zrozumieć, kiedy ją zobaczył na tym kamieniu, taką bezpośrednią i dziwną, że Noëlla jest nawiedzona. Unikał jej zresztą w pierwszych dniach. Ale przez tę cholerną sprawę z kwintetem jak ostatni kretyn wpadł w macki tej dziewczyny.

Przekąska i przejmujące zimno, które narastało wraz z zapadającą nocą, przywróciły mu energię. Panika przemieniła się w złość. Na Boga, nikt nie ma prawa tak wrabiać faceta. Wypchnie ją z samolotu, wrzuci do Sekwany.

Kurczę, pomyślał, podnosząc się, robi się tej złości za dużo i przybywa ludzi, których bym obił, a nawet skatował. Favre, Trójzęb, Danglard, świeżo upieczony tatuś, a teraz jeszcze ta dziewczyna. Jak by powiedział Sanscartier, zachowuję się jak po blekocie. Przestał za sobą nadążać. Nie nadążał ani za swoją morderczą złością, ani za chmurami, w których po raz pierwszy nie lubił szufłować. Nawracające wizje nieumarłego, trójzębu, niedźwiedzich pazurów i złowrogich jezior zaczynały mu mocno doskwierać, aż zdawało mu się, że traci kontrolę nad własnymi obłokami. Tak, całkiem możliwe, że nażarł się blekotu.

Wrócił do służbowego mieszkania ciężkim krokiem, przemykając przez piwnicę jak złoczyńca lub człowiek sam przez siebie osaczony.

XXVI

Voisenet wypuścił się nad jezioro Pink razem z Froissy i Retancourt, dwaj inni koledzy znowu wyprawili się na obchód montrealskich barów, Danglard odsypiał zarwane noce, Adamsbergowi zaś weekend upłynął na przemykaniu ukradkiem. Przyroda zawsze mu sprzyjała – z wyjątkiem tego podstępnego jeziora – wolał zatem wejść z nią w kontakt, niż tkwić w ciasnym mieszkanku, w którym Noëlla mogła się zjawić w każdej chwili. Wymknął się z bloku o świcie, zanim ktokolwiek podniósł się z łóżka, i pojechał w stronę jeziora Meech.

Spędził tam długie godziny, chodząc po drewnianych kładkach, włącząc się wzdłuż brzegu, nacierając śniegiem przedramiona po same łokcie. Uznał, że rozsowniej będzie nie wracać do Hull na noc, przespał się zatem w zajeździe w Maniwaki, modląc się, by Szaunis prorok nie objawił się w jego pokoju i siłą woli nie sprowadził do niego swej nawiedzanej wyznawczyni. Przez cały następny dzień wytrwale przemierzał las, zbierał brzoźowe wióry, liście czerwiejsze od czerwonych i kombinował, w jakiej kryjówce mógłby się schronić tego wieczoru.

Poezja. Może by poszedł na kolację do tego lokalu z poezją? W Tetrastychu młodzi ludzie nie bywali, Noëlli nie wpadnie do głowy, żeby go tam szukać. Zostawił samochód dość daleko od domu i poszedł szeroką aleją, a nie tą cholerną przenoską.

Zmęczony, spięty i z pustką w głowie zjadał frytki z talerza, jednym uchem słuchając kolejnych wierszy. Ni stąd, ni zowąd obok usiadł Danglard.

– Jak weekend? Miły? – zapytał pojednawczo.

– A tobie jak minął? Lepiej spałeś? – nerwowo odparł Adamsberg. – Zdrada zżera sumienie i psuje noce, męczy, wyczerpuje.

– Mam cię prosić o wybaczenie?

– Zdrada!... Nie mówię po algonkińsku, jak powiada Laliberté. Miesiącami nie pisałeś słowa, milczałeś, nie licząc tysiąca sześciuset kilometrów przejechanych ostatnio z miłości do Vivaldiego.

– Aha... – mruknął Danglard, opierając na stole obie dłonie na płask.

– Słusznie, słusznie, aha. Oklaskiwanie, noszenie sprzętu, odwożenie, otwieranie drzwi... Istny rycerz.

– I co z tego?

– A to, Danglard, że wzięłeś stronę tamtego. Faceta z dwoma labradorami i z nowymi sznurówkami. Przeciwno mnie, Danglard, przeciwno mnie!

– Nie rozumiem, o co ci chodzi. Przykro mi – rzekł Danglard, wstając.

– Moment... – Adamsberg przytrzymał go za rękaw. – Chodzi mi o twój wybór. O dziecko, wsparcie świeżo upieczonego ojca i przyjęcie go w grono swoich. Nie tak było, nadkomisarzu?

Danglard przetarł usta dłonią. Następnie pochylił się do Adamsberga.

– W moim uważaniu, jak mówią nasi tutejsi koledzy, jesteś prawdziwym bałwanem, inspektorze.

Oniemiały Adamsberg został sam przy stoliku. Nieoczekiwana zniewaga Danglarda rozbrzmiewała mu w głowie. Klienci lokalu, zasłuchani w czytane na głos poezje, dali mu do zrozumienia, że wraz z kolegą od dłuższej chwili im przeszkadzają. Adamsberg wyszedł stamtąd i ruszył na poszukiwanie najpodlejszego baru w centrum, pełnej wstawionych facetów mordowni, do której nie weszłyby ta wariatka Noëlla. Daremne starania – przy wyzamiatanych czystych ulicach nie było żadnej spelunki. A w Paryżu wyrastają jak chwasty między szczelinami w chodniku. W końcu zdecydował się na lokal pod szyldem Śluza. Słowa Danglarda musiały mocno walnąć, czuł bowiem, że zaczyna go porządnie boleć głowa, co zdarzało mu się raz na dziesięć lat.

„W moim uważaniu jesteś prawdziwym bałwanem, inspektorze”.

Nie zapominając o słowach Trabelmanna, Brézillona, Favre’a, a także świeżo upieczonego tatusia. I nie mówiąc o groźnej zapowiedzi Noëlli. Nic tylko afronty, zdrady, groźby.

A ponieważ głowa nie przestawała go łupać, musiał na wyjątkową sytuację odpowiedzieć wyjątkowym działaniem, czyli autentycznie zalać się w pestkę. Adamsberg z natury był wstrzemięźliwy i słabo pamiętał swoje ostatnie pijaństwo, które miało miejsce na wiejskim festynie w czasach młodości, a także możliwe jego skutki. W sumie jednak, z tego co słyszał, ludziom raczej się to podobało. A jemu właśnie czegoś takiego było teraz trzeba.

Usiadł przy barze między dwoma miejscowymi, którzy już mieli mocno w czubie po iluś tam piwach, i na początek walnął trzy whisky jedną po drugiej. Ściany nie zaczęły wirować, czuł się dobrze, wzburzona zawartość głowy powoli spływała mu prosto do żołądka. Oparty łokciem o kontuar zażądał butelki wina, od wiarygodnych praktyków wiedział bowiem, że wymieszanie trunków przynosi pożądany efekt. Wypił cztery kieliszki i do kompletu zamówił lampkę koniaku. „Akuratność, akuratność i jeszcze raz akuratność. Nie znam innego sposobu, żeby się udało”. Skubaniec z tego Lalibertégo. Cholerny chum.

Barman zaczynał na niego zerkać z niepokojem. Odwal się, koleś, szukam wyjścia, a to wyjście mogłoby nawet odpowiadać samemu Vivaldiemu, wyobraź sobie.

Przezornie Adamsberg położył z wyprzedzeniem na kontuarze kwotę wystarczającą do uregulowania rachunku, na wypadek gdyby spadł ze stołka. Koniakiem bardzo ciekawie się doprawił, zyskał mianowicie poczucie zdecydowanej utraty kontroli nad swoimi poczynaniami, porywy złości mieszały się w nim z wybuchami śmiechu, nabrał także przekonania o swojej sile, no chodź, zmierzmy się, niedźwiedziu, chumie, nieboszczyku, rybo czy coś w tym guście. „Zbliź się tylko, a wraz cię nadzieję” – tak ongiś jego babka, dzierżąc w rękach widły, powiedziała do niemieckiego żołdaka, który podchodził do niej, wyraźnie zamierzając ją zgwałcić, ubaw po pachy. Jeszcze teraz jak o tym pomyślał, pokładał się ze śmiechu. Dzielna staruszka!... Skądś z daleka doleciał do niego głos barmana:

– Nie podniecaj się tak, *man*, ale byś lepiej dał se siana dzisiaj i poszedł się przewietrzyć. Gadasz do siebie.

– Opowiadam ci o mojej babci.

– Na cycki świętej Eulalii, mam gdzieś twoją babkę. Widzę za to, żeś zalał pałę na amen i że to się źle skończy. Już teraz bełkoczesz.

– Niczego nie zalałem, siedzę tu sobie suchutki na stołku.

– Słuchaj, co się do ciebie mówi, Francuziku. Jesteś naprany jak autobus, masz maślane oczy. Dziunia cię puściła w trąbę? To nie powód, żeby się tak ućmoruchać. No już, hajda stąd! Nic więcej nie dostaniesz.

– Dostanę, dostanę – oświadczył Adamsberg, podsuwając mu kieliszek.

– Zamknij dziób, Francuziku. Zjeżdżaj stąd albo wezwę byki.

Adamsberg ryknął śmiechem. Byki!... A to dobre.

– A wezwij! Niech tylko się zbliżą, a wraz cię nadzieję.

– Krucafiks! – zdenerwował się barman. – Dość tego dobrego! Skończyła mi się cierpliwość, *man*, zaczynasz mi działać na nerwy. Hajda stąd, mówię!

Barman, zbudowany jak kanadyjski drwal z obrazka w książce, wyszedł zza kontuaru, wziął Adamsberga pod pachy, zawłókł go do drzwi i postawił na chodniku.

– Nie wsiadaj za kółko – poradził, podając mu kurtkę. W swej życzliwości naciągnął mu nawet czapkę na głowę. – Tej nocy ma być zimno – wyjaśnił. – Zapowiadają dwanaście poniżej zera.

– Która godzina? Nie widzę swoich zegarków.

– Piętnaście po dziesiątej, pora spać. Bądź grzeczny i wróć na nogach. Nie martw się, *man*, znajdziesz sobie inną dziunię.

Drzwi baru zatrasnęły się za Adamsbergiem, który z trudem podniósł z ziemi

swoją kurtkę i włożył ją na dobrą stronę. Dziunia, dziunia!... Jeszcze czego!

– Dziuń mam o jedną za dużo! – wrzasnął na pustej ulicy pod adresem barmana.

Chwiejnym krokiem instynktownie podążył do wylotu przenoski. Po głowie błąkała mu się myśl, że Noëlla może tam na niego czekać przyczajona w mroku jak szary wilk. Znalazł w kieszeni latarkę, zapalił ją i omiół okolicę chybotliwym snopem światła.

– Do dupy! – wydarł się sam na przenosce.

Facet, który da radę powalić niedźwiedzia, byków, ryby, poradzi sobie chyba z jedną dziunią, nie?

Śmiało maszerował naprzód ścieżką. Rzucało nim co prawda na boki, lecz wyryta w stopach pamięć trasy pozwalała mu dzielnie się posuwać, mimo że co rusz obijał się o drzewa, zboczywszy nieco z trasy. Wydawało mu się, że jest mniej więcej w połowie drogi. Spryciarz z ciebie, chłopie, miglanc.

Ale tego było za mało, by uniknąć niskiego konaru, pod którym zwykle przechodził. Gałąź trafiła go prosto w czoło, poczuł, że leci na ziemię, padł najpierw na kolana, potem na twarz, nijak nie mogąc rękami zamortyzować upadku.

XXVII

Pod naporem fali mdłości Adamsberg ocknął się z zamroczenia. Czoło tak mocno go łupało, że z trudem rozwarł powieki. Kiedy w końcu zdołał skupić spojrzenie w jednym punkcie, nic nie zobaczył. Tylko ciemność.

Ciemność nieba, uzmysłowił sobie nareszcie, szcękając zębami. Nie znajdował się na ścieżce, lecz na asfalcie, panowało lodowate zimno. Podparł się na jednej ręce, drugą trzymając się za głowę. Usiadł na rozkołysanej ziemi i tak pozostał, niezdolny uczynić nic więcej. Dobry Boże, co ja narobiłem? Rozpoznał nieodległy pomruk Outaouais. Miał przynajmniej jakiś punkt odniesienia. Znajdował się przy końcu przenoski, jakieś pięćdziesiąt metrów od swojego bloku. Musiał stracić przytomność po zderzeniu z konarem, potem się pozbierał, znowu upadł, podniósł się, szedł, upadł, szedł i zwałił się na dobre, dotarłszy do wyjścia z lasu. Podparł się rękami o ziemię i wstał, przytrzymując się pnia drzewa, by pokonać zawrót głowy. Pięćdziesiąt metrów, jeszcze tylko pięćdziesiąt metrów i dotrze do celu. W przenikliwym zimnie ruszył niezdarnie, co parę kroków przystając, by odzyskać równowagę. Odnosił wrażenie, że mięśnie nóg całkiem mu się rozpląnęły.

Na ostatnich metrach wiódł go widok oświetlonego holu w bloku. Pchnął szklane drzwi, szarpnął nimi. Klucz, Boże, gdzie ten przekłety klucz?... Oparty bokiem o drzwi, czując, jak pot zamarza mu na twarzy, wyłowił w końcu klucz z kieszeni i odblokował zamek na oczach strażnika, który obserwował go zdumiony.

– Krucafiks, źle się pan czuje, panie inspektorze?

– Nie za dobrze – wystękał Adamsberg.

– Pomóc panu?

Adamsberg pokręcił głową, czując, jak pod czaszką wzmagają się bóle. Teraz pragnął tylko jednego: położyć się i nic nie mówić.

– To nic – rzekł słabym głosem. – Była bójka... banda...

– Przekłete psy. Włóczą się tylko i wdają w magulanki, bladysyny!...

Adamsberg przytaknął w milczeniu i wtoczył się do windy. Ledwie wszedł do mieszkania, rzucił się do łazienki, gdzie zwrócił tyle alkoholu, ile tylko zdołał. O rany, co za świństwo mu polewali? Na uginających się nogach, z rozdygotanymi rękami, dowlóknął się do łóżka i padł na nie, trzymając oczy otwarte, by pokój nie zaczął wirować.

Po przebudzeniu głowę miał niemal równie ciężką, lecz wydawało mu się, że najgorsze minęło. Wstał i zrobił kilka kroków. Nogi, choć mocniejsze, nadal się pod nim uginały. Opadł z powrotem na łóżko i wzdrygnął się, dostrzegłszy swoje dłonie pokryte brunatną krwią po czubki paznokci. Powłókł się do łazienki i obejrzał w lustrze. Potworność. Po zderzeniu z konarem został mu na czole wielki siny guz. Musiał z niego krwawić, wytrzeć ręką twarz, rozmazać krew. Pięknie, myślał, obmywając się, cholerny niedzielny wieczór. Znieruchomiał nad umywalką. W poniedziałek o dziewiątej miał być w GRC.

Budzik wskazywał za piętnaście jedenastą. Rany, przespał prawie dwanaście godzin. Przezornie usiadł, zanim zadzwonił do Lalibertégo.

– Ho, ho, co to za numery? – rzekł nadintendent rozweselonym głosem. – Na zegarek zapomniałeś popatrzeć?

– Wybacz, Aurèle, nie czuję się dobrze.

– Co się dzieje? – zaniepokoił się Laliberté. – Wydajesz się jakiś zdechły.

– Bo jestem zdechły. Wczoraj wieczór roztrzaskałem sobie pysk na przenosce. Krew sikała, straciłem przytomność, a dziś ledwie trzymam się na nogach.

– Zaraz, zaraz, *man*, wpadłeś w jakiś dołek czyś się schlał w trupa? Bo coś mi tu nie pasuje.

– I to, i to, Aurèle.

– Opowiedz po kolei, jak to było, dobrze? Czyli najpierw zalałeś pałę, zgadza się?

– Tak. Nie jestem przyzwyczajony, więc mocno poszło mi w czub.

– Chlałeś z friendsami?

– Nie, byłem sam. Na rue Laval.

– Czemuś pił? Doła miałeś?

– A miałem, miałem.

– Czyżbyś tęsknił za krajem? Żle ci tutaj?

– Bardzo dobrze mi jest. Dopadła mnie po prostu chandra i tyle. Nie warto nawet o tym mówić.

– Nie chcę cię brać na spytki, *man*. Co było potem?

– Wracalem przenoską i nadzialem się na konar.

– Krucafiks, gdzieś oberwał?

– W czoło.

– Gwiazdki żeś widział?

– Padłem jak kłoda. Potem jakoś się pozbierałem i dowlokłem do mieszkania. Dopiero teraz jakoś zbieram myśli.

– Slipałeś we frakach?

– Nie rozumiem – rzekł Adamsberg znużonym głosem.

– Spałeś w ubraniu? Tak źle było z tobą?

– Tak źle. Mam ołowianą głowę, nie mogę ustać na nogach. To właśnie chciałem ci powiedzieć. Nie dam rady teraz sięść za kółko, w GRC będę najwcześniej o drugiej.

– Masz mnie za zwyrodnialca? Zostaniesz w domu, *relaxe*, kuruj się. Masz co trzeba? Na kaca?

– Nic.

Laliberté odsunął słuchawkę i zawołał Ginette. Adamsberg słyszał jego głos rozbrzmiewający w biurze:

– Ginette, pojedziesz wykurować inspektora. Ma głątwę, jest na czczo i w ogóle podle się czuje... Saint-Preux przywiezie ci zaraz co trzeba – rzekł nadintendent do słuchawki. – Nie ruszaj się nigdzie, słyszysz? Widzimy się jutro, jak dojdiesz do siebie.

Adamsberg wziął prysznic, by Ginette nie zobaczyła go umorusanego zakrzepłą krwią. Wyszorował paznokcie i ubrał się – pomijając granatowy guz, wyglądał jako tako.

Ginette zaaplikowała mu różne medykamenty: na głowę, na brzuch, na nogi. Zdezynfekowała ranę na czole i posmarowała ją jakąś lepką maścią. Później sprawnie zbadała mu źrenice i odruchy. Adamsberg poddawał się wszystkiemu bezwolnie jak szmaciana lalka. Uspokojona badaniem wygłosiła zalecenia na ten dzień: co cztery godziny zażywać leki; dużo pić, oczywiście wody; oczyścić ciało i odciurkiwać się.

– Odciurkiwać się?

– Sikać – przetłumaczyła.

Adamsberg obojętnie kiwnął głową.

Ginette, tym razem dyskretna, zostawiła go razem z kilkoma czasopismami, które mu przyniosła, by miał zajęcie, kiedy już będzie w stanie czytać, i prowiant na cały dzień. Kanadyjscy koledzy wykazali się nadzwyczajną troskliwością, naprawdę, musi o tym wspomnieć w raporcie.

Gazety zostawił na stole i wrócił do łóżka we frakach. Spał, marzył, gapił się w wiatrak pod sufitem, co cztery godziny wstawał, by zażyć lekarstwa zostawione przez Ginette, napić się, odciurkać, po czym na powrót się kładł. Lepiej poczuł się około ósmej wieczorem. Ból głowy schodził w poduszkę, nogi coraz mniej się ugiwały.

Akurat wtedy zadzwonił Laliberté, by spytać, co słyhać, i Adamsberg wstał niemal normalnie.

- Nie jest ci gorzej? – zapytał nadintendent.
- Dużo lepiej.
- Pofolgowало? Łepetyna w porządku?
- Wszystko minęło.
- A to się cieszę. Nie spiesz się jutro, odstawimy was na lotnisko. Chcesz pomocy przy pakowaniu?
- Dam sobie radę. Prawie normalnie się czuję.
- To dobrej nocy i ozdrowiej do reszty.

Adamsberg zmusił się, by zjeść część tego, co zostawiła mu Ginette, następnie postanowił przejść się nad rzekę, by po raz ostatni popatrzeć na nią wieczorem. Termometr wskazywał minus dziesięć stopni.

Przy wyjściu zatrzymał go strażnik.

– Lepiej panu? – zapytał. – Bo wczoraj dziwnieś pan wyglądał. Paskudna magulanka. Przywalił im pan przynajmniej?

– Tak, cała banda oberwała. Przepraszam, że pana obudziłem.

– Nic się nie stało, nie spałem. Chociaż była prawie druga. Mam ostatnio bezsenne noce.

– Prawie druga? – Adamsberg zawrócił od drzwi. – Tak późno?

– Dokładnie za dziesięć druga. A ja nie spałem, co mnie wnerwiało.

Zatroskany Adamsberg wbił pięści w kieszenie, ruszył w kierunku rzeki i zaraz skręcił w prawo. Nie było mowy, żeby na takim chłodzie siedzieć na kamieniu, nie było zatem mowy, żeby spotkał tę wariatkę Noëllę.

Za dziesięć druga nad ranem. Chodził w tę i we w tę po krótkiej plaży na brzegu. Szef bernikli działał, zapędzając podopiecznych na nocleg, przywołując do porządku zbiegów i zabłąkanych. Za sobą słyszał jego wściekłe gęganie. O proszę, oto gość, który nie ma rozterek duchowych i nie pójdzie się nawalić w niedzielny wieczór w barze przy rue Laval. Tego mógł być pewien. Niechęć Adamsberga do nieskazitelnego przywódcy stada jeszcze przez to wzrosła. Ani chybi ten samiec bernikli co rano na nowo układał piórka i wiązał sznurówki. Postawił kołnierz kurtki. Zostaw tego gościa i zastanów się, pogłówkuj, jak by powiedziała Clémentine. Chwilowo to byli jego jedyni aniołowie stróże: staruszka daleko, za oceanem, i niewinny sierżant. Jaki wierny, tacy aniołowie. Myśl.

Za dziesięć druga nad ranem. Pamiętał wszystko sprzed zderzenia z konarem. Zapytał barmana o godzinę. Piętnaście po dziesiątej, pora spać, *man*. Chociaż się zataczał, dojście do konara nie mogło mu zająć więcej niż czterdzieści minut. Najwyżej tyle, bo nogi niosły go bez problemu. Z drzewem zderzył się więc około

jedenastej. Potem się ocknął u wylotu przenoski i najwyżej ze dwadzieścia minut szedł do bloku. Co oznaczało, że odzyskał przytomność około wpół do drugiej nad ranem. Czyli między spotkaniem z gałęzią i odzyskaniem mdlącej świadomości na końcu ścieżki upłynęło dwie i pół godziny. Kurde, dwie i pół godziny na taki kawałek, który normalnie pokonywał w pół godziny.

Co robił, do licha, przez te dwie i pół godziny?! Nic nie pamiętał. Był nieprzytomny przez cały czas? Przy minus dwunastu stopniach? Zamarzłby przecież. Na pewno chodził, ruszał się. Chyba że szedł, przewracając się co rusz, ciągle posuwał się naprzód, tracąc przytomność raz za razem.

Alkohol, mieszanina trunków. Miał w przeszłości do czynienia z takimi, którzy przez całą noc się wydzierali i nie pamiętali tego w ogóle. Z facetami w izbie wytrzeźwień, którzy dopytywali, co robili poprzedniego dnia, a pobili żonę i wyrzucili psa przez okno. Miewali dwu-, trzygodzinne przerwy w życiorysie, po których następował ciężki sen. Czyny, słowa, gesty w tym czasie nie zapadały w pamięć zamuloną alkoholem. Jakby nasączone nim szare komórki odmawiały zapisu wszelkich wspomnień na podobieństwo pióra, z którego atrament rozlewa się na wilgotnym papierze.

Ile wypił? Trzy whisky, cztery lampki wina, koniak. A skoro barman, bez wątpienia spec, uznał za konieczne wyrzucić go z lokalu, znaczy, że miał powody. Barmani potrafią ocenić poziom alkoholu we krwi z dokładnością nie mniejszą niż detektory używane przez GRC. Facet spostrzegł, że klient przekroczył czerwoną linię, i nawet za rachunek o parę dolarów wyższy nie podałyby mu kolejnego drinka. Oni tacy już są. Z wierzchu przekupnie, a w gruncie rzeczy wysokiej klasy chemicy, czujni filantropi, ratownicy morscy. Naciągnął mu zresztą czapkę na głowę, co bardzo dobrze Adamsberg pamiętał.

I to by było wszystko, co można na ten temat powiedzieć, skwitował, ruszając w drogę powrotną do domu. Spił się jak bela i przyrąbał głową w konar. Nawalony i powalony. Dwie i pół godziny zajęło mu przejście tą ścieżką, posuwał się o kilka metrów i padał. Tak nawalony, że zamroczona pamięć odmówiła współpracy i niczego nie zanotowała. Poszedł do tego baru, szukając w kieliszku osławionego zapomnienia. Cóż, osiągnął wytyczony cel, i to z nadstatkiem.

Dość dobrze się już czuł, kiedy wrócił, by spakować bagaże i uprzątnąć zadbane mieszkanie. Posprzątane – to mu się marzyło w Paryżu. Czuł się przepełniony skłębionymi chmurami, ciemnymi cumulusami, które zderzały się ze sobą niczym nadmuchane ropuchy, i oczywiście piorunami. Chmury należało porozdzielać, pociąć na kawałeczki, każdy skrawek umieścić we wgłębieniu na płytce

laboratoryjnej, a nie wrzucać wszystko na kupę do zabieranej ze sobą wielkiej torby podróżnej. Będzie traktował rafy tak, jak się tutaj nauczył, szuflując chmury próbka po próbce i według wielkości. Jeśli zdoła. Pomyślał o najbliższej rafie: o Noëlli czekającej nazajutrz na lotnisku, gotowej do lotu o godzinie 20.10.

XXVIII

Rankiem już uwolniony od bólu głowy Adamsberg punktualnie zajechał pod siedzibę GRC, zaparkował pod tym samym co zawsze klonem, pozdrowił wiewiórkę, odnajdując oczyszczającą pociechę w powrocie do krótkiej quebeckiej rutyny. Wszyscy po kolei pytali, jak się ma, i nikt nie skomentował ironicznie jego pijaństwa. Ciepło i takt. Ginette z zadowoleniem skwitowała mniejszy obrzęk na czole i znów zaaplikowała mu tę swoją lepką maść.

Co za dyskrecja, dziwował się. Laliberté nawet nie uznał za konieczne poinformować jego francuskich kolegów o epizodzie w Śluzie. Ograniczył się do wersji okrojonej, mianowicie do zderzenia z konarem po ciemku. Adamsberg doceniał elegancję tej wstrzemięźliwości, bo przecież zawsze kusi, aby mieć zabawę przy okazji dobrej historii z flaszką w tle. Danglard osiągnąłby niejake korzyści z jego pijackiego incydentu, a Noël nie powstrzymałby się przed pieprznym dowcipkowaniem na ten temat. A że z jednego żartu rodzi się kolejny, gdyby to przeciekło do otoczenia Brézillona, Adamsberg odczułby skutki w sprawie Favre'a. O wszystkim wiedziała jedna Ginette, która się o niego zatroszczyła, lecz także milczała jak kamień. Tutaj powściągliwość i rezerwa musiały sprowadzać Plotkarnię do rozmiarów komórki na płycie laboratoryjnej, podczas gdy w Paryżu miała skłonność do rozrastania się, wypływania na chodniki aż do Piwiarni Filozofów.

Tylko Danglard nie zapytał go o zdrowie. Nieuchronność odlotu wieczorem znowu wprowadziła go w stan przerażonego stuporu, który starał się jak najlepiej ukryć przed kanadyjskimi kolegami.

Ostatni dzień w Quebecu Adamsberg spędził w charakterze pilnego ucznia pod pieczę Alphonse'a Philippe-Auguste'a, równie skromnego jak słynny był władca, którego imię miał za nazwisko. O piętnastej Laliberté rozkazał zakończyć zajęcia i zwołał szesnastu członków grupy na podsumowanie oraz na strzemiennego.

Dyskretny Sanscartier podszedł do Adamsberga.

– Sipaczka cię pewnie dopadła, co? – zagadnął.

– Czyli? – ostrożnie spytał Adamsberg.

– No, zeźliłeś się na coś. Nie uwierzę, że chum taki jak ty nadział się na gałąź.

Człowiek lasu z ciebie, a ścieżkę znasz lepiej niż własną kieszeń.

– No więc?

– No więc tak sobie myślę, żeś się truł tym wszystkim, tą swoją sprawą albo czymś, co cię dobiło. Nawaliłeś się i nadziełeś na tę gałąź.

Ten Sanscartier naprawdę powinien pracować w terenie, świetny z niego obserwator.

– A jakie to ma znaczenie? – zdziwił się Adamsberg. – Jakie ma znaczenie, dlaczego nadziewasz się na gałąź?

– Ano właśnie. Bo przychodzi taka chwila, kiedy czymś się trujesz, że co rusz nadziewasz się na gałęzie. A ty przez tego swojego diabła musisz ich unikać. Nie możesz czekać, aż wody zamarzną, żeby przejść na drugi brzeg, kapujesz? Wywal wszystko na wierzch, wyjdź na brzeg i przyczaj się.

Adamsberg się uśmiechnął.

– Nie zapomnij mnie – poprosił Sanscartier, ściskając mu dłoń. – Obiecałeś dać znać, jak złapiesz tego swojego umarlaka. Mydła o zapachu mleka migdałowego mógłbyś mi przysłać butelkę?

– Proszę?

– Znałem Francuza, który się nim mył. Osobiście podobał mi się zapach.

– Załatwione, Sanscartier, przyślę w paczce.

Uszczęśliwianie mydłem. Przez kilka chwil Adamsberg zazdrościł sierżantowi takich pragnień. Zapach mleka migdałowego znakomicie będzie do niego pasował. Musiano go wymyślić specjalnie dla niego.

Na lotnisku w hali odlotów Ginette po raz ostatni obejrzała siniak na czole Adamsberga, który zerkał na wszystkie strony nastawiony na obecność Noëlli. Tymczasem do odlotu było coraz bliżej, a w polu widzenia nie dostrzegał żadnej Noëlli. Zaczynał swobodniej oddychać.

– Jakby cię znowu zaczęło boleć w samolocie z powodu ciśnienia, zażyj to – powiedziała Ginette, kładąc mu na dłoni cztery tabletki. Wsunęła mu także tubkę maści do bagażu z zaleceniem, by codziennie smarował nią czoło. – Tylko nie zapomnij – dodała z naciskiem.

Adamsberg uściskał ją, następnie poszedł pożegnać się z nadintendentem.

– Dzięki za wszystko, Aurèle. Również za to, że nie powiedziałeś nic kolegom.

– Krucafiks, każdemu facetowi zdarzy się nachirzyć. I nie ma co trąbić o tym naokoło, bo potem już za diabła nie ma sposobu, żeby pozamykać im jadaczki.

Ryk silników odrzutowych podziałął na Danglarda równie katastrofalnie jak przy

odlocie z Paryża. Tym razem Adamsberg nie usiadł koło kolegi, posadził natomiast za nim Retancourt, której zadaniem było zadbać o nadkomisarza. Co uczyniła dwukrotnie podczas lotu, tak że kiedy maszyna wylądowała rankiem na Roissy, wszyscy byli połamani z wyjątkiem Danglarda, wypoczętego i w dobrej formie. Skoro cały i zdrowy znalazł się na ziemi w stolicy, dostrzegał otwierające się przed sobą nowe horyzonty i optymistyczne widoki na przyszłość. Zanim więc wsiadł do autobusu, podszedł do Adamsberga.

– Przykro mi za tamten wieczór – oznajmił. – Przepraszam cię. Nie to chciałem powiedzieć.

Adamsberg kiwnął tylko głową.

Członkowie kanadyjskiej wycieczki rozjechali się każdy do siebie. Mieli ten dzień na odpoczynek i powrót do formy.

I na przywyknięcie od nowa do francuskich realiów. Po ogromnych kanadyjskich przestrzeniach Paryż wydał się Adamsbergowi ciasny, drzewa rachityczne, ulice przeludnione, wiewiórki miały postać gołębi. No chyba że to on wrócił jakiś mniejszy. Miał rzeczy do przemyślenia, musiał porozkładać próbki poszatowane na kawałki, pamiętał o tym.

Zaraz po powrocie zaparzył sobie prawdziwej kawy, usiadł przy stole w kuchni i przystąpił do rzadkich w jego przypadku uporządkowanych rozmyślań. Kartoniki, ołówki, płytka z wgłębieniami, próbki chmur. Rezultaty jego starań nie były godne laserowego sekwenatora. Po godzinie wysiłków popatrzył na mizerne notatki.

Zmarły sędzia, trójząb. Raphaël. Niedźwiedzie pazury, jezioro Pink, diabeł w święconej wodzie. Ryba skamielina. Ostrzeżenie Vivaldiego. Świeżo upieczony tatuś, 2 labradory.

Danglard: „W moim uważaniu jesteś prawdziwym bałwanem, inspektorze”. Sanscartier Dobry: „Szukaj tego przekłętego demona i póki nie złapiesz go za fraki, nie pchaj się przed oczy”.

Ochlaj. Dwie i pół godziny na ścieżce.

Noëlla. Kłopot z głowy.

I tyle. W dodatku wymieszane. W tym wszystkim jeden był pozytywny: uwolnił się od tej wariatki, chociażby zatem z tego powodu mógł postawić z zadowoleniem końcową kropkę.

Rozpakowując bagaże, znalazł maść od Ginette Saint-Preux. Cóż, trudno było to

uznać za najfajniejszą pamiątkę z podróży, tyle że w tej tubce zdawała się zamknięta cała życzliwość quebeckich kolegów. Sakramencko porządne chumy. Za nic nie może zapomnieć o wysłaniu tego mydła migdałowego Sanscartierowi. I tu naraz uświadomił sobie, że nic nie przywiózł dla Clémentine, nawet butelki syropu klonowego.

XXIX

Kiedy w czwartek rano zobaczył w brygadzie ogrom czekającej go pracy pod postacią pięciu okazałych stosów papieru na stole, o mało nie uciekł nad Sekwanę, chociaż wydawała mu się mikra w porównaniu z potężną Outaouais. Ale ta przechadzka kusiała go z innych powodów niż dłubanina w papierach. „Obdłubać”, mówiła Clémentine. Obdłubać jajko, obdłubać pomarańczę.

W pierwszej kolejności przyspilił na tablicy korkowej pocztówkę z widokiem wodospadu Outaouais okraszonego czerwonymi liśćmi. Cofnął się i ocenił efekt – wydał mu się tak tandetny, że czym prędzej zabrał widokówkę. Fotografia nie oddaje lodowatego wiatru, łoskotu wody, wściekłego gęgania szefa stada bernikli.

Przekopywał się przez papiery przez cały dzień, sprawdzał, podpisywał, sortował, zapoznawał się ze sprawami, które trafiły do brygady w ciągu tych dwóch tygodni. Jeden facet spałował drugiego na boulevard Ney, a na koniec nasikał mu na twarz. „Jeśli kogoś zabijesz, daruj sobie sikanie na zwłoki, *man*”. Tego by capnął raz-dwa dzięki sikom. Adamsberg parafował raporty swoich komisarzy, po czym zrobił sobie przerwę, by odwiedzić dystrybutor-karmicielkę i zafundować sobie „prawdziwą”. Mordent pił czekoladę, siedząc na wysokim stołku, na którym wyglądał jak szare ptaszysko usadowione na kominie.

– Pozwoliłem sobie śledzić tę pana sprawę w „Les Nouvelles d’Alsace” – powiedział, ocierając usta. – Vétilleux jest w areszcie tymczasowym, rozprawa za trzy miesiące.

– Nie on zabił. Robiłem co mogłem, by przekonać Trabelmanna, i wszystko na nic, on mi nie wierzy. Nikt mi nie wierzy.

– Słabe dowody?

– Żadnych dowodów. Morderca jest z gatunku tych, co się rozplývają w powietrzu, od lat kryje się we mgle.

Nie zamierzał wyjawic Mordentowi, że sprawca nie żyje, by nie utracić zaufania swoich ludzi. „Nie próbuj nikogo przekonywać”, przestrzegł go Sanscartier.

– I jak chce się pan z nim rozprawić? – spytał Mordent zaciekawiony.

– Poczekam na kolejne zabójstwo i dopadnę go, zanim znowu się rozplýnie.

– Mało oryginalne – skomentował Mordent.

– Pewnie. Ale co innego zrobić, żeby złapać zjawę?

O dziwo, Mordent zaczął się zastanawiać nad tym pytaniem. Adamsberg zajął

miejsce na sąsiednim stołku, nogi wisały mu w powietrzu. Pod ścianą Plotkarni zamocowano na stałe osiem takich stołków barowych i Adamsberg często myślał, że gdyby ośmiu jego ludzi usiadło na nich równocześnie, wyglądałoby wypisz wymaluj jak stadko jaskółek na drucie elektrycznym. Do czegoś takiego jeszcze nigdy nie doszło.

– No co zrobić? – powtórzył Adamsberg.

– Trzeba go roz-draż-nić – odrzekł Mordent.

Zawsze wypowiadał się bardzo rozważnie, przesadnie przeciągając sylaby, czasem na którąś dodatkowo kładąc nacisk, jak palec przytrzymuje klawisz fortepianu. Miał przez to wolny, urywany rytm wypowiedzi, co niewątpliwie wadziło, jeśli ktoś się spieszył, lecz inspektorowi odpowiadało.

– A dokładniej?

– W filmach rodzina wprowadza się do nawiedzonego domu. W którym dotąd duch siedział spokojnie, nie zaczepiał ni-ko-go.

Zdecydowanie nie tylko Trabelmann lubił fantastyczne opowieści. Mordent także. Może wszyscy, nawet Brézillon.

– I co potem? – zapytał Adamsberg, który z powodu odczuwanego wciąż jet laga nalał sobie drugą prawdziwą i wrócił na swoją grzędę.

– Potem nowi mieszkańcy draż-nią ducha. A dlaczego? Bo się wpro-wadzają, myją szafy, wyrzucają stare walizki, opróżniają strych, przeganiają go z kryjówki. Krótko mówiąc, wykurzają go. Albo wykradają mu jego naj-skrytszą tajemnicę.

– Jaką tajemnicę?

– Cóż, zawsze tę samą: jego grzech pier-worodny, jego pierwsze morderstwo. Bo gdyby nie było jakiegoś grzechu ciężkiego, facet nie zostałby skazany na nawiedzanie domostwa od trzech stuleci. Zamurowanie żywcem żony, bratobójstwo i takie tam... Coś, z czego biorą się duchy.

– Macie słuszność, Mordent.

– Wtedy przyparty do muru, pozbawiony schronienia duch wpada w nerwy. I wszystko się zaczyna. Pokazuje się żywym, mści się, nareszcie staje się kimś. Odtąd można zacząć rozprawę z nim.

– Mówicie o tym tak, jakbyście w to wierzyli. Mieliście z czymś takim do czynienia?

Mordent z uśmiechem przejechał dłonią po łysej głowie.

– Pan zaczął mówić o duchach. Ja tylko streściłem filmową historię. To zabawne. No i ciekawe. W takich bajkach za-wsze jest coś na dnie. Szlam, wieczny szlam.

Adamsbergowi przemknęła przez głowę myśl o jeziorze Pink.

– Jaki szlam? – zapytał.

– Prawda taka straszna, że nikt nie śmie wyrazić jej inaczej jak pod przebraniem bajki. Wszystko rozgrywa się w zamkach, w strojach z epoki, są duchy i osły, które wydają złoto. – Rozbawiony Mordent cisnął swój kubek do kosza. – Ważne tylko, żeby się nie pomylić w dekodowaniu i dobrze wycelować.

– Rozdrażnić, wykurzyć, odkryć grzech pierworodny.

– Łatwo powiedzieć, trudniej zrobić. Czytał pan mój raport z pobytu w Quebecu?

– Przeczytałem, podpisałem. Jakbyście tam byli. Wiecie, kto pilnuje drzwi quebeckich gliniarzy?

– Tak. Wiewiórka.

– Kto wam powiedział?

– Estalère. To mu się tam najbardziej podobało. Ochotnik czy z poboru?

– Estalère?

– Nie, wiewiórka.

– Ochotnik z powołania. Zakochał się w jednej dziuni i przez to zawałał trochę robotę.

– Estalère?

– Nie, wiewiórka.

Adamsberg zasiadł na powrót za stołem z głową zaprzątniętą komentarzami Mordenta. Opróżnić szafy, wykurzyć, przyprzeć do muru, sprowokować. Rozdrażnić nieboszczyka. Wykryć laserem grzech pierworodny. Wszystko usunąć, wszystko wyrzucić. Duże przedsięwzięcie godne mitycznego herosa, jemu przez czternaście lat nie udawało się niczego osiągnąć. Nie miał rumaka, miecza ani zbroi.

Czasu także nie miał. Zabrał się za drugą stertę papierysk. Zyskiwał przynajmniej alibi, dlaczego dotąd nie zamienił słowa z Danglardem. Zastanawiał się, jak zarządzać tym milczeniem między nimi. Nadkomisarz przeprosił, lody jednak były wyjątkowo grube. Adamsberg ogarnięty niejaką nostalgią z rana wysłuchał prognozy pogody dla całego świata. W Ottawie zapowiadano temperaturę rzędu minus ośmiu w dzień i minus dwunastu w nocy. Odwilży na razie nie było widać.

Zasiadłszy nazajutrz do kolejnej sterty papierów, inspektor czuł w sobie lekkie buzowanie niepokoju, jakby owad utknął mu w ciele i bzyczał gdzieś między ramionami a brzuchem. Dość znajome wrażenie. Niemające nic wspólnego

z nerwowością, której doświadczał po nagłym wypłynięciu sędzię. Nie, czuł tylko skromne brzęczenie owada, takie nic miotające się to tu, to tam niczym kapryśna zawada domagająca się jego uwagi. Od czasu do czasu wyjmował kartonik, na którym dopisał pomysły Mordenta odnoszące się do najlepszych sposobów drażnienia duchów. I przebiegał notatki maślanym wzrokiem, jak powiedział barman w Śluzie.

Około piątej lekki ból głowy skłonił go do wizyty przy dystrybutorze kawy. Okej, pomyślał Adamsberg, pocierając czoło, trzymam owada za oba skrzydła. Pijaństwo z 26 października. Bzyczało nie samo pijaństwo, lecz te cholerne dwie i pół godziny przerwy w życiorysie. Pytanie wracało, wibrując. Co mógł przez tyle czasu porabiać na przenosce? I dlaczego tak się przejmuje tym fragmencikiem życia, który mu umknął? Ową brakującą część umieścił w sektorze dziurawej pamięci z powodu upojenia alkoholowego. Najwyraźniej jednak takie zaszeregowanie nie satysfakcjonowało jego umysłu, toteż brakujący element wciąż wyskakiwał ze swojego sektora i delikatnie łechtał Adamsberga.

Dlaczego? zastanawiał się inspektor, obracając w dłoniach kubek z kawą. Czy dlatego, że wadziło mu to, iż utracił małą część życia, tak jakby je przycięto, nie pytając go o zdanie? A może dlatego, że proste wytłumaczenie upojeniem wcale mu nie odpowiadało? Czy też, co gorsza, dlatego, że niepokoił się, co powiedział albo uczynił w ciągu tych zatartych godzin? Dlaczego? Ta troska wydawała mu się równie absurdalna jak przejmowanie się słowami wypowiedzianymi przez sen. Co innego mógł wtedy robić oprócz zataczania się z zakrwawioną twarzą, przewracania, zasypiania i znów ruszania dalej ścieżką, nawet na czworakach, bo i czemu nie? Nic. Owad jednak w nim dygotał. Chciał go wkurzyć czy miał realny powód?

Z tego zapomnianego czasu nie zachował żadnego obrazu, lecz tylko odczucie. I ośmielił się je nazwać: odczucie, że doświadczył przemocy. Pewnie przez ten konar, który go uderzył. Czy jednak mógł mieć pretensje do gałęzi, która w odróżnieniu od niego nie wypła ani kropli? Do przeciwnika spokojnego i wstrzemięźliwego? Można powiedzieć, że zaznał przemocy od gałęzi? Czy też było na odwrót?

Zamiast pójść do swojego biura, zaszedł do pokoju Danglarda, przysiadł na rogu jego stołu i celnie wrzucił do kosza pusty kubek po kawie.

- Danglard, mam w sobie owada.
- Tak? – rzekł ostrożnie Danglard.
- Chodzi o niedzielę dwudziestego szóstego października – ciągnął powoli

Adamsberg – o ten wieczór, kiedy mi powiedziałaś, że prawdziwy ze mnie bałwan, pamiętasz?

Nadkomisarz kiwnął głową i przygotował się do starcia. Adamsberg wyleje na niego wiadro uraz, jak mówili w GRC, a wiadro było ciężkie. Tymczasem ciąg dalszy przemowy nie przybrał przewidywanego obrotu. Jak zwykle inspektor zaskakiwał go tam, gdzie nie oczekiwał niespodzianek.

– Tego samego wieczoru nadziałem się na gałąź na ścieżce. Mocno oberwałem, jak obuchem. O tym wiesz.

Danglard przytaknął. Siniak na czole, posmarowany żółtą maścią od Ginette, był jeszcze bardzo widoczny.

– Nie wiesz za to, że po naszej rozmowie podrałowałem prosto do Śluzy, żeby się schlać. I schlałem się sumiennie, tak że barman mnie w końcu wystawił na zewnątrz. Miał dość słuchania mojego bredzenia o dupie Maryni.

Danglard nieznacznie kiwnął głową, nie wiedząc, do czego Adamsberg zmierza.

– Jak szedłem przenoską, zataczałem się od drzewa do drzewa i dlatego nie uchyliłem się przed konarem.

– Rozumiem.

– Nie wiesz także, że w chwili uderzenia była jedenasta wieczór, na pewno nie później. Byłem prawie w połowie drogi, prawdopodobnie niedaleko miejsca wycinki. Wiesz, tam gdzie sadzą małe klony.

– Aha – potwierdził Danglard, którego nigdy nie skusiło, aby się zapuścić na tę dziką błotnistą ścieżkę.

– Kiedy się ocknąłem, byłem u wylotu przenoski. Dowlokłem się jakoś do bloku. Powiedziałem strażnikowi, że doszło do bójki między gliniarzami a jakąś bandą.

– I co ci dokucza? To pijaństwo?

Adamsberg powoli pokręcił głową.

– Nie wiesz jeszcze, że między zderzeniem z konarem a moim ocknięciem upłynęło dwie i pół godziny. Dowiedziałem się tego od strażnika. Dwie i pół godziny zajęła mi droga, którą normalnie szedłem pół godziny.

– No tak – podsumował Danglard głosem wciąż neutralnym. – Ale powiedzmy, że szło się gorzej niż zazwyczaj.

Adamsberg nachylił się do niego lekko.

– Z tym że nic, absolutnie nic z tej trasy nie pamiętam – wygłosił dobitnie. – Ani jednego obrazu, ani jednego dźwięku. Dwie i pół godziny na ścieżce w lesie, a ja zupełnie nic o tym nie wiem. Biała plama. A było co najmniej minus dwanaście stopni. Nie byłem nieprzytomny przez dwie godziny. Zamarzłbym

przecież.

- Szok po uderzeniu – zaproponował wyjaśnienie Danglard.
- Nie było wstrząśnienia mózgu. Ginette sprawdziła.
- Gorzała? – podsunął delikatnie nadkomisarz.
- Jasne. Dlatego przyszedłem zasięgnąć twojej opinii.

Danglard się wyprostował, to był jego teren, czuł przy tym ulgę, że nie będzie konfrontacji.

– Co piłeś? Pamiętasz?

– Pamiętam wszystko aż do gałęzi. Trzy whisky, cztery kieliszki wina i porządny kieliszek koniaku.

– Mieszanka jak się patrzy i słuszne dawki, ale miałem z gorszymi do czynienia. Tyle że twój organizm nie jest przyzwyczajony, i to też trzeba wziąć pod uwagę. Jakie miałeś objawy później w nocy i rano?

– Nie mogłem ustać. Od zderzenia z gałęzią. Łupanie w głowie, nudności, brzuch obolały, zawroty wszelkiego rodzaju.

Nadkomisarz ściągnął usta.

– Co cię martwi, Danglard?

– Trzeba wziąć pod uwagę ten guz. Nigdy nie byłem równocześnie schlany i pobity. Ale po uderzeniu w czoło i omdleniu, które na pewno nastąpiło, amnezja alkoholowa jest bardzo prawdopodobna. Nie jest powiedziane, że przez dwie godziny nie chodziłeś tam i z powrotem tą ścieżką.

– Przez dwie i pół – sprostował Adamsberg. – Na pewno chodziłem, bez dwóch zdań. Ale na końcu ocknąłem się na ziemi.

– Szedłeś, padałeś, krążyłeś. Nieraz zgarnialiśmy gości, którzy nagle osuwali się nam w rękach.

– Wiem, Danglard. Niemniej leży mi to na wątrobie.

– Trudno się dziwić. Ja jestem zaprawiony w bojach, ale nawet mnie te brakujące godziny zawsze sprawiały przykrość. Wypytywałem tych, z którymi piłem, żeby się dowiedzieć, co mówiłem, co robiłem. Ale jeśli byłem sam jak ty tamtego wieczoru, jeśli nikt nie mógł mi wypełnić luk, dyskomfort trwał długo.

– Naprawdę?

– Naprawdę. Wrażenie, że się przegapiło kawałek swojego życia. Człowiek czuje się wtedy ograbiony, pozbawiony czegoś.

– Dzięki, Danglard. Dzięki za wsparcie.

Serty dokumentów powoli malały. Adamsberg liczył, że jeśli posiedzi nad nimi przez weekend, od poniedziałku gotów będzie wrócić w teren i do trójzębu.

Incydent na ścieżce w kanadyjskim lesie wyzwolił w nim jakąś sprzeczną z logiką potrzebę pilnego pozbycia się dawnego wroga, który rzucał cień na każdy jego czyn, na ślady niedźwiedziich pazurów, na niegroźne jezioro, na rybę, na banalne pijaństwo. Ten cholerny Trójząb wciskał swoje zęby w każdą szczelinę w skorupie.

Zerwał się nagle i poszedł do biura nadkomisarza.

– Danglard, a jeżeli ubzdryngoliłem się jak stodoła nie po to, żeby zapomnieć sędziego albo świeżo upieczonego tatusia? – zagadnął, świadomie pomijając Noëlle na liście swoich kłopotów. – A jeżeli wszystko się zaczęło, kiedy Trójząb powstał z grobu? A jeżeli się naprałem, żeby przeżyć to, co przeżył mój brat, gorzałę, leśną drogę, zanik pamięci? Przez naśladownictwo? Żeby odnaleźć drogę, na której do niego dołączyć? – mówił urywanym głosem.

– Czemu nie? – odparł Danglard wymijająco. – Z chęci połączenia się z nim, spotkania, z potrzeby przebycia drogi jego śladem... Ale to niczego nie zmienia w przebiegu tamtych wydarzeń. Odłóż je na półkę „Pijaństwo i rzyganie” i zapomnij o nich.

– Nie, Danglard, zdaje mi się, że to by zmieniło wszystko. Znaczyłoby, że rzeka uszkodziła burtę i statek nabiera wody. Muszę płynąć z prądem, nie zbaczać, zapanować nad nurtem, zanim mnie porwie. A potem załatać poszycie, wybrać wodę.

Jeszcze przez dwie długie minuty zadumany Adamsberg stał w milczeniu na oczach zatroskanego Danglarda, po czym powłócząc nogami, powłókł się do swojego biura. Samego Fulgence’a nie mógł dopaść, ale przynajmniej wiedział, od czego zacząć.

XXX

O pierwszej w nocy Adamsberga obudził telefon od Brézillona.

– Inspektorze, czy u Kanadyjczyków to taki zwyczaj, że dzwonią do nas, nie przejmując się różnicą w czasie?

– Co się dzieje? Favre? – zapytał Adamsberg, który budził się równie szybko jak zasypiał, jakby u niego granica między snem a jawą nie była jakoś wyraźnie zaznaczona.

– Nie chodzi o Favre’a! – wydarł się Brézillon. – Chodzi o to, że jutro o szesnastej pięćdziesiąt wskakujecie w samolot. Więc pakujcie bagaże i jazda!

– W samolot dokąd, szefie? – spokojnie spytał Adamsberg.

– A dokąd by? Do Montrealu, do diabła! Miałem właśnie telefon od nadintendenta Légalité.

– Laliberté – sprostował Adamsberg.

– Jak znał, tak znał... Mają tam morderstwo i potrzebują was. Koniec, kropka. Nie mamy zresztą wyboru.

– Przepraszam, ale nie łapię. Nie zajmowaliśmy się w GRC zabójstwami, tylko śladami genetycznymi. Laliberté na pewno nie pierwszy raz ma na karku morderstwo.

– Ale psiakrew, pierwszy raz was potrzebuje.

– Odkąd to paryska policja zajmuje się zabójstwami w Quebecu?

– A odtąd, odkąd dostali list, anonimowy, proszę ja was, z informacją, że maczaliście w tym palce. Ofiara jest Francuzką i coś ją łączy z jakąś sprawą, którą prowadziliście w kraju. Krótko mówiąc, są związki i Kanadyjczycy domagają się waszego udziału.

– Kurde – zdenerwował się Adamsberg – niech mi prześlą raport, a dostarczę im wszelkich informacji z Paryża. Nie spędzę życia na lataniu między Europą a Ameryką.

– Tak też powiedziałem temu Légalité, wyobraźcie sobie. Ale nic nie poradzę, potrzebują waszych oczu. Nie ma przeprosić. On chce, żebyście obejrzel ofiarę.

– Ani mi się śni. Mam tu masę roboty. Niech nadintendent prześle mi akta sprawy.

– Posłuchajcie uważnie, Adamsberg, powtarzam, że nie mamy wyboru, ani wy, ani ja. Ministerstwo musiało się mocno nagimnastykować, żeby się zgodzili na współpracę w sprawie śladów DNA. Z początku nie bardzo się do tego palili.

Mamy wobec nich dług. Czyli jesteśmy w dupie, rozumiecie? Dlatego grzecznie jutro polecicie do Kanady. Ale uprzedziłem tego Légalité, że nie przyjedziecie sami. Zabierzecie Retancourt jako partnera.

- Nie trzeba, potrafię podróżować bez przewodnika.
- Domyślam się. Lecicie we dwójkę, koniec, kropka.
- Czyli że co? Mam eskortę?
- A czemu nie? Słyszałem, że uganiacie się za nieboszczykiem, inspektorze.
- A pewnie – skomentował Adamsberg, zniżając głos.
- No właśnie. Mam przyjaciela w Strasburgu, doniósł mi o waszych popisach.

Kazałem wam przycupnąć, pamiętacie?

– Doskonale pamiętam. A Retancourt będzie miała za zadanie pilnować każdego mojego kroku? Jadę na rozkaz i pod nadzorem, tak?

Brézillon odparł łagodniejszym głosem:

- Raczej pod ochroną.
- Z powodu?
- Nie puszczam swoich ludzi w pojedynkę.
- To niech mi pan przydzielą kogoś innego. Danglarda.
- Danglard będzie was zastępował.

– No to Voiseneta. Retancourt za mną nie przepada. Nasze stosunki są poprawne, ale chłodne.

– Dość tego. Jedzie z wami Retancourt i już. To wszechstronny oficer, potrafi zamieniać swoją energię, w co chce.

– Tak, wiem. W ciągu niespełna roku stało się to legendarne.

– Nie pora na dyskusje o tym. Chciałbym się przespać. Otrzymaliście zadanie i macie je wykonać. Dokumenty i bilety będą w brygadzie o trzynastej. Miłej podróży, załatwcie to i wracajcie.

Adamsberg oszołomiony siedział na łóżku z telefonem w ręce. Francuzka ofiarą. I co z tego? To należało do GRC. Co ten Laliberté znowu wymyślił? Czemu każe mu lecieć na drugą stronę Atlantyku, by zobaczyć ofiarę na własne oczy? Jeśli zależy mu na identyfikacji, może mailem przesłać zdjęcia. W co on pogrywa? Bawi się w szefa bernikli?

Obudził Danglarda i Retancourt, by im powiedzieć, że nazajutrz, w sobotę, mają być w biurze, rozkaz inspektora.

– W co on pogrywa? – spytał Danglarda następnego dnia rano. – Bawi się w szefa

bernikli? Myśli, że nie mam nic lepszego do roboty, jak latać tam i z powrotem między Francją a Quebeciem?

– Szczerze mi cię żal – rzekł współczująco Danglard, który nie byłby w stanie stawić czoła kolejnemu lotowi.

– Co mu strzeliło do głowy? Masz jakiś pomysł, nadkomisarzu?

– Naprawdę nie.

– Mam zobaczyć na własne oczy. A cóż takiego mają moje oczy?

Danglard milczał. Oczy Adamsberga były bezdyskusyjnie osobliwe. Wyglądały na miękkie jak brunatne wodorosty i tak jak one mogły rozblysnąć krótko, gdy omiatało je światło.

– Z Retancourt w dodatku – dodał Adamsberg.

– Akurat to może nie jest taki zły pomysł. Zaczynam się utwierdzać w przekonaniu, że Retancourt to wyjątkowa kobieta. Potrafi zamieniać swoją e...

– Wiem, wiem. – Adamsberg westchnął i usiadł. – Skoro nie mam wyboru, co mi wywrzeszczał Brézillon, będziesz musiał w moim imieniu pilnie czegoś poszukać.

– Mów.

– Rozumiesz, nie chcę tym zawracać głowy matce. I bez tego jest jej trudno.

Danglard zmrużył oczy, ogryzając końcówkę ołówka. Miał długą praktykę w wysłuchiwanie chaotycznych wypowiedzi inspektora, lecz rosnąca liczba wygłaszanych przez niego nedorzeczości i przeskoki myślowe wzbudzały w nim z dnia na dzień coraz większy niepokój.

– Ty to zrobisz, Danglard. Masz do takich rzeczy szczególny talent.

– Czyli?

– Poszukasz mojego brata.

Danglard oderwał od ołówka sporą drzazgę i przytrzymał ją w zębach. Nagle strasznie zapragnął wypić kieliszek białego wina, natychmiast, o dziewiątej rano. „Poszukasz mojego brata”!

– Gdzie? – spytał delikatnie.

– Nie mam zielonego pojęcia.

– Na cmentarzu? – mruknął Danglard, wypluwając drzazgę na dłoń.

– Co ma piernik do wiatraka? – zdumiał się Adamsberg.

– A to ma, że już szukasz mordercy, który nie żyje od szesnastu lat. Nie piszę się na to.

Zawiedziony Adamsberg wpatrzył się w podłogę.

– Przestałeś mnie wspierać, Danglard. Przestałeś się solidaryzować.

– W czym mam cię wspierać? – spytał Danglard podniesionym głosem. – W błakaniu się po cmentarzach?

Adamsberg pokręcił głową.

– Przestałeś się solidaryzować, Danglard – powtórzył. – Cokolwiek powiem, odwracasz się ode mnie. Bo już się opowiedziałeś. Po stronie tamtego.

– To nie ma nic wspólnego z tamtym.

– A z czym?

– Mam dość szukania nieboszczyków.

Adamsberg niedbale wzruszył ramionami.

– Trudno. Skoro nie chcesz mi pomóc, zrobię to sam. Muszę go zobaczyć i pogadać z nim.

– Niby jak? – syknął Danglard. – Na seansie?

– Na jakim seansie?

Nadkomisarz wpatrzył się w zdziwione oczy kolegi.

– Przecież on nie żyje! – krzyknął. – Nie żyje! Jak chcesz się z nim zobaczyć?

Adamsberg zastygł, jego promienna twarz zgasła, jakby ogarnął ją zmierzch.

– Nie żyje? – powtórzył cicho. – Skąd wiesz?

– Kurde, sam mi powiedziałeś! Że straciłeś brata. Że odebrał sobie życie po tamtej sprawie.

Adamsberg odchylił się na oparcie krzesła i nabrał głęboko powietrza.

– No, ulżyło mi, stary, bo już myślałem, że wiesz o czymś nowym. Straciłem brata, to prawda, prawie trzydzieści lat temu. To znaczy, że wyemigrował i nigdy więcej go nie widziałem. Ale jak rany, on żyje. I muszę się z nim zobaczyć. Nie będziemy urządzać seansów spirytystycznych, Danglard, tylko uruchomimy twarde dyski. Poszukasz go w sieci: w Meksyku, Stanach, na Kubie czy gdzie indziej. Przynajmniej z początku przenosił się ciągle, zmieniał miasta, zmieniał zajęcia.

Rysował palcem na stole krzywe, przedstawiając krętą drogę swojego brata. Z trudem podjął wątek:

– Dwadzieścia pięć lat temu był komiwojażerem w stanie Chihuahua niedaleko granicy ze Stanami. Sprzedawał kawę, naczynia, pościel, mescal, szczotki. I portrety, które rysował na ulicy. To świetny rysownik.

– Bardzo cię przepraszam – rzekł Danglard. – Całkiem inaczej to rozumiałem. Mówiłeś o nim tak, jakby odszedł na zawsze.

– Bo odszedł na zawsze.

– Nie masz jakichś dokładniejszych informacji, nowszych?

– Unikaliśmy z matką tego tematu. Ale cztery lata, jak byłem w wiosce, znalazłem pocztówkę wysłaną z Portoryko. Z pozdrowieniami. To ostatnia wieść.

Danglard zanotował coś na kartce.

– Imiona i nazwisko? – zapytał.

– Raphaël Félix Franck Adamsberg.

- Miejsce i data urodzenia, rodzice, wykształcenie, zainteresowania?
Adamsberg podał mu wszelkie informacje.
- Zrobisz to Danglard? Poszukasz go?
- Tak – burknął Danglard zły na siebie, że przedwcześnie pochował Raphaëla.
- Przynajmniej spróbuję. Ale takie są zaległości w robocie, inne priorytety...
- To się robi pilne. Jak już ci mówiłem, rzeka uszkodziła burty.
- Inne rzeczy też są pilne – mamrotał nadkomisarz. – A jest sobota.

Adamsberg zastał Retancourt przy naprawianiu po swojemu znów zablokowanej kserokopiarki. Poinformował ją o wyjeździe i o godzinie odlotu. Rozkaz Brézillona mocno ją zdumiał. Rozpuściła krótką kitkę i automatycznym gestem na nowo związała ją gumką. Sposób równie dobry jak inne, by zyskać na czasie, mieć chwilę na zastanowienie. A zatem można ją było czymś zaskoczyć.

- Nie rozumiem – powiedziała. – Co się dzieje?
- Nic nie wiem, Retancourt, ale wracamy tam. Potrzebne im moje oczy. Przykro mi, że szef przydzielił was do tego zadania. Jako ochronę – uściślił.

Na pół godziny przed odlotem Adamsberg, po wszystkich kontrolach siedzący cichutko koło swojej dobrze zbudowanej blond komisarz, zobaczył nadchodzącego Danglarda z dwoma lotniskowymi strażnikami po bokach. Nadkomisarz na twarzy miał zmęczenie, ciężko dyszał. Biegł wcześniej. W życiu Adamsberg by nie pomyślał, że to możliwe.

- Ci tutaj o mało nie doprowadzili mnie do szału – powiedział, wskazując strażników. – Nie chcieli mnie wpuścić. Masz – rzekł do Adamsberga, podając mu kopertę. – I powodzenia.

Adamsberg nie zdążył mu podziękować, strażnicy bowiem zaraz go zabrali do strefy ogólnodostępnej. Obejrzał brązową kopertę.

- Nie otworzy pan? – spytała Retancourt. – Zdaje się, że to pilne.
- Bo jest pilne. Ale się waham.

Niepewnie rozchylił kopertę. Danglard dostarczył mu adres w Detroit i zawód: taksówkarz. Dołączył wydruk zdjęcia pobranego ze strony internetowej skupiającej rysowników. Adamsberg patrzył na twarz, której nie widział od trzydziestu lat.

- To pan? – zapytała Retancourt.
- Mój brat – odparł Adamsberg cicho.

Brat, który nadal był do niego bardzo podobny. Adres, zawód, zdjęcie. Danglard był niezwykle uzdolnionym tropicielem zaginionych, musiał jednak

harować jak wół, by zdobyć te informacje w ciągu siedmiu godzin. Adamsberg zamknął kopertę, czując dreszcz.

XXXI

Mimo teoretycznie serdecznego powitania na lotnisku w Montrealu, gdzie przyjechali po nich Portelance i Philippe-Auguste, Adamsberg odnosił wrażenie, że jest zatrzymany. Choć dla Francuzów pora była późna – po północy – ruszyli do kostnicy w Ottawie. Z początku Adamsberg próbował wyciągnąć jakieś informacje od kanadyjskich kolegów, lecz odpowiadali wymijająco jak anonimowi kierowcy. Dostali rozkaz, by milczeć, nie było sensu nalegać. Adamsberg rozłożył ręce, dając do zrozumienia Retancourt, że nic tu nie poradzi, i skorzystał z okazji, żeby się przespać. Było po drugiej nad ranem, kiedy obudzono ich w Ottawie.

Nadintendent przywitał ich znacznie cieplej, mocno uściskał im dłonie i podziękował Adamsbergowi, że zgodził się przyjechać.

– Nie miałem wyboru – odparł Adamsberg. – Słuchaj, Aurèle, padamy na pysk. Ten twój nieboszczyk nie może poczekać do jutra?

– *Sorry, man*, zaraz potem odwieziemy was do hotelu. Ale rodzina nalega, żeby jak najszybciej odesłać zwłoki. Im wcześniej ją zobaczysz, tym lepiej.

Adamsberg zauważył, że nadintendent ucieka wzrokiem, mówiąc. Kłamał. Czy Laliberté zamierzał wykorzystać jego zmęczenie? Stary gliniarski numer, który on wykorzystywał w odniesieniu do pewnych podejrzanych, ale nie wobec kolegów.

– To daj się chociaż napić prawdziwej – powiedział. – Mocnej.

Adamsberg i Retancourt, z wielkimi kubkami w rękach, podążyli za nadintendentem do sali z chłodniami, w której drzemał dyżurny lekarz.

– Nie każ nam czekać, Reynald – zwrócił się Laliberté do lekarza. – Są zmęczeni.

Reynald podniósł niebieskie prześcieradło okrywające ofiarę.

– Stop! – rozkazał Laliberté, kiedy odsłonił ciało od dołu do ramion. – Wystarczy. Zobacz, Adamsberg.

Adamsberg nachylił się nad ciałem młodziutkiej kobiety i zmrużył oczy.

– Cholera... – szepnął.

– Zdziwiony? – zapytał Laliberté z uśmiechem przyklejonym do twarzy.

Adamsberg poczuł się nagle jak w kostnicy pod Strasburgiem, przy ciele Élisabeth Wind. W brzuchu młodej ofiary widniały trzy dziury w jednej linii. Tutaj, dziesięć tysięcy kilometrów od terytorium Trójzęba.

– Drewniana linijka, Aurèle – poprosił cicho, wyciągając rękę – i giętki metr. Z miarką w centymetrach, proszę.

Zdziwiony Laliberté przestał się uśmiechać i posłał lekarza na poszukiwanie przyborów. Adamsberg dokonał pomiarów w milczeniu, trzykrotnie, identycznie jak zrobił trzy tygodnie wcześniej na ofierze w Schiltigheim.

– Długość siedemnaście dwa centymetra, wysokość osiem milimetrów – mruknął, zapisując dane w notesie.

Raz jeszcze zbadał rozkład ran, które układały się w idealnie prostej linii, bez choćby milimetrowego odchylenia.

Siedemnaście i dwie dziesiąte centymetra, powtórzył w duchu, podkreślając tę miarę. Trzy milimetry więcej niż maksymalna znana mu rozpiętość. Ale fakt był faktem.

– Jaka głębokość ran, Laliberté?

– Prawie sześć cali.

– Czyli?

Nadintendent ściągnął brwi, by przeliczyć to na centymetry.

– Jakież piętnaście i dwie dziesiąte centymetra – wtrącił lekarz.

– Taka sama dla wszystkich trzech ran?

– Identyczna.

– W ranach była ziemia? Zanieczyszczenia jakież? – wypytywał Adamsberg lekarza. – Czy też narzędzie było czyste i nowe?

– Nie, były drobinki ziemi, liści i kamyczki w głębi ran.

– O!... – zdziwił się Adamsberg.

Zwrócił linijkę i metr Lalibertému i zauważył wtedy jego stropioną minę. Jakby spodziewał się po nim zupełnie czegoś innego niż te drobiazgowość pomiarów.

– O co chodzi, Aurèle? Nie tego chciałeś? Żebym ją obejrzał?

– Tak... – odparł z wahaniem Laliberté. – Ale krucafiks, na co ci te pomiary?

– A narzędzie zbrodni? Macie?

– Gdzie tam, ani śladu. Moi technicy je zrekonstruowali. Rany pochodzą od dużego przecinaka o płaskim ostrzu.

– Twoi technicy lepsi są w cząsteczkach chemicznych niż w narzędziach. To nie był przecinak, tylko trójzębne widły.

– A skąd niby wiesz?

– Spróbuj trzy razy zadać cios przecinakiem, tak żeby rany były w jednej linii i tak samo głębokie. Choćbyś się pofajdał, nie dasz rady. To trójząb.

– Krucafiks, tyś na to patrzył?

– Na to i na coś jeszcze, ukrytego dużo głębiej. Tak głęboko jak szlam w jeziorze Pink.

Rosły nadintendent zdawał się ciągle stropiony, stał z rękami zwieszonymi po bokach. Dotąd gestykulował niemal prowokująco, lecz pomiary wprawiły go w konsternację. Adamsberg się zastanowił, na co Laliberté tak naprawdę liczył.

– Był uraz czaszki? – zapytał lekarza.

– Rozległy krwiak z tyłu głowy. Ogłuszył ofiarę, ale nie spowodował śmierci.

– Skąd wiesz o śliwce? – zapytał Laliberté.

Adamsberg odwrócił się do niego i skrzyżował ramiona na piersi.

– No przecież ściągnąłeś mnie dlatego, że mam akta w związku z tym, nie?

– Tak... – odparł nadintendent ciągle niepewnie.

– Tak czy nie, Aurèle? Gonisz mnie przez Atlantyck, o drugiej rano pokazujesz mi zwłoki i czego się spodziewasz? Że ci powiem, że dziewczyna nie żyje? Skoro mnie tu ściągnąłeś, znaczy musiałeś wiedzieć, że znam sprawę. Tak mi w każdym razie powiedziano w Paryżu. I zgadza się, znam ją. Ale chyba cię to nie cieszy. Nie o to ci chodziło?

– Nie bierz tego do siebie. Jestem po prostu zdziwiony.

– Zdziwisz się jeszcze bardziej.

– Odkryj całe zwłoki – polecił Laliberté lekarzowi.

Reynald zaczął zwijać do reszty prześcieradło, starannie jak Ménard w Strasburgu. Adamsberg zeszytywniał, dostrzegłszy u dołu szyi cztery pieprzyki w kształcie rombu. Czasu miał ledwie tyle, by pohamować wzdrygnięcie. Pobłogosławił powolność sumiennego patologa.

Albowiem tak, w szufladzie chłodni spoczywało ciało Noëlle. Adamsberg kontrolował oddech i miał nadzieję, że bez mrugnienia patrzy na zwłoki. Laliberté nie spuszczał go z oczu.

– Mogę zobaczyć miejsce uderzenia? – zapytał Adamsberg.

Lekarz przekręcił ofierze głowę, by odsłonić jej tył.

– Uderzenie tęym narzędziem – wyjaśnił. – Tyle można powiedzieć. Prawdopodobnie drewnianym.

– Styliskiem trójzębu – sprecyzował Adamsberg. – On zawsze tak robi.

– Co za „on”? – zapytał Laliberté.

– Morderca.

– Znasz go?

– Tak. Ale wiesz, czego chciałbym się dowiedzieć? Kto ci o tym powiedział.

– A ją znasz?

– Myślisz, że znam z nazwiska sześćdziesiąt milionów Francuzów?

– Skoro znasz zabójcę, to może znasz także jego ofiary.

– Nie jestem jasnowidzem.

– Znaczą nigdy jej nie widział?

- Gdzie? We Francji? W Paryżu?
- Gdzie bądź.
- Nigdy – odparł Adamsberg, wzruszając ramionami.
- Nazywa się Noëlla Cordel. Nic ci to nie mówi?

Adamsberg odszedł od szuflady z ciałem i zbliżył się do nadintendenta.

- Co ci tak zależy, żeby mi coś mówiło?
- Mieszkała w Hull od pół roku. Mogłeś ją tu spotkać.
- Ty też. Co robiła w Hull? Wyszła tu za męża? Studiowała?
- Przyjechała za swoim chumem, ale się sfrajerowała.
- Przetłumacz.
- Puścił ją kantem. Pracowała w barze Karibu w Ottawie. Coś ci to mówi?
- W życiu tam nie byłem. Nie grasz fair, Aurèle. Nie wiem, co było w tym anonimie, ale dajesz się wpuszczać w maliny.
- Ty nie?
- Nie. Powiem ci wszystko, co wiem, ale jutro. Znaczący powiem wszystko, co będzie ci pomocne. Teraz chciałbym się przespać, ledwie stoję, tak samo jak moja komisarz.

Zwalista Retancourt, siedząca w głębi sali, wydawała się w znakomitej formie.

- Najśmiej się sobie pogadamy – oznajmił Laliberté z lekkim uśmiechem. – Idziemy do biura.
- Cholera, Aurèle, jest po trzeciej rano.
- Jest dziewiąta czasu lokalnego. Nie zatrzymam cię długo. Swoją komisarz możesz zwolnić, jeśli chcesz.
- Nie – sprzeciwił się nieoczekiwanie Adamsberg. – Retancourt zostaje ze mną.

Laliberté rozsiadł się w fotelu, w którym prezentował się dość imponująco z dwoma sztywno stojącymi podwładnymi po bokach. Adamsberg znał takie ustawienie w trójkąt – miało wywierać wrażenie na podejrzanym. Nie zdążył przemyśleć strasznego faktu, jakim była śmierć Noëlli zamordowanej w Quebecu ciosem trójzębu. Skupiał się na dwuznacznym zachowaniu Lalibertégo, które mogło świadczyć, że Kanadyjczyk wie, co go łączyło z dziewczyną. Choć i to nie było pewne. Trwająca rozgrywka będzie ostra, przyjdzie mu zważać na każde słowo nadintendenta. To, że sypiał z Noëllą, nie miało nic wspólnego z morderstwem i chwilowo musiał bezwzględnie o tym zapomnieć. I przygotować się na wszelką ewentualność, uciekając się do swej siły ducha, najpewniejszego szańca wewnętrznej warowni.

– Każ swoim ludziom usiąść, Aurèle. Znam ten numer, to nie jest przyjemne. Jakbyś zapomniał, że ja też jestem gliną.

Laliberté gestem wydał polecenie swoim ludziom. Portelance i Philippe-Auguste usiedli, każdy z notesem w ręce, gotowi zapisywać przebieg rozmowy.

– To przesłuchanie? – zapytał Adamsberg, skinieniem głowy wskazując ich. – Czy współpraca?

– Nie nerwuj mnie, Adamsberg. Zapisujemy dla pamięci i tyle.

– Ty mnie też nie wnerwiał, Aurèle. Jestem na nogach od dwudziestu czterech godzin, o czym dobrze wiesz. List – dodał. – Pokaż mi ten list.

– Przeczytam ci – rzekł Laliberté, otwierając grubą zieloną teczkę. – „Morderstwo Cordel. Skontaktować się z młodszym inspektorem J.-B. Adamsbergiem, Paryż, Brygada Kryminalna. Osobiście uwikłany”.

– Stronniczy – skomentował Adamsberg. – To dlatego zachowujesz się jak gliniarz? Mojemu szefostwu powiedziałaś, że zajmuję się czymś podobnym. Tutaj zdajesz się uważać, że zajmowałem się tą dziewczyną.

– Nie przypisuj mi tego, czego nie powiedziałem.

– To nie bierz mnie za głupca. Pokaż ten list.

– Chcesz sprawdzić?

– Właśnie.

Nie było ani słowa więcej na kartce, która wyszła ze zwykłej drukarki.

– Zebrałeś odciski, jak sądzę?

– Dziewicza.

– Kiedy to przyszło?

– Kiedy ciało wypłynęło.

– Skąd?

– Z wody, do której zostało wrzucone. Była zamarznęta. Pamiętasz oziębienie w tamtym tygodniu? Ciało było w lodzie, póki nie przyszła odwilż. Zwłoki znaleziono we środe. Anonim przyszedł na drugi dzień w południe.

– Czyli została zamordowana przed mrozami, skoro zabójca wrzucił ją do wody.

– Nie. Zabójca wybił przerębel w lodzie i wrzucił ciało obciążone kamieniami. Otwór w ciągu nocy zamarł z powrotem.

– Skąd wiesz?

– Noëlla Cordel kupiła sobie tego dnia nowy pasek. Miała go na sobie. Wiemy, gdzie wieczerała i co jadła. Rozumiesz, w tej temperaturze treść żołądka była taka jak pierwszego dnia. Obecnie znamy datę i godzinę śmierci. I w tym się ze mną nie spieraj, przypominam, że jesteśmy specami.

– Nie daje ci do myślenia, że anonim przyszedł następnego dnia po znalezieniu

zwłok? Jak tylko gazety podały wiadomość o morderstwie?

– Ano, psiajucha, nie. Dostajemy dużo anonimów. Ludzie nie lubią mieć do czynienia z policją.

– Trudno się dziwić.

Wyraz twarzy Lalibertégo uległ lekkiej zmianie. Nadintendent był wytrawnym graczem, lecz Adamsberg potrafił wychwytywać modyfikacje w oczach szybciej niż detektor GRC. Laliberté przystępował do ataku, Adamsberg zatem uzbroił się w jeszcze większy spokój, ze skrzyżowanymi rękami odchylając się na oparcie krzesła.

– Noëlla Cordel zmarła wieczorem dwudziestego szóstego października – rzekł po prostu Laliberté. – Między dwudziestą drugą trzydzieści a dwudziestą trzecią trzydzieści.

Świetnie, jeśli można tak powiedzieć. Ostatni raz Adamsberg widział Noëllę, kiedy uciekał przez okno w piątkowy wieczór 24 października. Wtedy bał się, że ta cholerna gilotyna spadnie na niego, a teraz że Laliberté oznajmi, iż właśnie 24 popełniono to morderstwo.

– Dokładniejszej godziny nie dało się ustalić?

– Nie. Wieczerała około dziewiętnastej trzydzieści i proces trawienia był w zbyt zaawansowanym stadium.

– W którym jeziorze została znaleziona? Daleko stąd? – spytał Adamsberg, myśląc, że oczywiście w jeziorze Pink. Bo gdzieżby indziej?

– Kontynuować będziemy jutro – oznajmił nagle Laliberté, podnosząc się. – Czyli będziesz miał czas pomantyczyć na quebeckich gliniarzy i pogadać, jakie to z nas paskudy. Chciałem ci to powiedzieć i tyle. Zarezerwowaliśmy dla was dwa pokoje w hotelu Brébeuf w parku Gatineau. Pasuje ci?

– Brébeuf to czyjeś nazwisko?

– Tak, Francuza upartego jak muł, którego zeżarli Irokezi, bo wciskał im religijne bujdy. Przyjedziemy po was o czternastej, jak dychniecie trochę. – Nadintendent, znowu serdeczny, wyciągnął do niego rękę. – I dokładnie mi opowiesz tę historię z trójzębem.

– Jeśli zdołasz jej wysłuchać.

Chociaż Adamsberg stanowczo sobie postanowił, że przemyśli niesamowity zbieg okoliczności, za którego sprawą natknął się na Trójzęba na drugim końcu świata, nie udało mu się tego zrobić. Nieboszczycy przenoszą się w mgnieniu oka, błyskawicznie. Przeczuł to zagrożenie wcześniej, w kościele w Montrealu, kiedy Vivaldi mu podszeptował, że Fulgence wie o jego wznowionym polowaniu,

i doradzał ostrożność. Vivaldi, sędzia, kwintet – tyle zdążył pomyśleć, zanim zasnął.

Retancourt zapukała do jego pokoju o szóstej rano czasu lokalnego. Z mokrymi jeszcze włosami kończył się właśnie ubierać i perspektywa rozpoczęcia tego trudnego dnia od rozmowy ze stalową komisarz wcale mu się nie uśmiechała. Wolałby się położyć i pomyśleć, to znaczy pobłąkać się pośród milionów synaps swojego umysłu kompletnie wymieszanych w tych cholernych komórkach płytki laboratoryjnej. Jednakże Retancourt spokojnie usiadła na łóżku, postawiła na stoliku termos z najprawdziwszą kawą – jak ją zdobyła? – dwa kubki i świeże bułeczki.

– Przyniosłam z dołu – wyjaśniła. – Nawet jak się zjawia ci dwaj z GRC, tu będziemy mogli spokojnie pogadać. Na widok pyska Mitcha Portelance’a straciłabym apetyt.

XXXII

Retancourt bez słowa piła pierwszy kubek kawy i jadła bułeczkę. Adamsberg nie próbował jej pomóc w nawiązaniu rozmowy, lecz milczenie wcale jej nie przeszkadzało.

– Chciałabym zrozumieć – rzekła, skończywszy pierwszą bułeczkę. – O tym mordercy z trójzębem nigdy nie było mowy w brygadzie. Przypuszczam, że to jakaś dawna sprawa. A sądząc po tym, jak pan patrzył na ofiarę, powiedziałabym nawet, że osobista.

– Retancourt, zostaliście mi przydzieleni, bo Brézillon nie puszcza swoich ludzi w pojedynkę. Ale nie macie obowiązku brać mnie na spytki.

– O, przepraszam – sprzeciwiła się komisarz. – Jestem tu dla ochrony, tak pan powiedział. A jeśli nie wiem, o co biega, nie mogę panu zapewnić bezpieczeństwa.

– Niepotrzebna mi ochrona. Dziś przekażę Lalibertému wszystkie informacje i tyle.

– Jakie informacje?

– Dowiedcie się, jak będę je przekazywał. Laliberté albo je przyjmie, albo nie, zrobi z tym, co zechce, jego sprawa. A jutro pakujemy się i do domu.

– Tak?

– A czemu nie?

– Jest pan bystry, inspektorze. Niech mi pan nie wmawia, że niczego nie zauważył.

Adamsberg popatrzył na nią pytająco.

– Laliberté to nie ten sam człowiek – ciągnęła. – Tak samo jak Portelance i Philippe-Auguste. Nadintendent był zaskoczony, jak pan robił te pomiary. Spodziewał się czego innego.

– Zauważyłem.

– Spodziewał się, że pan pęknie. Na widok ran, potem na widok twarzy, bo zadbał, żeby okazywanie rozłożyć na dwa akty. Ale tak się nie stało i to go speszyło. Speszyło, ale nie zniechęciło. Jego ludzie też wiedzieli. Nie spuszczałam ich z oka.

– Nie wyglądaliście na zainteresowaną. Siedzieliście w tym kąciku z taką znudzoną miną...

– To taka sztuczka – odparła Retancourt, nalewając znowu kawę do kubków. – Faceci nie zwracają uwagi na grubą brzydką babę.

– Bzdura, komisarzu, i nie to chciałem powiedzieć.

– A ja tak – podkreśliła, lekceważącym machnięciem ręki odganiając jego skrupuły. – Nie patrz na taką kobietę, jest dla nich jak szafa ustawiona w pomieszczeniu. Zapominają o niej. Na tym właśnie bazuję. Niech pan jeszcze doda apatyczną minę, przygarbione plecy, a można mieć pewność, że wszystko się zobaczy, samemu nie będąc widzianym. Nie każdy ma taki dar. Nieraz bardzo na nim skorzystałam.

– Przemieniliście swoją energię? – zapytał Adamsberg z uśmiechem.

– W niewidzialność – potwierdziła Retancourt poważnie. – Mogłam bezkarnie obserwować Mitcha i Philippe-Auguste’a. W czasie pierwszych dwóch aktów, okazywania ran, a później twarzy, przekazywali sobie szybkie znaki porozumiewawcze. Tak samo w akcie trzecim już w GRC.

– Kiedy dokładnie?

– Jak Laliberté podał datę zbrodni. Tu znowu rozczarowała ich pańska reakcja. Mnie nie. Ma pan wielką umiejętność zachowania flegmy, inspektorze, zwłaszcza że wydawała się autentyczna, chociaż była wypracowana. Ale muszę wiedzieć więcej, żeby robić dalej swoje.

– Będziecie ze mną Retancourt. Wasze zadanie na tym się kończy.

– Należę do brygady i wykonuję swoją robotę. Domyślam się, na co czyhają, ale potrzebuję pańskiej wersji. Powinien mi pan zaufać.

– Niby czemu? Nie lubicie mnie, komisarzu.

Nieoczekiwane oskarżenie nie wprawiło Retancourt w zakłopotanie.

– Nie przepadam za panem – przyznała. – Ale to nie ma znaczenia. Pan jest moim przełożonym, ja robię swoje. Laliberté chce pana dopaść, jest przekonany, że znał pan tę dziewczynę.

– Myli się.

– Powinien mi pan zaufać – powtórzyła spokojnie Retancourt. – Polega pan tylko na sobie. Taki ma pan styl, ale dzisiaj to błąd. Chyba że ma pan mocne alibi na wieczór dwudziestego szóstego po dwudziestej drugiej trzydziści.

– Aż tak?

– Tak myślę.

– Podejrzewają mnie, że zamordowałem tę dziewczynę? Bredzicie, Retancourt.

– Niech mi pan powie, czy ją znał.

Adamsberg milczał.

– Niech mi pan powie, inspektorze. Toreador, który nie zna swojego byka, na pewno skończy na rogach.

Adamsberg wpatrywał się w okrągłą twarz komisarz Retancourt, inteligentną i zdeterminowaną.

– No dobra. Znałem ją.

– Cholera – skomentowała Retancourt.

– Od pierwszych dni stale czekała na mnie na przenosce. Dlaczego w pierwszą niedzielę zabrałem ją do siebie, nie ma nic do rzeczy. Ale zrobiłem to. Żałuję, bo to była wariatka. Sześć dni później poinformowała mnie o ciąży, dokładając do tego szantaż.

– Fatalnie – oświadczyła Retancourt, biorąc kolejną bułeczkę.

– Zapowiedziała, że leci naszym rejsem, jedzie ze mną do Paryża, wprowadza się do mnie i choćbym nie wiadomo co mówił, będziemy razem mieszkali. Jakiś stary Indianin Outaouais z Sainte-Agathe przepowiedział jej, że jestem jej pisany. Uczepiła się tego z całych sił.

– Nigdy się w takiej sytuacji nie znalazłam, ale wyobrażam sobie, jak to jest. I co pan zrobił?

– Przemawiałem jej do rozsądku, odmówiłem, odtrąciłem ją. A na koniec zwałem. Wyskoczyłem przez okno i pognałem jak wiewiórka.

Retancourt z pełnymi ustami kiwnęła głową.

– I nigdy więcej jej nie widziałem – zaznaczył Adamsberg. – Do samego wyjazdu pilnowałem się, żeby się na nią nie nadziać.

– To dlatego był pan taki czujny na lotnisku?

– Zapowiedziała, że leci do Francji. Teraz wiem, dlaczego jej nie było.

– Nie żyła od dwóch dni.

– Gdyby Laliberté wiedział o naszej znajomości, nie szczypałby się, od razu by mi to wywalił prosto w oczy. Co znaczy, że Noëlla nikomu nic nie powiedziała, w każdym razie nie podała mojego nazwiska. Laliberté nie ma pewności. Strzela na oślep.

– Ach, bo ma w garści inny element, który pozwala mu się pana czepiać: akt trzeci. Noc dwudziestego szóstego.

Adamsberg wpatrzył się w Retancourt. Noc 26 października. O tym nie pomyślał, ulżyło mu tylko, kiedy się dowiedział, że zabójstwa nie popełniono w piątkowy wieczór.

– Wiecie o tym? O tej nocy?

– Nic nie wiem prócz tego, że dorobił się pan guza. Ale skoro Laliberté zostawił sobie tę kartę na sam koniec, domyślam się, że ma swoją wagę.

Zbliżała się pora, gdy funkcjonariusze GRC mieli po nich przyjść. Adamsberg szybko zrelacjonował Retancourt swoje pijaństwo w niedzielny wieczór i dwuipółgodzinną lukę w pamięci.

– Cholera – powtórzyła Retancourt. – Nie bardzo jednak łapię, co mu pozwoliło połączyć nieznaną dziewczynę z nawalonym facetem na leśnej ścieżce. Ma inne atuty, których na pewno nie odkryje. Laliberté działa jak łowca i cieszy go, kiedy dopadnie zwierzyny. Może przeciągać zabawę.

– Uważajcie, Retancourt. On nic nie wie o mojej amnezji. Tylko Danglardowi powiedziałem.

– Na pewno już zebrał informacje. Wie, że piętnaście po dziesiątej wyszedł pan ze Śluzy, a do bloku dotarł za dziesięć drugą. Długo jak na człowieka przytomnego.

– Tym się nie trapie. Nie zapominajcie, że znam zabójcę.

– Prawda – przyznała Retancourt. – To załatwi sprawę.

– Tylko jedno tutaj bruździ. Związany z zabójcą drobny szczegół, który może nie przejść.

– Nie ma pan pewności?

– Mam. Ale zabójca nie żyje od szesnastu lat.

XXXIII

Tym razem za obstawę nadintendenta robili Fernand Sanscartier i Ginette Saint-Preux. Adamsbergowi przyszło do głowy, że zgłosili się na ochotnika mimo niedzieli, aby może wesprzeć go jakoś. Tyle że jego dwaj niegdysiejsi sojusznicy zachowywali się nienaturalnie, byli zakłopotani. Jedyne dyżurna wiewiórka, jak zwykle z towarzyszką, przywitała go miło, marszcząc pyszczek. Pocziwy chum, wierny.

– Teraz twoja kolej, Adamsberg – zaczął serdecznie Laliberté. – Przedstaw fakty, powiedz, co wiesz, co podejrzewasz. *Right, man?*

Życzliwość, otwartość. Laliberté posługiwał się starymi technikami. Tutaj na przemian kreował fazy wrogości i rozluźnienia. Zdenerwować podejrzanego, pozwolić mu się uspokoić, znowu obudzić jego czujność, zdeorientować go. Adamsberg skupił myśli. Kanadyjczyk na pewno nie sprawi, że on będzie się szamotał jak przerażone zwierzę, zwłaszcza z Retancourt za plecami – miał osobliwe uczucie, że się w nią wtula.

- Dzień dobroci? – spytał Adamsberg.
- Dzień nastawiania ucha. No to gadaj.
- Ostrzegam, Aurèle, to długa historia.
- OK, *man*, ale mimo wszystko spróbuj się streszczać.

Adamsberg bez pośpiechu zrelacjonował krwawy marsz sędziego Fulgence’a, od morderstwa w 1949 roku aż do wznowienia działalności w Schiltigheim. Nie pomijając niczego, co dotyczyło tego osobnika, jego techniki, kozłów ofiarnych, poprzecznej belki trójzębu, wymiany zębów. Oraz nie kryjąc swojej bezsilności w dopadnięciu mordercy, którego chroniły wysokie mury posiadanej władzy, znajomości i nadzwyczajna mobilność. Nadintendent z niejakim znicierpliweniem sporządzał notatki.

– Nie chcę wyjść na krytykanta, ale widzę trzy kiksy w twojej historii – powiedział w końcu, podnosząc trzy palce.

Akuratność, akuratność i jeszcze raz akuratność, pomyślał Adamsberg.

– Nie będziesz mi chyba wciskał, że jeden i ten sam zabójca lata u was po kraju przez pół wieku.

– Chodzi ci o to, że nie został ujęty? Mówiłem ci, że to wpływowy człowiek, poza tym za każdym razem zmienia zęby u wideł. Nikomu nigdy nie przyszło do głowy, żeby brać pod lupę reputację sędziego ani połączyć te osiem morderstw.

Dziewięć razem z tym ze Schiltigheim. Dziesięć z Noëllą Cordel.

- Znaczy chodziło mi o to, że ten twój facet byłby już nie pierwszej młodości.
- Przyjmij, że zaczął jako dwudziestolatek. Miałyby raptem siedemdziesiąt lat.
- Druga rzecz – podjął Laliberté, stawiając krzyżyk w notatkach. –

Kombinowałeś nad tym trójzębem i poprzecznym prętem. To z wymianą zębów to twój pomysł, ale nie masz dowodów.

- Mam. Długość i głębokość ran.

– Właśnie. Ale wygląda na to, że tym razem ten twój szajbus nie zrobił jak zwykle? Długość linii ran jest większa niż prętu trójzęba. Siedemnaście dwa centymetra, a nie szesnaście dziewięć. Czyli ni z gruchy, ni z pietruchy twój zabójca odchodzi od rutyny. A siedemdziesiątka, krucafiks, to nie wiek, kiedy człowiek lubi zmiany. Jak to wytłumaczysz?

– Myślałem o tym i znalazłem tylko jedno wyjaśnienie: kontrole bezpieczeństwa na lotniskach. Nie mógłby przewieźć wideł, w życiu by go nie przepuścili z takim żelazem. Musiał kupić na miejscu tutejszy trójząb.

– Nie kupił, pożyczył. Przypomnij sobie: rany były zanieczyszczone ziemią. Narzędzie nie było nowe.

- Słusznie.

– A to daje nam potężne odstępstwa, naprawdę nie byle co, w modus operandi twojego zabójcy. A jeszcze dodatkowo w pobliżu ofiary nie było żadnego zalanego w sztok włóczęgi z narzędziem zbrodni w kieszeni. Kozła ofiarnego. W mojej opinii to daje wielką różnicę.

– Dopasowanie się do okoliczności. Jak każdy zdolniacha sędzieja umie się dostosować. Musiał improwizować w związku z mrozem, bo ofiara przeszło trzy dni była uwięziona w lodzie. Nic dziwnego, działał na obcym terenie.

– Ano właśnie – przyznał Laliberté, stawiając kolejny krzyżyk na kartce. – Sędziemu zabrakło miejsca w starym kraju? Dotąd zabijał u was, prawda?

– Nie mam pojęcia. Wymieniłem morderstwa we Francji, bo przetrząsałem tylko nasze archiwa. Jeżeli mordował w Szwecji albo w Japonii, nic o tym nie wiem.

- Przebóg, ale z ciebie uparciuch. Na wszystko masz odpowiedź, co?

– A nie o to ci chodziło? Nie chciałeś, żebym podał ci nazwisko zabójcy? Znasz dużo takich, co mordują trójzębem? Bo jeśli chodzi o narzędzie zbrodni, mam słuszność, prawda?

– Krucafiks, fakt, że dziewczyna została nadziana na widły. Ale kto je trzymał, to całkiem osobna sprawa.

– Sędzia Honoré Guillaume Fulgence. Autentyczny palownik, którego chętnie bym dopadł, daję słowo.

– Chciałbym zobaczyć twoje akta spraw – oświadczył Laliberté, kołysząc się na krześle. – Wszystkie dziewięć.

– Prześlę ci kopie zaraz po powrocie.

– Nie, już chcę. Mógłbyś kazać któremuś ze swoich ludzi, żeby mi je pchnął mailem?

Nie mam wyjścia, rzekł sobie Adamsberg, idąc za Lalibertém i jego podwładnymi do sali łączności. Myślał o śmierci Fulgence’a. Wcześniej czy później Laliberté dowie się o tym, tak samo jak dowiedział się Trabelmann. A już najbardziej się martwił o akta sprawy swojego brata. Był w nich szkic przecinaka wyrzuconego do sadzawki Torque oraz notatki o fałszywych zeznaniach Adamsberga na procesie. Dokumenty ściśle tajne. Jeden Danglard mógłby tu coś zaradzić, gdyby mu przyszło do głowy, że trzeba ocenzurować akta. Tylko jak go o to poprosić pod czujnym okiem Lalibertégo? Adamsbergowi przydałaby się z godzinka na przemyślenie tego, lecz tyle czasu nie miał.

– Coś przyniosę tylko z kurtki i zaraz wracam – powiedział, wychodząc z pomieszczenia.

W pustym biurze nadintendenta Retancourt drzemała na krześle lekko przechylona. Wolnymi ruchami Adamsberg wyjął kilka torebek z wypchanych kieszeni swojej kurtki i bez pośpiechu wrócił do sali łączności.

– Proszę – rzekł do Sanscartiera, z nieznacznym mrugnięciem podając mu torebki. – Sześć butelek. Podziel się z Ginette, jeśli jej też się podoba. A jak ci zabraknie, daj znać.

– Co im dajesz? – zagrzemiał Laliberté. – Francuską gorzałkę?

– Mydło z mleczkiem migdałowym. I to nie jest korumpowanie funkcjonariusza, tylko zmiękczaczu ducha.

– Krucafiks, Adamsberg, nie rozśmieszaj mnie. W robocie jesteśmy.

– W Paryżu jest już po dziesiątej wieczór, a jeden Danglard wie, gdzie trzymam te akta. Lepiej prześlę mu faks do domu. Zobacz go, jak wstanie, a ty zyskasz na czasie.

– *Right, man.* Twój wybór. Pisz do tego swojego belbasa.

Tym sposobem Adamsberg mógł odręcznie napisać do Danglaroda. Tylko taki pomysł przyszedł mu do głowy podczas krótkiej akcji mydło, pomysł sztubacki co prawda, ale mógł się okazać skuteczny. Swoje pismo, które Danglard znał doskonale, postanowił trochę zmienić, powiększając litery R i J, pierwszą i ostatnią słowa „ratuj”. Było to możliwe w krótkiej notatce zawierającej wyrazy „prześlij” i „Trójzęba”. Liczył, że Danglard będzie miał oczy szeroko otwarte, coś z tego zrozumie, odgadnie w czym rzecz i wyjmie kompromitujące dokumenty, zanim zeskanuje wszystko.

Faks poszedł pod czujnym okiem nadintendenta, unosząc nadzieje Adamsberga kablem biegnącym po dnie Atlantyku. Teraz pozostało mu tylko liczyć na wysoką inteligencję partnera. Krótco pomyślał o Danglardowym aniele z mieczem, zaklinając go, by choć ten jeden raz sprawił, że kolega od samego rana będzie w pełni władz umysłowych.

– Przeczyta go jutro. Nic więcej nie mogę zrobić – zakończył Adamsberg, wstając. – Wszystko powiedziałem.

– Ja nie. Jeszcze czwarta rzecz mnie intryguje – rzekł Laliberté, unosząc czwarty palec.

Akuratność i jeszcze raz akuratność.

Adamsberg klapnął na powrót koło faksu, Laliberté nadal stał. Kolejna policyjna sztuczka. Adamsberg obejrzał się na Sanscartiera, który w bezruchu tulił do siebie torebki z mydłem. I w jego oczach, które jak mu się zdawało, dotąd wyrażały zawsze jednakową dobroć, wyczytał coś innego. Uważaj, chum, to pułapka. Pilnuj się.

– Mówiłeś, jak mi się zdaje, żeś zaczął polowanie, kiedyś miał osiemnaście lat, nie? – zapytał Laliberté.

– Tak.

– Trzydzieści lat tropienia... Nie uważasz, że to przesada?

– Nie większa niż pół wieku bezkarnego mordowania. Każdy robi swoje: i on, i ja.

– Macie we Francji coś takiego jak sprawy umorzone?

– Mamy.

– Dużo miałeś takich spraw umorzonych?

– Niewiele.

– Jakież jednak były?

– Tak.

– No to czemuś tej także nie umorzył?

– Z powodu mojego brata, mówiłem ci.

Laliberté się uśmiechnął, jakby zdobył punkt. Adamsberg obejrzał się na Sanscartiera. W jego oczach widział wciąż to samo ostrzeżenie.

– Tak bardzo kochałeś brata?

– Tak.

– Chciałeś go pomścić?

– Nie pomścić, Aurèle. Oczyścić z zarzutów.

– Nie czepiaj się słów, wychodzi na jedno. Wiesz, z czym się kojarzy to twoje dochodzenie? To dreptanie w miejscu od trzydziestu lat?

Adamsberg milczał. Sanscartier patrzył na swojego przełożonego wzrokiem,

w którym nie zostało ani krzty łagodności. Ginette trzymała spuszczoną głowę.

– Z nienormalną obsesją – oznajmił Laliberté.

– W twoim uważaniu, Aurèle. W moim nie.

Laliberté zmienił pozycję i kąt ataku.

– Pogadajmy teraz jak glina z gliną. Nie zdaje ci się dziwne, że twój morderca wędrowniczek zabija tutaj akurat wtedy, kiedy przebywa tu jego prześladowca? Czyli ty, ogarnięty obsesją policjant, który ściga go od trzydziestu lat? Nie uważasz, że to jakiś pokręcony zbieg okoliczności?

– Bardzo pokręcony. Ale może wcale nie jest zbiegiem okoliczności. Mówiłem ci, że od Schiltigheim Fulgence wie, że znów depczę mu po piętach.

– Krucafiks! I jechałby aż tutaj, żeby cię sprowokować? Nie myślisz, że gdyby miał choć trochę rozumu, poczekałby, aż wrócisz? Gość, który zabija co cztery, sześć lat, może chyba się wstrzymać dodatkowe dwa tygodnie, nie?

– Nie jestem w jego skórze.

– No właśnie nad tym się zastanawiam.

– A dokładniej?

– Osobiście uważam, żeś sobie ubzdurał to wszystko. I wszędzie widzisz tego swojego sakramenckiego Trójzęba.

– Wkurzam cię, Aurèle. Mówię ci, co wiem i co myślę. Jak tego nie chcesz brać pod uwagę, twoja sprawa. Prowadź swoje dochodzenie, ja będę prowadził swoje.

– Do jutra o dziewiątej – powiedział nadintendent, wyciągając rękę. – Mamy jeszcze kupę roboty. Przejrzymy razem te akta.

– Nie razem – rzekł Adamsberg, wstając. – Zejdzie ci nad nimi cały dzień, a ja znam je na pamięć. Jadę odwiedzić brata. Widzimy się we wtorek rano.

Laliberté zmarszczył brwi.

– Jestem chyba wolny? Tak czy nie? – spytał Adamsberg.

– Nie sipaj się.

– No to jadę do brata.

– A gdzie on jest?

– W Detroit. Możesz mi pożyczyć służbowy wóz?

– Da się zrobić.

Adamsberg poszedł po Retancourt, która siedziała jak kłoda w biurze nadintendenta.

– Wiem, żeś dostał rozkazy – rzekł Laliberté ze śmiechem. – Nie bierz tego do siebie, ale nie bardzo widzę, na co ci ta twoja komisarz. Prochu nie wymyśli, gołym

okiem widać. Krucafiks, nie chciałbym jej w swojej grupie.

XXXIV

Znalazłszy się w hotelu w swoim pokoju, Adamsberg zastanawiał się, czyby nie zadzwonić do Danglarda z prośbą, by usunął z akt kompromitujące kartki związane ze śledztwem w sprawie jego brata. Nie miał jednak gwarancji, że telefon nie jest na podsłuchu. Kiedy Laliberté się dowie, że Fulgence nie żyje, sprawy się pokomplikują. Ale co z tego? Nadintendent nic nie wiedział o jego związku z Noëllą i gdyby nie ten anonim, w ogóle by go nie brał pod uwagę. We wtorek rozstaną się skłóceni, jak z Trabelmannem, i do widzenia, każdy wróci do swojego śledztwa.

Szybko spakował torbę. Zamierzał jechać nocą, przespać się w drodze ze dwie godziny i dotrzeć do Detroit z samego rana, aby nie minąć się z bratem. Od tak dawna nie widział Raphaëla, że nie czuł żadnych emocji, ta wycieczka wydawała mu się zupełnie nierzeczywista. Zmieniał T-shirt, kiedy Retancourt weszła do jego pokoju.

- Kurde, Retancourt, moglibyście zapukać.
- Przepraszam, bałam się, że już pan pojechał. O której ruszamy?
- Sam jadę. Tym razem to prywatna podróż.
- Dostałam rozkazy – upierała się komisarz. – Mam być z panem. Wszędzie.
- Sympatyczna z was dziewczyna, Retancourt, i przydatna, ale to mój brat, trzydzieści lat go nie widziałem. Dajcie mi święty spokój.
- Przykro mi, jadę. Zostawię was samych, niech się pan nie martwi.
- Odczepcie się ode mnie, komisarzu.
- Jak pan chce, ale ja mam klucze do auta. Na piechotę daleko pan nie zajdzie. Adamsberg postąpił krok w jej kierunku.
- Chociaż jest pan silny, w życiu nie odbierze mi pan kluczy. Proponuję, żebyśmy skończyli z tą dziecinadą. Jedziemy razem, w drodze będziemy się zmieniali.

Adamsberg odpuścił. Walka z Retancourt kosztowałyby go co najmniej godzinę.

- No dobra – powiedział z rezygnacją. – Skoro mam was na karku... Idźcie się spakować. Macie trzy minuty.
- Jestem spakowana. Spotykamy się za chwilę przy samochodzie.

Adamsberg dokończył się ubierać i dołączył do swojej komisarz na parkingu. Do blond strażniczki, która przemieniła swoją energię w szczególnie uprzykrzoną

osobistą ochronę.

– Pierwsza poprowadzę – oznajmiła Retancourt. – Pan przez całe popołudnie zmagał się z nadintendentem, a ja drzemałam na krześle. Jestem wypoczęta.

Retancourt przesunęła do tyłu fotel, by wygodnie usiąść, po czym ruszyła w kierunku Detroit. Adamsberg przywołał ją do porządku ze względu na ograniczenie prędkości do 90 kilometrów na godzinę i posłusznie zwolniła. W sumie nawet był rad, że może się trochę odprężyć. Wyciągnął nogi, ręce położył na udach.

– Nie powiedział im pan, że on nie żyje – zauważyła Retancourt po kilkunastu kilometrach.

– Jutro z samego rana się dowiedzą. Niepotrzebnie się martwicie, Laliberté nic na mnie nie ma. Bruździ mu ten anonim. We wtorek z nim kończę, we środę odlatujemy do domu.

– Jeśli skończy pan we wtorek, nie odlecimy we środę.

– Dlaczego?

– Bo jak zjawi się tam pan we wtorek, nie będą grzeczni. Przedstawią panu zarzuty.

– Lubicie dramatyzować, Retancourt?

– Obserwuję. Przed hotelem parkował samochód z ludźmi. Od Gatineau jadą za nami. Za panem. Philibert Lafrance i Rhéal Ladouceur.

– Obserwacja nie oznacza oskarżenia. Wkładacie całą energię w wyolbrzymianie.

– Na tym anonimie, którego Laliberté nie chciał panu pokazać, były dwa cienkie czarne paski, jeden pięć centymetrów od góry i drugi centymetr od dołu kartki.

– Fotokopia?

– Właśnie. Z maskowaniem nagłówka i stopki kartki. Zrobionym na łapu-capu. Papier, czcionka druku i układ strony przypominały formularze stażowe. Pamięta pan? Ja się zajmowałam w Paryżu całą papierkową robotą. I to sformułowanie: „Osobiście uwikłany”. Takie to jakieś quebeckie... Ten list sfabrykowała GRC.

– Po co?

– Żeby stworzyć wiarygodny powód, który zmusi szefostwo do przysłania pana tutaj. Gdyby Laliberté powiedział szczerze, jakie ma zamiary, Brézillon nigdy by się nie zgodził wydać pana.

– Wydać?... No co wy, komisarzu? Laliberté się zastanawia, co nawyczyniałem w nocy dwudziestego szóstego października, rozumiem to. Ja też

się nad tym zastanawiam. Głowi się, co mogłem robić z Noëllą, to także rozumiem. Ja również nad tym się głowię. Ale do diabła, Retancourt, nie jestem podejrzany!

– Po południu wszyscy poszliście do sali łączności, a gruba Retancourt została na krześle w pokoju nadintendenta. Pamięta pan?

– Bardzo przepraszam, mogliście iść z nami.

– Co to, to nie. Już byłam niewidzialna i nikt z nich nie zdawał sobie sprawy, że zostaję tam sama. Sama z zieloną teczką na wyciągnięcie ręki. Miałam dość czasu, żeby się udało.

– Udało?

– Zrobiłam kopię. To co ważne mam w torebce.

Adamsberg popatrzył w mroku na swoją komisarz. Samochód jechał z prędkością znacznie przewyższającą dopuszczalną.

– Robicie to w brygadzie? Pod wpływem impulsu piraciecie akta spraw?

– W brygadzie nie wykonuję zadania z zakresu ochrony.

– Zwolnijcie, Retancourt. To naprawdę nie najlepsza chwila, żeby ci dwaj za nami dopadli nas i znaleźli tę bombę z opóźnionym zapłonem, którą wleczenie w torebce.

– Słusznie – przyznała Retancourt, zdejmując nogę z gazu. – Te cholerne automatyczne wozy strasznie mnie kuszą.

– Nie tylko to was kusi. Wyobrażacie sobie, co by się działo, gdyby ktoś was naszedł przy kserokopiarce?

– A pan wyobraża sobie, co by się działo, gdybym nie zajrzała do tych akt? Była niedziela, GRC świeciła pustkami. Docierała do mnie wasza rozmowa. Gdybym usłyszała szuranie krzeseł, bez problemu zdążyłabym wrócić na miejsce. Wiem, co robię.

– Jakoś nie mam pewności.

– Wypytywali o pana. Dużo. Wiedzą, że sypiał pan z dziewczyną.

– Od ludzi z hotelu?

– Nie. Ale Noëlla miała w torebce test ciążowy, próbkę na mocz.

– I co? Była w ciąży?

– Nie. Nie ma testów, które by dawały odpowiedź po trzech dniach, ale faceci o tym nie wiedzą.

– Więc dlaczego miała ten test? Dla swojego byłego?

– Żeby pana złapać. Niech pan weźmie raport z mojej torby. Niebieska koszulka, chyba strona dziesiąta.

Adamsberg otworzył torbę Retancourt przypominającą niezbędnik survivalowy, znajdowały się w niej bowiem cęgi, sznur, wytrychy, pasta maskująca, napinaki, nóż, latarka, torebki foliowe i różne inne rzeczy. Zapalił

lampkę podsufitową i zajrzał na stronę dziesiątą: analiza moczu Cordel Noëlli, dowód rzeczowy RRT 3067. „Śladowe ilości spermy – czytał szybko. – Porównanie z próbką STG 6712 pobraną w mieszkaniu Adamsberga Jeana-Baptiste’a. DNA zgodne. Oficjalna identyfikacja partnera seksualnego”.

Pod tymi słowami widniały dwa schematy przedstawiające dwadzieścia osiem prążków DNA, jednego pobranego z próbki, drugiego z jego pościeli. Identyczne bez dwóch zdań. Adamsberg odłożył dokumenty w koszulce i zgasił światło. Nie czułby się zbyt skrępowany rozmową z podwładną na temat spermy, był jednak jej wdzięczny, że pozwoliła mu się zapoznać z tą notatką w milczeniu.

– Czemu Laliberté nie puścił pary z pyska? – zapytał cicho.

– Podpucha. On się bawi, inspektorze. Z lubością obserwuje, jak pan się pogrąża. Im bardziej pan kłamie, tym więcej on wygłasza fałszywych deklaracji.

– Nawet jeżeli... – mruknął Adamsberg. – Nawet jeżeli wie, że spałem z Noëllą, nie ma powodu łączyć mnie z morderstwem. To zbieg okoliczności.

– Pan nie lubi zbiegów okoliczności.

– Nie.

– No, ja też nie. Dziewczynę znaleziono na przenosce.

Adamsberg zastygł.

– Niemożliwe – wytchnął wreszcie.

– W jeziorku przy ścieżce – dodała łagodnie. – Zjemy coś?

– Nie bardzo jestem głodny – powiedział Adamsberg cicho.

– A ja bym coś zjadła. Inaczej nie wytrzymam. Pan też nie.

Zjechała na przydrożny parking, zatrzymała samochód i wyjęła z torby dwie kanapki i dwa jabłka. Adamsberg żuł wolno z zagubionym wzrokiem.

– Nawet jeżeli... – powtórzył. – O czym to świadczy? Noëlla wiecznie przesiadywała na przenosce. Od rana do wieczora. Sama mówiła, że to niebezpieczne. Nie tylko ja tamtędy chodziłem.

– Wiezorami tak. Z wyjątkiem homoseksualistów, których nie obchodziła Noëlla Cordel. Gliniarze dużo wiedzą. Na przykład że pan się plątał po tej ścieżce między wpół do jedenastej a wpół do drugiej nad ranem.

– Nic nie pamiętam, Retancourt. Byłem nawalony, mówiłem wam. Pewnie łąziłem tam i z powrotem. Jak się przewróciłem, zgubiłem latarkę. Waszą latarkę.

Retancourt wyjęła z torby butelkę wina.

– Nie wiem, co jest warte – powiedziała. – Niech pan spróbuje.

– Nie chcę więcej pić.

– Parę łyków tylko. Proszę.

Adamsberg z ociąganiem spełnił jej prośbę. Retancourt zabrała od niego

butelkę i starannie na powrót ją zakorkowała.

– Przesłuchali barmana ze Śluzy – podjęła. – Któremu pan powiedział: „Niech się tylko byki zbliżą, a wraz cię nadzieję!”.

– Opowiadałem o swojej babce. Bardzo dzielnej kobiecie.

– Dzielna czy nie, ale to sformułowanie bardzo im się nie spodobało.

– To wszystko, Retancourt?

– Nie. Wiedzą też, że nic pan nie pamięta z tamtej nocy.

W samochodzie na długą chwilę zapadła cisza. Adamsberg siedział oparty w fotelu ze wzrokiem wlepionym w sufit jak człowiek oszołomiony, wstrząśnięty.

– Powiedziałem o tym tylko Danglardowi – rzekł wreszcie głucho.

– Ale jakoś się dowiedzieli.

– Stale chodziłem tą ścieżką – ciągnął takim samym bezbarwnym głosem. – Nie mają ani motywu, ani dowodu.

– Motyw mają: test ciężowy, szantaż.

– W głowie się nie mieści, Retancourt. Co za machinacja. Diabelska!

– Sędziego?

– Czemu nie?

– On nie żyje, szefie.

– Mam to gdzieś. I nie mają dowodu.

– Mają. Skórzany pasek, który dziewczyna sobie tego dnia kupiła.

– Powiedział mi o tym. I co?

– Pasek został rozpięty. Leżał w liściach przy jezioru.

– No i?

– Przykro mi, szefie. Były na nim pana odciski palców. Zostały porównane z odciskami zostawionymi w mieszkaniu.

Adamsberg nie ruszał się pogrążony w zdumieniu, przytłoczony falami, które waliły w niego jedna po drugiej.

– Nigdy nie widziałem tego paska. Nigdy go nie odpinałem. Nie widziałem dziewczyny od piątkowego wieczoru.

– Wiem – mruknęła Retancourt. – Ale jako winnego może im pan tylko zaproponować starego nieboszczyka. A w charakterze swojego alibi ma pan zanik pamięci. Powiedzą, że miał pan obsesję sędziego, że pański brat zabił przed laty, że nie był pan w pełni władz umysłowych. Że jak pan się znalazł w podobnych okolicznościach, pijany, w lesie, przed dziewczyną w ciąży, powtórzył pan to, co zrobił Raphaël.

– Pułapka się zatrzasnęła – rzekł Adamsberg, zamykając oczy.

– Przepraszam, że tak prosto z mostu mówiłam, ale musiał się pan dowiedzieć. Oskarżą pana we wtorek. Nakaz jest gotowy.

Retancourt wyrzuciła ogryzek jabłka przez okno i uruchomiła silnik. Nie zaproponowała Adamsbergowi, by usiadł za kierownicą, a on się tego nie domagał.

– Nie zrobiłem tego, Retancourt.

– Nic nie da powtarzanie tego Lalibertému. On ma w głębokim poważaniu pańskie zaprzeczenia.

Adamsberg nagle się wyprostował.

– Przecież Noëlla zginęła od ciosu trójzębu. Skąd miałbym wziąć takie narzędzie? Leżało na przenosce? Spadło z nieba?... – Urwał naraz i znów opadł na oparcie.

– No? Niech pan mówi.

– Boże drogi, wycinka drzew.

– Gdzie?

– W połowie drogi była wycinka, stał tam pikap, narzędzia oparte o pnie. Robotnicy wycinali uschłe drzewa i sadzili klony. Znałem to miejsce. Mogłem je minąć, zobaczyć Noëllę, potem narzędzia i skorzystać z któregoś. Tak, będą mogli coś takiego powiedzieć. Dlatego że w ranach były zanieczyszczenia. Dlatego że trójząb różnił się od tego, którego używał sędzia.

– Będą mogli coś takiego powiedzieć – potwierdziła Retancourt z powagą w głosie. – To, co im pan naopowiadał o sędzi, nie przemawia za panem, przeciwnie. Zwariowana historia, nieprawdopodobna, świadcząca o obsesji. Posłużą się nią, żeby pana obciążyć. Dostali motyw na tacy, podał im pan koronny dowód.

– Człowiek, którego zaćmiło, pijany, z zanikiem pamięci, wystraszony przez tę dziewczynę. Ja jako wcielenie mojego brata. Ja jako wcielenie sędziego. Niezrównoważony, oszalały. No to po ptakach, Retancourt. Sędzia mnie dopadł. Wszedł w moją skórę.

Przez kwadrans Retancourt prowadziła, nie odzywając się słowem. Wydawało jej się, że załamanie Adamsberga wymaga dłuższej chwili milczenia. Może nawet kilku dni, może wyprawy aż na Grenalndię – tyle że na to nie było czasu.

– O czym pan myśli? – zagadnęła w końcu.

– O mamie.

– Rozumiem. Ale wydaje mi się, że moment nie jest odpowiedni.

– Człowiek myśli o matce, kiedy nic się nie da zrobić. A tu nic się nie da zrobić.

– Da się. Uciec.

– Jeśli ucieknę, jestem ugotowany. Przyznam się do winy.

– Będzie pan ugotowany, jak się pan stawi we wtorek w GRC. Aż do rozprawy będzie pan tu gnił i nijak nie da się poprowadzić równoległego dochodzenia.

Kanadyjczycy wsadzą pana do swojego lochu, a potem pewnego pięknego dnia przeniosą pana do Fresnes z wyrokiem dwudziestu lat odsiadki. Nie, trzeba uciec, zmyć się stąd.

– Retancourt, zdajecie sobie sprawę, co mówicie? Macie świadomość, że w takim wypadku bylibyście winni pomocy w ucieczce?

– Jasne.

Adamsberg popatrzył na podwładną.

– A jeżeli to ja zabiłem, Retancourt? – rzekł z trudem.

– Trzeba uciekać – powtórzyła, nie odpowiadając na pytanie.

– A jeżeli to ja zabiłem? – nalegał Adamsberg, podnosząc głos.

– Jeżeli pan wątpi, jesteśmy oboje ugotowani.

Adamsberg w mroku nachylił się bardziej, aby ją lepiej widzieć.

– A wy nie wątpicie? – zapytał.

– Nie.

– Dlaczego? Nie lubicie mnie i wszystko przeciwko mnie świadczy. A mimo to nie wierzycie w oskarżenie.

– Nie. Pan by nie zabił.

– Dlaczego?

Retancourt ściągnęła lekko usta, jakby się wahała, jak to ująć.

– Powiedzmy, że coś takiego niewystarczająco pana interesuje.

– Macie pewność?

– Na tyle, na ile czegoś można być pewnym. W pańskim interesie leży zdać się na mnie, inaczej faktycznie będzie pan ugotowany. Teraz pan się nie broni, tylko własnoręcznie pogrąża.

W szlamie martwego jeziora, pomyślał Adamsberg.

– Nic z tamtej nocy nie pamiętam – powtórzył mechanicznie. – Twarz i ręce miałem całe we krwi.

– Wiem. Mają zeznanie strażnika.

– Może to nie była moja krew.

– No widzi pan? Sam się pan pogrąża. Godzi się pan. Myśl wkrada się w pana jak wąż, a pan jej na wszystko pozwala.

– Myśl może już była we mnie, kiedy doprowadziłem do zmartwychwstania Trójzęba. I może eksplodowała, kiedy zobaczyłem narzędzie.

– Pogrąża się pan, własnoręcznie grzebie w grobie – upierała się Retancourt. – Dobrowolnie kładzie pan głowę na katowski pniak.

– Zdaję sobie sprawę.

– Szefie, niech pan się szybko zastanowi. Kogo pan wybiera? Siebie? Czy mnie?

– Was – odparł Adamsberg instynktownie.

– Czyli ucieczkę.

– Niewykonalne. Nie są głupi.

– My też nie.

– Siedzą nam na ogonie.

– Nie ma mowy o ucieczce z Detroit. Nakaz zatrzymania już trafił do Michigan. Wracamy planowo we wtorek do hotelu Brébeuf.

– I barykadujemy się w piwnicy? Jak nie wyjdę o określonej godzinie, przetrząsną wszystko. Do góry nogami wywrócą mój pokój i cały budynek. Stwierdzą zniknięcie samochodu, obstawią lotniska. W życiu nie zdążę wylecieć z Kanady. Nie zdążę nawet opuścić hotelu. Zostanę pożarty jak ten Brébeuf.

– Wcale nie będą nas ścigali, szefie. To my zaprowadzimy ich tam, gdzie będziemy chcieli.

– Czyli?

– Do mojego pokoju.

– Wasz pokój jest tak samo ciasny jak mój. Gdzie chcecie mnie ukryć? Na dachu? Tam też wejdą.

– A pewnie, że wejdą.

– Pod łóżkiem? W szafie? Na szafie? – Adamsberg wzruszył ramionami ogarnięty rozpaczą.

– Na sobie.

Popatrzył na nią.

– No przykro mi – powiedziała – ale to zajmie tylko jakieś dwie, trzy minuty. Nie ma innego wyjścia.

– Retancourt, nie jestem szpilką do włosów. W co zamierzacie mnie przemienić?

– To ja się przemienię. W kolumnę.

XXXV

Retancourt zrobiła dwugodzinny postój, żeby się przespać, i o siódmej rano wjechali do Detroit. Miasto było ponure jak stara księżna odziana w łachmany sukien. Brud i nędza zastąpiły miniony przepych dawnego Detroit.

– To ten blok – wskazał Adamsberg siedzący z planem miasta w ręce.

Przyjrzał się wysokiemu budynkowi, dość pociemniałemu, lecz w niezłym stanie, z kafeterią z boku, jak ogląda się budowlę historyczną. Właściwie była to budowla historyczna, ponieważ w jej murach krzątał się, spał, żył Raphaël.

– Kanadyjczycy parkują dwadzieścia metrów za nami – zauważyła Retancourt.

– Sprytnie. Co oni myślą? Że nie wiemy, że ciągną się za nami od Gatineau?

Adamsberg siedział pochylony do przodu, z rękami skrzyżowanymi w pasie.

– Niech pan idzie sam, szefie. Ja tymczasem pokrzepię się w kafeterii.

– Nie mogę – rzekł Adamsberg cicho. – Po co? Ja też uciekam.

– No właśnie. On przestanie być sam i pan także. No niech pan idzie.

– Nie rozumiecie, Retancourt. Nie mogę. Nogi mam zimne i sztywne, jestem jak przyspawany do podłogi.

– Pozwoli pan? – zapytała komisarz, kładąc mu cztery palce między łopatkami.

Adamsberg kiwnął głową. Po dziesięciu minutach poczuł, że wzdłuż ud jakby mu spływa coś w rodzaju smaru, przywracając nogom ruchliwość.

– Takie coś zrobiliście Danglardowi w samolocie?

– Nie. Danglard bał się tylko, że umrze.

– A ja?

– Pan się boi czegoś wręcz przeciwnego.

Adamsberg pokręcił głową i wysiadł z wozu. Retancourt miała właśnie wejść do kafeterii, gdy przytrzymał ją za rękę.

– On tam jest – powiedział. – Przy tamtym stoliku, tyłem. Jestem pewien.

Komisarz przyjrzała się postaci, którą wskazywał Adamsberg. To były bez cienia wątpliwości plecy jego brata. Dłoń Adamsberga zaciskała się na jej ramieniu.

– Niech pan wejdzie sam – zachęciła go. – Ja wrócę do auta. Da mi pan znak, kiedy będę mogła do was dołączyć. Chciałabym go zobaczyć.

– Raphaëla?

– Tak, Raphaëla.

Adamsberg pchnął szklane drzwi, czując, że nogi ma jeszcze lekko sztywne.

Podszedł do Raphaëla i położył mu ręce na ramionach. Siedzący tyłem mężczyzna nawet się nie wzdrygnął. Popatrzył tylko na śniade dłonie na swoich ramionach, najpierw na jedną, potem na drugą.

– Znalazłeś mnie? – zapytał, nie ruszając się.

– Tak.

– Dobrze zrobiłeś.

Z drugiej strony wąskiej ulicy Retancourt widziała, jak Raphaël wstaje, bracia się ściskają, przypatrują się sobie, obejmują się mocno. Wyjęła z torby małą lornetkę i ustawiła ostrość na Raphaëla Adamsberga, który stał z czołem przy czole brata. Taka sama budowa ciała, taki sam kształt głowy. O ile jednak zmienny urok Adamsberga wyłaniał się jakby cudem z chaosu jego twarzy, o tyle uroda brata była widoczna od razu, podkreślona regularnością rysów. Byli jak bliźniacy wyrosli z tego samego korzenia, tyle że jeden w zamęcie, drugi w harmonii. Retancourt przesunęła się nieco, aby na linii wzroku mieć Adamsberga widocznego w trzech czwartych. Wtem opuściła lornetkę przejęta, że ośmieliła się zapaść za daleko, podejrzeć jego emocje.

Teraz bracia Adamsbergowie siedzieli naprzeciw siebie, trzymając się za ręce, tak że tworzyli zamknięty krąg. Retancourt przejęta lekkim dreszczem na powrót usiadła wygodnie. Schowała lornetkę i zamknęła oczy.

Trzy godziny później Adamsberg zapukał w szybę samochodu i zabrał swoją komisarz. Raphaël ich nakarmił, po czym usadził na kanapie z kawą. Bracia nie oddalali się od siebie dalej niż na pół metra, co Retancourt odnotowała.

– Jean-Baptiste zostanie oskarżony? To pewne? – zwrócił się Raphaël do Retancourt.

– Pewne – potwierdziła. – Pozostaje ucieczka.

– Ucieczka, kiedy hotelu pilnuje dziesięciu gliniarzy – dodał Adamsberg.

– To wykonalne – zauważyła Retancourt.

– Co wymyśliłaś, Violette? – zapytał Raphaël, który wcześniej oznajmił, że nie jest policjantem ani wojskowym, więc nie będzie się zwracał do komisarz po nazwisku.

– Wieczorem ruszamy do Gatineau – zaczęła Retancourt. – Wracamy do hotelu z rana, około siódmej, grzecznie wchodzimy do środka na oczach policji. Ty, Raphaëlu, wyjeżdżasz trzy i pół godziny po nas. Możesz?

Raphaël kiwnął głową.

– Do hotelu Brébeuf docierasz około wpół do jedenastej. Co zobaczą gliny? Nowego gościa, którego oleją, bo nie jego pilnują. Zwłaszcza że o tej porze dużo ludzi wchodzi i wychodzi. Ci dwaj, którzy przyjechali za nami, na pewno jutro nie będą mieli służby. Nikt z pilnujących cię nie zidentyfikuje. Meldujesz się pod swoim nazwiskiem i zwyczajnie idziesz do pokoju.

– Jasne.

– Masz garnitury? Wiesz, takie oficjalne, z koszulą i krawatem?

– Mam trzy. Dwa popielate i granatowy.

– Super. Przyjedź w granatowym i weź ze sobą drugi. Popielaty. I jeszcze dwa płaszcze, dwa krawaty.

– Retancourt, nie chcecie chyba mojego brata wpuścić w kanał? – wtrącił Adamsberg.

– Nie, tylko gliniarzy z Gatineau. Pan, szefie, zaraz po powrocie opróżnia swój pokój, tak jakby opuścił go pan w pośpiechu. Pozbędziemy się pańskich rzeczy. Nie ma ich pan wiele, co się dobrze składa.

– A co? Potniemy je na kawałki? Połkniemy?

– Wrzucimy do wielkiego kubła na piętrze, takiego ze stali z uchylnym wiekiem.

– Wszystko? Ciuchy, książki, golarkę?

– Wszystko, łącznie z bronią służbową. Wywalimy pańskie ciuchy, ale uratujemy skórę. Zostawimy tylko portfel i klucze.

– Torba nie zmieści się do tego kosza.

– Zostawimy ją u mnie w szafie, pustą, jakby należała do mnie. Kobiety wożą dużo bagażu.

– Mogę zostawić zegarki?

– Tak.

Bracia nie spuszczała z niej wzroku, spojrzenie jednego było miękkie i łagodne, drugiego ostre, błyszczące. Raphaël Adamsberg miał podobną jak brat spokojną zwinność, lecz ruchy szybsze, reakcje żywsze.

– W GRC czekają na nas o dziewiątej – podjęła Retancourt, wodząc oczami od jednego do drugiego. – Po dwudziestu minutach, jak myślę, Laliberté będzie próbował się dodzwonić do funkcjonariusza w hotelu. Telefon nie odpowie, wszczęty zostanie alarm. Chłopcy pognają do jego pokoju. Pustego. Podejrzany zniknął. Takie właśnie wrażenie muszą odnieść: że już uciekł, wymknął im się z rąk. Około dziewiątej dwadzieścia pięć wpadną do mojego pokoju, żeby sprawdzić, czy przypadkiem nie ukrywam pana.

– Gdzie mnie ukryjecie? – niespokojnie zapytał Adamsberg.

Retancourt podniosła rękę.

– W Quebecu ludzie są wstydlivi i pełni rezerwy – powiedziała. – U nich nie ma gołych kobiet na okładkach czasopism ani na plaży. I na tym bazujemy, na ich wstydlivosti. Za to – dodała, spoglądając na Adamsberga – my będziemy musieli o niej zapomnieć. Pruderia pójdzie w odstawkę. A jeśli jest pan pruderyjny, niech pan sobie tylko przypomni, że tu idzie o pańską głowę.

– Nie zapominam.

– Kiedy gliniarze wejdą, będę w łazience przy otwartych drzwiach, a ściślej w wannie. Nie mamy wielkiego wyboru w doborze sposobów.

– A Jean-Baptiste? – zapytał Raphaël.

– Schowany za otwartymi drzwiami. Na mój widok gliniarze wycofują się do pokoju. Wrzeszczę na nich, że nie mają za grosz przyzwoitości. Stoją w pokoju, przepraszają, bełkoczą, tłumaczą, że szukają inspektora. Ja o niczym nie wiem, kazał mi siedzieć w pokoju. Chcą przeszukać łazienkę. Proszę bardzo, ale niech mi pozwolą się ubrać. Zgadzą się poczekać, pozwalają zamknąć drzwi łazienki. Dotąd wszystko zrozumiałe?

– Dla mnie tak – odparł Raphaël.

– Narzucam na siebie szlafrok, bardzo duży szlafrok, do ziemi. Raphaël musi go tutaj kupić. Podam ci rozmiar.

– W jakim kolorze? – zapytał Raphaël.

Uprzejme pytanie wybiło Retancourt z toku rozważań taktycznych.

– Jasnożółty, jeśli to nie sprawi kłopotu.

– Jasnożółty – potwierdził Raphaël. – Co dalej?

– Inspektor i ja jesteśmy w łazience za zamkniętymi drzwiami, gliniarze czekają w pokoju. Widzi pan to, szefie?

– No właśnie nie bardzo ogarniam. W takiej łazience jest szafka z lustrem, jakaś druga szafka i tyle. Gdzie mnie chcecie ukryć? W wannie z pianą?

– Na sobie, już panu mówiłam. Znaczą za sobą. Udajemy jedno na stojąco. Wpuszczam ich do łazienki, a sama stoję wstrząśnięta w najdalszym kącie, plecami do ściany. Oni głupi nie są, przeszukują dokładnie łazienkę, zagląдают za drzwi, sprawdzają wodę w wannie. Są tym bardziej zażenowani, że poły szlafroka mam lekko rozchylone. Nie odważą się uważnie popatrzeć na mnie, żeby nie wyjść na niedyskretnych podglądaczy. Dla nich to bardzo krępujące, a dla nas karta atutowa. Po przeszukaniu łazienki wychodzą, żebym mogła się ubrać przy drzwiach znowu zamkniętych. Kiedy jeszcze kręcą się po pokoju, opuszczam łazienkę już ubrana, zostawiając oczywiście drzwi otwarte. A za nimi pana, szefie.

– Komisarzu, nie bardzo rozumiem etap „udajemy jedno” – powiedział Adamsberg.

– Nie ćwiczył pan walki wręcz? Momentu, kiedy napastnik skacze panu na

plecy?

– Nigdy.

– Już panu tłumaczę – rzekła Retancourt, wstając. – Podejźmy do tego bezosobowo. Stojący osobnik. Ja. Wysoki i gruby, to nasza szansa. Drugi osobnik lżejszy i niższy. Pan. Jest pan pod szlafrokiem. Głową i barkami przywiera pan do moich pleców, rękami mocno obejmuje mnie pan w pasie, czyli wciska mi je w brzuch, tak że są niewidoczne. Teraz nogi. Są za moimi, stopy owinięte na moich kostkach. Stoję w rogu łazienki ze skrzyżowanymi rękami, na lekko rozstawionych nogach, żeby obniżyć punkt ciężkości. Rozumie pan?

– Boże drogi, Retancourt, chcecie, żebym wisiał jak mała na waszych plecach?

– Ba, żeby pan wisiał jak śnięta ryba. „Wisieć” to właściwe słowo. Wszystko pójdzie szybko, potrwa maksymalnie ze dwie minuty. Łazienka jest mała, to i szybko ją przeszukają. Nie będą na mnie patrzyli. Ja ani drgnę. Pan też.

– Bez sensu, Retancourt, zobaczą.

– Nie zobaczą. Jestem gruba. Owinięta w szlafrok będę stała w kącie przodem do nich. Żeby się pan nie ześliznął, założę pod szlafrok pas, którego się pan uczepli. Do niego zamocujemy też portfel.

– To za duży ciężar – powiedział Adamsberg, kręcąc głową. – Ważę siedemdziesiąt dwa kilo, zdajecie sobie sprawę? To czyste szaleństwo, nie uda się.

– Uda się, szefie, bo już dwa razy tak zrobiłam. Ukrywałam tak brata, kiedy gliniarze go szukali za to czy tamto. Miał wtedy dziewiętnaście lat, był mniej więcej pańskiego wzrostu i ważył sześćdziesiąt dziewięć kilo. Wkładałam szlafrok ojca, a brat uwieszał się moich pleców. Wytrzymaaliśmy cztery minuty bez ruchu. Mówię to, żeby pana uspokoić.

– Skoro Violette tak twierdzi... – wtrącił Raphaël lekko wystraszony.

– Skoro tak twierdzi... – powtórzył Adamsberg.

– Coś jeszcze musimy sobie wyjaśnić, zanim klepniemy sprawę. Nie możemy sobie pozwolić na szachrowanie, bo będzie kłapa. Pełna wiarygodność to nasza broń. Dlatego w wannie naprawdę będę nago, rozumie się, czyli pod szlafrokiem także. A pan, też rozebrany, naprawdę będzie uczeplony moich pleców. Zgadza się na bokserki, ale na żadne inne ciuchy. Dlatego, że po pierwsze odzież się ślizga, a po drugie szlafrok na niej nie układa się normalnie.

– Nienaturalne fałdy – zauważył Raphaël.

– Właśnie. Nie będziemy ryzykowali. Zdaję sobie sprawę, że to krępujące, ale uważam, że nie pora na wstyd. Co do tego musimy mieć jasność.

– Mnie to nie krępuje... – z wahaniem zaczął Adamsberg. – Jeśli was nie będzie krępowało.

– Wychowałam czterech braci i uważam, że w sytuacjach ekstremalnych skrepowanie to luksus. Mamy sytuację ekstremalną.

– Kurde, Retancourt, ale jeśli nawet wyjdą z waszego pokoju z niczym, nie zrezygnują z obserwacji hotelu. Przetrzęsą go od piwnic po strych.

– Na pewno.

– Tak że obojętne, uwieszony was czy nie, z budynku nie wyjdę.

– On wyjdzie – odparła Retancourt, wskazując Raphaëla. – Znaczy pan jako on. Wyjdzie pan z hotelu o jedenastej w jego garniturze, jego krawacie, jego butach, jego płaszczu. Zaraz po powrocie podstrzygę panu włosy tak jak on ma. Uda się bez problemu. Z daleka niełatwo was odróżnić. A gliniarze znają pana ubranego jak łachmaniarz. Wcześniej, o wpół do jedenastej, widzieli, jak do hotelu wchodził facet w granatowym garniturze. Jeśli wyjdzie o jedenastej, w ogóle nie zwrócą na niego uwagi. A biznesmen, czyli pan, szefie, spokojnie pomaszeruje do samochodu.

Siedzący obok siebie obaj Adamsbergowie słuchali uważnie jak urzeczeni. Adamsberg zaczynał w całej rozciągłości ogarniać plan przedstawiony przez Retancourt, zasadzający się na dwóch normalnie sprzecznych elementach: wielkości i finezji. W połączeniu tworzyły siłę nieprzewidywalną, uderzenie obuchem wymierzone z zegarmistrzowską dokładnością.

– Co dalej? – spytał Adamsberg, który słuchając planu, odzyskał nieco wigoru.

– Wsiada pan do samochodu Raphaëla, zostawia go w Ottawie na rogu North Street i Laurier Avenue. Tam o jedenastej czterdzieści wsiada pan do autobusu do Montrealu. Prawdziwy Raphaël wyjedzie dużo później, wieczorem albo następnego dnia rano. Gliniarze już nie będą obserwowali hotelu. Raphaël zabierze samochód i wróci do Detroit.

– Czemu tego nie uprościć? – zaproponował Adamsberg. – Raphaël przyjeżdża, zanim Laliberté zadzwoni, ja się przebieram w jego ciuchy i jego samochodem odjeżdżam, zanim zostanie wszczęty alarm. A on zaraz po mnie autobusem. Oszczędzamy sobie całego łazienkowego ryzyka. Kiedy policja się zjawi, nikogo już nie będzie, ani jego, ani mnie.

– Z wyjątkiem jego nazwiska w rejestrze hotelowym albo odnotowanej wizyty, jeżeli przedstawi się jako odwiedzający gościa. Komplikujemy nie dla przyjemności, szefie, tylko żeby nie wpakować Raphaëla w kłopoty. Jeśli przyjedzie przed stwierdzeniem pańskiej ucieczki, na pewno zostanie zauważony. Gliniarze przesłuchają recepcjonistę i dowiedzą się, że niejaki Raphaël Adamsberg zjawił się z rana w hotelu i zaraz z niego wyszedł. Albo że ktoś pana odwiedził w pokoju. To nie byle co. Raz-dwa się domyślą, że przebrał się pan za brata, i Raphaëla dopadną w Detroit z zarzutem współudziału w ucieczce. Za to jeżeli

przyjedzie już po przeszukaniu pokojów i stwierdzeniu pańskiej ucieczki, przemknie niepostrzeżenie wśród innych gości i nikt o nic nie będzie mógł go oskarżyć. W najgorszym razie, jeśli policja później natrafi na jego nazwisko, będzie mogła mu zarzucić, że przyjechał odwiedzić brata, z którym się minął, co nie jest karalne.

Adamsberg z uwagą przyjrzał się Retancourt.

– Jasne – powiedział. – Raphaël musi przyjechać później, powinienem być o tym pomyśleć. Jestem mimo wszystko gliniarzem. Nie potrafię już myśleć racjonalnie?

– Po gliniarsku nie – odparła łagodnie Retancourt. – Reaguje pan jak ścigany przestępca, nie jak policjant. Chwilowo jest pan po innej stronie, po stronie tych w gorszym położeniu, którym słońce świeci w oczy. To się zmieni po powrocie do Paryża.

Adamsberg przytaknął. Ścigany przestępca, odruchy uciekiniera, brak całościowego spojrzenia i zgrania szczegółów.

– A wy, Retancourt? Kiedy wy się stamtąd wyniesiecie?

– Kiedy skończą przeszukiwać okolicę i zrozumieją, co się stało. Wycofają wtedy patrole, będą pana szukali na drogach i lotniskach. Dołączę do pana w Montrealu, jak tylko zabiorą się z hotelu.

– Gdzie?

– U takiego jednego kumpla. Nie mam talentu do przelotnych związków, ale w każdym porcie mam przyjaciół. Z jednej strony dlatego, że lubię, z drugiej dlatego, że to się może kiedyś przydać. Basile na pewno nas przechowa.

– Świetnie – mruknął Raphaël. – Znakomicie.

– Raphaëlu – powiedziała Retancourt, wstając – mógłbyś mi użyczyć pokoju? Chcę się przespać. Czeka nas jazda całą noc.

– Ty też się prześpij – rzekł Raphaël do brata. – Ja tymczasem pójdę po szlafrok.

Retancourt na kartce zapisała mu wymiary.

– Nie sądzę, żeby ci dwaj, którzy za nami przyjechali, śledzili cię teraz – powiedziała. – Będą tkwili przed blokiem. Ale kup też jakieś jedzenie, chleb, warzywa. Tak będzie bardziej przekonująco.

Leżąc na łóżku brata, Adamsberg nie mógł zasnąć. Dręczyła go tamta noc 26 października, była jak ból fizyczny. Pijany na przenosce, wściekły na Noëllę i na cały świat. Na Danglarda, na Camille, na świeżo upieczonego tatusia, na Fulgence'a... Istne kłębowisko nienawiści, nad którą nie panuje, i to już od

jakiegoś czasu. Wycinka. Oczywiście trójzab. Czym wygodniej karczować drzewa? Widział go, kiedy rozmawiał ze strażnikiem albo szedł przez las. Wiedział, że tam jest. Pijany w sztok pałęta się po nocy zżerany obsesją sędziego i potrzebą odnalezienia brata. Zauważa Noëllę czyhającą na niego jak sęp. Kłębowisko nienawiści eksploduje, otwiera się droga do brata, sędzia wchodzi w jego skórę. Chwyta za narzędzie. Jest ktoś jeszcze na pustej przenosce? Ogłusza dziewczynę. Zdiera z niej ten skórzany pasek, który utrudnia mu dostęp do jej brzucha. Rzuca go w liście. I zabija jednym ciosem trójzębu. Kruszy lód na jezioroku, opuszcza dziewczynę do wody, za nią wrzuca kamienie. Robi dokładnie to, co zrobił trzydzieści lat wcześniej, kiedy w sadzawce Torque ukrywał przecinak Raphaëla. Powtarza te same gesty. Trójzab ciska do Outaouais, z angielska Ottawy, która unosi go z nurtem do Rzeki Świętego Wawrzyńca. Potem błąka się po lesie, idzie, upada, pogrąża się w nieświadomości i pragnieniu zapomnienia. Kiedy przytomnieje, wszystko już spoczywa w niedostępnych zakamarkach pamięci.

Adamsbergowi zrobiło się tak zimno, że naciągnął na siebie kołdrę. Uciec. Ciało w ciało. Przywrzeć nago do skóry tej kobiety. Ekstremalne warunki. Uciec i żyć jako ścigany morderca, bo może nim jest.

Zmień stronę, zmień punkt widzenia. Stań się na powrót gliniarzem, na kilka sekund. Jedno z pytań, które zadał w rozmowie z Retancourt, zapomniane na fali katastrofalnych informacji z zielonej teczki, wypłynęło teraz na wierzch. Jak Laliberté dowiedział się o jego amnezji tamtej nocy? Ktoś mu to wyjawiał. A zwierzył się z tego jednemu Danglardowi. I kto mógł podsunąć nadintendentowi, że jego poszukiwanie sędziego ma charakter obsesji? Tylko Danglard wiedział, jaki wpływ Fulgence wywarł na jego życie. Danglard, który od roku szedł z nim na udry, występując w obronie Camille. Danglard, który opowiedział się po jej stronie, a jego zwymyślał. Adamsberg zamknął oczy i zasłonił twarz zgiętymi ramionami. Nieskalany Adrien Danglard. Jego prawy wierny partner.

O szóstej po południu Raphaël wszedł do pokoju. Przez chwilę patrzył na śpiącego brata, na jego twarz, dzięki której wracało do niego dzieciństwo. Usiadł na łóżku i lekko potrząsnął go za ramię.

Inspektor poderwał się, opierając się na łokciu.

– Pora się zbierać, Jean-Baptiste.

– Pora uciekać – powiedział Adamsberg, siadając i po omacku szukając butów.

– To przeze mnie – rzekł Raphaël po chwili milczenia. – Rozwaliłem ci życie.

– Nie gadaj takich rzeczy. Niczego nie rozwaliłeś.

– Rozwaliłem.

– Wcale nie. I dołączyłeś do mnie w sadzawce Torque.

Adamsberg powoli zasznurował jeden but.

– Myślisz, że to możliwe? – zapytał. – Myślisz, że ją zabiłem?

– A ty? Myślisz, że ja ją zabiłem?

Adamsberg popatrzył na brata.

– Nie zdołałbyś zadać trzech ciosów w jednej linii.

– Pamiętasz, jaka śliczna była Lise? Taka lekka i namiętna jak wiatr.

– Tyle że ja nie kochałem Noëlli. I miałem trójzęb. Dlatego to możliwe.

– Tylko możliwe.

– Możliwe czy bardzo możliwe? Bardzo możliwe czy całkiem prawdopodobne?

Raphaël oparł brodę na rękę.

– Moja odpowiedź jest twoją odpowiedzią – rzekł.

Adamsberg zawiązał drugi but.

– Pamiętasz, jak kiedyś komar wpadł ci do ucha i siedział dwie godziny?

– Tak. – Raphaël się uśmiechnął. – Myślałem, że oszaleję od tego bzyczenia.

– Baliśmy się, że naprawdę oszalejesz, zanim komar padnie. Zaciemniliśmy kompletnie dom, a ja trzymałem świeczkę tuż przy twoim uchu. Na taki pomysł wpadł ksiądz Grégoire: „Będziemy cię egzorcyzmować, chłopcze”. Ech, te księzowskie żarty... Pamiętasz? I komar wyszedł wtedy z kanału usznego do światła. I spalił sobie skrzydła z takim cichutkim szmerem. Pamiętasz ten szmer?

– No. Grégoire powiedział: „Diabeł skwierczy w ogniu piekielnym”. Taaa, te jego żarty...

Adamsberg wziął sweter i kurtkę.

– Myślisz, że to możliwe, bardzo możliwe? – podjął. – Że małym płomykiem da się wywabić naszego demona z kanału?

– Jeśli siedzi w naszym uchu.

– Siedzi, Raphaëlu.

– Wiem. Słyszę go w nocy.

Adamsberg włożył kurtkę i usiadł obok brata.

– Sądzisz, że go wywabimy?

– Jeżeli tylko istnieje. Jeżeli my nim nie jesteśmy.

– Tylko dwie osoby w to wierzą. Pewien niezbyt lotny sierżant i lekko niezrównowazona staruszka.

– I Violette.

– Nie wiem, czy Retancourt pomaga mi z obowiązku czy z przekonania.

– Nieważne, rób, co ona mówi. To wspaniała kobieta.

– W jakim sensie? Uważasz, że jest ładna? – zdziwił się Adamsberg.

– Ładna też, tak, pewnie.

– A jej plan? Uważasz, że może się udać?

Kiedy szeptał te słowa, odnosił wrażenie, że wrócił do szczenięcych lat, gdy w załomie skały obmyślali z bratem psoty. Kto głębiej się zanurzy w sadzawce Torque, zemstę na chytrej sklepikarce, wycięcie rogów na drzwiach sędziego, jak wymknąć się w nocy z domu, nie budząc nikogo.

Raphaël się zawahał.

– Jeżeli Violette cię udźwignie.

Bracia uścisnęli sobie ręce, splatając kciuki, tak jak robili w dzieciństwie, nim zanurkowali w sadzawce Torque.

XXXVI

Adamsberg i Retancourt zmieniali się za kierownicą w drodze powrotnej, za nimi cały czas się ciągnął samochód Lafrance'a i Ladouceura. Kiedy dojeżdżali do Gatineau, inspektor obudził Retancourt. Pozwolił jej spać dłużej, tak bardzo się obawiał, by nie zachwiała się pod jego ciężarem.

– A ten Basile... – powiedział. – Macie pewność, że mnie przyjmie? Przyjadę pierwszy, sam.

– Dam mu znać. Powie mu pan, że jest moim szefem i że ja pana przysyłam. Od niego zadzwonimy do Danglarda, żeby jak najszybciej załatwił fałszywe papiery.

– Do Danglarda nie. Nie kontaktujcie się z nim pod żadnym pretekstem.

– Dlaczego nie?

– Nikt inny nie wiedział, że miałem zanik pamięci.

– Danglard to najwierniejszy z wiernych – rzekła Retancourt wstrząśnięta. – Jest panu bardzo oddany, nie miałby powodu, żeby denuncjować pana Lalibertému.

– Miałby. Od roku ma do mnie pretensje. Jak duże, nie wiem.

– W związku z tą różnicą poglądów? Na temat Camille?

– Skąd o tym wiecie?

– Z szeptów w Plotkarni. To pomieszczenie to istna wylęgarnia, wszystko się tam rodzi, wszystko dojrzewa. Czasami także dobre pomysły. Ale Danglard nie szepcze. Jest lojalny – mówiła komisarz ze zmarszczoną brwią.

– No nie wiem – skwitował Adamsberg. – Lepiej do niego nie dzwońcie.

O siódmej czterdzieści pięć pokój Adamsberga w hotelu był już opróżniony, Retancourt obcinała włosy inspektorowi siedzącemu w samych bokserkach i z dwoma zegarkami na ręce. Każdy kosmyk skrupulatnie wrzucała do muszli, by nie zostawić żadnego śladu postrzyżyn.

– Skąd umiecie strzyc włosy?

– Nauczyłam się u fryzjera, zanim poszłam na kurs masażu.

Ta kobieta miała chyba kilka żywotów, pomyślał Adamsberg. Pozwalał jej obracać swoją głową na wszystkie strony, kojąco działały na niego delikatne ruchy Retancourt i regularny szmer nożyczek. Dziesięć po ósmej kazała mu stanąć przed lustrem.

– Fryzura identyczna jak jego, prawda? – spytała z zadowoleniem dziewczyny, która zdała właśnie egzamin.

Była identyczna. Raphaël nosił włosy krótsze niż on i zaczesane gładko do tyłu. Adamsberg stwierdził, że wygląda teraz inaczej, surowiej i godniej. Tak, gdy pod krawatem będzie miał do przejścia odcinek długości kilku metrów, nie ma siły, policjanci się nie połapią. Zwłaszcza że o jedenastej będą już przekonani, że dawno wymknął im się z rąk.

– Łatwo poszło – powiedziała Retancourt wciąż uśmiechnięta, na pozór zupełnie się nie przejmując bliską już operacją Ucieczka.

Dziesięć po dziewiątej podwładna Adamsberga w absolutnej ciszy siedziała w wannie pełnej wody, a on tkwił rozplaszczony za otwartymi drzwiami łazienki.

Po jakimś czasie pomalutku podniósł rękę, by zerknąć na zegarki. Dziewiąta dwadzieścia cztery i pół. Trzy minuty później do pokoju wpadła policja. Retancourt kazała mu oddychać powoli, oddychał zatem powoli.

Zgodnie z przewidywaniami gliniarze cofnęli się od otwartych drzwi łazienki pod nawałą gromów rzucanych przez Retancourt. Komisarz zatrzasnęła im drzwi przed nosem i dwadzieścia sekund później już miała pod szlafrokiem Adamsberga przyklejonego do pleców jak śnięta ryba. Ze złością krzyknęła, że można wejść i skończyć z tym, jak rany. Adamsberg z policzkiem przyciśniętym do jej mokrej skóry mocno obejmował ją w talii, przytrzymując się paska, stopami nie dotykał podłogi. Przewidywał, że ledwie oderwie nogi od ziemi, ociekająca wodą komisarz ugnie się pod jego ciężarem, lecz nic takiego się nie stało. Zapowiadany przez Retancourt efekt kolumny sprawdzał się w stu procentach. Adamsberg czuł, że utrzymuje go pewnie niczym pień klonu. Nawet się nie zachwiała, nie próbowała oprzeć o ścianę. Stała wyprostowana, z rękami skrzyżowanymi na szlafroku, nie drgnął jej ani jeden mięsień. Poczucie niewzruszonej masywności zdumiało Adamsberga i uspokoiło go nagle. Odnosił wrażenie, że i godzinę mógłby tak bez przeszkód wytrwać wygodnie przytulony do niej. Przez tę chwilę, gdy przenikało go to doznanie, gliniarz skończył przeszukiwanie łazienki i wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Retancourt raz-dwa się ubrała, po czym poszła do pokoju, niestrudzenie obsobaczając trzech funkcjonariuszy, że tak bezceremonialnie przeszkadzili jej w kąpieli.

– Pukaliśmy przed wejściem – powiedział nieznany Adamsbergowi głos.

– Nic nie słyszałam! – wydzierała się Retancourt. – I przestańcie rozrzucać moje rzeczy. Mówię przecież, że inspektor dał mi wolne. Dziś chciał być sam z waszym szefem.

- Która była godzina, kiedy ci to powiedział?
- Jak zajechaliśmy pod hotel, koło siódmej. Teraz jest na pewno u Lalibertégo.
- Krucafiks! Nie ma go w GRC! Twój szef wziął nogi za pas!

Rozpłaszczony na ścianie za drzwiami Adamsberg zrozumiał, że teraz Retancourt okazuje milczące zdziwienie i szok.

- Miał być na spotkaniu o dziewiątej – oświadczyła. – To wiem.
- Przebóg, nie ma go! Wystawił nas rufą do wiatru i odpłynął w siną dal!
- Nie, nie zostawiłby mnie tutaj. Zawsze pracujemy w parze.
- Przejrzyj na oczy, komisarzu. Twój sakramencki szef ma diabła za skórą i zrobił cię w bambuko.

– Nie rozumiem – upierała się nabzdyczona Retancourt.

Ktoś inny – chyba Philippe-Auguste, uznał Adamsberg – wtrącił:

- Ani widu, ani słyhu.
- Nigdzie – potwierdził trzeci głos, oschły, Portelance’a.
- Nie bój nic – rzekł na to pierwszy. – Jak go dopadniemy, będzie miał się z pyszna. No chłopaki, jazda, przeszukujemy hotel.

I wszyscy wyszli za drzwi, raz jeszcze przepraszając za niegrzeczne wtargnięcie.

O jedenastej w popielatym garniturze, białej koszuli, pod krawatem Adamsberg spokojnym krokiem zmierzał do samochodu brata. Dokoła gliniarze biegali we wszystkie strony, lecz nie obdarzył ich nawet jednym spojrzeniem. O jedenastej czterdzieści jego autobus odjeżdżał z Ottawy do Montrealu. Retancourt kazała mu wysiąść na przedostatnim przystanku. W kieszeni miał tylko adres Basile’a i liścik od niej.

Zapatrzony na drzewa przesuwające się wzdłuż drogi, rozmyślał o tym, że nigdy nie czuł się tak pewnie i bezpiecznie jak uwieszony białego ciała Retancourt. Ta kryjówka była nawet lepsza od załomu skały, w którym chronił się jego cioteczny dziadek. Jak ona dała radę? Było to dla niego totalną tajemnicą. Której nawet cała chemia Voiseneta nigdy nie zdoła wyjaśnić.

XXXVII

Louisseize i Sanscartier bez przekonania stawili się z raportem w biurze Lalibertégo.

– Szefa o mało nie rozsadzi – szepnęła Louisseize.

– Bluźni jak diabli od samego rana – przytaknął Sanscartier z uśmiechem.

– To cię bawi?

– Bawi mnie to, Berthe, że Adamsberg zażył nas z mańki. Oszkapił Lalibertégo na cacy.

– Mnie tam nie przeszkadza, że się natrząsas, ale chwilowo nam się oberwie po uszach.

– To nie nasza wina, Berthe, nasza robota była *the best*. Chcesz, żebym ja mówił? Ja się go nie boję.

Stojąc w swoim biurze, Laliberté kończył wydawać rozkazy: rozesłanie zdjęcia podejrzanego, zapory na drogach, kontrola na wszystkich lotniskach.

– I co? – ryknął, odkładając słuchawkę. – Jaki macie wynik?

– Przeszukaliśmy cały park, szefie – odparł Sanscartier. – I nic. Może poszedł się przejść i miał wypadek. Mógł spotkać niedźwiedzia.

Nadintendent obrócił się na pięcie do sierżanta.

– Kompletnie ci rozum odebrało, Sanscartier! Jeszcze nie zrozumiał, że dał dyla?

– Pewności nie ma. Zamierzał przyjść. Obiecał, załatwił, że przysłali nam akta tego sędziego.

Laliberté walnął pięścią w stół.

– Ta jego historia jest funta kłaków warta! Luknij na to. – Podał Sanscartierowi kartkę. – Już szesnaście lat, jak ten jego morderca nie żyje!

Sanscartier bez zdziwienia zapoznał się z datą śmierci sędziego i pokiwał głową.

– Może sędzia ma naśladowcę – podsunął łagodnie. – Trzymała się kupy ta historia z trójzębem.

– Ta jego historia ma brodę jak stąd na antypody. Zrobił nas w balona i tyle!

– Mnie się zdaje, że nie kłamał.

– Tym gorzej, jeśli nie zasunął bajeru. Znaczy, że sfiksował i gorzałka

przepaliła mu mózg.

– Mnie się zdaje, że nie sfiksował.

– Bujać to my, a nie nas, Sanscartier. Jego historia nie trzyma się kupy ani dupy, to wszystko pobożne życzenia.

– Ale przecież tych morderstw sobie nie wymyślił.

– Sierzancie, od paru dni coś mi bałamutnie wyglądasz – rzekł Laliberté, rozkazując mu usiąść – a moja cierpliwość jest na wyczerpaniu. Więc posłuchaj i wysil mózgownicę, żeby myślała logicznie. Tamtego wieczoru Adamsberg miał piekielnego doła, zgadza się? Tyle wyzłoapał, że urznął się w trupa. Jak wyszedł ze Śluzy, rzucało nim od krawężnika do krawężnika, język mu się plątał. Tak zeznał barman, zgadza się?

– Zgadza.

– I był agresywny. „Niech tylko byki się zbliżą, a wraz cię nadzieję!” Nadzieję cię, Sanscartier, nic ci to nie przypomina? W sensie narzędzia?

Sanscartier przytaknął.

– Prowadzał się z tą dziunią. A dziunia chodziła na przenoskę. Zgadza się?

– Zgadza.

– Może ona go przyparła do muru, może on był zazdrosny jak gołąb w okresie godowym i nerwy mu puściły. Możliwe?

– Tak – przyznał Sanscartier.

– Albo jeszcze, i ja bym za tym optował, zaczęła mu coś wciskać, szantażowała go, wmawiała, że zmaistrował jej dzieciaka. Może chciała go zaciągnąć do ołtarza. I się porobiło. On wcale nie walnął się o gałąź, Sanscartier, tylko walczył z nią.

– W sumie nie wiadomo, czy w ogóle ją spotkał.

– Co ci znowu chodzi po głowie?

– Tylko mówię, że nie mamy dowodów.

– Mam po dziurki w nosie twoich wąków, Sanscartier. Dowodów jest do rzrygania! Choćby jego odciski na pasku!

– Może zostawił je wcześniej? Skoro ją znał...

– Uszu nie masz, sierzancie? Pasek dopiero co sobie kupiła! A on się natknął na dziewczynę na przenosce. I nagle aż poszczał się ze strachu i utłukł ją.

– To wszystko rozumiem, szefie, ale jakoś nie chce mi się wierzyć. Nie widzi mi się Adamsberg jako morderca.

– Nie dobieraj sobie tak do głowy. Znasz go raptem dwa tygodnie i co o nim wiesz? Nic. To fałszywy sukinkot. Zabił ją jak nic, mówię ci. Coś mu się z głową porobiło, bo w ogóle nie czuje, co robił tamtej nocy. Wymazał wszystko z pamięci. Zgadza się?

– Tak – rzekł Sanscartier.

– No. Macie złapać mi tego gagatka. Stawajcie na głowie, żaden nie pójdzie do domu, póki nie zobaczę Adamsberga w pudle.

XXXVIII

Dla Basile'a przyjęcie umordowanego osobnika bez bagaży nie było niczym niezwykłym, skoro ów człowiek dysponował poleceniem Violette, które miało moc glejtu rządowego.

– Tu ci będzie pasowało? – zapytał, otwierając drzwi małego pokoiku.

– Tak. Wielkie dzięki, Basile.

– Chodź, przekąsisz coś, zanim się położysz. Ale ta Violette to dopiero kobita, nie?

– Bogini Ziemi można powiedzieć.

– I tak bez niczego wykiwała gliniarzy z Gatineau? – dopytywał rozbawiony Basile.

A zatem wiedział z grubsza w czym rzecz. Był niewysokim rumianym człowieczkiem o oczach powiększonych przez okulary w różowej oprawce.

– Możesz opowiedzieć, co wymyśliła?

Adamsberg w dwóch słowach zrelacjonował mu przebieg całej operacji.

– Nie, nie – zaprotestował Basile, przynosząc kanapki. – Nie streszczaj. Opowiedz ze szczegółami.

Adamsberg przedstawił zatem detalicznie cały pomysł Retancourt, od jej pomysłu na niewidzialność w GRC po pomysł z kolumną. Co dla niego było katastrofą, sprawiało ogromną uciechę Basile'owi.

– Nie pojmuję tylko – rzekł Adamsberg na zakończenie – jak ustała na nogach. Ważę siedemdziesiąt dwa kilo.

– Musisz zrozumieć, że Violette ma możliwości że ho, ho! Przemienia swoją energię, w co tylko chce.

– Wiem. To moja podwładna.

Była podwładna, pomyślał, idąc do pokoju. Bo nawet jeżeli uda mu się przebyć Atlantycką, już więcej nie usiądzie w brygadzie z nogami na stole. Poszukiwany przestępca, ukrywający się zbieg. Później, nakazał sobie posortować próbki, pociąć na cieniutkie paski, powkładać je po kolei do komórek na płytce.

Retancourt dotarła do nich około dwudziestej pierwszej. Rozentuzjasmowany Basile czekał z przygotowanym dla niej pokojem i kolacją, posłusznie wykonywał jej polecenia. Dostarczył Adamsbergowi ubranie, golarkę, przybory toaletowe

i wszystko co trzeba, aby wytrzymać tydzień.

– Łatwizna – powiedziała Retancourt do Adamsberga, jedząc naleśniki z syropem klonowym upichcone przez Basile’a.

Co przypomniało Adamsbergowi, że wciąż nie kupił syropu dla Clémentine. To był rodzaj *mission impossible*.

– Gliniarze przyszli do mnie drugi raz po południu, koło trzeciej. Czytałam w łóżku strasznie niespokojna, przekonana, że miał pan jakiś wypadek. Ot, komisarz, który zamartwia się o szefa. Biedna Ginette, tak się przejęła. Sanscartier był z nimi.

– Jak się zachowywał? – żywo spytał Adamsberg.

– Był zmartwiony. Wydało mi się, że lubi pana.

– Z wzajemnością – rzekł Adamsberg, który wyobraził sobie, jakie katusze przeżywał sierżant, kiedy się dowiedział, że jego nowy przyjaciel jakby nigdy nic nadział na trójzab dziewczynę.

– Zmartwiony i niezbyt przekonany – uściśliła Retancourt.

– W GRC niektórzy mają go za głupka. Portelance mówi, że ma sieczkę w głowie.

– O, to bardzo się myli.

– Sanscartier nie zgadzał się z kolegami?

– Na to wyglądało. Nie pchał się do roboty, jakby nie chciał sobie brudzić rąk. Uczestniczył w tym. Pachniał słodkimi migdałami.

Adamsberg podziękował za dokładkę naleśników. Myśl, że Sanscartier Dobry, wypachniony mleczkiem migdałowym, nie spisał go na straty, dodała mu odrobinę otuchy.

– Z tego co dosłyszałam z korytarza, Laliberté wpadł w szewską pasję. Odwołali obserwację dwie godziny później i opróżnili park. Spokojnie się wydostałam. Samochód Raphaëla stał już na parkingu. Przemknął się między oczkami sieci. Przystojniak z pańskiego brata.

– Tak.

– Możemy mówić przy Basile’u – ciągnęła Retancourt, nalewając wina. – Jeśli chodzi o dokumenty, nie chce pan Danglarda. Niech będzie. Ma pan jakiegoś fałszerza w Paryżu?

– Znam paru byłych, ale nie postawiłbym na nich złamanego grosza. Żadnemu nie ufam.

– Ja mam tylko jednego, za to pewnego. Można na nim polegać. Tylko jeśli zdamy się na niego, muszę mieć pewność, że mu pan nie zaszkodzi. Że nie będzie mnie pan wypytywał o niego, że nigdy w tym kontekście nie padnie moje nazwisko, nawet jeżeli Brézillon pana dorwie i przesłucha.

- To się rozumie samo przez się.
- Poza tym on się ustatkował. Zajmował się tym swego czasu, ale teraz wraca do fachu, tylko jeśli ja go poproszę.
- To wasz brat? – zapytał Adamsberg. – Ten spod szlafroka?
- Retancourt odstawiła kieliszek z winem.
- Skąd pan wie?
- Poznałem po waszym niepokoju. I po tym, że tyle mówiliście o nim.
- Wraca pan w skórę gliniarza, inspektorze.
- Czasami. Jak szybko się uwinie?
- W dwa dni. Jutro załatwimy sobie nowy wygląd i zdjęcia do dokumentów. Prześlemy mu skany. Jak przysiądzie, paszporty będą na czwartek. Można liczyć, że pocztą kurierską dostaniemy je w przyszły wtorek i tego samego dnia możemy lecieć. Basile kupi nam bilety. Na dwa różne rejsy, Basile.
- Tak, tak – potwierdził Basile. – Szukają pary, lepiej będzie się rozdzielić.
- Zwrócimy ci co do grosza z Paryża. Teraz zajmiesz się wszystkim, jak matka rozbójników.
- Nie ma mowy, żebyście obecnie wystawiali nos za drzwi – przytaknął Basile.
- Nie możecie też płacić kartą. Od jutra zdjęcie inspektora będzie w „Le Devoir”. Twoje też, Violette. Odkąd wyniosłaś się z hotelu bez pożegnania, notowania masz nie najlepsze.
- Siedem dni w zamknięciu – policzył Adamsberg.
- Nie ma co lamentować – powiedział Basile. – Tu jest wszystko, żeby zabijać czas. No i będziemy czytać gazety. Będą o nas pisali, fajna rozrywka.
- Basile nie dramatyzował, nie był poruszony nawet tym, że ukrywa u siebie potencjalnego mordercę. Słowo Violette było dla niego rozkazem.
- Lubię chodzić – wyjaśnił Adamsberg z uśmiechem.
- Tu jest długi korytarz, połazicie sobie po nim. Violette, co do twojego nowego wyglądu, widziałbym cię jako zblazowaną przedstawicielkę klasy średniej. Pasowałoby ci? Jutro z rana przelecę się po sklepach. Wezmę ci kostium, naszyjnik, no i ciemną farbę do włosów.
- Może być, tak mi się zdaje. A dla inspektora myślałam o sporej łysinie, takiej na trzy czwarte głowy.
- O, super – zgodził się Basile. – Będziesz wyglądał jak mężczyzna. Garnitur w beżowo-brązową drobną kratkę, łysina i trochę brzuszka.
- Posiwałe włosy – dodała Retancourt. – Kup też jasny podkład na twarz, chciałabym mu rozjaśnić cerę. I cytryny kup. Produkty muszą być wysokiej jakości, profesjonalne.
- Kolega, który prowadzi rubrykę kinową, to fajny chum. Zna jak własną

kieszon dostawców do studiów filmowych. Załatwię wszystko jutro. I zrobię zdjęcia w laboratorium.

– Basile jest fotografem – wyjaśniła Retancourt. – Pracuje dla „Le Devoir”.

– Dziennikarz?

– Tak – powiedział Basile, klepiąc go po ramieniu. – I sensacja siedzi przy moim stole. To co, wpadłeś w gniazdo os, hę? Nie boisz się?

– Ryzyko jest – przyznał Adamsberg z lekkim uśmiechem.

Basile zaśmiał się serdecznie.

– Umiem trzymać dziób zamknięty, inspektorze. I jestem mniej niebezpieczny niż ty.

XXXIV

W ciągu tygodnia Adamsberg przeszedł jakieś dziesięć kilometrów na korytarzu u Basile'a i po tak długim zamknięciu o mało nie zaczął z lubością spacerować na lotnisku w Montrealu. Roilo się tam jednak od policji, co skutecznie zniechęciło go do tej formy rozrywki.

Przejrzał się z profilu w szybie, werfikując wiarygodność swojej powierzchowności jako przedstawiciela handlowego około sześćdziesiątki. Retancourt wspaniale go odmieniła, a on jak lalka pozwalał jej na wszystko. Jego przeobrażenie bardzo bawiło Basile'a. „Zrób tak, żeby wyglądał smutno”, poradził Violette. I tak uczyniła. Spojrzenie miał teraz zupełnie inne spod przerzedzonych posiwiałych brwi. Retancourt w swej perfekcji posunęła się nawet do rozjaśnienia mu rzęs, a pół godziny przed wyjściem zaaplikowała mu soku z cytryny do oczu. Z zaczerwienionymi białkami i bladą cerą wyglądał na zmęczonego, niezdrowo. Niemniej ust, nosa, uszu nie dało się zmienić – wydawało mu się, że wszystkim wokoło obwieszczają, kim naprawdę jest.

Nowe dokumenty trzymał w kieszeni, co rusz sprawdzając, czy na pewno tam są. Jean-Pierre Émile Roger Feuillet – takie nazwisko przydzielił mu brat Violette w znakomicie podrobionym paszporcie. Łącznie z pieczętkami z lotnisk w Roissy i w Montrealu potwierdzających, że odbył podróż w przeciwnym kierunku. Znakomita robota. Jeśli brat był równie utalentowany jak siostra, Adamsberg miał do czynienia z rodziną wysokiej klasy specjalistów.

Prawdziwe jego dokumenty zostały u Basile'a, na wypadek gdyby rewidowano bagaże. Kapitalny chum z tego Basile'a, co dzień sumiennie dostarczał mu prasę. Krzykliwe artykuły na temat zbiegłego mordercy i jego współpracownicy wprawiały go w doskonały humor. W dodatku taki troskliwy. Żeby Adamsberg nie czuł się zbyt osamotniony, często mu towarzyszył w korytarzowych przechadzkach. Jako piechur naturalista, rozumiał, że jego więzień „ma mrówki w nogach”. Gawędzili, chodząc tam i z powrotem, tak że po tygodniu Adamsberg wiedział prawie wszystko o sercowych przeżyciach Basile'a, znał także geografię Kanady od Vancouver po półwysep Gaspésie. Ale i on mógł się popisać, Basile bowiem nigdy nie słyszał o rybie z kolcami z jeziora Pink i zapowiedział, że wybierze się kiedyś ją odwiedzić. Katedrę w Strasburgu też, jeśli kiedyś znajdziesz się we Francji, dodał Adamsberg.

Przeszedł przez wszystkie kontrole, starając się oczyścić umysł z myśli, jak by zrobił Jean-Pierre Émile Roger Feuillet udający się do Paryża, by szukać tam odbiorców syropu klonowego. Co dziwne, odnosił wrażenie, że z owej wrodzonej umiejętności, w zwyczajnych okolicznościach pozwalającej osiągać cel może nawet zbyt łatwo, tego dnia szczególnie trudno mu korzystać. Normalnie z byle powodu popadał w rozmarzenie, umykały mu całe fragmenty rozmowy, szuflował chmury do znużenia, a tym razem na lotniskowych bramkach oddech miał płytki i w głowie kłębowisko bardzo realnych myśli.

Jednakże Jean-Pierre Émile Roger Feuillet w ogóle nie interesował strażników, dlatego znalazłszy się w strefie odlotów, Adamsberg zmusił się do rozluźnienia i z rozpędu kupił nawet butelkę syropu klonowego. Co było charakterystyczne dla Jeana-Pierre'a Émile'a Rogera Feuilleta – prezent dla matki. Ryk silników odrzutowych i oderwanie się maszyny od ziemi zafundowały mu takie odprężenie, o jakim Danglard nie mógłby nawet marzyć. Patrząc, jak ziemia kanadyjska oddala się od niego, wyobrażał sobie biegających po niej we wszystkich kierunkach speszonych gliniarzy.

Pozostały mu jeszcze do przejścia kontrole w Roissy. I pozostawała Retancourt, która przez te same kontrole przejdzie za dwie i pół godziny. Adamsberg martwił się o nią. Jej nowa powierzchowność bogatej znużonej kobiety zaskakująco ją odmieniła – i również bardzo rozbawiła Basile'a – Adamsberg obawiał się jednak, żeby nie zdradziła jej postura. Przed oczami przemknął mu widok jej nagiego ciała. Imponujących rozmiarów, to prawda, ale i harmonijnie zbudowanego. Raphaël miał słuszość: Retancourt to piękna kobieta. Adamsberg robił sobie wyrzuty, że nigdy tak o niej nie pomyślał pod pretekstem jej niższej szarży i wigoru. Raphaël zawsze był delikatniejszy od niego.

Za siedem godzin, z rana, koła dotkną w Roissy francuskiej ziemi. Przejdzie przez odprawę i chwilowo poczuje się żywy, wolny. Nie, błąd w założeniu. Koszmar będzie trwał, tyle że na innym terenie. Przyszłość jawiła mu się pusta i biała niczym dryfujące pole lodowe. Retancourt przynajmniej będzie mogła normalnie wrócić do pracy, argumentując, że bała się, iż Kanadyjczycy ją zatrzymają jako współwinną. Dla niego jednak zaczynała się nicość. I dla towarzystwa miał tylko gorzkie wątpliwości co do swoich zapomnianych czynów. Niewiele brakowało, a wolałby naprawdę zabić, niż dźwigać straszny ciężar tamtej nocy 26 października.

Jean-Pierre Émile Roger bez przeszkód przeszedł przez kontrole na Roissy, lecz Adamsberg nie mógł się zdecydować na opuszczenie lotniska, nie wiedząc, czy

Retancourt dotarła do właściwego portu. Przez dwie godziny łąził z hali do hali, starając się nie rzucać w oczy, naśladowując niewidzialność, z której korzystała Retancourt w GRC. Ale najwyraźniej Jean-Pierre Émile tu także, podobnie jak w Montrealu, nikogo nie obchodził. Co rusz przystawał pod tablicami informacyjnymi przylotów, wypatrując ewentualnego opóźnienia transkontynentalnych samolotów szerokokadłubowych. Samoloty szerokokadłubowe, powtarzał sobie. Jego szeroka Retancourt. Bez której gniłby dzisiaj zamknięty w kanadyjskich kazamatach, przegrany, spalony. Retancourt, jego szerokokadłubowa nosicielka i zbawczyni.

Niepozorny Jean-Pierre Émile ustawił się bez specjalnego niepokoju jakieś dwadzieścia metrów od wyjścia z hali przylotów. Retancourt musiała przemienić całą swoją energię we wcielenie się w osobę Henriette Emmy Marie Parillon. Coraz mocniej zaciskał palce, w miarę jak pasażerowie lotu wychodzili, a on nie widział nigdzie swojej komisarz. Zatrzymana w Montrealu? Odstawiona przez policję do GRC? Maglowana przez całą noc? Może pękła? I wydała Raphaëla? A także własnego brata? Adamsberga w końcu zaczął ogarniać gniew na tych wszystkich obcych ludzi, którzy przechodzili przed nim szczęśliwi, że mają podróż za sobą, w bagażach dźwigając syrop klonowy i pluszowe karibu. Złościł się na nich, że nikt nie jest jego Retancourt. Wtem ktoś złapał go za rękę i odciągnął na bok. Henriette Emma Marie Parillon.

– Zwariował pan – szepnęła Retancourt, nie rozstając się ze znudzoną miną Henriette.

W Paryżu wynurzyli się na powierzchnię na stacji metra Châtelet i Adamsberg zaproponował swojej komisarz, by wykorzystali jego ostatnie godziny wolności pod postacią bladego Jeana-Pierre’a Émile’a i jak normalni ludzie zjedli lunch w restauracji. Retancourt zawahała się, lecz w końcu się zgodziła uspokojona znakomitym przebiegiem całej operacji i setkami przechodniów przewijających się przez plac.

– Będziemy udawali – rzekł Adamsberg, siedząc przed talerzem wyprostowany jak na Jeana-Pierre’a Émile’a przystało. – Jakbym nie był winny. Jakbym tego nie zrobił.

– Ten epizod jest zamknięty, szefie – oznajmiła Retancourt ganiąco, przez co twarz Henriette Emmy przybrała zaskakujący wyraz. – Koniec, nie zrobił pan tego. Jesteśmy w Paryżu, to pański teren, ma pan być z powrotem gliniarzem. Nie mogę w to wierzyć za nas dwoje. Można się szczepić ciałami, ale myślami się nie da. Swoją głową musi pan rządzić sam.

- Dlaczego w to wierzycie, Retancourt?
- Już rozmawialiśmy o tym.
- Dlaczego? – nalegał Adamsberg. – Zwłaszcza że nie lubicie mnie.

Retancourt westchnęła zniecierpliwiona.

- Jakie to ma znaczenie?
- Dla mnie ma, chcę zrozumieć. Naprawdę.
- Sama nie wiem, czy to jeszcze aktualne dziś albo jutro.
- Chodzi o to, co mi się przydarzyło w Quebecu?
- Między innymi. Sama już nie wiem.
- No, Retancourt. Chcę się dowiedzieć.

Retancourt zastanawiała się chwilę, obracając w palcach pustą filiżankę po kawie.

– Może więcej się nie zobaczymy, komisarzu – przekonywał Adamsberg. – Mamy sytuację ekstremalną, to nie pora na szacunek. I jeśli nie zrozumiem, zawsze będę tego żałował.

– No tak, sytuacja ekstremalna... Wnerwiało mnie to, co każdy w brygadzie chwalił u pana. Taki nonszalancki sposób rozwiązywania spraw podczas samotnych wędrówek marzyciela, który trafia w dziesiątkę. Pewnie, że to cenna umiejętność, ale ja widziałam jej drugą stronę, nieugięte wewnętrzne przekonanie co do słuszności swojego zdania. Doceniałam autonomię myśli, owszem, ale zarazem dostrzegałam ukrytą wyższość człowieka, który obejdzie się bez opinii innych... – Urwała, wahając się znowu.

– Mówcie, mówcie – poprosił Adamsberg.

– Jak wszyscy podziwiałam pańską intuicję, ale nie trawiłam obojętności, do której przez to czuł się pan upoważniony, nie znosiłam lekceważenia opinii współpracowników, słuchania ich jednym uchem. Tego beztróskiego wyizolowania, obojętności prawie nieprzemakalnej... Trudno mi to ubrać w słowa... Wydmy na pustyni są miękkie, piasek delikatny, ale dla tego, kto przez niego brnie, jest jałowy. Człowiek wie, że może po nim iść, nie może tam jednak żyć. Pustynia nie jest bardzo życzliwa.

Adamsberg słuchał uważnie. Wspomniał twarde słowa Trabelmanna i ta zbieżność zbiła się w nim w mroczną kulę, która przeleciała mu przez czoło z łopotem ciemnych skrzydeł. Słuchać tylko siebie, odsuwać innych, mylić ich, sprowadzić do odległych zmieniających się sylwetek, których nazwiska mu się myliły. Niemniej był przekonany, że komendant nie miał słuszności.

– Wygląda mi to na smutną historię – powiedział, nie podnosząc wzroku.

– Fakt, jest dość smutna. Ale może zawsze był pan gdzie indziej myślami, taki oddalony, przebywając z Raphaëlem, tworząc z nim krąg. Myślałam o tym

w samolocie. Wtedy w kafeterii tworzyliście we dwóch krąg. Zamknięty.

Retancourt narysowała krąg na stoliku i Adamsberg zmarszczył wyskubane brwi.

– Krąg z bratem – wyjaśniła. – Ten krąg mówił, że nigdy pan brata nie opuści, będzie go zawsze wspierał w ucieczce. Będzie pan z nim na pustyni.

– W szlamie na dnie sadzawki Torque – podsunął Adamsberg, powoli rysując drugie kółko na stole.

– Jak pan woli.

– Co mi jeszcze powiecie w swoim uważaniu?

– Że właśnie dlatego powinien mi pan wierzyć, kiedy mówię, że pan nie zabił. Do zabicia człowiek potrzebuje darzyć innych zainteresowaniem, uczestniczyć w ich zawieruchach, mieć nawet obsesję tego, co sobą przedstawiają. Pozbawienie kogoś życia wymaga naruszenia więzów, burzliwej reakcji, zjednoczenia z drugim człowiekiem. Takiego zjednoczenia, że ta druga osoba przestaje istnieć sama w sobie, staje się własnością, którą można wykorzystać jako ofiarę. Uważam, że na to pana nie stać. Człowiek taki jak pan, chodzący własnymi ścieżkami, nie zabija. Bo nie jest dość blisko z ludźmi, a tym bardziej nie jest zdolny poświęcić ich dla swojej namiętności. Nie twierdzą, że nikogo pan nie lubi, ale Noëlli na pewno nie. W żadnym razie pan jej nie zabił.

– Mówcie, mówcie – powtórzył Adamsberg, opierając policzek na dłoni.

– Jak rany, rozmaże pan podkład. Mówiłam, żeby nie dotykać.

– Przepraszam. – Adamsberg zabrał dłoń. – No mówcie.

– To tyle. Kto głaska z daleka, nie jest dość blisko, żeby zabić.

– Retancourt... – zaczął Adamsberg.

– Henriette – poprawiła. – Kurczę, niechże pan uważa.

– Henriette, mam nadzieję, że kiedyś okażę się godny pomocy, której udzieliliście mi ostatnio. Ale teraz proszę, żebyście dalej wierzyli w tamtą noc, której nie pamiętam. Wierzcie nadal, że nie zabiłem, przemieńcie w to swoją energię. Bądźcie masą, bądźcie kolumną, bądźcie wiarą. Wtedy ja też będę masą, uwierzę.

– Musi pan czerpać z własnych myśli – z naciskiem rzekła Retancourt. – Ze swojej samotniczej pewności. Niech pan ją choć raz wykorzysta.

– Zrozumiałem, komisarzu – powiedział Adamsberg, chwytając ją za rękę. – Ale wasza energia będzie mnie wspierała. Utrzymajcie ją dla mnie przez jakiś czas.

– Nie mam powodu, żeby zmienić zdanie.

Adamsberg z żalem puścił jej rękę, jakby odrywał się od swojego drzewa, i wyszedł.

XL

Inspektor sprawdził w szybie, że makijaż mu się trzyma, i o osiemnastej zajął pozycję na trasie, którą przebywał Danglard, wracając z pracy. Z daleka zobaczył jego wielką rozlazłą postać, lecz nadkomisarz obojętnie minął Jeana-Pierre'a Émile'a Rogera Feuilleta. Adamsberg przytrzymał go za rękę.

– Ani słowa, Danglard, idziemy.

– Na Boga, o co ci chodzi, człowieku? – obruszył się Danglard, próbując uwolnić rękę. – Kim pan jest?

– To ja jako biznesmen. Ja, Adamsberg.

– Kurde... – sapnął Danglard, szybko obrzucając wzrokiem twarz, w której doszukiwał się rysów Adamsberga pod jasną cerą, zaczerwienionymi oczami, łysiną na głowie.

– Już dobrze, Danglard?

– Musimy pogadać – powiedział nadkomisarz, zerkając na boki.

– Musimy – zgodził się Adamsberg. – Pokręcimy się chwilę, potem pójdziemy do ciebie. I bez numerów.

– Do mnie nie ma mowy – sprzeciwił się Danglard cicho, lecz stanowczo. – Udaj teraz, że o coś mnie pytałeś, i odejdz. Widzimy się za pięć minut w szkole mojego syna, druga ulica po prawej. Zapytaj o mnie woźnego, spotkamy się w świetlicy.

Danglard wyrwał miękką rękę z uścisku inspektora, który patrzył za nim, gdy odchodził i znikał za zakrętem.

W szkole Adamsberg znalazł partnera na dziecięcym plastikowym stołeczku w kolorze niebieskim w otoczeniu porzrzucanych piłek, książeczek, klocków i serwisów dla lalek. Śmiesznie wyglądał, siedząc na wysokości trzydziestu centymetrów. Adamsberg jednak nie miał wyboru – musiał usiąść obok niego na takim samym stołeczku, tyle że czerwonym.

– Zdziwiony, że się wyrwałem z łap GRC? – zapytał.

– Przyznam, że tak.

– Zawiedziony? Zaniepokojony?

Danglard popatrzył na niego bez słowa. Fascynował go ten blady jak kreda łysy facet, z którego dobywał się głos Adamsberga. Najmłodszy syn nadkomisarza

spoglądał na przemian to na ojca, to na tego śmiesznego gościa w beżowym garniturze.

– Opowiem ci nową historię, Danglard. Ale każ lepiej synowi, żeby sobie gdzieś dalej poczytał bajkę. To dość krwawa opowieść.

Nie odrywając oczu od Adamsberga, Danglard szepnął coś synowi, który odszedł od nich.

– To krótka opowieść grozy, nadkomisarzu. Albo o pułapce, jak wolisz. Ale może znasz już tę historię?

– Czytałem gazety – ostrożnie odparł Danglard, szukając nieruchomego wzroku kolegi. – Wiem, o co zostałeś oskarżony, i o twojej ucieczce.

– Czyli szczegółów nie znasz? Wiesz tyle co pierwszy lepszy zwykły zjadacz chleba?

– Można tak powiedzieć.

– No to opowiem ci wszystko z detalami, nadkomisarzu – obiecał Adamsberg, przysuwając się ze stołeczkiem.

W trakcie całej opowieści, w której nie pominął niczego, począwszy od pierwszego spotkania z nadintendentem aż do dni spędzonych u Basile’a, Adamsberg bacznie obserwował twarz kolegi. Dostrzegał na niej jedynie niepokój, skupienie i czasami zdumienie.

– Mówiłem ci, że to wyjątkowa kobieta – powiedział Danglard, gdy Adamsberg skończył.

– Nie przyszedłem tu, żeby gawędzić o Retancourt. Pogadajmy raczej o Lalibertém. Dobry jest, nie? W tak krótkim czasie udało mu się zgromadzić tyle dowodów przeciwko mnie. Dowiedział się nawet, że nie pamiętam dwóch i pół godziny, które spędziłem na przenosce. Ta amnezja była dla mnie fatalna. Ważny element oskarżenia.

– Nie da się ukryć.

– Tylko kto o tym wiedział? Nikt z GRC. I nikt z naszej brygady.

– Przyjął takie założenie? Domyślił się?

Adamsberg się uśmiechnął.

– Nie, w aktach było zapisane jako informacja pewna. Mówiąc: „nikt z naszej brygady”, przesadziłem. Ty wiedziałeś, Danglard.

Danglard wolno pokiwał głową.

– W związku z czym podejrzewasz mnie – rzekł spokojnie.

– Właśnie.

– Logiczne – skonstatował Danglard.

– Powinieneś być zadowolony, że choć raz kieruję się logiką.

– Nie jestem zadowolony. Lepiej byś zrobił, gdybyś w tym wypadku się nią nie

kierował.

– Stoję pod ścianą, więc każda metoda jest dobra. Łącznie z tą pierzoną logiką, której tak starałeś się mnie nauczyć.

– Słusznie z niej korzystasz. Ale co ci podpowiada intuicja? A wędrówki? Sny? Co ci mówią o mnie?

– I ty mi zadajesz takie pytanie?

– Chociaż raz tak.

Opanowanie partnera i jego niewzruszony wzrok osłabiły pewność siebie Adamsberga. Znał na pamięć wyblakłe oczy Danglarda nieumiejące ukryć żadnych emocji. Wszystko w nich było widać, strach, dezaprobatę, przyjemność, nieufność, jak ryby pływające w misce wody. A teraz Adamsberg nie dostrzegał w nich niczego, co by świadczyło o nieszczerości. Ciekawość i namysł – chwilowo tylko te dwie ryby pływały w oczach Danglarda. W towarzystwie czasami nieznaczej ulgi, że widzi kolegę całego.

– Sny mi mówią, że nie masz z tym nic wspólnego. Ale to tylko sny. Z moich wędrówek wynika, że nie zrobiłbyś tego. Przynajmniej nie tak.

– A intuicja?

– Podpowiada mi, że czuć tu rękę sędziego.

– Ale się uparła, nie?

– Ty o to pytałeś. I dobrze wiesz, że moje odpowiedzi nigdy ci się nie podobają. Sanscartier mi radził, żeby wyjść na brzeg i przyczaić się. No więc się przyczajam.

– Mogę teraz ja zabrać głos? – zapytał Danglard.

Jego synek, znudzony lekturą, wrócił do nich i wspiął się na kolana Adamsberga, którego w końcu rozpoznał.

– Śmierdzisz potem – zauważył, przerywając im rozmowę.

– Możliwe – odparł Adamsberg. – Byłem w długiej podróży.

– Czemu się przebrałeś?

– Do zabawy w samolocie.

– W co?

– W policjantów i złodziei.

– Byłeś złodziejem – oświadczył chłopczyk.

– Zgadza się.

Adamsberg pogłaskał chłopca po głowie, by zakończyć ten wątek, i popatrzył na kolegę.

– Ktoś przetrząsnął twoje mieszkanie – rzekł Danglard. – Chyba.

Adamsberg gestem dał mu znak, by mówił dalej.

– Tydzień temu, w poniedziałek rano, znalazłem twój faks z prośbą

o przesłanie akt do GRC. Z literami R i J większymi, niż normalnie piszesz. Kombinowałem i kombinowałem, o co ci może chodzić. Najpierw pomyślałem: rozedrzyj. Bez sensu. W końcu się domyśliłem: ratuj.

– Dobrze odgadłeś.

– Wtedy nie podejrzewałeś mnie jeszcze?

– Nie. Umysł logiczny nawiedził mnie dopiero następnego dnia wieczorem.

– Szkoda – mruknął Danglard.

– Mów dalej. Akta?

– Byłem więc czujny. Poszedłem po zapasowy klucz do twojego mieszkania, był tam gdzie zawsze, w pierwszej szufladzie biurka.

Adamsberg potwierdził przymknięciem powiek.

– Klucz był w szufladzie, ale nie jak zwykle w pudełku na spinacze, tylko koło pudełka. Mogłeś go tam wrzucić w przedwyjazdowej gorączce. Byłem jednak czujny. Z powodu tego R i J.

– I słusznie. Zawsze chowam klucz do pudełka, bo w dnie szuflady jest szpara.

Danglard zerknął na bladego inspektora. Spojrzenie Adamsberga niemal już odzyskało normalną łagodność. Co ciekawe, nadkomisarz wcale nie czuł rozżalenia, że kolega podejrzewał go o zdradę. Może on by zrobił to samo.

– Dlatego w twoim mieszkaniu rozglądałem się uważnie. Pamiętasz, że sam odłożyłem na miejsce akta w kartonie?

– Tak, przez tę moją zranioną rękę.

– Wydaje mi się, że staranniej wszystko schowałem. Głęboko wsunąłem karton na półkę. A wtedy w poniedziałek nie był dosunięty do końca. Wyciągałeś go może? Dla Trabelmanna?

– Nie, kartonu nie ruszałem.

– Powiedz, jak ty to robisz?

– Znacząco?

Danglard wskazał swojego synka, który z ręką Adamsberga na głowie zasnął przytulony do niego.

– No wiesz... w ogóle działałam na ludzi usypiająco. Na dzieci też.

Danglard z zazdrością popatrzył na niego. Z uspieniem Vincenta zawsze miał problem.

– Wszyscy wiedzą, gdzie trzymasz zapasowy klucz – podjął.

– Podejrzewasz kreta? W brygadzie?

Danglard się zawahał, lekko kopnął kolorową piłkę, która potoczyła się przez salę.

– Możliwe – przyznał.

– Czego szukał? Akt sędziego?

– Właśnie to mi umyka. Motyw. Kazałem pobrać odfitki palców z klucza. Były tylko moje. Albo ja zamazałem wcześniejsze, albo gość wytarł klucz, zanim go odłożył do szuflady.

Adamsberg zmrużył oczy. Komu mogłoby zależeć na poznaniu akt spraw Trójzęba? Spraw, z których nigdy nie robił tajemnicy? Ciążyły mu napięcie związane z odbytą podróżą i doba bez snu. Jednakże świadomość, że Danglard na pewno nie zdradził, podnosiła go na duchu. Mimo że nie miał żadnych dowodów niewinności kolegi z wyjątkiem tego, co wyczytał w jego oczach.

– Tego „ratuj” w faksie nie zinterpretowałeś inaczej?

– Uznałem, że pewne elementy morderstwa z siedemdziesiątego trzeciego roku nie powinny trafić do GRC. Ale gość był u ciebie przede mną.

– Cholera – powiedział Adamsberg, podnosząc się i budząc chłopczyka.

– I wszystko odłożył na miejsce – dokończył nadkomisarz. Sięgnął do wewnętrznej kieszeni i wyjął trzy kartki złożone na czworo. – Nosilem je przy sobie – dodał, podając kartki Adamsbergowi.

Inspektor zerknął na nie. W Kanadzie liczył, że właśnie te dokumenty Danglard zatrzyma. I nadkomisarz od jedenastu dni nie rozstawał się z nimi. Co dowodziło, że nie zamierzał go wydać Lalibertému. Chyba że przesłał mu jednak kopie.

– Tym razem, Danglard – powiedział Adamsberg, zwracając mu kartki – zrozumiałeś mnie, choć dzieliło nas dziesięć tysięcy kilometrów, a sygnał był słabiutki. Jak to się dzieje, że czasem się nie rozumiemy, stojąc metr od siebie?

Danglard kopnął kolejną piłkę.

– Kwestia tematu, jak przypuszczam – odparł z tym swoim nieznacznym uśmiechem.

– Dlaczego nosisz te kartki ze sobą? – spytał Adamsberg po chwili milczenia.

– Bo odkąd uciekłeś, jestem pod stałą obserwacją. Nawet mojego bloku pilnują, licząc pewnie, że skoro uciekłeś, w końcu do mnie przyjdiesz. Czego zresztą o mało nie zrobiłeś. Dlatego rozmawiamy tutaj.

– Brézillon?

– Jasne. Jego ludzie oficjalnie przeszukali twoje mieszkanie, jak tylko GRC go powiadomiła. Brézillon dostał rozkazy, boi się. Jeden z jego inspektorów jest zbiegiem podejrzanym o morderstwo! W porozumieniu z władzami kanadyjskimi nasze ministerstwo zobowiązało się, że będziesz zatrzymany, jak tylko znajdziesz się we Francji. Cała policja w kraju jest postawiona w stan gotowości. Oczywiście nie masz po co iść do siebie. Do pracowni Camille też nie. Każde miejsce, w którym możesz się zjawić, jest pod obserwacją.

Adamsberg machinalnie gładził chłopczyka po głowie, co zdawało się wprowadzać malca w jeszcze głębszy sen. Gdyby Danglard zdradził, nie ciągnąłby

go do tej szkoły, nie zależałoby mu, aby nie wpadł w ręce policji.

– Wybacz, że cię podejrzewałem, nadkomisarzu.

– Cóż, logika nie jest twoją mocną stroną. W przyszłości wystrzegaj się jej.

– Od lat cię do tego namawiam.

– Nie, nie logiki jako takiej. Swojej logiki się wystrzegaj... Masz jakąś metę?

Ten makijaż długo nie wytrzyma.

– Myślałem o starej Clémentine.

– Bardzo dobre miejsce – pochwalił Danglard. – O niej nie pomyślą, możesz tam spokojnie siedzieć.

– Uwięziony po kres moich dni.

– Wiem. Od tygodnia tylko o tym myślę.

– Masz pewność, Danglard, że zamek w moim mieszkaniu nie został sforsowany?

– Na sto procent. Gość pożyczył sobie klucz. To ktoś od nas.

– Rok temu oprócz ciebie nie znałem nikogo z naszej ekipy.

– Ale może ktoś z nich znał ciebie. Zapuszkowałeś sporo ludzi. Mogą cię nienawidzić, pragnąć odwetu. Na przykład ktoś z rodziny postanowił wyrównać z tobą rachunki. I może wykorzystując tę starą sprawę, knuje przeciwko tobie.

– Kto mógłby znać historię Trójzęba?

– Wszyscy, którzy wiedzieli o twoim wyjeździe do Strasburga.

Adamsberg pokręcił głową.

– Nie dało się połączyć Schiltigheim z sędzią – powiedział. – Ja musiałbym o tym powiedzieć. A oprócz mnie jeden człowiek mógł zauważyć ten związek. On.

– Myślisz, że ten twój nieumarły wszedł do biur brygady? Wziął twoje klucze, przejrzał akta, żeby się dowiedzieć, co rozumiałeś ze Schiltigheim? Nieumarły przecież nie potrzebuje kluczy, przechodzi przez ściany.

– To prawda.

– Jeśli nie masz nic przeciwko, chciałbym, żebyśmy ustalili sobie jedno w kwestii Trójzęba. Ty sobie go nazywaj sędzią albo Fulgence'em, jak tam wolisz, ale pozwól, że ja będę na niego mówił Uczeń. Dla mnie to ktoś jak najbardziej żywy, kto może kontynuuje dzieło nieboszczyka sędziego. Zgódźmy się co do tego, a unikniemy nieporozumień.

Danglard kopnął następną piłkę.

– Sanscartier – podjął, zmieniając nagle temat. – Powiedziałeś, że miał zastrzeżenia?

– Zdaniem Retancourt. Ma to dla ciebie jakieś znaczenie?

– Polubiłem faceta. Faktycznie bardzo powolny, ale go lubiłem. Ciekawi mnie jego reakcja w terenie. A Retancourt? Jak ci się podobała?

- Wyjątkowa.
- Chętnie bym na niej powisiał – dodał Danglard z westchnieniem, w którym chyba zawierał się szczery żal.
- Nie sądzę, żeby ten numer się udał przy twoich gabarytach. To było niezwykle doświadczenie, ale nie warto dla niego zabijać.

Adamsberg mówił teraz głosem stłumionym. Obydwaj wolnym krokiem ruszyli w głąb sali, Danglard postanowił bowiem wyprowadzić inspektora przez garaż. Adamsberg niósł na rękach jego śpiącego syna. Wiedział, w jaki tunel bez końca wkracza teraz – a Danglard wraz z nim.

– Nie jedź metrem ani autobusem – poradził mu Danglard. – Idź do niej na piechotę.

– Danglard, kto może wiedzieć, że dwudziestego szóstego października miałem zanik pamięci? Oprócz ciebie rzecz jasna.

Danglard zastanawiał się chwilę, pobrzękując drobnymi w kieszeni.

– Tylko jedna osoba – oznajmił wreszcie. – Ta, która ci tę amnezję załatwiła.

– Logiczne.

– Tak. Ale to moja logika.

– Kto?

– Ktoś, kto był tam z nami, jeden z ośmiu. Po odjęciu ciebie, mnie i Retancourt zostaje pięcioro. Justin, Voisenet, Froissy, Estalère, Noël. Ktoś, kto grzebał w twoich aktach.

– A co zrobisz z Uczniem?

– Niewiele. Najpierw sobie przemyślę bardziej konkretne elementy.

– Na przykład?

– Na przykład twoje objawy wieczorem dwudziestego szóstego. Dręczą mnie, tak. Nawet bardzo. Miękkie nogi nie dają mi spokoju.

– Wiesz, byłem pijany w sztok.

– No właśnie. Brałeś wtedy jakieś leki? Coś na uspokojenie?

– Coś ty! Myślę, że w moim przypadku środki uspokajające są wręcz niewskazane.

– Ano słusznie. Ale nogi się pod tobą ugiwały, prawda?

– Tak – przyznał Adamsberg zdziwiony. – Nie chciały mnie nieść.

– Ale dopiero po zderzeniu z konarem? Tak chyba mi mówiłeś? Jesteś pewien?

– Jasne. I co z tego?

– Otóż to mi nie pasuje. A następnego dnia nic cię nie bolało? Miałeś ślady uderzeń, siniaki?

– Powtarzam: bolało mnie czoło, bolała głowa i bolał brzuch. Co ci nie pasuje z moimi nogami?

– Jest jakaś luka w tej mojej logice. Zostawmy to.

– Słuchaj, mógłbyś mi dać swój klucz uniwersalny?

Danglard zawahał się, lecz zaraz otworzył torbę i wyjął klucz, który wsunął Adamsbergowi do butonierki.

– Nie ryzykuj. I weź to – powiedział, do klucza dołączając zwitek banknotów.

– Nie możesz wybierać pieniędzy z bankomatu.

– Dzięki, Danglard.

– Zanim pójdziesz, mógłbyś oddać mi syna?

– O, przepraszam – rzekł Adamsberg, podając mu dziecko.

Nie powiedzieli sobie do widzenia. Nie przystoi tak mówić, kiedy ludzie nie wiedzą, czy jeszcze kiedyś się spotkają. To banalne powszednie słowa, myślał Adamsberg, odchodząc w noc. On teraz nie mógł ich używać.

XLI

Kiedy wykończony dotarł do Clémentine, wpuściła go, nie okazując najmniejszego zdziwienia. Posadziła go przy kominku i zmusiła, by zjadł makaronu z szynką.

– Tym razem, Clémentine – powiedział później – nie chodzi tylko o kolację. Musi mnie pani zamelinować u siebie, mam całą francuską policję na karku.

– Ano, bywa – odparła starszuszka niewzruszenie, wciskając mu do ręki jogurt z łyżeczką wetkniętą na sztorc. – Policjanci z racji fachu nie zawsze myślą tak jak my. To dlatego takiś umalowany, synku?

– Tak, musiałem uciekać z Kanady.

– Szykowny garnitur.

– A jestem gliniarzem – kontynuował Adamsberg swoją myśl. – Czyli sam siebie powinienem ścigać. Popełniłem straszne głupstwo, Clémentine.

– Znaczy że jak?

– Znaczy, że straszne głupstwo. W Quebecu schlałem się na umór, spotkałem taką jedną dziewczynę i zabiłem ją trójzębnymi widłami.

– Mam pomysł – rzekła Clémentine. – Rozłożymy kanapę i przysuniemy blisko kominka. Dam ci dwie pikowane kapy i będziesz miał posłanie jak król. Bo to widzisz, mam już u siebie Josette, która śpi w małym pokoju, więc nic lepszego nie mogę zaproponować.

– Bardzo wygodnie będzie. Ta Josette nie wygada, że tu jestem?

– Josette znała lepsze dni. Żyła nawet swego czasu na wysokiej stopie, jak prawdziwa dama. Słowo daję, czym innym teraz jest zajęta. Tyle ją będziesz obchodził, ile ona ciebie. No, dość tych dyrdymałów. Ten trójzęb to aby nie sprawka twojego potwora?

– Właśnie tego nie wiem. Jego sprawka albo moja.

– No to masz zgryz, synku – przyznała Clémentine, wyjmując pikowane kapy. – Ale takie coś zagrzewa do walki.

– Hm, nie patrzyłem na to pod tym kątem.

– A pewnie, że nie, boby się człowiekowi przejadło. Nie można stale robić makaronu z szynką. Ale przynajmniej coś ci się lęgnie w głowie, że to byłeś ty czy on?

– Znaczy – odparł Adamsberg, przyciągając kanapę do kominka – tyle wtedy

wypiłem, że nic nie pamiętam.

– Zdarzyło mi się coś takiego, jak chodziłam w ciąży z córką. Przewróciłam się na ulicy i potem już nic a nic nie pamiętałam.

– I uginały się pod panią nogi?

– A gdzie tam!... Zdaje się, że latałam jak ścigany zając. Za czym tak goniłam?

Tajemnica.

– Tajemnica – powtórzył Adamsberg.

– To nic, rozumiesz, synku. W życiu nigdy nie wiadomo, za czym się goni.

Więc trochę więcej czy trochę mniej, co to zmienia?

– Mogę zostać, Clémentine? Nie będę przeszkadzał?

– Przeciwnie, podpasę cię. Trzeba mieć siły do gonienia.

Adamsberg otworzył swoją torbę i wręczył jej butelkę syropu klonowego.

– Przywiozłem to dla pani z Quebecu. Można jeść z jogurtem, chlebem, naleśnikami. Będzie pasował do pani ciastek.

– O, to miłe. Tyle masz na głowie, a pamiętałeś o starej Clémentine. Ładna butelka. To z ich drzew wycieka?

– Tak. Z tego wszystkiego najtrudniej zrobić butelkę. Bo tak to nacinają pień drzewa i zbierają sok.

– Aha, praktyczne. Gdyby tak można robić z wieprzkami...

– Albo z prawdą.

– Ech, do prawdy nie tak się dochodzi. Prawda kryje się jak grzyby w lesie i nikt nie wie dlaczego.

– A jak do niej dojść?

– No przecież tak jak do grzybów. Trzeba po kolei odrzucać liście w zacienionych miejscach. Czasem to trwa i trwa.

Adamsberg po raz pierwszy w życiu obudził się w południe. Clémentine na paluszkach z rana rozpałała w piecu i kucharzyła.

– Mam ważną sprawę do załatwienia – powiedział jej, pijąc kawę. – Mogłaby mi pani poprawić makijaż? Głowę mogę sobie sam ogolić, ale nie wiem, jak rozjaśnić skórę na rękach.

Pod prysznicem zszedł podkład i teraz śniada skóra Adamsberga kontrastowała z bladą twarzą.

– To nie moja specjalność – wyznała Clémentine. – Lepiej zajmie się tobą Josette, ma cały sprzęt do malowania. Makijaż zabiera jej godzinę.

Josette lekko drżącymi rękami nałożyła inspektorowi jasny podkład na dłoń, później poprawiła rozmazane miejsca na twarzy i szyi, umocowała właściwie na

brzuchu jasek, który nadawał mu krągłości.

– Co pani robi z tymi komputerami przez cały dzień? – zwrócił się Adamsberg do Josette, kiedy starannie czesała mu siwe włosy.

– Przelewam, wyrównuję, rozdzielam.

Adamsberg nie próbował zgłębiać tej enigmatycznej odpowiedzi. Działalność Josette może by go zainteresowała w innych okolicznościach, ale nie w obecnej sytuacji, ekstremalnej. Z uprzejmości podtrzymywał rozmowę, a także dlatego, że wziął sobie do serca zarzuty Retancourt. Josette lekko modulowała swój drżący głos, w którym Adamsberg istotnie wychwytywał pozostałości akcentu wyższych sfer mieszczańskich.

– Zawsze pani pracowała w branży informatycznej?

– Wzięłam się za to dobrze po sześćdziesiątce.

– Niełatwo w to wejść.

– Radzę sobie – odparła staruszka wątlwym głosem.

XLII

Inspektor Brézillon mieszkał w luksusowym apartamencie przy avenue de Breteuil, do domu wracał około osiemnastej, dziewiętnastej. I wiedziano z pewnego źródła, to znaczy z Plotkarni, że jego żona spędza jesień w dżdżystej Anglii. W całej Francji było to chyba jedyne miejsce, gdzie policja nie spodziewała się zbiega.

O siedemnastej trzydzieści Adamsberg spokojnie wszedł do mieszkania, otworzywszy sobie drzwi kluczem uniwersalnym. Rozsiadł się w bogato urządzonym salonie o ścianach obstawionych regałami z książkami z zakresu prawa, administracji, wszelkich nauk policyjnych oraz poezją. Cztery bogato reprezentowane dziedziny, wyraźnie rozdzielone na półkach. Sześć półek z poezją, znacznie lepiej zaopatrzonych niż u wiejskiego proboszcza. Adamsberg kartkował tomiki Victora Hugo, uważając, by na cennych okładkach nie zostawić śladów podkładu, szukał tego sierpa ze złota w polu kwitnącym gwiazdami, które zlokalizował nad Detroit, acz nie udało mu się zdjąć sierpa. Równocześnie powtarzał sobie przemowę przygotowaną dla szefa, wersję, w którą sam ledwie wierzył czy nawet nie wierzył w ogóle, lecz wyłącznie ona mogła przekonać Brézillona. Po cichu wygłaszał całe frazy, starając się maskować własne wątpliwości, a głosowi nadać szczerłość.

Niecałą godzinę później w zamku zaszczekał klucz, Adamsberg więc położył książkę na kolanach. Brézillon naprawdę aż podskoczył, otworzył usta do krzyku na widok nieznanego mu Jeana-Pierre'a Émile'a Rogera Feuilleta rozwalonego w jego salonie. Adamsberg przyłożył palec do ust, podszedł i delikatnie wziął go za rękę, po czym podprowadził do fotela naprzeciw swojego. Inspektor był w gruncie rzeczy bardziej zaskoczony niż wystraszony, z pewnością dlatego, że wygląd Jeana-Pierre'a Émile'a niespecjalnie przerażał. A z zaskoczenia zapomniał na chwilę języka w gębie.

- Ciii, panie inspektorze. Nie podnośmy rabanu. Tylko by panu zaszkodził.
- Adamsberg... – Na dźwięk jego głosu Brézillon odzyskał mowę.
- Przybyły z daleka dla przyjemności odbycia pogawędki.
- Nie będzie tak prosto, inspektorze – zapowiedział Brézillon już opanowany.
- Widzicie ten guzik? Jak go wcisnę, w dwie minuty zaroi się tu od naszych chłopców.

– Niech mi pan da te dwie minuty przed naciśnięciem alarmu. Jest pan prawnikiem z wykształcenia, powinien pan wysłuchać obu stron.

– Mam dać dwie minuty mordercy? Nie przesadzacie, Adamsberg?

– Nie zabiłem tej dziewczyny.

– Każdy tak mówi, prawda?

– Ale nie każdy ma zdrajcę w swojej drużynie. Dwa dni przed waszym przeszukaniem ktoś wszedł do mnie, korzystając z zapasowego klucza, który trzymam w biurze. Ktoś przeglądał akta spraw sędziego, a w ogóle ineresował się tym już przed moim pierwszym wyjazdem.

Całą nadzieję pokładając w swoich niezbyt przekonujących wyjaśnieniach, Adamsberg mówił szybko świadom, że Brézillon nie da mu wiele czasu, w związku z czym powinien go przekonać jak najrychlej. Jednakże takie tempo bardzo mu nie odpowiadało, potykał się zatem na słowach niczym biegacz, który przyspiesza i zawadza o kamienie.

– Ktoś wiedział, że chodziłem przenoską. Ktoś wiedział, że miałem tam dziewczynę. Ktoś ją zabił, naśladując sędziego, i zadbał o to, żeby moje odciski palców znalazły się na jej pasku. Ktoś zostawił ten dowód na ziemi, a nie w wodzie ze zwłokami. Czyli dużo dowodów, szefie. Za dużo, nie ma żadnych niejasności. Widział pan kiedyś coś podobnego?

– Żałosne przeinaczanie prawdy. To była wasza dziewczyna, ślady waszych rąk, wyście się schlali. Chodziliście tamtą ścieżką i macie obsesję na punkcie sędziego.

– To nie obsesja, tylko sprawa do rozwiązania.

– Waszym zdaniem. Ale gdzie jest napisane, że nie jesteście chory na umyśle, Adamsberg? Mam wam przypomnieć sprawę z Favre'em? A najgorsze i świadczące o zaburzeniach, to żeście wymazali z pamięci wieczór, kiedy doszło do morderstwa.

– A jak się o tym dowiedzieli? – zapytał Adamsberg, nachylając się do Brézillona. – Tylko Danglard wiedział, ale słowa nie pisnął. Jak się dowiedzieli?

Brézillon zmarszczył czoło i poluzował węzeł krawata.

– Jeszcze jedna tylko osoba mogła wiedzieć, że miałem zanik pamięci – ciągnął Adamsberg, powtarzając uwagę swojego partnera. – Ten, kto się postarał, żebym miał amnezję. Co dowodzi, że nie tylko ja jestem w to zamieszany i nie tylko ja byłem wtedy na przenosce.

Brézillon podniósł się ociężale, wziął papierosa z półki i na powrót usiadł. Świadczyło to, że jest zainteresowany, że chwilowo zapomniał o przycisku alarmu.

– Mój brat też miał zanik pamięci, tak samo jak wszyscy, których aresztowano po zbrodni sędziego. Czytał pan akta, prawda?

Inspektor kiwnął głową, zapalając grubego papierosa bez filtra, dość podobnego do tych, które paliła Clémentine.

– A dowody?

– Nie ma.

– Czyli na swoją obronę macie tylko sędziego, który nie żyje od szesnastu lat.

– Sędziego albo jego naśladowcę.

– Mrzonka.

– Mrzonka zasługuje na taką samą uwagę jak wrażenie poetyckie – zaryzykował Adamsberg.

Podejść go od drugiej strony. Czy poeta wciska bez wahania dzwonek alarmu?

Brézillon, pólżąc w wielkim fotelu, wydmuchnął dym i skrzywił się.

– GRC... – rzekł w zamyśleniu. – Wiecie, co mi się w tym nie podoba, Adamsberg? Metoda działania. Prosimy o wasz przyjazd do pomocy, a ja im uwierzyłem. Nie lubię, jak ktoś mnie oszukuje i wciąga w pułapkę mojego człowieka. To niedopuszczalne. Wykorzystano mnie, uciekając się do kłamstwa. Mamy tu do czynienia z przedwczesną ekstradycją i podstępem prawnym.

Ambicja i zawodowa uczciwość Brézillona ucierpiały w pułapce zastawionej przez Lalibertégo. Tego sprzyjającego elementu Adamsberg nie brał pod uwagę.

– Oczywiście – dodał Brézillon – ten Légalité zapewniał, że główny punkt oskarżenia sformułował po waszej ucieczce.

– Nieprawda. Już wcześniej miał na mnie akta.

– Nieuczciwy – skwitował Brézillon ze wzgardą na twarzy. – Ale wyście uciekli przed wymiarem sprawiedliwości, a nie takiej postawy oczekuję po swoich ludziach.

– Nie uciekłem przed wymiarem sprawiedliwości, bo dochodzenie przeciwko mnie nie zostało wszczęte. Nie postawiono mi zarzutów, nie odczytano moich praw. Byłem jeszcze wolny.

– Z prawnego punktu widzenia tak.

– Byłem wolny i mogłem mieć tego dosyć, nie ufać kanadyjskim kolegom i wyjechać.

– Z makijażem i na fałszywych papierach, inspektorze.

– Umówmy się, że to było planowane ćwiczenie – improwizował Adamsberg. – Gra.

– Często grywacie z Retancourt?

Adamsberg nie od razu odpowiedział, myśli zmaciło mu bowiem wspomnienie chwili, gdy wisiał na Retancourt.

– Ona tylko wypełniała swoje zadanie. Chroniła mnie. Skrupulatnie wykonywała pańskie rozkazy, szefie.

Brézillon kciukiem zgniótł niedopałek. Ojciec prosty galwanizator, matka prasowaczka, wyobraził sobie Adamsberg. Jak rodzice Danglarda. Śladów takiego pochodzenia nie zlikwiduje aksamit foteli, to rodzaj szlachectwa nabytego i noszonego w butonierce, honorowanego wyborem papierosów i szorstkim naciskiem kciuka.

– Czego oczekujecie ode mnie, Adamsberg? – podjął inspektor, wycierając kciuk. – Żebyście mi uwierzyli na słowo? Za dużo jest dowodów przeciwko wam. Szperanie w waszym mieszkaniu lekko przemawia na waszą korzyść. Podobnie jak to, że Légality wiedział o zaniku pamięci. Dwa wątle punkty.

– Jeśli mnie pan spisz na straty, równocześnie brygada straci całą wiarygodność. Tego skandalu można by uniknąć, gdybym miał swobodę działania.

– To co, mam zacząć wojnę z ministerstwem i z GRC?

– Nie. Proszę tylko o odwołanie poszukiwań.

– Tylko tyle? Zawarłem porozumienie, wyobraźcie sobie.

– Ale może je pan obejść. Wystarczy oświadczenie, że jestem na obcym terytorium. Zostanę oczywiście w swojej kryjówce.

– Pewne miejsce?

– Tak.

– Co jeszcze?

– Broń. Nowa blacha na inne nazwisko. Pieniądze na życie. Przywrócenie Retancourt do służby w brygadzie.

– Coście czytali? – spytał Brézillon, wskazując niedużą książeczkę w skórzanej oprawie.

– Szukałem *Snu Booza*.

– Dlaczego?

– Z powodu trzech wersów.

– Jakich?

– „Jakiż bóg, jaki zniwiarz wieczystego lata rzucił, kiedy odchodził w inną stronę świata, ten sierp ze złota w polu kwitnym gwiazdami”.

– Kto jest sierpem ze złota?

– Mój brat.

– Albo wy teraz. Sierp to nie tylko księżyc w nowiu. To także narzędzie tnące. Może odciąć głowę, rozciąć brzuch, może być przyjazny albo okrutny. Jedno pytanie, Adamsberg. Wy nie wątpicie w siebie?

Po tym, jak Brézillon pochylił się naprzód, Adamsberg poznał, że jego banalne pytanie będzie decydujące. Od jego odpowiedzi będzie zależało, czy zostanie poddany ekstradycji czy też zyska swobodę działania. Zawahał się. Logicznie rozumując, Brézillon potrzebował solidnego zapewnienia, które da mu pewność, że

nie będzie miał kłopotów. Adamsberg jednak podejrzewał, że jego oczekiwania są innego rodzaju.

– Podejrzewam siebie bez przerwy – odparł.

– Najlepsza gwarancja męskiego podejścia i prawdziwej walki – oznajmił sucho Brézillon, na powrót opadając na oparcie fotela. – Od teraz jesteście wolny, uzbrojony i niewidzialny. Nie na zawsze, Adamsberg. Macie sześć tygodni. Po tym czasie macie tu przyjść, do tego pokoju, i usiąść w tym fotelu. Ale następnym razem zadzwonicie do drzwi, zanim wejdziecie.

XLIII

Ostatnim zadaniem Jeana-Pierre'a Émile'a Rogera Feuilleta był zakup nowego telefonu komórkowego. Następnie Adamsberg z ulgą pozbył się tej tożsamości pod prysznicem u Clémentine. Choć także z niejakim żalem. Nie dlatego, że przywiązał się do tej trochę stłamszonej postaci, lecz dlatego, że dość niegrzeczne wydawało mu się spuszczenie do kanalizacji ze strumieniem wody tego Jeana-Pierre'a Émile'a, który oddał mu przecież nieocenioną przysługę. Wygłosił więc do niego krótką przemowę, zanim wrócił do własnych czarnych włosów, śniadej cery i normalnej sylwetki. Pozostała wygolona łysinka, którą będzie musiał zasłaniać, póki włosy nie odrosną.

Dostał sześć tygodni, Brézillon podarował mu prawie nieograniczoną swobodę, lecz mało czasu na wytropienie diabła albo osobistego demona.

Trzeba go wykurzyć z dawnych kryjówek, powiedział mu kiedyś Mordent, opróżnić strychy, zamurować meliny, założyć żelazne obręcze na stare kufry i skrzypiące szafy ducha. Czyli wypełnić lukę, która powstała w poszukiwaniach Adamsberga w okresie między śmiercią sędziego a morderstwem w Schiltigheim. Nie pomoże mu to zlokalizować nowego schronienia Fulgence'a, kto wie jednak, czy sędzia nie odwiedza od czasu do czasu swoich dawnych strychów?

Roztrząsał tę kwestię w trakcie kolacji z Clémentine i Josette przy kominku. Nie oczekiwał od Clémentine porad natury technicznej, jednakże świadomość, że staruszka go słucha, działała na niego rozluźniająco i – może na zasadzie naczyń połączonych – krzepiąco.

– A to ważne? – spytała Josette swoim drżącym głosikiem. – Te mieszkania? Te siedziby z przeszłości?

– A jakże! – odpowiedziała Clémentine zamiast Adamsberga. – Chłopak musi poznać każde miejsce, gdzie ten potwór żył. Miejsca grzybne są zawsze podobne, nigdy się nie zmieniają.

– Ale czy to ważne? – powtórzyła Josette. – Dla inspektora?

– Nie jest już inspektorem – ucięła Clémentine. – Dlatego tu siedzi, moja droga, i tłumaczy nam to wszystko.

– To kwestia życia i śmierci. – Adamsberg uśmiechnął się do kručzej Josette. – Tu idzie o jego skórę albo moją.

– Aż tak?

– Aż tak. A nie mogę go szukać na czuja po całym kraju.

Clémentine, nie pytając, podała ciasto grysikowe z rodzynkami, Adamsbergowi obowiązkowo podwójną porcję.

– Nie może pan zaangażować swoich ludzi w tę sprawę, jeśli dobrze rozumiem? – spytała nieśmiało Josette.

– No przecież ci mówię, że chłopak teraz nic nie znaczy – rzekła Clémentine. – Nie ma ludzi. Został sam.

– Oficjalnie dwaj funkcjonariusze mi zostali. Ale nie mogę im zlecać zadań, moje ruchy są blokowane z każdej strony.

Josette zdawała się nad czymś zastanawiać, budując ze swojego ciastka domek.

– Co tam, Josette? – zagadnęła Clémentine. – Jak ci chodzi coś po głowie, podziel się, niech się nie zmarnuje. Chłopak ma tylko sześć tygodni.

– Można mu zaufać? – spytała Josette.

– Je przy naszym stole. Nie zadawaj głupich pytań.

– Znaczy tak... – zaczęła Josette, kontynuując budowę chwiejnego domku z masy grysikowej. – Można się przenosić i przenosić. Jeśli inspektor nie da rady nigdzie jechać, jeśli to kwestia życia i śmierci... – urwała.

– Ot, cała Josette – skomentowała Clémentine. – Takie odebrała wychowanie, nic na to nie poradzisz. Bogaci gadają, tak jak chodzą: ostrożnie. Sikają ze strachu. No, Josette, teraz jesteś biedna, więc gadaj, ale już.

– Można się przenosić inaczej niż na nogach – powiedziała Josette. – O to mi chodziło. W dodatku szybciej i dalej.

– Jak? – zainteresował się Adamsberg.

– Za pośrednictwem klawiatury. Jeśli na przykład chodzi o szukanie domu, może pan wykorzystać sieć.

– Wiem, pani Josette – odparł grzecznie Adamsberg. – Przez internet. Ale domy, których ja szukam, nie są publicznie dostępne. Są ukryte, tajne, podziemne.

– Właśnie... – Josette znów się zawahała. – Miałam na myśli podziemną sieć. Tajną.

Adamsberg milczał, nie bardzo wiedząc, czy dobrze zrozumiał słowa Josette. Clémentine skorzystała z okazji, by nalać mu kieliszek wina.

– Nie, Clémentine, dziękuję. Od tamtego ochlaju nie piję.

– Synku, nie będziesz mi tu chyba cudował, hę? Kieliszek przy stole jest obowiązkowy.

I Clémentine napełniła jego kieliszek. Josette poklepywała łyżeczką krzywe ściany grysikowego domku, wtykając w nie rodzynki w charakterze okien.

– Tajna sieć, pani Josette? – łagodnie spytał Adamsberg. – To tam pani wędruje?

– Josette w tych podziemiach chodzi, gdzie chce – oznajmiła Clémentine. –

A to jest w Hamburgu, a to w Nowym Jorku.

– Informatyczny pirat? – zdumiał się Adamsberg. – Haker?

– Zasadniczo hakerka – potwierdziła Clémentine z satysfakcją. – Josette podbiera dużym i rozdaje maluczkim. Tunelami. Masz to wypić, Adamsberg.

– Więc o to chodziło z tym „przelewaniem” i „rozdzielaniem”? – zwrócił się Adamsberg do Josette.

– Tak – odparła, szybko wymieniając z nim spojrzenie. – Wyrównuję.

Umieszczała teraz na dachu rodzinę w charakterze komina.

– Gdzie wędrują przywłaszczony środek?

– Do takiego jednego stowarzyszenia i na moje wynagrodzenie.

– Skąd je pani ściąga?

– A zewsząd po trochu. Gdzie tylko bogacze je ukrywają. Wchodzę do skrytek i podbieram.

– Bez śladu?

– W ciągu dziesięciu lat tylko raz miałam kłopoty, trzy miesiące temu, bo musiałam działać w pośpiechu. Dlatego jestem teraz u Clémentine. Zacieram swoje ślady, już prawie skończyłam.

– Nie ma co się spieszyć – rzekła Clémentine. – Ale on to co innego, dostał tylko sześć tygodni. Nie wolno o tym zapominać.

Adamsberg ze zdumieniem spoglądał na tę piratkę, hakerkę, drobną leciwą kobietę, chudą, zgarbioną, o drżących dłoniach. Imieniem Josette.

– Gdzie się pani tego nauczyła?

– To przychodzi samo, jak się ma smykałkę. Clémentine powiedziała, że jest pan w kłopotcie. Ze względu na nią mogę służyć pomocą, jeśli pan chce...

– A byłaby pani w stanie – przerwał jej Adamsberg – zajrzeć do plików na przykład notariusza? Poczytać jego dokumenty?

– Łatwizna – odparła wątłym głosem. – Oczywiście jeśli mają formę cyfrową.

– I złamać hasła? Zabezpieczenia? Jak przechodzimy?

– Tak – skromnie przyznała Josette.

– Prawie jak duch – podsumował Adamsberg.

– Trzeba mu pomóc – wtrąciła się Clémentine. – Bo ma jakiegoś ducha na karku. Uczepił się i nie popuszcza. Josette, moja droga, nie baw się jedzeniem, nie żeby mi to osobiście przeszkadzało, ale nie spodobałoby się mojemu tacie.

Siedząc boso po turecku na kwiecistej kanapie, Adamsberg wyjął nowy telefon, by zadzwonić do Danglarda.

– Przepraszam – odezwała się Josette – dzwoni pan do kogoś pewnego? Kto ma pewną linię?

– To nowy telefon. I dzwonię na komórkę.

– Trudno namierzyć, ale jeśli rozmowa potrwa dłużej niż osiem, dziesięć minut, lepiej zmienić częstotliwość. Pożyczę panu swój aparat, jest przerobiony. Niech pan pilnuje czasu i naciśnie w porę o, ten guziczek. Jutro przysposobię pański telefon.

Zadziwiony Adamsberg wziął udoskonalony aparat Josette.

– Mam szczęście tygodni, Danglard. Wymusiłem je na ukrytej stronie oblicza Brézillona.

Danglard gwizdnął z podziwu.

– Myślałem, że obie strony oblicza ma z lodu.

– Nie, przejechała solarka i odtajało. Przyparłem go. Dostałem broń, nową blachę i oficjalne częściowe odwołanie poszukiwań. Nie gwarantuję, że nie ma podsłuchów, nie wszędzie mogą się pokazać. Jeśli wpadnę, Brézillon poleci razem ze mną. A tak się składa, że mi zaufał, choć tylko na czas określony. Poza tym ten facet rozgniała niedopałek kciukiem i nie przypala sobie palca. Słowem, nie mogę go wydać, nie mogę iść do kartoteki.

– Znaczy, że ja mam iść?

– I do archiwów. Musimy wypełnić lukę między śmiercią sędziego a Schiltigheim. Czyli wyszukać w ciągu ostatnich szesnastu lat morderstwa popełnione trzema ciosami w brzuch. Możesz się tym zająć?

– Uczniem tak.

– Prześlij mi to mailem. Sekundę... – Adamsberg wcisnął guzik wskazany przez Josette.

– Coś mi brzęczy – rzekł Danglard.

– Zmieniłem częstotliwość.

– Sprytnie – skomentował Danglard. – Sztuczka mafiosów.

– Zmieniłem stronę i częstotliwość, komisarzu. Adaptuję się.

Późną nocą, leżąc pod niezbyt ciepłymi kapami, Adamsberg wpatrywał się w żar ognia w ciemnościach, oceniając rozległe możliwości, jakie otwierały się przed nim dzięki obecności w tych murach starej hakerki. Usiłował sobie przypomnieć nazwisko notariusza, który załatwiał sprzedaż Dworu w Pirenejach. Notariusz Fulgence'a niewątpliwie zachowywał absolutne milczenie. Na pewno w młodych latach dopuścił się jakichś nieprawidłowości i Fulgence go dorwał. Facet wpadł na całego, na resztę życia stał się jego niewolnikiem. Jak on się nazywał, do cholery?

Kiedy Adamsberg zjawił się u niego w sprawie daty zakupu Dworu, widział błyszczącą złotą tabliczkę na fasadzie zamożnego domu. Pamiętał młodego człowieka, przed trzydziestką. Przy odrobinie szczęścia wciąż jeszcze praktykuje.

Złota tabliczka mieszała się Adamsbergowi w oczach z migotaniem żaru w kominku. Pamiętał, że nazwisko było jakieś niewesołe, przygnębiające. Powoli zaczął robić przegląd wszystkich liter alfabetu. Desseveaux. Mecenas Jérôme Desseveaux, notariusz. Trzymany za jaja żelazną ręką sędziego Fulgence'a.

XLIV

Adamsberg siedział obok Josette i zafascynowany jej niewiarygodną biegłością patrzył, jak drobne drżące palce staruszki śmigają po klawiaturze. Przez monitor z dużą prędkością przewijały się niezliczone serie cyfr i liter, na które Josette odpowiadała równie niezliczonymi ciągami kombinacji. Adamsberg postrzegał teraz komputer nie tak jak zwykle, lecz jako wielką lampę Aladyna, z której wyłoni się džinn i uprzejmie mu zaproponuje, że spełni jego trzy życzenia. Tyle że trzeba było umieć się nią posługiwać, podczas gdy dawniej pierwszy lepszy kmiotek potrafił szmatą odkurzyć lampę. W kwestii spełniania życzeń w ciągu wieków sprawy mocno się pokomplikowały.

– Pański człowiek jest mocno chroniony – zauważyła Josette swym drżącym głosem, w którym jednak teraz, gdy znajdowała się na swoim terenie, nie było nieśmiałości. – Takie zasieki to o wiele za dużo jak na kancelarię notarialną.

– To nie jest zwykła kancelaria. Duch trzyma jej właściciela za jaja.

– Skoro tak...

– Uda się pani?

– Są cztery kolejne zabezpieczenia. Na to trzeba czasu.

Ponieważ staruszce głowa drżała tak jak ręce, Adamsberg się zastanawiał, czy może poprawnie czytać to, co widnieje na monitorze. Clémentine, dbająca o podtuczenie inspektora, weszła z talerzem placków i syropem klonowym. Adamsberg przyjrzał się ubraniu Josette: miała na sobie elegancki beżowy kostium i toporne buty sportowe.

– Czemu chodzi pani w adidasach? Żeby nie hałasować w podziemiach?

Josette się uśmiechnęła. Może. Strój włamywacza, miękki i praktyczny.

– Docenia wygodę i tyle – powiedziała Clémentine.

– Dawniej – rzekła Josette – kiedy byłam żoną armatora, nosiłam tylko garsonki i perły.

– Same eleganckie ciuchy – poświadczyła Josette.

– Bogaty był?

– Nie wiedział, co robić z pieniędzmi. Wszystko zatrzymywał dla siebie. Podbierałam drobne kwoty to tu, to tam, żeby wspomóc przyjaciół w kłopotach. Tak to się zaczęło. W tamtym czasie nie byłam bardzo biegła, dlatego mnie przyłapał.

– Szkody były duże?

– Bardzo duże. I głośne. Po rozwodzie zaczęłam plądrować jego konta, potem sobie powiedziałam: Josette, jak chcesz, żeby ci się powiodło, musisz powiększyć skalę. I tak to się stało. W wieku sześćdziesięciu pięciu lat byłam gotowa wystartować.

– Jak pani się poznała z Clémentine?

– Na bazarze trzydzieści pięć lat temu. Mąż mi podarował sklep ze starzyzną.

– Żeby się nie nudziła – wyjaśniła Clémentine, która stała nad Adamsbergiem, pilnując, by zjadł placki. – Z towarem wysokiej klasy, nie z jakąś tandetą. Dobrześmy się bawiły, co nie, Josette?

– No to mamy pana reagenta – powiedziała Josette, wskazując palcem monitor.

– W samą porę – ucieszyła się Clémentine, która w życiu nawet nie dotknęła klawiatury.

– To ten, prawda? Kancelaria notarialna Jérôme Desseveaux i Wspólnicy, boulevard Suchet, Paryż.

– Jest pani u niego? – spytał zafascynowany Adamsberg, przysuwając się z krzesłem.

– Jakbym chodziła po biurach. Duży interes, siedemnastu wspólników i tysiące dokumentów. Wkładamy wygodne buty i ruszamy na poszukiwanie. Jakie nazwisko, mówi pan?

– Fulgence, Honoré Guillaume.

– Jest parę rzeczy – rzekła Josette po chwili. – Ale nic po osiemdziesiątym siódmym roku.

– Dlatego, że umarł. Musiał zmienić nazwisko.

– Po śmierci to obowiązkowe?

– Zależy, co ma się robić. A jest Maxime Leclerc, nabywca w dziewięćdziesiątym dziewiątym?

– Jest – potwierdziła Josette niebawem. – Nabywca Zamku w departamencie Bas-Rhin. Nic więcej nie ma pod tym nazwiskiem.

Kwadrans później Josette udostępniła Adamsbergowi wykaz wszystkich posiadłości Trójzęba nabytych po roku 1949, kancelaria Desseveaux przejęła bowiem wcześniejsze dokumenty. Ten sam niewolnik obsługiwał zatem sędziego nie tylko za życia, ale także w zaświatach, łącznie z niedawnym zakupem Zamku.

W kuchni Adamsberg ucierał krem jajeczny drewnianą łyżką według wskazówek Clémentine. To znaczy mieszał go bez przerwy ze stałą prędkością, kreśląc w rondlu ósemki. Co było ważne, żeby nie potworzyły się grudki. Położenie i nazwy kolejnych posiadłości sędziego potwierdzały to, co już wiedział

o przeszłości Fulgence'a. Wszystkie pasowały do lokalizacji zbrodni z trzema ranami wytropionych podczas jego długiego dochodzenia. Przez dziesięć lat sędzia sprawował urząd w swoim okręgu w Loire-Atlantique, mieszkając w Castelet-les-Ormes. W roku 1949 nadział swoją pierwszą ofiarę, dwudziestoosmioletniego Jeana-Pierre'a Espira. Cztery lata później w tej samej okolicy została zamordowana dziewczyna, Annie Lefebure, w okolicznościach bardzo podobnych do tych, w których zginęła Élisabeth Wind. Sędzia powtórzył swój popis po sześciu latach, nadziejając na trójzab młodego człowieka, niejakiego Dominique'a Ventou. Wtedy też przezornie sprzedał Castelet-les-Ormes i osiadł w kolejnym okręgu, w departamencie Indre-et-Loire. Akty notarialne poświadczały zakup siedemnastowiecznego zameczku Les Tourelles. Na nowym terenie Fulgence wykończył dwóch mężczyzn: czterdziestosiedmioletniego Juliana Soubise'a i cztery lata później starego Rogera Lentretiena. W roku 1967 znów zmienił teren – zamieszkał wtedy we Dworze w rodzinnej wiosce Adamsberga. Tam dopiero po sześciu latach zabił Lise Autan. Tym razem młody Adamsberg stanowił dla niego zagrożenie, toteż Fulgence wyniósł się zaraz potem do Dordogne, do posiadłości Pigeonnier. Adamsberg znał ten szlachecki majątek, do którego – podobnie jak do Schiltigheim – dotarł za późno. Zanim się tam zjawił, sędzia zdążył uciec po zamordowaniu trzydziestopięcioletniego Daniela Mestre'a.

Następnie Adamsberg zlokalizował go w Charente po zabójstwie Jeanne Lessard liczącej pięćdziesiąt sześć lat. Okazał się wtedy szybszy i odnalazł Fulgence'a w nowej posiadłości Tour-Maufourt. Ujrzał go po raz pierwszy od dziesięciu lat – sędzia nie stracił nic ze swojej ognistej władczości. Wyśmiał oskarżenia młodego funkcjonariusza policji i zagroził, że go zgniecie w proch, jeśli nadal będzie go nękał. Towarzyszyły mu dwa nowe psy, dobermany, ich wściekłe ujadanie dobiegało z psiarni. Adamsberg cierpiał pod sędziowskim spojrzeniem, które było mu równie trudno znieść jak w Dworze w czasach, gdy miał osiemnaście lat. Wyliczył osiem morderstw, o które go oskarżał, od Jeana-Pierre'a Espira po Jeanne Lessard. Fulgence wcisnął mu czubek laski w pierś, zmuszając go, aby się cofał, i uprzejmym tonem wygłosił kilka słów definitywnej odprawy.

– Nie dotykaj mnie, nie zbliżaj się. Spuszczę na ciebie grom, kiedy mi się spodoba. – Odstawił następnie laskę i biorąc klucze od psiarni, powtórzył to samo, co już powiedział dziesięć lat wcześniej w szopie: – Jazda stąd, młodzieńcze. Liczę do czterech.

I tak jak dziesięć lat wcześniej Adamsberg uciekł przed dobermanami, które wypadły z psiarni. W pociągu otrząsnął się, złapał oddech i na ile mógł, na tyle zbagatelizował napuszone pogroźki sędziego. Ten człowiek, który zgrywał wielkiego pana, nie zgniecie go w proch czubkiem swojej laski. Podjął polowanie,

lecz zaskoczyła go nagła wyprowadzka Fulgence'a z Tour-Maufourt. Dopiero cztery lata później, natknąwszy się na informację o śmierci sędziego, Adamsberg poznał jego ostatnią kryjówkę: pałacyk w Richelieu w departamencie Indre-et-Loire.

Sumiennie kreślił ósemki w kremie jajecznym. W pewnym sensie to zadanie pomagało mu wytrwać, nie widzieć siebie w diabelskiej skórze Trójzęba, jak nadzieja na widły Noëlle na przenosce – tak jak zrobiłby Fulgence.

Mieszając drewnianą łyżką, wsłuchany w jej miarowe szuranie, porządkował sobie w głowie kolejną porcję podziemnych działań do wykonania z Josette. Początkowo powątpiewał w jej talenty, przypuszczał, że ramolejąca staruszka wyolbrzymia, wymyśla sobie jakieś urojone życie. Tymczasem miał do czynienia z hakerką pierwsza klasa, zuchwałą i biegłą, ulokowaną w ciele niegdyś zamożnej Josette. Nie posiadał się po prostu z podziwu. Zdjął rondel z ognia, gdy krem jajeczny nabrał właściwej konsystencji. Przynajmniej tego udało mu się nie spartaczyć.

Pożyczył znowu od Josette jej komórkę mafiosa, by zadzwonić do Danglarda.

– Na razie nic – rzekł jego partner. – To potrwa.

– Znalazłem skrót.

– Sypki?

– Solidny. Ten sam niewolniczy notariusz zajmował się nabytkami Fulgence'a aż do jego śmierci. Ale też nabytkami Ucznia – dodał ostrożnie. – W każdym razie Zamku w Haguenau.

– Gdzie ty jesteś?

– W kancelarii notarialnej, boulevard Suchet. Chodzę sobie po niej i zaglądam, gdzie chcę. W tenisówkach, żeby nie hałasować. Wełniane dywany, błyszczące segregatory i wentylatory. Full wypas.

– Aha.

– Tyle że po śmierci Fulgence'a kupna dokonywano na inne nazwiska, jak Maxime Leclerc. Mam więc szansę wytropić wszystkie z ostatnich szesnastu lat, ale pod warunkiem, że będę miał nazwiska i imiona kojarzące się z Fulgence'em.

– No tak – przyznał Danglard.

– Tyle że ja nie dam rady. Nie mam pojęcia o etymologii. Mógłbyś mi zrobić listę wszystkich słów związanych z błyskawicą, piorunem, światłem i z wielkością, władzą, jak w przypadku Maxime'a Leclerca? Notuj wszystko, co ci przyjdzie do głowy.

– Nie muszę notować, mogę ci je od razu podać. Masz czym pisać?

– Mów – rzekł Adamsberg znowu zdjęty podziwem.

– Nie ma dużo możliwości. Jeśli chodzi o światło, sprawdź Luce, Lucien, Lucenet i pokrewne formy, poza tym Flamme, Flambard. Co do jasności, zobacz formy pochodzące od łacińskiego clarus, jaśniejący, wspaniały. Czyli Clair, Clar, ewentualnie zdrobnienia typu Claret, Clairet. Jeśli chodzi o wielkość, spróbuj Mesme i Mesmin, formy ludowe wywodzące się od Maxime, Maximin, Maximilien. Może być też Legrand, Majoral, Majorel i jeszcze Mestrau lub Mestraud, zniekształcone formy oznaczające mistrza, kogoś wysoko postawionego. Dodaj Primat, mogą też być warianty pejoratywne typu Primard i Primaud. Do tego Auguste, Augustin ze względu na dostojność. Pamiętaj o imionach, które mają przywozić skojarzenia z wielkością, na przykład Alexandre, Alex, César czy Napoléon, chociaż to ostatnie za bardzo zwraca uwagę.

Adamsberg zaraz poszedł ze spisem do Josette.

– Trzeba z tym wszystkim popробować, szukając nabywców w okresie między śmiercią sędziego a transakcją na nazwisko Maxime'a Leclerca. Chodzi o kupno majątków ziemskich, zameczków, dworków, pałacyków położonych na uboczu.

– Rozumiem – powiedziała Josette. – Teraz ścigamy ducha.

Z pięściami zaciśniętymi na kolanach Adamsberg niespokojnie czekał, aż staruszka skończy swoje niepojęte czary-mary.

– Mam trzy nazwiska, które mogą pasować – oznajmiła wreszcie. – Jest też niejaki Napoléon Grandin, ale w małym mieszkaniu w La Courneuve. To raczej nie będzie pański człowiek. Jeśli dobrze zrozumiałam, nasz duch nie ma ciągotek proletariackich. Jest za to Alexandre Clar, który kupił dworek w Wandei w osiemdziesiątym ósmym roku. W gminie Saint-Fulgent. Pozbył się go w dziewięćdziesiątym trzecim. Lucien Legrand, właściciel majątku w Puy-de-Dôme, gmina Pionsat, od dziewięćdziesiątego trzeciego do dziewięćdziesiątego siódmego. I Auguste Primat, szlachecka posiadłość na północy, w gminie Solesmes, od dziewięćdziesiątego siódmego do dziewięćdziesiątego dziewiątego. Później ten Maxime Leclerc od dziewięćdziesiątego dziewiątego do teraz. Daty są w jednym ciągu. Zaraz to panu wydrukuję. Niech mi pan tylko pozwoli pozacierać nasze ślady na dywanie.

– Mam go, Danglard – wysapał Adamsberg zadyszany po wyprawie w podziemia.

– Jeśli chodzi o nazwiska, sprawdź najpierw, czy na pewno ich nie ma w rejestrach urzędu stanu cywilnego: Alexandre Clar urodzony w trzydziestym piątym, Lucien Legrand urodzony w trzydziestym dziewiątym i Auguste Primat urodzony w trzydziestym pierwszym. Jeśli chodzi o morderstwa, przeszukaj tereny

o promieniu od pięciu do sześćdziesięciu kilometrów wokół gmin Saint-Fulgent w Wandei, Pionsat w Puy-de-Dôme i Solesmes na północy.

– Teraz pójdzie dużo szybciej. Masz lata?

– Pierwsze morderstwo między osiemdziesiątym ósmym rokiem a dziewięćdziesiątym trzecim, drugie między dziewięćdziesiątym trzecim a dziewięćdziesiątym siódmym, trzecie między dziewięćdziesiątym siódmym a dziewięćdziesiątym dziewiątym. Weź pod uwagę, że ostatnie zbrodnie prawdopodobnie zostały popełnione niedługo przed wystawieniem na sprzedaż posiadłości. To znaczy w dziewięćdziesiątym trzecim na wiosnę, w dziewięćdziesiątym siódmym zimą i w dziewięćdziesiątym dziewiątym jesienią. Skup się najpierw na tych okresach.

– Zawsze lata nieparzyste – zauważył Danglard.

– Lubi je. Tak jak cyfrę trzy i trójzab.

– Pomysł z Uczniem może nie był taki zły. Nabiera kształtów.

Pomysł z duchem, sprostował Adamsberg, rozłączając się. Z duchem, który szybko nabierał kształtów, w miarę jak nielegalne działania Josette odsłaniały kolejno jego kryjówki. Niecierpliwie czekał teraz na telefon od Danglarda, krążąc po małym domku ze spisem w ręce. Clémentine pochwaliła jego krem jajeczny. Choć tyle dobrego.

– Złe wieści – oznajmił Danglard. – Szef gadał z Lalibertém... znaczy z Légalitém, jak go stale nazywa... bo chciał wyjaśnić parę rzeczy. Brézillon dał mi znać, że padł jeden z dwóch punktów, które przemawiały za tobą. Laliberté udowodnił, że wiedział o twojej amnezji od strażnika w bloku. Powiedziałeś mu o awanturze między gliniarzami i jakąś bandą. Ale na drugi dzień, jak zeznał strażnik, byłeś bardzo zdziwiony, kiedy się dowiedziałeś, o której wróciłeś. Nie wspominając, że bójka gliniarzy z bandą była kłamstwem i że miałeś ręce we krwi. Stąd Laliberté wywnioskował, że miałeś kilkugodzinny zanik pamięci, bo myślałeś, że wróciłeś dużo wcześniej i okłamałeś strażnika. Czyli nie było anonimowego telefonu, nie było donosiciela. To odpada.

– I Brézillon wycofuje się z zawieszenia? – spytał zgnębiony Adamsberg.

– Nic o tym nie mówił.

– A co z tymi morderstwami? Masz coś?

– Na razie wiem tylko, że Alexandre Clar nigdy nie istniał, tak samo jak Lucien Legrand i Auguste Primat. To wymyślone nazwiska. Z resztą nie zdążyłem przez to zamieszanie z szefem. No i mamy na głowie świeże morderstwo na rue du Château. Osobistość z kręgów okołopolitycznych. Nie wiem, kiedy znajdę czas, żeby zasiać do Ucznia. Przykro mi, stary.

Adamsberg rozłączył się ścięty z nóg rozpaczą. Cierpiący na bezsenność

strażnik po prostu. I oczywiste dedukcje Lalibertégo.

Wszystko się waliło, niteczka nadziei się zerwała. Nie ma denuncjatora, nie ma zmowy. Nikt nie doniósł nadintendentowi o jego zaniku pamięci. Nie było zatem osoby, która w jakiś sposób do tego doprowadziła. Trzeciego w sprawie, kogoś, kto knuł w cieniu. Niestety, Adamsberg był sam na tej ścieżce, trójząb miał w zasięgu ręki, a przed sobą Noëllę wygłaszającą pogrózki. I mordercze szaleństwo w głowie. Może jak jego brat. Albo z powodu brata.

Clémentine cichutko zjawiała się koło niego, podając mu kieliszek porto.

– Opowiadaj, synku.

Bezbarwnym głosem, wpatrując się w podłogę, Adamsberg opowiedział jej wszystko.

– To tylko gliniarskie zdanie – rzekła łagodnie Clémentine, kiedy skończył. – A gliniarskie zdanie i twoje to dwie różne rzeczy.

– Byłem sam, Clémentine, sam.

– E, no, tego przecież nie wiesz, bo nic nie pamiętasz. Wyniuchaliście z Josette tego cholernika ducha?

– A co to zmienia? Byłem sam.

– To czarnowidztwo, nic więcej – powiedziała Clémentine, wtykając mu kieliszek do ręki. – Nie ma co rozdzierać ran. Lepiej szukajcie dalej z Josette w podziemiach. I masz wypić to porto.

Josette, która ciuchutko siedziała koło kominka, wyglądała, jakby chciała coś powiedzieć, lecz pohamowała się ostatecznie.

– Nie duś tego w sobie, Josette, moja droga, stale ci to mówię – poradziła Clémentine z papierosem w ustach.

– To delikatna sprawa – tłumaczyła się Josette.

– Z delikatnościami trzeba dać sobie spokój, nie widzisz?

– No więc pomyślałam sobie, że skoro pan Danglard... on tak się nazywa, prawda?... skoro pan Danglard nie ma czasu zająć się tymi morderstwami, może my byśmy mogli? Kłopot w tym, że trzeba by poszperać w archiwach żandarmerii.

– Aha, i co ci w tym przeszkadza?

– On. Jest inspektorem.

– Już nie jest, Josette. Ile razy mam ci powtarzać? Poza tym żandarmi i policja to nie to samo.

Adamsberg podniósł na staruszkę zagubione spojrzenie.

– Mogłaby pani?

– Raz weszłam do FBI, tak tylko, dla zabawy, żeby się rozerwać.

– Nie tłumacz się, Josette. Nic złego nie ma w tym, że pomaga się drugiemu człowiekowi.

Adamsberg z jeszcze większym zdziwieniem patrzył na tę drobną kobietę, w jednej trzeciej była przedstawicielką klasy średniej, w jednej trzeciej trzęsącą się staruszkę, w jednej trzeciej hakerkę.

Po kolacji, którą Clémentine wmusiła w Adamsberga, Josette przystąpiła do ataku na kartoteki policyjne. Obok siebie położyła kartkę z zanotowanymi trzema datami: wiosna 1993, zima 1997, jesień 1999. Od czasu do czasu Adamsberg zaglądał do niej, by sprawdzić, jak prace się posuwają. Na wieczór adidasy zmieniała na wielkie szare papucie, w których wyglądała jak kruche słoniątko.

– Mocno zabezpieczone?

– Wszędzie strażnicy, ale tego należało się spodziewać. Gdyby gdzieś tam były moje akta, nie chciałabym, żeby pierwsza lepsza staruszka włąziła w nie z adidasami.

Clémentine udała się na spoczynek i Adamsberg został sam przy kominku, splatając i rozplatając palce ze wzrokiem wlepionym w palenisko. Nie usłyszał Josette, gdy przyszła do niego cichutko w papuciach tłumiących kroki. A dokładniej w wielkich papuciach hakerki.

– Proszę, panie inspektorze – rzekła z prostotą, pokazując mu jakąś kartkę, skromna mimo dobrze wykonanej roboty i nieświadoma swego talentu, jakby tylko zrobiła zwykły krem jajeczny, kreśląc ósemki w komputerze. – W marcu dziewięćdziesiątego trzeciego, trzydzieści dwa kilometry od Saint-Fulgent, czterdziestoletnia Ghislaine Matère została zamordowana trzema ciosami sztyletem w swoim domu na wsi. Mieszkała sama. W lutym dziewięćdziesiątego siódmego, dwadzieścia cztery kilometry od Pionsat, niejaka Sylviane Brasillier zamordowana trzema ciosami precinakiem w brzuch. W niedzielny wieczór czekała sama na przystanku autobusowym. We wrześniu dziewięćdziesiątego dziewiątego Joseph Fèvre, sześćdziesiąt sześć lat, zamordowany trzydzieści kilometrów od Solesmes. Trzema ciosami nożem.

– Co z winnymi? – zapytał Adamsberg, biorąc od niej kartkę.

– Tutaj. – Josette wskazała drżącym palcem. – Lekko stuknięta pijaczka, która mieszkała w lesie w szałasie, uchodząca w okolicy za czarownicę. W przypadku małej Brasillier zapuszczowali bezrobotnego, bywalca barów w Saint-Eloy-les-Mines niedaleko Pionsat. A za zabicie Fèvre'a zgarnęli gajowego, który leżał bez czucia na ławce na przedmieściach Cambrai. Miał promile we krwi i nóż w kieszeni.

– Zanik pamięci?

– U wszystkich.

- Narzędzia zbrodni nowe?
 - We wszystkich trzech przypadkach.
 - Wspaniale, pani Josette. Idziemy dokładnie jego tropem od Castelet-les-Ormes w czterdziestym dziewiątym roku aż do Schiltigheim. Dwanaście morderstw, Josette, dwanaście. Zdaje pani sobie sprawę?
 - Trzyście razem z tym w Quebecu.
 - Byłem sam.
 - Rozmawiał pan z kolegą o jakimś uczniu. Skoro popełnił zbrodnię cztery razy po śmierci sędziego, dlaczego nie miałby zabić także w Quebecu?
 - Z prostego powodu. Gdyby zadał sobie trud i pojechał aż do Quebecu, to tylko po to, aby mnie wciągnąć w pułapkę, zrobić ze mnie kozła ofiarnego jak z innych. Jeżeli jakiś uczeń albo rywal przejął pałeczkę od Fulgence’a, zrobił to z czci, jaką darzył sędziego, z przemożnego pragnienia, by dokończyć jego dzieła. Ale ten człowiek, mężczyzna czy kobieta, nawet omotany przez Fulgence’a, nie jest Fulgence’em. Fulgence nienawidził mnie i pragnął mojej porażki. Ale ten drugi, uczeń, nie ma w sobie takiej nienawiści, nie zna mnie. Dokończenie serii sędziego to jedno, zamordowanie jednak, żeby sprezentować moją skórę nieboszczykowi, to drugie. Nie wierzę w to. Dlatego mówię, że byłem sam.
 - Clémentine mówi, że to czarnowidztwo.
 - Ale realne. A jeśli istnieje jakiś uczeń, na pewno nie jest stary. Wielbienie kogoś to prawo młodości. Można przyjąć, że ten człowiek ma dzisiaj jakieś trzydzieści, czterdzieści lat. To pokolenie nie pali fajki, a jeśli już, to bardzo rzadko. Mieszkaniec Zamku palił fajkę i miał siwe włosy. Nie, pani Josette, nie wierzę w ucznia. To ślepy zaułek.
- Josette miarowo poruszała nogą w szarym papuciu, postukując w starą ceglana posadzkę.
- Chyba że uwierzymy w nieumarłych – rzekła po chwili.
 - Chyba że uwierzymy.
- Zamilkli oboje na długo. Josette przegarniała ogień pogrzebaczem w kominku.
- Jest pani zmęczona, moja droga? – zapytał Adamsberg i sam się zdziwił, że używa takich słów jak Clémentine.
 - Często chodzę po nocy.
 - Weźmy tego człowieka, Maxime’a Leclerca, Auguste’a Primata czy jak tam się nazywa. Od śmierci sędziego jest niewidzialny. Więc albo uczeń stara się, by widmowy wizerunek Fulgence’a trwał po jego śmierci, albo nasz nieumarły nie chce odsłonić twarzy.
 - Bo jest nieżywy.
 - Właśnie. W ciągu czterech lat nikt nie widział Maxime’a Leclerca. Ani

pracownicy agencji, ani gosposia, ani ogrodnik, ani listonosz. Wszystkie zakupy załatwiała gosposia. Wskazówek pryncypał udzielał na piśmie, ewentualnie przez telefon. Czyli niewidzialność jest możliwa, skoro jemu się udało. Mimo to, pani Josette, wydaje mi się nierealne takie zupełne ukrycie się przed ludzkim okiem. Może przez dwa lata, ale nie przez pięć, nie przez szesnaście! To może zadziałać, pod warunkiem jednak, że nie wejdą w paradę różne nieprzewidywalne okoliczności życiowe, wyjątkowe sytuacje, choćby drobne komplikacje. A w ciągu szesnastu lat coś takiego musi się zdarzyć nieraz. Jeśli uważnie prześledzić te szesnaście lat, powinniśmy natrafić na jakąś komplikację.

Josette, jako sumienna hakerka, słuchała i czekała na dokładniejsze rozkazy, trzęsąc głową i papuciem.

– Chodzi mi po głowie lekarz, pani Josette. Jakieś zasłabnięcie, upadek, zranienie... Komplikacja, która zmusza do wezwania lekarza. Gdyby coś takiego się stało, ten człowiek nie wzywałby miejscowego medyka. Uciekłby się do anonimowych służb, do jakiejś ekipy ratunkowej, do ludzi, których widzi się raz w życiu, a oni zaraz zapominają o pacjencie.

– Rozumiem – powiedziała Josette. – Ale takie służby mają obowiązek przechowywać dokumenty tylko przez pięć lat.

– To by nas ograniczało jedynie do Maxime’a Leclerca. Czyli trzeba by poszperać w stacjach pogotowia ratunkowego w tej części departamentu Bas-Rhin, poszukać, czy przypadkiem nie było wezwania z Zamku nieumarłego.

Josette odwiesiła pogrzebacz, poprawiła kolczyki i podciągnęła rękawy wytworzonego swetra. O pierwszej w nocy uruchomiła swój sprzęt. Adamsberg został sam przy kominku, dorzucił do niego dwa polana spięty jak ojciec czekający na przyjście na świat potomka. Hołdował teraz nowemu przesądowi: trzymać się z dala od Josette, kiedy działa ze swoją lampą Aladyna. Za bardzo się bał, że będąc przy niej, zauważy grymas zniechęcania, zawiedzioną minę. Cekał zatem bez ruchu, utknąwszy na nawiedzanej przenosce. I uczepiony strzępków nadziei, jaką dawały mu krok po kroku potajemne poszukiwania staruszki. Składał te strzępki po kolei do komórek swoich myśli. Modląc się, by zapory ustąpiły jak ołów stopiony ogniem geniuszu jego hakerczki. Zanotował określenia, których używała, szacując opór zabezpieczeń w kolejności od najsłabszych: bułka z masłem, pieprzne, łykowate, zasieki, beton, strażnice. A kiedyś ominęła strażnice FBI. Wyprostował się, słysząc szuranie papuci w korytarzyku.

– Proszę – oznajmiła Josette. – Było dość łykowate, ale dało się przejść.

– Szybko, niech pani mówi – poprosił Adamsberg, wstając.

– Maxime Leclerc wezwał pogotowie dwa lata temu, siedemnastego sierpnia o czternastej czterdzieści. Siedem uządleń przez osy spowodowało duży obrzęk

szy i dolnej części twarzy. Siedem. Lekarz przyjechał w pięć minut. Drugi raz przyjechał o dwudziestej i zrobił jeszcze jeden zastrzyk. Mam nazwisko lekarza, który udzielał pomocy: Vincent Courtin. Pozwoliłam sobie wyszukać jego namiary.

Adamsberg położył dłonie na ramionach Josette. Czuł jej kości przez ubranie.

– W ostatnim czasie moje życie jest w rękach magicznych kobiet. Przerzucają je sobie jak piłkę i co rusz ratują mnie przed upadkiem w przepaść.

– Czy to pana kłopotuje? – spytała poważnie Josette.

Obudził Danglarda o drugiej nad ranem.

– Zostań w łóżku – powiedział. – Chcę ci tylko przekazać wiadomość.

– Śpię dalej i słucham cię.

– Po śmierci sędziego w prasie opublikowano dużo jego zdjęć. Wybierz cztery, po jednym z każdego profilu, jedno en face i jedno trzy czwarte, i poproś w laboratorium, żeby je postarzyli.

– Świetne zdjęcia głów są w każdej dobrej encyklopedii.

– To ważne, Danglard, i superpilne. Na piątym zdjęciu, takim en face, niech w laboratorium dodadzą obrzęk na szyi i twarz jak po użądleniu przez osy.

– Widzę, że dobrze się bawisz – zauważył zrezygnowany Danglard.

– Prześlij mi wszystko, jak tylko będziesz mógł. I nie szukaj tych brakujących morderstw. Mam wszystkie trzy, prześlę ci nazwiska ofiar. Idź spać, nadkomisarzu.

– Nie obudziłem się.

XLV

Na fałszywej legitymacji policyjnej od Brézillona widniało nazwisko, którego Adamsberg nie mógł sobie przypomnieć. Przeczytał je półgłosem, zanim zadzwonił do lekarza. Ostrożnie wyjął telefon komórkowy. Odkąd hakerka go „poprawiła”, z aparatu wystawały tu i tam kawałeczki czerwonych i zielonych drucików jak rozstawione łapki owada, a po bokach niczym oczy dwa malutkie krążki do zmiany częstotliwości. Adamsberg posługiwał się aparatem jak tajemniczym skarabeuszem. Zastał doktora Courtina w domu w sobotę o dziesiątej rano.

– Podinspektor Denis Lamproie – przedstawił się. – Brygada Kryminalna w Paryżu.

Nawykli do problemów z autopsjami i pochówkami lekarze spokojnie reagowali na telefony z kryminalnej.

– O co chodzi? – zapytał doktor Courtin obojętnie.

– Dwa lata temu, siedemnastego sierpnia, był pan u pacjenta w posiadłości Zamek dwadzieścia kilometrów od Schiltigheim...

– Przerwę panu. Nie pamiętam pacjentów, których leczę. Niekiedy odbywam dwadzieścia wizyt dziennie i bardzo rzadko jestem drugi raz u danej osoby.

– Ale ten człowiek został pożądlony przez osy. Siedem razy. Miał obrzęk alergiczny i trzeba mu było podać dwa zastrzyki, jeden wczesnym popołudniem, drugi po dwudziestej

– A tak, pamiętam ten przypadek, bo osy rzadko atakują masowo. Martwiłem się o staruszkę. Mieszkał sam, więc rozumie pan... Za nic nie chciał drugiej wizyty, uparł się jak osioł. Mimo wszystko na koniec dyżuru wpadłem do niego. Musiał mnie wpuścić, bo nadal z trudem oddychał.

– Mógłby go pan opisać?

– Nie bardzo. Oglądam setki twarzy. Starzec, wysoki, siwe włosy, taki z rezerwą, zdaje się. Nie potrafię więcej panu powiedzieć, twarz miał zdeformowaną obrzękiem aż do policzków.

– Mam zdjęcia, mógłbym panu pokazać.

– Szczerze mówiąc, to strata czasu. Pamiętam wszystko mgliście z wyjątkiem ataku os.

Wczesnym popołudniem Adamsberg ze zdjęciami postarzonego sędziego podążał

w stronę Gare de l'Est. Znow jechał do Strasburga. Aby ukryć twarz i wygoloną głowę, włożył kanadyjską uszanke, którą kupił mu Basile, o wiele za ciepłą na łagodne powietrze oceaniczne kształtujące znowu pogodę we Francji. Lekarz na pewno będzie się dziwił, jeśli nie zechce jej zdjąć. Courtin nie był zadowolony z tej wymuszonej konsultacji, Adamsberg czuł, że psuje mu weekend.

Usiedli obaj przy jednym końcu stołu zarzuconego różnymi rzeczami. Courtin był dość młody, naburmuszony i już z lekką nadwagą. Nie obchodził go przypadek starca pożądlonego przez osy, toteż nie zapytał, dlaczego policja się nim interesuje. Adamsberg rozłożył przed nim zdjęcia sędziego.

– Postarzenie i obrzęk są sztuczne – wyjaśnił, tłumacząc dziwny wygląd osoby na fotografiach. – Czy ten człowiek kogoś panu przypomina?

– Nie chciałby pan najpierw trochę się rozdziać? – spytał go lekarz.

– Chętnie – odparł Adamsberg, który zaczynał spływać potem w polarnej czapce. – Wie pan, złapałem wszy w jakiejś celi i mam połowę głowy wygoloną.

– Dziwny sposób pozbywania się wszy – zauważył Courtin, kiedy Adamsberg odkrył głowę. – Czemu wszystkich włosów nie zgolono?

– Zajmował się mną kolega, były zakonnik. Dlatego.

– Aha – rzekł lekarz ciut stropiony. Po krótkim wahaniu wrócił do oglądania zdjęć. – Ten – powiedział po chwili, kładąc palec na zdjęciu lewego profilu sędziego. – To ten staruszek od os.

– Mówił pan, że słabo go pamięta.

– Jego tak, ale nie ucho. Lekarze zapamiętują anomalie lepiej niż twarze. Doskonale pamiętam jego lewe ucho.

– Co w nim szczególnego? – spytał Adamsberg, nachylając się nad zdjęciem.

– Ta nierówna szrama tutaj. W dzieciństwie facet na pewno miał operowane odstające uszy. W tamtych czasach nie zawsze się to udawało. Rana goiła się przez ziarninowanie i doszło do deformacji obrębka małżowiny usznej.

Zdjęcia pochodziły z czasów, kiedy sędzia jeszcze był czynny zawodowo. Nosił wtedy krótkie włosy i uszy miał odsłonięte. Adamsberg poznał Fulgence'a już na emeryturze, z dłuższą fryzurą.

– Musiałem odgarnąć mu włosy, żeby zbadać wielkość obrzęku – tłumaczył Courtin. – I wtedy zauważyłem tę deformację. A reszta twarzy... ludzka.

– Jest pan pewien, doktorze?

– Jestem pewien, że lewe ucho było operowane i rana źle się goiła. Jestem pewien, że na prawym uchu nie było żadnych blizn, jak na tych zdjęciach. Obejrzałem je z ciekawości. Ale na pewno nie on jeden we Francji ma lewe ucho

z takimi śladami. Rozumie pan? Niemniej to rzadki przypadek. Zwykle obydwójce uszu reaguje tak samo w przypadku operacji. Rzadko się zdarza ziarninowanie tylko z jednej strony, jak tutaj. Powiedzmy, że to się zgadza z tym, co zauważyłem u tego Maxime'a Leclerca. Nic więcej nie mogę dodać.

– Wtedy ten człowiek miał dziewięćdziesiąt siedem lat. Czyli był mocno sędziwy. Czy to także by pasowało?

Courtin niedowierzająco pokręcił głową.

– Niemożliwe. Mój pacjent miał nie więcej jak osiemdziesiąt pięć lat.

– Na pewno? – zapytał Adamsberg zaskoczony.

– Absolutnie. Gdyby staruszek miał dziewięćdziesiąt siedem lat, nie zostawiłbym go samego po siedmiu uządleniach os. Natychmiast bym go hospitalizował.

– Maxime Leclerc urodził się w tysiąc dziewięćset czwartym roku – upierał się Adamsberg. – Od trzydziestu lat był na emeryturze.

– Nie – powtórzył Courtin. – Tu mam pewność. Trzeba odjąć co najmniej piętnaście lat.

Adamsberg szerokim łukiem ominął w Strasburgu katedrę, w obawie że ujrzy naraz Nessiego zasapanego we wrotach, w których utknął ze smokiem, albo rybę z jeziora Pink przesmykującą się przez wysokie okno w nawie.

Przystanął i przetarł palcami oczy. Po kolei odrzucać liście w zacienionych miejscach, zaleciła Clémentine, żeby odsłonić grzyby prawdy. Chwilowo należało połączyć za tym zniekształconym uchem. Faktycznie trochę przypominającym grzyb. Musiał zachowywać czujność, starać się, by ołowiane chmury jego myśli nie spowiły mrokiem wąskiej ścieżki. Jednakże stanowcze zapewnienie lekarza co do Maxime'a Leclerca mocno go zdezorientowało. To samo ucho, ale nie ten sam wiek. Tyle że doktor Courtin oceniał wiek żywych ludzi, a nie duchów.

„Akuratność, akuratność i jeszcze raz akuratność”. Adamsberg zacisnął dłoń w pięść na wspomnienie nadintendenta i wskoczył do pociągu. Kiedy wysiadał z niego na Gare de l'Est, dokładnie wiedział, do kogo się zwrócić, by podążyć za tym uchem.

XLVI

Proboszcz w jego wiosce wstawał z kurami, jak powtarzała matka Adamsberga, stawiając go za wzór. Adamsberg odczekał, aż jego zegarki pokażą pół minuty po ósmej, i zadzwonił do księdza, który wedle jego wyliczeń był już po osiemdziesiątce. Ten człowiek zawsze miał w sobie coś z przyczajonego wielkiego psiska, pozostawało mu zatem tylko mieć nadzieję, że pod tym względem się nie zmienił. Proboszcz Grégoire chłonął masę niepotrzebnych drobiazgów zachwycony, że Stwórca dał światu istot żywych taką różnorodność. Przedstawił mu się swoim nazwiskiem.

– Który Adamsberg? – spytał duchowny.

– Ten od twoich starych ksiąg. „Jakiż bóg, jaki żniwiarz wieczystego lata rzucił, kiedy odchodził w inną stronę świata, ten sierp ze złota w polu kwitnącym gwiazdami”.

– Zostawił, Jean-Baptiste, zostawił – sprostował proboszcz, nie okazując zdziwienia tym telefonem.

– Rzucił.

– Zostawił.

– No nieważne. Potrzebuję cię, Grégoire. Nie obudziłem cię?

– Coś ty, wstaję z kurami. A z wiekiem... no wiesz... Daj mi minutkę, sprawdzę. Wzbudziłeś we mnie wątpliwości.

Adamsberg niespokojny czekał z telefonem w ręce. Czy Grégoire już nie wyczuwa, że ktoś go pilnie potrzebuje? W wiosce słynął z tego, że reagował na najdrobniejszy przejaw kłopotów u parafian. Przed proboszczem Grégoire'em niczego nie dało się ukryć.

– Rzucił. Masz rację, Jean-Baptiste – rzekł po chwili ksiądz zawiedzionym głosem do telefonu. – Z wiekiem... no wiesz...

– Grégoire, pamiętasz sędziego? Pana?

– Ty znowu o nim? – zdziwił się Grégoire z wyrzutem w głosie.

– Wrócił spośród umarłych. Albo złapię starego diabła za rogi, albo stracę duszę.

– Nie mów tak – rozkazał mu proboszcz jak dziecku. – Gdyby Pan Bóg to usłyszał...

– Grégoire, pamiętasz jego uszy?

– Chodzi ci o lewe?

- Właśnie – żywo podchwycił Adamsberg, biorąc do ręki długopis. – Mów.
 - Nie należy źle się wypowiadać o zmarłych, ale to ucho nie było udane. Nie z woli Pana Boga, tylko z winy lekarzy.
 - Pan Bóg go jednak stworzył z odstającymi uszami.
 - Za to dał mu urodę. Pan Bóg musi rozdzielać wszystkie swoje dary.
- Adamsberg pomyślał, że Pan Bóg nie spełnia swoich obowiązków i całe szczęście, że osoby takie jak Josette wspomagają go w sfuszerowanej robocie.
- Opowiedz o tym uchu – poprosił, starając się nie dopuścić, by Grégoire wdał się w wywody na temat niezbadanych ścieżek Pana.
 - Duże, nieforemne, płatek długi i lekko kosmaty, przewód słuchowy wąski, muszla zniekształcona wgłębieniem pośrodku. Pamiętasz, jak Raphaëlowi wpadł komar do ucha? W końcu wywabiliśmy go świeczką, jak przy łowieniu nocą na światło.
 - Jasne, bardzo dobrze to pamiętam. Wylazł i spalił się w ogniu z takim szmerem. Pamiętasz ten szmer?
 - Tak. Żartowałem wtedy.
 - To prawda. Ale mów o sędzi. Jesteś pewien tego wgłębienia?
 - Na sto procent. Miał też niedużą brodawkę na podbródku po prawej, musiała mu przeszkadzać w goleniu – dodał Grégoire, śmiało czerpiąc ze swojej kopalni szczegółów. – Prawe nozdrze było szersze niż lewe, włosy zarastały nisko policzki.
 - Jak ty to robisz?
 - Ciebie też mogę opisać, jeśli chcesz.
 - Lepiej nie. I bez tego mam o czym myśleć.
 - Nie zapominaj, że sędzia nie żyje, chłopcze, nie zapominaj. Uważaj na siebie.
 - Próbuję.

Adamsberg wyobrażał sobie przez chwilę starego Grégoire'a siedzącego przy sfatygowanym drewnianym stole, po czym z lupą wrócił do oglądania zdjęć. Brodawka na podbródku była wyraźnie widoczna, różnica w wielkości nozdrzy także. Stary proboszcz miał pamięć dobrą jak dawniej, istny teleobiektyw. Pominąwszy różnicę w wieku podawanym przez lekarza, wyglądało na to, że duch Fulgence'a wreszcie wyszedł spod całunu. Wyciągnięty za ucho. Swoją drogą Fulgence nigdy nie wyglądał na swój wiek, myślał Adamsberg, oglądając jego fotografie z czasów, gdy przechodził na emeryturę. Zawsze miał niezwykły wigor, o czym Courtin nie mógł wiedzieć. Maxime Leclerc nie był zatem zwyczajnym pacjentem, a co za tym idzie, nie był też zwyczajnym duchem.

Adamsberg zrobił sobie świeżej kawy i niecierpliwie czekał, aż Josette

i Clémentine wróćą z zakupów. Teraz, gdy znalazł się daleko od Retancourt, swojej opoki, potrzebował ich wsparcia, pragnął się z nimi dzielić każdym postępowaniem w sprawie.

– Trzymamy go za koniuszek ucha, Clémentine – powiedział, odbierając od niej koszyk, gdy wróciła.

– W samą porę. To jak z motkiem włóczki: znajdziesz koniuszek i wystarczy tylko ciągnąć.

– Badamy nowy kanał, inspektorze? – zapytała Josette.

– No ile razy mam ci powtarzać, że to już nie inspektor? Taki jest ten świat, moja droga.

– Teraz nasz cel to Richelieu – odparł Adamsberg. – Niech pani znajdzie nazwisko lekarza, który podpisał akt zgonu szesnaście lat temu.

– Bułka z masłem – odrzekła Josette, lekko wydymając usta.

Dwadzieścia minut leciwej hakerce zajęło ustalenie nazwiska internistki Colette Choisel, która była lekarzem rodzinnym sędziego, odkąd zamieszkał w Richelieu. Zbadała ciało, stwierdziła zatrzymanie akcji serca i wystawiła akt zgonu.

– Ma pani jej adres, Josette?

– Zamknęła gabinet cztery miesiące po śmierci sędziego.

– Emerytura?

– Na pewno nie. Miała czterdzieści osiem lat.

– Świetnie. Teraz ją namierzamy.

– To nie takie łatwe. Ma dość pospolite nazwisko. Ale w wieku sześćdziesięciu czterech lat może jeszcze praktykować. Przejrzymy książki telefoniczne.

– I zerkniemy do rejestrów sądowych w poszukiwaniu śladów Colette Choisel.

– Gdyby miała kartotekę, nie mogłaby praktykować.

– Właśnie. Szukamy uniewinnienia.

Adamsberg zostawił Josette z jej lampą Aladyna i poszedł pomóc Clémentine, która obierała jarzyny na lunch.

– Wślizguje się wszędzie jak węgorz pod skały – rzekł Adamsberg, siadając.

– Ano, to jej fach przecie – odparła Clémentine, która nie uświadamiała sobie w pełni złożoności nielegalnych działań Josette. – To tak jak z kartoflami – ciągnęła. – Porządnie je obierz, synku.

– Umiem obierać ziemniaki.

– Nie. Nie usuwasz oczek jak należy. Trzeba usuwać oczka, to trucizna.

Wprawnie pokazała mu, jak wydrążyć stożkowaty otwór w bulwie i usunąć czarne oczko.

- Tylko surowe są trujące.
- To nic. Wydłubujemy oczka.
- W porządku. Będę uważał.

Ziemniaki sprawdzone przez Clémentine były ugotowane i stół nakryty, kiedy Josette przyniosła wyniki swojej pracy.

– Zadowolonaś, moja droga? – spytała Clémentine i zaczęła nakładać jedzenie na talerze.

– Pewnie tak – odparła Josette, kładąc przyniesioną kartkę koło swojego nakrycia.

– Nie bardzo mi się podoba pracowanie przy jedzeniu. Osobiście mi to nie wadzi, ale mój ojciec nie byłby zadowolony. I pozwalam tylko dlatego, że macie raptem sześć tygodni.

– Colette Choisel prowadzi praktykę lekarską w Rennes od szesnastu lat – zaczęła Josette, zerkając do notatek. – Miała dwadzieścia siedem lat, kiedy powinęła jej się noga. Zmarła jej pacjentka, wiekowa osoba, której podawała morfinę na uśmierzanie bólu. Choisel popełniła poważny błąd, przedawkowała. Mogła za to zapłacić karierą.

– No ja myślę – zauważyła Clémentine.

– Gdzie to było?

– W Tours. W drugim z kolei okręgu sędziego Fulgence’a.

– Uniewinniona?

– Uniewinniona. Adwokat wykazał jej nieskazitelną opinię. Udowodnił, że pacjentka, była weterynarka, miała możliwość zorganizować morfinę na własną rękę i samodzielnie ją sobie wstrzyknąć.

– Adwokat zaprzędany Fulgence’owi.

– Sąd orzekł, że to było samobójstwo. Choisel wyszła oczyszczona z zarzutów.

– I jako zakładniczka sędziego. Pani Josette – powiedział Adamsberg, kładąc dłoń na ramieniu staruszki – pani podziemia sprawią, że wyjdziemy na wolne powietrze. A raczej zajrzemy pod ziemię.

– W samą porę – skwitowała Clémentine.

Adamsberg długo rozmyślał, siedząc przy kominku z deserem na talerzu ustawionym równo na kolanach. Nie będzie łatwo pójść tą drogą. Danglard, choć na pozór znowu spokojny, pośle go do diabła. Za to Retancourt wysłucha go bardziej bezstronnie. Wyjął z kieszeni skarabeusza o czerwonych i zielonych łapkach i wybrał numer na jego lśniącym odwłoku. Przeszedł go błogi kojący dreszcz, kiedy usłyszał głęboki głos swojej klonowej komisarz.

– Nie martwcie się, Retancourt, co pięć minut zmieniam częstotliwość.
– Danglard mi powiedział, że dostał pan trochę czasu.
– Niewiele, więc muszę działać szybko. Myślę, że sędzia żyje po swojej śmierci.

– Czyli?

– Złapałem tylko jedno ucho. Które miało się całkiem dobrze jeszcze dwa lata temu dwadzieścia kilometrów od Schiltigheim.

Samotne kosmate ucho, wirujące niczym duża szkodliwa ćma na strychu Zamku.

– Jest coś dołączone do tego ucha? – zapytała Retancourt.

– Tak. Wątpliwy akt zgonu. Lekarz, który go wystawił, chodził na pasku Fulgence'a. Myślę, Retancourt, że sędzia osiadł w Richelieu, bo ten lekarz tam praktykował.

– Znaczący jego śmierć była zaplanowana?

– Tak uważam. Przekażcie to Danglardowi.

– Czemu sam mu pan nie powie?

– Bo to go denerwuje.

Niecałe dziesięć minut później Danglard zadzwonił do niego.

– Jeśli dobrze rozumiem, udało ci się ożywić sędziego? Ni mniej, ni więcej? – rzekł oschle.

– Tak myślę, Danglard. Już nie ścigamy nieboszczyka.

– Ale ścigamy gościa, który ma dziewięćdziesiąt dziewięć lat. Stulatka!

– Mam tego świadomość.

– Przecież to także utopia! Dziewięćdziesiąt dziewięć lat... mało kto dożywa takiego wieku.

– Znałem takiego jednego u mnie na wsi.

– Był w formie?

– No niezupełnie – przyznał Adamsberg.

– Zrozumie, człowieku – ciągnął cierpliwie Danglard – że stulatka zdolnego napaść na kobietę, zabić ją widłami i zaciągnąć w pole razem z rowerem można między bajki włożyć.

– Takie już są bajki i nic na to nie poradzę. Sędzia był nienormalnie krzepki.

– No właśnie: był. Dziewięćdziesięciodziewięcioletni facet nie jest nienormalnie krzepki. Morderca stulatek nie może istnieć i nie może działać.

– Diabeł ma gdzieś swój wiek. Zamierzam wystąpić o ekshumację.

– Kurde, do tego doszedłeś?

– Tak.

– No to na mnie nie licz. Za daleko się posuwasz, wchodzisz na teren, na który nie chcę wejść za tobą.

– Rozumiem.

– Stawiałem na ucznia, pamiętasz? Nie na nieumarłego czy sędziwego mordercę.

– Spróbuję sam to załatwić. Ale jeśli do brygady przyjdzie zezwolenie na ekshumację, przyjedź do Richelieu z Retancourt i Mordentem.

– Na mnie nie licz.

– Cokolwiek będzie w grobie, chcę, żebyś to zobaczył. Przyjedziesz.

– Wiem, co jest w trumnie. Nie potrzebuję tłuć się kawał drogi, żeby to zobaczyć.

– Danglard, Brézillon nadał mi czasowo nazwisko Lamproie. Coś ci to mówi?

– Minóg... prymitywna ryba – odparł nadkomisarz z uśmiechem w głosie. – Właściwie nawet nie ryba, tylko bezzuchwowiec. Cieniutki jak węgorzyk.

– Ach tak... – mruknął Adamsberg zawiedziony i lekko zde gustowany ze względu na tamto prehistoryczne stworzenie z jeziora Pink. – Ten prymityw ma w sobie coś specjalnego?

– Minóg nie ma zębów. Ani szczęk. Działa na zasadzie przyssawki, jeśli cię to ciekawi.

Zakończywszy połączenie, Adamsberg się zastanowił, jak interpretować wybór nazwiska przez szefa. Może była to aluzja do niejakiego braku wyrafinowania? Albo do sześciu tygodni odroczenia, które Adamsberg zdołał na nim wydębić? Jak przyssawka wciągająca w siebie sprzeczne pragnienia? Chyba że chciał zaznaczyć, że uważa go za niewinnego, pozbawionego zębów? To znaczy trójzębu?

Nakłonienie Brézillona, aby wydał nakaz ekshumacji sędziego Fulgence'a, wydawało się Adamsbergowi przedsięwzięciem niewykonalnym. Skupił się na minogu i starał się wessać szefa, przekonać go do swoich racji. Brézillon gradem słów oddalił od siebie ucho żyjące samotnie w departamencie Bas-Rhin po zgonie sędziego. Jeśli chodzi o podejrzany akt zgonu podpisany przez doktor Choisel, było to dla niego wątpliwe podejrzenie.

– Jaki dziś dzień? – zapytał nagle.

– Niedziela.

– We wtorek o czternastej – oznajmił nieoczekiwanie, czyniąc zwrot podobny do tego, dzięki któremu Adamsberg uzyskał tymczasową wolność.

– Retancourt, Danglard i Mordent żeby byli na miejscu – zdążył poprosić

Adamsberg.

Zamknął klapkę telefonu ostrożnie, by nie przytrzasnąć aparatowi odnóży. Być może szef, odkąd zostawił „swojego” człowieka na wolności, czuł się w obowiązku postępować zgodnie z logiką swojej decyzji i wspierać go w działaniach aż do końca. Chyba wciągnęła go przyssawka minoga. Której siła ssąca odwróci się kiedyś, gdy Adamsberg pokonany zjawi się w salonie przełożonego i spocznie w fotelu. Przed oczami stanął mu kciuk Brézillona i nieodparcie nasunęło się pytanie, co by się stało, gdyby zapalonego papierosa wsunąć minogowi do otworu gębowego. Co było niemożliwe, ponieważ stworzenie to żyje w wodzie. Stworzenie, które dołączyło do grupy istot tarasujących katedrę strasburską. W towarzystwie ciężkiej ćmy, która straszyla na strychu Zamku, ćmy w postaci na poły ucha, na poły grzyba.

I nieważne, co sobie myślał szef. Zgodził się na ekshumację. Co Adamsberga wprowadziło z jednej strony w radosne podniecenie, z drugiej w prawdziwy strach. A przecież nie po raz pierwszy miał brać udział w ekshumacji. Tyle że otwarcie trumny sędziego wydało mu się naraz czynem świętokradczym i złowieszczym. „Za daleko się posuwasz – powiedział Danglard – wchodzisz na teren, na który nie chcę wejść za tobą”. Czyli gdzie wchodzi? Zmierza ku zniewadze, profanacji, trwodze. Zstąpi pod ziemię w towarzystwie sędziego, który być może porwie go w swój mrok. Popatrzył na zegarki. Dokładnie za czterdzieści sześć godzin.

XLVII

W futrzanej uszance naciągniętej na oczy i z postawionym kołnierzem Adamsberg obserwował z oddali przygotowania do świętokradczej operacji, stojąc na zimnym deszczu, który przyczerniał pnie drzew na cmentarzu w Richelieu. Policjanci rozciągnęli wokół grobu sędziego biało-czerwoną taśmę, odgradzając tę część jako strefę z zakazem wstępu.

Sam Brézillon raczył się zjawić osobiście, co było zaskakujące w przypadku człowieka, który już od dawna nie operował w terenie. Stał wyprostowany przy grobie w popielatym płaszczu z czarnym aksamitnym kołnierzem. Oprócz efektu minogowego, który ściągnął szefa aż do miasta osławionego kardynała, Adamsberg podejrzewał tu działanie skrywanej ciekawości odnoszącej się do strasznej drogi Trójzęba. Danglard oczywiście także przyjechał, lecz trzymał się z dala od grobu, jakby odzęgnywał się od odpowiedzialności. Obok Brézillona komisarz Mordent przestępował z nogi na nogę pod wykrzywionym parasolem. To on orędownął za rozdrażnieniem ducha, wypowiadając mu wojnę, i w tej chwili może gorzko żałował swojej śmiałej rady. Retancourt czekała pozornie bezdusznie i bez parasola. Ona jedna wypatrzyła Adamsberga w głębi cmentarza i przesłała mu dyskretny znak. Grupka była milcząca, skupiona. Czterej miejscowi żandarmi zdjęli płytę nagrobną. Której jak odnotował Adamsberg, nie naznaczył ząb czasu, błyszczała w deszczu, jakby grób, podobnie jak sędzia, nie odczuł zupełnie upływu szesnastu lat.

Żandarmi z trudem kopali w mokrej ziemi, jej kupka rosła powoli. Policjanci dla rozgrzewki dmuchali w dłonie bądź przytupywali. Adamsberg czuł, jak ciało mu się spina, nie odrywał wzroku od Retancourt, wisiał na niej uczepiony jej pleców, aby móc wraz z nią oddychać, wraz z nią patrzeć.

Wreszcie łopaty zazgrzytały o drewno. Głos Clémentine dotarł aż na cmentarz. Po kolei odrzucać liście w zacienionych miejscach. Podnieść wieko trumny. Adamsberg wiedział, że jeśli w skrzyni będzie ciało sędziego, on pogąrzy się wraz z nim pod ziemią.

Żandarmi umieścili już liny jak należy i teraz windowali na powierzchnię dębową trumnę. Była w całkiem niezłym stanie. Zaczęto odkręcać śruby, lecz sądząc po gestach, Brézillon chyba ostatecznie kazał wyłamać wieko narzędziami. Od drzewa

do drzewa Adamsberg przybliżył się trochę, korzystając z tego, że wszyscy skupiali uwagę na trumnie. Śledził wzrokiem ruchy łomu, który zgrzytał, zmagając się z drewnem. Wtem wieko odskoczyło i spadło na ziemię. Adamsberg badawczo popatrzył na twarze milczących ludzi. Brézillon pierwszy przykucnął i wyciągnął dłoń w rękawiczce. Nożem pożyczonym od Retancourt zadał kilka ciosów, jakby rozcinał całun, po czym się wyprostował – z zaciśniętej garści posypał mu się wąski strumyczek białego błyszczącego piasku. Twardszego od cementu, ostrego jak szkło, sypkiego i ruchliwego na podobieństwo Fulgence’a. Adamsberg oddalił się bezszelestnie.

Godzinę później Retancourt zapukała do drzwi jego pokoju w hotelu. Adamsberg otworzył szczęśliwy, na powitanie szybko położył jej dłoń na ramieniu. Blond komisarz usiadła na łóżku, które zapadło się pośrodku jak w hotelu Brébeuf w Gatineau. I tak jak w Brébeuf odkręciła termos z kawą i postawiła dwa kubki na stoliku nocnym.

– Piasek – powiedział Adamsberg z uśmiechem.

– Długi worek, dziewięćdziesiąt trzy kilo wagi.

– Złożony do trumny po zbadaniu przez doktor Choisel. Wieko było już zamknięte na amen, kiedy przyjechali z zakładu pogrzebowego. Jak zareagowali?

– Danglard był naprawdę zaskoczony, a Mordent się rozluźnił. Wie pan, on nie cierpi tego rodzaju widoków. Brézillon poczuł ulgę, choć nie okazał tego. Może nawet był bardzo zadowolony, ale u niego trudno powiedzieć. A pan?

– Uwolniony od nieboszczyka, nękanym przez żywego.

Retancourt rozpuściła włosy i związała je na powrót w krótką kitkę.

– W niebezpieczeństwie? – spytała, podając mu kubek.

– Teraz tak.

– Też tak sędzę.

– Szesnaście lat temu udało mi się dojść już tak blisko, że sędzia poczuł się realnie zagrożony. Dlatego jak sędzę, zaplanował swoją śmierć.

– Równie dobrze mógł zabić pana.

– Nie. Za dużo gliniarzy o tym wiedziało, moja śmierć mogła się obrócić przeciwko niemu. On pragnął jedynie wolnej drogi i uzyskał ją. Po jego pogrzebie przestałem szukać, a Fulgence bez przeszkód dalej zabijał. I nadal by to robił, gdyby przypadkiem morderstwo w Schiltigheim nie wpadło mi w oczy. Pewnie lepiej by było, gdybym nie otworzył tej gazety wtedy w poniedziałek. Bo przez nią znalazłem się tu, gdzie teraz jestem, jako morderca przemykający od jednej mety do drugiej.

– Ta gazeta to dobra rzecz – oświadczyła Retancourt. – Znaleźliśmy Raphaëla.

– Ale nie oczyściłem go z zarzutów. Ani siebie. Udało mi się tylko od nowa zaalarmować sędziego. Wie, że znów jestem na tropie, odkąd uciekł z Zamku. Vivaldi mi to uzmysłowił.

Adamsberg wypił kilka łyków kawy, a Retancourt bez uśmiechu kiwnęła głową.

– Znakomita – rzekł inspektor.

– Muzyka Vivaldiego?

– Kawa. Vivaldi też, świetny chum. W tej chwili, Retancourt, być może Trójzab już wie, że obnażyłem prawdę o jego zgonie. Albo dowie się jutro. Znowu stoję mu na drodze, choć nie mogę go schwytać. Ani wyprowadzić Raphaëla z pola kwitnącego gwiazdami, na którym krąży po orbicie. Siebie zresztą też. Fulgence jest u steru, teraz tak samo jak kiedyś.

– Założmy, że pojechał za nami do Quebecu.

– Stulatek?

– Powiedziałam: założmy. Wolę stulatek od nieboszczyka. I nie udało mu się załatwić pana.

– Nie udało mu się? W trzech czwartych siedzę w jego paszczy i mam pięć tygodni wolności.

– To całkiem sporo. Nie siedzi pan w pudle, ma pan swobodę ruchów. On jest u steru, to fakt, ale w sztormie.

– Na jego miejscu, Retancourt, pozbyłbym się jak najszybciej tego przekłętego gliniarza.

– Ja też. Wolałabym wiedzieć, że chodzi pan w kamizelce kuloodpornej.

– On zabija trójzębem.

– Pana niekoniecznie.

Adamsberg zastanowił się chwilę.

– Bo może mnie rozwalić bez ceregieli? Jakbym był poza serią?

– Osobą z boku, tak. Myśli pan o zamierzonej serii? Nie o ciągu zabójstw kompulsywnych?

– Często się nad tym zastanawiałem i często się wahałem. Normalnie fala morderczej kompulsji jest znacznie krótsza niż u sędziego, który popełnia kolejne zbrodnie w odstępach kilku lat. A u osobnika kompulsywnego z czasem fala się skraca, epizody zabójstw zdarzają się coraz częściej. To nie jest przypadek Trójzaba. On popełnia morderstwa regularnie, są zaplanowane, rozłożone w czasie. To jakby dzieło życia realizowane cierpliwie, bez pośpiechu.

– Albo z rozmysłem rozciągane, jeśli rytm jego życia jest uzależniony od tego motywu. Schiltigheim było może ostatnim aktem. Lub przenoska w Hull.

Adamsbergowi twarz nagle się zmieniła pod wpływem dźgnięcia rozpacz, jak zawsze gdy pomyślał o zbrodni nad Outaouais. O swoich rękach umazanych krwią po łokcie. Odstawił kubek i usiadł w nogach łóżka ze skrzyżowanymi nogami.

– A wiecie, co nie przemawia na moją korzyść? – podjął, oglądając sobie dłonie. – Ewentualny wyjazd stulotka do Quebecu. Po Schiltigheim miał kupę czasu, żeby obmyślić pułapkę, w którą mnie wciągnie. Nie musiał działać z dnia na dzień, prawda? Więc nie miał też powodu gnać za ocean na łeb na szyję.

– Przeciwnie, to była idealna okazja – zauważyła Retancourt. – Sposób postępowania sędziego nie jest przystosowany do miasta. Zabić ofiarę, ukryć ją, sprowadzić zamrozonego kozła ofiarnego na miejsce zbrodni... tego nie da się zrobić w Paryżu. Na teren działania zawsze wybierał wieś. Kanada była idealnym miejscem.

– Możliwe – zgodził się Adamsberg ciągle wpatrzony w swoje dłonie.

– Jest jeszcze coś. Deterytorializacja.

Adamsberg popatrzył na nią.

– Powiedzmy, opuszczenie terytorium. Zniknięcie punktów odniesienia, rutyny, odruchów i zanik struktur. W Paryżu zasadniczo nie dałoby się wmówić ludziom, że doświadczony inspektor wyszedł jak zwykle z pracy i nagle na środku ulicy wpadł w morderczy szał.

– Dziewiczy teren, nowy człowiek i odmienne czyny – przyznał Adamsberg dość smutno.

– W Paryżu nikt by nie uznał pana za mordercę. Ale tam owszem. Sędzia wykorzystał okazję i zadziałało. Czytał pan w aktach GRC: „uwolnienie popędów”. Świetny plan, pod warunkiem że uda się pana samego schwytać w pułapkę w lesie.

– Bardzo dobrze mnie znał w dzieciństwie, póki nie skończyłem osiemnastu lat. Mógł pamiętać, że lubię chodzić nocą. Wszystko możliwe, ale dowodów brak. Musiał skądś wiedzieć o naszym wyjeździe. A w kreta przestałem wierzyć.

Retancourt rozprostowała palce i wpatrzyła się w swoje krótkie paznokcie, jakby zaglądała do tajnego notatnika.

– Przyznaję, że nic nie działałam – wyznała niechętnie. – Gadałam z każdym, łączyłam niewidzialna od sali do sali. Nikt nie dopuszcza do siebie myśli, że mógł pan zabić tę dziewczynę. Atmosfera w brygadzie jest nieszczególna, niepokój, podenerwowanie, przyciszone rozmowy, jakby ekipa wstrzymywała się od działania w wyczekiwaniu. Na szczęście Danglard dobrze się spisuje jako zastępca szefa i udaje mu się utrzymać spokój. Już pan w niego nie wątpi?

– Nie. Przeciwnie, ufam mu bez reszty.

– Zostawię pana, szefie – powiedziała Retancourt, zakręcając termos. – Samochód odjeżdża o osiemnastej. Załatwię, żeby podrzucono panu tę kamizelkę.

- Nie jest mi potrzebna.
- Załatwię.

XLVIII

– A niech mnie!... – mówił Brézillon mocno podekscytowany posępną wyprawą w samochodzie, który wioził ich z powrotem do Paryża. – Dziewięćdziesiąt kilo piachu. Miał rację, psiakrew!

– Bardzo często się to zdarza – skomentował Mordent.

– To wszystko zmienia – podjął Brézillon. – Podejrzenia Adamsberga mają teraz podstawy. Facet, który finguje własną śmierć, nie jest niewinnym barankiem. Stary ciągle działa, a na koncie ma dwanaście zabójstw.

– A trzy ostatnie popełnił w wieku dziewięćdziesięciu trzech, dziewięćdziesięciu pięciu i dziewięćdziesięciu dziewięciu lat – zauważył Danglard. – Wydaje się to panu możliwe, panie inspektorze? Stulatek, który wlecze młodą kobietę i jej rower przez pole?

– Niewątpliwie to problem. Ale Adamsberg miał słuszność co do śmierci Fulgence’a, temu nie da się zaprzeczyć, fakty mówią za siebie. A wy się z nim nie zgadzacie, nadkomisarzu?

– Ja tylko zwracam uwagę na fakty i prawdopodobieństwo ich wystąpienia.

Danglard zaszył się w kącie na tylnym siedzeniu samochodu, milcząc, gdy poruszeni koledzy roztrząsali sprawę zmartwychwstania starego sędziego. Tak, Adamsberg miał słuszność. I przez to sytuacja stała się jeszcze trudniejsza.

W domu poczekał, aż dzieci zasną, i zadzwonił do Quebecu. Tam była dopiero szósta wieczorem.

– Robisz postępy? – spytał quebeckiego rozmówcę. Niecierpliwie słuchał jego wyjaśnień, w końcu mu przerwał: – Trzeba się pospieszyć. Tutaj wszystko się wali. Przeprowadzono ekshumację. Zamiast ciała był worek piasku... Tak, właśnie... Nasz szef zdaje się w to wierzyć. Ale nic jeszcze nie zostało udowodnione, rozumiesz? Działaj szybko i jak najlepiej. Gotów jeszcze wyjść z tego bez szwanku.

Adamsberg zjadł kolację sam w restauracyjce w Richelieu, w komfortowej melancholijnej ciszy właściwej prowincjonalnym hotelom w martwym sezonie. Nie było porównania z hałaśliwym barem Czarne Wody Dublinu. O dziewiątej miasto

kardynała świeciło pustkami. Prosto po kolacji Adamsberg wrócił do hotelu i leżąc na różowej narzucie z rękami pod głową, starał się nie puścić wodzy myślom, lecz podzielić je na krążki o średnicy dwóch milimetrów i każdą umieścić w osobnej komórce. Ruchome piaski, w których zapadł się sędzia, aby zniknąć ze świata żywych. Wiszącą nad sobą groźbę narzędzia o trzech zębach. Wybór Quebecu jako miejsca egzekucji.

Ale na drugiej szali przeważały obiekcje Danglarda. Nie bardzo mu pasował widok stulatka wlokącego ciało Élizabeth Wind przez pole. Dziewczyna nie była kruszynką, mimo że jej nazwisko przywoływało skojarzenia z lekkością wiatru. Adamsberg zmrużył oczy. Tak właśnie mówił Raphaël o swojej dziewczynie Lise: lekka i namiętna jak wiatr. Ponieważ nazywała się Autan, jak ciepły wiatr południowo-wschodni. Dwa „wietrzne” nazwiska, Wind i Autan. Oparł się na łokciu i cichym głosem dokonał chronologicznego przeglądu nazwisk innych ofiar. Espir, Lefebure, Ventou, Soubise, Lentretien, Mestre, Lessard, Matère, Brasillier, Fèvre.

Ventou miało w sobie słowo *vent*, wiatr, Soubise kojarzyło się z podwietrzną, czyli obydwaj pasowały do Wind i Autan. Cztery odwołania do wiatru. Adamsberg zapalił górne światło, usiadł przy stoliku i sporządził listę ofiar, szukając kombinacji liter, związków między dwunastoma nazwiskami. Ale oprócz tych czterech podmuchów nie wypatrzył nic innego, co by je łączyło.

Wiatr. Powietrze. Jeden z czterech żywiołów, pozostałe to ogień, ziemia i woda. Może sędzia próbował zbudować sobie jakąś kosmogonię, w której byłby władcą czterech żywiołów. Bogiem jak Neptun z trójzębem albo Jowisz z gromem. Ściągając brwi, raz jeszcze przeczytał listę. Tylko Brasillier mógł przywozić na myśl ogień przez ukryte w nazwisku słowo *brasier*, żar. Pozostałe nie miały nic wspólnego z ogniem, ziemią ani wodą. Zniechęcony odsunął kartkę. Nieuchwytny starzec mordujący seryjnie według niezrozumiałego klucza. Adamsberg wspomniał stulatka zapamiętanego z dzieciństwa, starego Huberta, który ledwie chodził. Mieszkał w najwyższym punkcie wioski i wieczorem zawsze wrzeszczał z okna, ilekroć usłyszał eksplozję ropuchy. Piętnaście lat wcześniej wyszedłby i wytargał dzieciarnię za uszy. „Trzeba odjąć co najmniej piętnaście lat”.

Teraz Adamsberg się wyprostował z rękami na stole. „Słuchać innych”, powiedziała Retancourt. A doktor Courtin miał pewność. Nie wolno lekceważyć jego zdania, nie wolno lekceważyć jego profesjonalizmu pod pretekstem, że opinia praktyka nie pasuje do tego, co samemu się wie. „Trzeba odjąć co najmniej piętnaście lat”. Sędzia miał dziewięćdziesiąt dziewięć lat, ponieważ urodził się w roku 1904. Co jednak urząd stanu cywilnego mógł zrobić diabłu?

Adamsberg krążył przez chwilę po pokoju, po czym złapał kurtkę i wyszedł w noc. Idąc prostymi ulicami miasteczka, dotarł do parku i w mroku ujrzał pomnik z brązu kardynała Richelieu. Przebiegłego męża stanu, który nie bał się oszukiwać. Usiadł koło posągu z podbródkiem opartym na kolanach. „Trzeba odjąć co najmniej piętnaście lat”. No załóżmy. Urodzony w 1919 roku, a nie w 1904. Przejście na emeryturę w wieku pięćdziesięciu lat, a nie sześćdziesięciu pięciu. Osiemdziesiąt cztery lata dzisiaj, a nie dziewięćdziesiąt dziewięć. W tym wieku stary Hubert wspinał się jeszcze na drzewa, aby je przyciąć. Tak, sędzia zawsze wyglądał na młodszego, nawet z siwymi włosami. Dwadzieścia lat na początku wojny, a nie trzydzieści pięć, podsumował, licząc na palcach. Dwadzieścia pięć lat w 1944 roku, a nie czterdzieści. Dlaczego w 1944? Adamsberg podniósł wzrok na brązową twarz kardynała, jakby oczekiwał od niego odpowiedzi. Doskonale wiesz, młodzieńcze, zdawał się szeptać mu człowiek w purpurze. Oczywiście, że młodzieniec wiedział.

Rok 1944. Morderstwo. Ofiara zginęła od trzech ciosów, rany ułożone były w linii prostej, lecz Adamsberg wyeliminował ją z dochodzenia, ponieważ winny był za młody, miał dwadzieścia pięć lat, a nie czterdzieści. Oparł czoło na kolanach, aby się skoncentrować. Drobnym deszczykiem spowijał go mgiełką u stóp przebiegłego kardynała. Adamsberg czekał cierpliwie, aż fakty wyłonią się z mgły. Albo aż bezimienna ryba wychynie z historycznego szlamu jeziora Pink. Chodziło o kobietę. Zginęła od trzech ran. Była też jakaś historia z utonięciem powiązana z tym dramatem. Kiedy? Przed morderstwem? Później? Gdzie? W bagnie? W salinie? W stawie? W Landach? Nie, w Sologne. Mężczyzna utopił się w stawie w Sologne. Ojciec. I po jego pogrzebie ta kobieta została zamordowana. Adamsberg widział z bardzo daleka niewyraźny obraz zdjęć w starej gazecie. Niewątpliwie ojca i matki, a nad fotografiami tytuł. Wydarzenie na tyle szokujące, że zasługiwało na obszerne omówienie, chociaż wtedy nerwowe oczekiwanie na lądowanie aliantów w Normandii spychało tego rodzaju informacje na bok. Z głową między kolanami Adamsberg zacisnął pięści w poszukiwaniu tego tytułu.

Tragiczne matkobójstwo w Sologne. Tak brzmiał tytuł artykułu. Wierny swoim instynktownym nawykom Adamsberg nie drgnął ani o milimetr. Ilekroć cząstkowa myśl zaczynała mu się w głowie niepewnie krystalizować, nie wykonywał żadnego ruchu w obawie, że ją spłoszy, zachowywał się jak przyczajony wędkarz. Rzucił się na nią dopiero wtedy, gdy caluteńka, od łba po ogon, znalazła się na brzegu. Po powrocie z pogrzebu jedyny syn małżonków, dwudziestopięcioletni, zabił matkę i uciekł. Był świadek – służący albo służąca – którego młody człowiek potrącił, uciekając. Czy został później ujęty? Czy też rozwiązał się w zamieszaniu spowodowanym przez lądowanie aliantów w Normandii i wyzwolenie spod okupacji? Tego Adamsberg nie wiedział, nie grzebał głębiej w tej sprawie, skoro

winy był za młody na Fulgence'a. „Trzeba odjąć co najmniej piętnaście lat”. Sprawcą mógł zatem być Fulgence. Matkobójstwo. Dokonane za pomocą trójzębu. Słowa Mordenta naraz wróciły do niego. „Jego grzech pierworodny, jego pierwsze morderstwo... Coś, z czego biorą się duchy”.

Adamsberg podniósł głowę, czuł na twarzy krople deszczu. Zagryzł wargę. Zarygłował zjawie wszystkie kryjówki, zmusił ducha, by na powrót przybrał postać człowieka z krwi i kości. A teraz dotarł do jego grzechu pierworodnego. Wybrał po ciemku numer komórki Josette skulony nad swoim telefonem, licząc, że odsłonięte łapki aparatu nie doznają uszczerbku na deszczu.

Usłyszawszy jej głos, odniósł wrażenie, że całkiem naturalnie dzwoni do jednego z najbardziej operatywnych kolegów. Do chudziutkiej sędziwej partnerki z przebiegłą minką, przemykającej w papuciach i kolczykach przez podziemia z zakazem wstępu. Które kolczyki nosiła tego wieczoru? Perłowe czy złote w kształcie koniczyny?

– Pani Josette? Nie przeszkadzam?

– Skądże, majstruję przy szwajcarskim sejfie.

– W trumnie był piasek. I chyba właśnie odnalazłem morderstwo, od którego wszystko się zaczęło.

– Niech pan zaczeka, inspektorze, wezmę tylko coś do pisania.

Adamsberg usłyszał dobiegający z głębi korytarzyka gromki głos Clémentine:

– No przecież ci mówię, że już nie jest inspektorem.

Josette w kilku słowach przedstawiła przyjaciółce historię z piaskiem.

– W samą porę – odparła Clémentine.

– Już jestem, mogę pisać – rozległ się głos Josette.

– Matka zamordowana przez syna w czterdziestym czwartym roku. To było przed lądowaniem w Normandii, koło marca, kwietnia. W Sologne, po powrocie z pogrzebu ojca.

– Trzy rany w jednej linii?

– Tak. Młody morderca, dwudziestopięcioletni, zbiegł. Zupełnie nie pamiętam nazwiska rodziny ani miejsca.

– I bardzo stara sprawa. Pewnie tkwi gdzieś pod betonem zbrojonym. Biorę się do roboty, inspektorze.

– No przecież ci mówię, że już nie jest inspektorem – dobiegł znowu odległy głos. – Taki jest ten świat, moja droga.

– Josette, niech pani dzwoni o każdej porze.

Adamsberg schował komórkę przed deszczem i wolnym krokiem ruszył do hotelu. W tej historii każdy coś powiedział, coś słusznego pod pewnym względem. Sanscartier, Mordent, Danglard, Retancourt, Raphaël, Clémentine. I Vivaldi

oczywiście. Doktor Courtin i ksiądz Grégoire. Josette. Nawet kardynał Richelieu. Może również Trabelmann z tą swoją cholerną katedrą.

Josette zadzwoniła o drugiej nad ranem.

– Załatwione – oznajmiła jak to ona. – Musiałam zajrzeć do Archiwum Państwowego, a potem wrócić na policyjny strych. Beton, jak mówiłam.

– Przykro mi.

– Nic nie szkodzi, a nawet dobrze. Clémentine zrobiła mi gar kawy z armaniakiem i ciepłe bułeczki. Dopieszczała mnie jak podwodniak, który szykuje torpedę do odpalenia. Dwunastego marca czterdziestego czwartego roku w wiosce Collery w departamencie Loiret odbył się pochówek Gérarda Guillaumonda zmarłego w wieku sześćdziesięciu jeden lat.

– Utonął w stawie?

– Zgadza się. Wypadek albo samobójstwo, nigdy tego nie ustalono. Stara łódka poszła na dno na środku stawu. Po pogrzebie, kiedy żałobnicy opuścili dom nieboszczyka, jego syn, Roland Guillaumond, zamordował własną matkę, Marie Guillaumond.

– Pamiętam, że był świadek.

– Tak, kucharka. Usłyszała krzyk na piętrze. Szła na górę i na schodach młody człowiek ją potrącił. Wybiegł z pokoju matki. Kucharka znalazła swoją panią martwą. W domu nie było nikogo więcej. Nigdy nie wątpiono co do tożsamości zabójcy.

– Zatrzymano go? – niespokojnie spytał Adamsberg.

– Nie. Przypuszczalnie schronił się wśród partyzantów i być może poległ.

– Znalazła pani jego zdjęcia? W gazetach?

– Nie, ani jednego. Trwała wojna, rozumie pan. Kucharka nie żyje, sprawdziłam w ewidencji ludności. Inspektorze, czy pan zakłada, że sprawcą tamtego morderstwa był nasz sędzia? Miał czterdzieści lat w czterdziestym czwartym roku.

– Niech mu pani odejmie piętnaście lat.

XLIX

Zasłonki w oknach uchylały się dyskretnie, kiedy obcy przechodził obok. Adamsberg niezdecydowany krążył wąskimi uliczkami Collery. Do morderstwa doszło pięćdziesiąt dziewięć lat wcześniej, a musiał znaleźć kogoś, kto to pamiętał. Miasteczko śmierdziało mokrymi liśćmi, wiatr przynosił lekko stęchły odór znad zielonych luster stawów Sologne. Nie było porównania z majestatycznym ładem Richelieu. Ot, mięscina na zapadłej prowincji, o ciasnej niejednolitej zabudowie.

Jakieś dziecko wskazało mu dom mera w rynku. Wylegitymował się jako Denis Lamproie poszukujący dawnej posiadłości Guillaumondów. Mer był za młody, by znać tę rodzinę, lecz jak wszyscy wiedział o dramacie, który wydarzył się w Collery.

W Sologne, tak jak wszędzie indziej na prowincji, nie można było uzyskać żadnych informacji na łapu-capu, stojąc w drzwiach. Tutaj nie było miejsca na bezceremonialny paryski pośpiech. Toteż o piątej po południu Adamsberg siedział przy stole, opierając łokcie na ceracie, przed kieliszkiem wódki. W Collery polarna uszanka na głowie w mieszkaniu nikogo nie raziała. Mer miał na głowie kaszkiet, a jego żona chustkę.

– Normalnie – wyjaśnił puciołowaty mer z ciekawością w oczach – butelki nie otwieramy przed siódmą. Ale słowo daję, wizyta inspektora z Paryża to nie lada okazja. Dobrze mówię, Ghislaine? – dodał do żony, szukając rozgrzeszenia.

Ghislaine, która obierała ziemniaki na rogu stołu, kiwnęła głową skwaszona, jednym palcem przytrzymując okulary o grubych szklach z oprawką sklejoną taśmą. W Collery się nie przelewało. Adamsberg zerknął na nią uważnie, czy tak jak Clémentine usuwa czubkiem noża oczka z ziemniaków. Tak, usuwała. Trzeba się pozbyć trucizny.

– Sprawa Guillaumonda – rzekł mer, wciskając korek w butelkę klepieniem dłoni. – Boże, ależ było gadania. Nie miałem jeszcze pięciu lat, kiedy poznałem tę historię.

– Dzieci nie powinny wysłuchiwać takich rzeczy – zauważyła Ghislaine.

– Później dom stał pusty. Nikt go nie chciał. Ludzie sobie umanili, że w nim straszy. Gadanie.

– No pewnie – mruknął Adamsberg.

– W końcu został wyburzony. Mówiło się, że ten Roland Guillaumond zawsze miał w głowie nie po kolei. Czy to prawda, to inna rzecz. Ale faktycznie trzeba

mieć w głowie nie po kolei, żeby tak nadziać własną matkę.

– Nadziać?

– Jak ktoś zabija człowieka ciosem trójzębnych wideł, ja nazywam to nadzianiem, nie znajduję innego słowa. Dobrze mówię, Ghislaine? Strzelić do kogoś śrutem, przyłożyć sąsiadowi łopata... nie mówię, że to pochwalam, ale powiedzmy, że takie rzeczy się zdarzają, jak człowieka krew zaleje. Ale widłami... za przeproszeniem, inspektorze, to czyste barbarzyństwo.

– I to własną matkę – wtrąciła Ghislaine. – Czego pan szuka w tej starej historii?

– Rolanda Guillaumonda.

– A to dopiero, też macie pomysły w tym Paryżu – powiedział mer. – Ale i tak po takim czasie jest przedawnienie.

– Pewnie. Chodzi o to, że stary Guillaumond był jakimś dalekim krewniakiem jednego z moich ludzi. I to trapi mojego kolegę. Dochodzenie prowadzę poniekąd prywatnie.

– Aaa, skoro prywatnie, to co innego – rzekł mer, unosząc szorstkie dłonie i podobnie jak Trabelmann ustępując w obliczu wspomnień z dzieciństwa. – Przyznam, że chyba niezbyt miło jest mieć w rodzinie takiego mordercę. Ale Rolanda pan nie znajdzie. Zginął w partyzantce, tak wszyscy mówią. W tamtych czasach gorąco tu było.

– Wie pan, czym się zajmował jego ojciec?

– Był ślusarzem. Porządnym człowiekiem. Dobrze się ożenił z prawdziwą miastową panną z La Ferté-Saint-Aubin. Która tak marnie skończyła w kałuży krwi. Dobrze mówię, Ghislaine?

– Znajdę w Collery kogoś, kto znał tę rodzinę? Kto mógłby mi o niej opowiedzieć?

– Pewnikiem André – rzekł mer po chwili zastanowienia. – Będzie miał teraz osiemdziesiąt cztery lata. Za młodu pracował ze starym Guillaumondem. – Zerknął na duży zegar. – Lepiej niech pan teraz idzie, zanim siądzie do kolacji.

Wódka mera jeszcze paliła Adamsberga w żołądku, kiedy zapukał do drzwi Andrégo Barluta. Starzec w bluzie z grubego sztruksu i w szarym kaszkiecie wrogim wzrokiem obrzucił jego legitymację. Następnie wziął ją w powykrzywiane palce i z ciekawością obejrzał z obu stron. Miał trzydniowy zarost, rozbiegane ciemne podejrzliwe oczka.

– Wie pan, to dość osobista sprawa.

Dwie minuty później, siedząc przy stole z kieliszkiem wódki, Adamsberg

znowu wykladał swoje pytania.

– Normalnie nie zaglądam do butelki wcześniej jak na Anioł Pański – wyjaśnił stary, nie odpowiadając. – Ale do licha, przy gościach...

– Podobno jest pan chodzącą kroniką tej okolicy.

André puścił do niego oko.

– Gdybym opowiedział wszystko, co mam tutaj – powiedział, klepiąc się po kaszkiecie na głowie – starczyłoby na książkę. Na książkę o ludzkiej naturze, inspektorze. I jak smakuje wódeczka? Nie za bardzo owocowa? Porządkuje myśli, możesz mi pan wierzyć.

– Znakomita – zapewnił Adamsberg.

– Sam pęczę – rzekł stary z dumą. – Nie może zaszkodzić.

Sześćdziesiąt stopni, oszacował Adamsberg. Aż zęby mu cierpły od gorzałki.

– Przyzwoity gość był ze starego Guillaumonda, aż za przyzwoity. Wziął mnie do terminu i we dwóch byliśmy sakramencko dobrą ekipą. Możesz mi mówić André.

– Byłeś ślusarzem?

– E, nie. Mówię już o czasach, kiedy Gérard robił w ogrodnictwie. Ze ślusarką dawno skończył. Po wypadku. Siup i szlifierka ucięła mu dwa palce – wytłumaczył André, znaczącym gestem jedną dłonią uderzając w drugą.

– Jak to?

– Było, jak mówię. Dwa palce mu uharatała. Kciuk i mały. Zostały mu tylko trzy u prawej ręki, o te – dodał André i pokazał Adamsbergowi dłoń z wystawionymi trzema palcami. – No i ślusarką dłużej nie mógł się parać, został ogrodnikiem. Ale kaleką nie był. Powiem więcej: przy łopacie był najlepszy.

Adamsberg patrzył zafascynowany na pomarszczoną dłoń Andrégo. Trzy wystawione palce. Okaleczona dłoń ojca w kształcie wideł, trójzębu. Trzy palce, trzy zęby.

– Czemu powiedziałeś „za przyzwoity”?

– Bo taki był. Do rany przyłóż, zawsze skory do pomocy, zawsze usłużny. O jego żonie tego bym nie powiedział i zawsze miałem o tym swoje zdanie.

– O czym?

– O jego utonięciu. Zniszczyła człowieka. Zrujnowała. No i w końcu albo nie zauważył, że łódka zmurszała przez zimę, albo sam się utopił. Jeśli od tej strony popatrzeć, z jej winy Gérard zginął w stawie.

– Nie lubiłeś jej?

– Nikt jej nie lubił. Była z aptekarskiej rodziny z La Ferté-Saint-Aubin. Porządni ludzie. Strzeliło jej do głowy, żeby wyjść za Gérarda, bo Gérard w swoim czasie był pięknym mężczyzną. Ale potem jej się odwidziało. Robiła z siebie

wielką panią, traktowała go z góry. Życie w Collery ze ślusarzem to było dla niej za mało. Mówiła, że wyszła za człowieka niskiego stanu. Po wypadku było jeszcze gorzej. Wstydziła się Gérarda i bez ogródek mu to mówiła. Była z niej zła kobieta i tyle.

André bardzo dobrze znał Guillaumondów. W dzieciństwie biegał bawić się z małym Rolandem, jedynakiem jak on, swoim rówieśnikiem mieszkającym w domu naprzeciwko. Niejedno popołudnie spędził u niego, nieraz zostawał na kolację. Co wieczór po jedzeniu odbywało się to samo: obowiązkowa partyjka madżonga. Tak robiono w aptece w La Ferté-Saint-Aubin i gospodyni podtrzymywała tę tradycję. Nie pominęła żadnej okazji, by upokorzyć Gérarda. Bo uwaga: był zakaz szwabienia w grze w madżonga. Czyli? zapytał Adamsberg, który nic nie wiedział o tej grze. Znaczą mieszania kolorów, żeby szybciej wygrać, jak na ten przykład w kartach trefli i karo. Tak się nie robiło, to było nieeleganckie. Szwabili prości wieśniacy. André i Roland nie śmieli się jej sprzeciwić, woleli przegrać, niż szwabić. Ale stary Gérard miał to gdzieś. Zbierał kostki ręką o trzech palcach i dowcipkował. A Marie Guillaumond cały czas tylko powtarzała: „Biedaku, jak kiedyś zbierzesz wszystkie honory, kurom wyrosną zęby”. Tak go upokarzała, jak zwykle. A zebranie wszystkich honorów oznaczało piękną wygraną, jak z karetą z asów w pokerze. Ileż razy słyszał to diabelne zdanie, a jakim tonem! A Gérard tylko się śmiał i nigdy nie udało mu się zebrać wszystkich honorów. Jej zresztą też nie. Tej Marie Guillaumond, która zawsze chodziła w bieli, żeby widzieć najmniejszą plamkę na ubraniu. Jakby to miało jakieś znaczenie w Collery. W kuchni, za jej plecami, mówiło się na nią „biała smoczyca”. Naprawdę ta kobieta zniszczyła Gérarda.

– A Roland? – spytał Adamsberg.

– Stale ciosała mu kołki na głowie, inaczej nie da się tego nazwać. Chciała, żeby zrobił karierę w mieście, żeby był kimś. „Ty, Rolandzie, nie będziesz niezgułą jak twój ojciec”. „Nie będziesz nieudacznikiem”. Nie dziwota, że szybko zaczął się czuć lepszy od nas, chłopaków z Collery. Zadzierał nosa, traktował nas z góry. Ale tak naprawdę „biała smoczyca” nie życzyła sobie, żeby się z nami zadawał. Nie byliśmy dla niego dość dobrzy, jak mówiła. I koniec końców zrobił się całkiem inny niż ojciec, nie taki miły. Nadęty milczek. I biada temu, kto szukał z nim zwady. Był agresywny i zły jak osa.

– Bił się?

– Odgrażał się tylko. Wiesz, w szczenięcych latach zabawialiśmy się czasem łapaniem żab przy stawie, żeby je potem eksplodować. Nie mówię, że to było ładne, ale w Collery nie bardzo mieliśmy rozrywki.

– Łapaliście żaby czy ropuchy?

– Żaby. Rzekotki. Jak im włożyć zapalonego papierosa do pyska, zaczynają wciągać dym, nadymają się i puch! eksplodują. Trzeba to zobaczyć, żeby uwierzyć.

– Wyobrażam sobie – rzekł Adamsberg.

– No, a Roland nieraz przychodził z nożem i szast-prast, odcinał żabie łeb. Krew sikała na wszystkie strony. W sumie wychodziło na jedno. Znaczący żaba tak czy siak kończyła marnie. Ale myśmy uważali, że sposób robi różnicę, i wcale nam się nie podobało jego zarzynanie. Potem wycierał nóż o trawę i odchodził. Jakby chciał pokazać, że zawsze może być silniejszy niż my.

André napełnił sobie opróżniony kieliszek, Adamsberg bowiem starał się pić swoją wódkę jak najwolniej.

– Tylko że było jedno ale – dodał André. – Ten Roland, choć taki posłuszny, wielbił ojca, to mogę powiedzieć z czystym sumieniem. Nie mógł ścierpieć, że smoczyca tak go poniża. Nic nie mówił, ale wieczorami przy madżongu widziałem, jak zaciska pięści, kiedy rzucała te swoje docinki.

– Był przystojny?

– Jak młody bóg. Nie było dziewczyny w Collery, która by nie robiła do niego maślanych oczu. Myśmy się do niego nie umywali. Ale Roland nie zwracał uwagi na dziewczęta, jakby od tej strony nie wszystko było z nim w porządku. Później wyjechał do miasta na studia jak jakieś panisko. Miał swoje ambicje.

– Studia prawnicze.

– Ano. A potem stało się to, co się stało. Tyle w tym domu było złośliwości, że nic dobrego nie mogło z tego wyniknąć. Na pogrzebie biednego Gérarda smoczyca nie uroniła ani łezki. Zawsze sobie myślałem, że po powrocie do domu musiała powiedzieć coś obrzydliwego.

– Na przykład?

– No coś w swoim stylu. „Ha, nareszcie mamy z głowy tego tępaka”. Złośliwość jak zwykle. A Roland, zgnębiony po pogrzebie, pewnie wpadł w szewską pasję. Nie bronię go, ale co myślę, to myślę. Musiał stracić głowę, złapał widły ojca i pogonił ją po domu. I stało się. Zabił starą białą smoczycę.

– Trójzębem?

– Tak wszyscy uważali przez te trzy rany, no i narzędzie Gérarda zniknęło. A ten trójząb stale pieścił, hartował go, ustawiał zęby, ostrzył. W ogóle dbał o narzędzia. Kiedyś przy robocie jeden ząb tych wideł złamał się na kamieniu. Myśli pan, że go wymienił? Skąd, dotąd go wykuwał w ogniu, aż zgrał ząb. Na

obróbce metali się znał, bez dwóch zdań. A jak nie, to rzeźbił maluśkie obrazki na drewnianym trzonku. A smoczyce doprowadzało do szału, że zajmuje się takimi bzdurami. Nie mówię, że to była jakaś wielka sztuka, ale wyglądało ładnie na trzonku.

– Jakiego rodzaju obrazki?

– A takie tam, jak w szkole. Gwiazdki, słoneczka, kwiatki... Nic specjalnego, ale powiadam, Gérard miał taką naturę. Zdobić, chciał wszystko zdobić. Tak samo było z motyką, rydlem, szuflą. Jego narzędzi nie dało się pomylić z innymi. Po jego śmierci wziąłem sobie szuflę na pamiątkę. Nie było przyzwoitszego człowieka.

Stary André przyniósł wypolerowaną szuflę. Adamsberg obejrzał wyświecony trzonek z setkami rysunczków wrytych w drewnie, splątanych, wyslizganych. Przez zużycie przywodził na myśl słup totemowy.

– Faktycznie ładny – przyznał szczerze, delikatnie przesuując palcami po trzonku. – Rozumiem, dlaczego ci na nim zależało.

– Jak tylko o nim pomyślę, ogarnia mnie żal. Zawsze zagadał do człowieka. Zawsze zażartował. Z nią było inaczej, nikt jej nie żałował. Dotąd się zastanawiam, czy nie ona mu to zrobiła. I czy Roland się o tym nie dowiedział.

– Czy czego nie zrobiła?

– Czy nie przedziurawiła łódki – burknął stary ogrodnik, zaciskając palce na trzonku szufli.

Mer odwiózł go furgonetką na dworzec w Orleanie. W lodowatej poczekalni Adamsberg czekał na swój pociąg, pogryzając kawałek chleba, by wchłonął wódkę, która płonęła mu w żołądku, tak jak słowa Andrégo płonęły mu jeszcze w głowie. Ponizanie ojca o okaleczonej dłoni, upokarzające ambicje matki. I w tym przyszły sędzia spragniony zlikwidowania słabości ojca, przeobrażenia kalectwa w moc. Zabijający trójzębem niczym kaleką ręką, która stała się wszechwładnym narzędziem. Fulgence'owi została po matce skłonność do dominacji, a ze względu na ojca cechował go brak tolerancji na słabość. Każdy cios morderczego trójzębu przywracał honor i wartość Gérardowi Guillaumondowi, który utonął pokonany w szlamie stawu. Ot, taki jego ostatni żart.

I oczywiście zabójca nie był w stanie się rozstać ze zdobnym trzonkiem narzędzia. Cios musiała zadawać ta właśnie ręka ojca. Dlaczego jednak nie odtwarzał w nieskończoność matkobójstwa? Dlaczego nie niszczył osób będących uosobieniem wizerunku matki? Czyli kobiet w pewnym wieku, władczych i przytłaczających? Na krwawej liście ofiar sędziego figurowali zarówno mężczyźni, jak i kobiety, ludzie młodzi, dojrzały i starzy. A wśród kobiet były

młodziutkie dziewczęta, zupełne przeciwieństwo Marie Guillaumond. Czy chodziło o to, by zawładnąć całym światem, uderzając w przypadkowe osoby? Adamsberg połknął kęs ciemnego chleba, kręcąc głową. To wściekłe niszczenie miało inny sens. Już nie tylko unicestwiała poniżenie, ale również wzmacniało siłę sędziego, podobnie jak wybrane nazwisko. Było wywyższeniem, szansem broniącym przed umniejszeniem. Co w nadzianiu na widły starca mogło wywołać w sędzi takie uczucie?

Ogarnęła go naraz ochota, by prowokująco zadzwonić do Trabelmanna i poinformować go, że chwyciwszy najpierw za ucho, zdołał wydobyć na wierzch całe ciało Fulgence'a i jest już blisko zajrzenia mu do głowy. Do głowy, którą obiecał przynieść komendantowi nadzianą na trójzęb i uratować w ten sposób chudego Vétilleux od więzienia. Kiedy Adamsberg myślał o agresywności Trabelmanna, miał chęć wepchnąć go w wysokie okno katedry. Tylko jedną trzecią komendanta, górę kadłuba. Nos w nos z bajkowym smokiem, potworem z Loch Ness, rybą z jeziora Pink, ropuchami, minogiem i innymi stworzeniami, które zaczynały przekształcać klejnot sztuki gotyckiej w istną menażerię.

Tyle że wciśnięcie jednej trzeciej komendanta w gotyckie okno nie wymazałoby jego słów. Gdyby to było takie proste, każdy przy byle okazji uciekałby się do tego sposobu i w całym kraju nie zostałyby wolne ani jedno okno, nawet lufcik w wiejskim kościółku. Nie, tego tak się nie da wymazać. Bez wątplenia dlatego, że Trabelmann niewiele rozminął się z prawdą. Prawdę, której Adamsberg zaczynał ostrożnie dotykać dzięki potężnemu wsparciu Retancourt, gdy przedstawiła mu fakty w innym świetle w tamtej kawiarni przy stacji metra Châtelet. Kiedy blond komisarz po swojemu przedstawiała fakty, wwiercały się dosłownie w mózg. Trabelmann jednak pomylił się co do ego Adamsberga. Po prostu. Bo czasami jest ja i ja, rozmyślał inspektor, idąc wzdłuż peronu. Ja i mój brat. I niewykuczone, czemu nie, że totalna ochrona, którą zawdzięczał Raphaëlowi, przytrzymywała go na orbicie wystarczająco daleko od świata, w każdym razie z dala od innych, w stanie nieważkości. I oczywiście z dala od kobiet. Podążenie tą drogą oznaczałoby porzucenie Raphaëla i pozwolenie, by szczeł w samotności w swoim mateczniku. Coś takiego było nie do pomyślenia, toteż może dlatego Adamsberg wystrzegał się miłości. Może nawet ją niszczył? Tylko jak długo tak można?

Wpatrzył się w pociąg wjeżdżający na stację. Ponure to pytanie w prostej linii powiodło go ku lękom związanym z przenoską. Na której nie znaleziono żadnego dowodu obecności Trójzęba.

Wchodząc w uliczkę, przy której mieszkała Clémentine, pstryknął palcami. Musi pamiętać, by opowiedzieć Danglardowi o rzekotkach ze stawu w Collery. Na pewno się ucieszy, kiedy się dowie, że z zabami też się to udaje. Puch! i eksplozja. Dźwięk trochę inny.

L

Żaby jednak musiały poczekać. Ledwie wszedł do domu, zadzwoniła Retancourt z informacją, że zamordowany został Michaël Sartonna, młody sprzątac w brygadzie. Pracował od siedemnastej do dwudziestej pierwszej. Od dwóch dni go nie widziano, sprawdzono zatem u niego w domu. Został zabity dwoma strzałami w pierś z broni z tłumikiem w nocy z poniedziałku na wtorek.

– Zbrodnia dla rabunku, komisarzu? Zdawało mi się, że Michaël miał coś wspólnego z dilerką.

– Możliwe, ale nie był zamożny. Pominąwszy okazałą sumkę zaksięgowaną na jego koncie trzynastego października, cztery dni po informacji w „Les Nouvelles d’Alsace”. A w domu miał nowiutki laptop. Przypominam, że Michaël nagle wziął dwa tygodnie urlopu na czas, kiedy byliśmy w Quebecu.

– Kret, Retancourt? Ustaliliśmy, że nie ma kreta.

– Odwołujemy te ustalenia. Michaël mógł współpracować już od sprawy w Schiltigheim jako informator, a potem pojechać za nami do Quebecu. I wejść do pana mieszkania.

– I zabić na przenosce?

– Czemu nie?

– Nie wierzę w to, Retancourt. Mogę przyjąć, że miałem towarzystwo, ale sędzia nigdy by nie oddał tak wyrafinowanej zemsty zwykłemu podwładnemu. Ani trójzębu, jakkolwiek był.

– Danglard też w to nie wierzy.

– Pistolet też mi nie pasuje do sędziego.

– Już pan zna moje zdanie na ten temat. Pistolet jest dość dobry dla outsiderów, do zbrodni równoległych. Na Michaëla nie trzeba było używać trójzębu. Podejrzewam, że chłopak źle ocenił zleceniodawcę, okazał się zbyt wymagający albo próbował szantażu. Albo sędzia zwyczajnie się go pozbył.

– Jeśli on to zrobił.

– Zbadaliśmy laptop. Twardy dysk jest pusty, a raczej wyczyszczony. Chłopcy z laboratorium zabiorą go jutro i spróbują coś odzyskać.

– A co z psem Michaëla? – zapytał Adamsberg i sam się zdziwił, że martwi się o los okazałego towarzysza chłopaka.

– Rozwalony.

– Retancourt, skoro chcecie mnie zaopatrzyć w kamizelkę, podeślijcie mi

razem z nią ten laptop. Mam pod ręką hakera pierwsza klasa.

– Jak mam wydobyć ten sprzęt? Już nie jest pan inspektorem.

– Pamiętam – zapewnił Adamsberg, słysząc burczenie Clémentine. – Poproście Danglarda, przekonajcie go, umiecie to robić. Od ekshumacji Brézillon przechyla się na moją stronę i Danglard o tym wie.

– Zrobię co w mojej mocy. Ale teraz jego musimy słuchać.

LI

Josette ochoczo zabrała się za komputer Michaëla Sartony. Adamsberg odniósł wrażenie, że nie mógłby jej zrobić większej przyjemności, niż ofiarowując to podejrzane urządzenie, marzenie każdego hakera. Laptop wylądował w Clignancourt dopiero późnym popołudniem, toteż Adamsberg podejrzewał, że Danglard wcześniej kazał go sprawdzić swoim specjalistom. Logiczne i normalne, przecież teraz on dowodził brygadą. Posłaniec przekazał także Adamsbergowi liścik od Retancourt z potwierdzeniem, że twardy dysk jest pusty, wyczyszczony na błysk. Co tylko podsyciło pożądlivość Josette.

Długo się mozoliła z pokonywaniem kolejnych zabezpieczeń chroniących skasowaną pamięć urządzenia, potwierdzając Adamsbergowi, że faktycznie w kompie ktoś gmerał.

– Pańscy ludzie nie zadali sobie trudu, żeby usunąć swoje ślady. To normalne, nie robili nic nielegalnego.

Ostatnie zabezpieczenie ustąpiło po wpisaniu na wspak imienia psa Michaëla, kamil. Chłopak nierzadko przyprowadzał psa do pracy, wielką obślinioną bestię równie groźną jak ślimak – stąd jego imię, Limak – namiętnie targającą wszelkie papiery, jakie tylko znalazły się w jego zasięgu. Limak potrafił przekształcić wydrukowany raport w lepką kulę. Jako hasło imię pasowało jak ulał do tajemniczych przeobrażeń dokonujących się w komputerach.

Pokonawszy jednak blokady, Josette dotarła do zapowiedzianej pustki.

– Wypucowane, wyszorowane szczotką ryżową – orzekła.

Oczywiście. Skoro doświadczeni spece z laboratorium niczego nie znaleźli, niby dlaczego Josette miałyby być lepsza? Jednakże pomarszczone dłonie hakerki z uporem spoczywały na klawiaturze.

– Jeszcze poszukam – oznajmiła z zacięciem.

– Nie ma sensu. Już tam chłopcy z laboratorium wypróbowali wszystkiego.

Była pora na porto, Clémentine zatem zawołała Adamsberga na wieczorny kieliszek, jak wzywa się nastolatka, by usiadł do zadań domowych. Teraz Clémentine do porto dodawała żółtko jajka ubite z posłodzonym winem. Koktajl porto flip był bardziej sycący.

– Nie odpuszcza – wyjaśnił Adamsberg, kiedy brał z rąk Clémentine kieliszek z gęstą miksturą, którą przyzwyczaił się popijać.

– Na oko sądząc, można by pomyśleć, że da się ją przewrócić prztyczkiem –

zauważyła Clémentine, trącając się kieliszkiem z Adamsbergiem.

– Ale się nie da...

– Nie – przerwała mu Clémentine, zatrzymując Adamsberga, który już podnosił kieliszek do ust. – Jak się trąca kieliszkami, trzeba sobie patrzeć prosto w oczy. Już ci to mówiłam. Potem trzeba wypić jednym haustem, nie odrywając kieliszka od ust. Bez tego to nie działa.

– Co nie działa?

Clémentine pokręciła głową, jakby Adamsberg zadał jakieś naprawdę głupie pytanie.

– Jeszcze raz zaczniemy – poleciła. – Patrz mi w oczy. O czym mówiłam?

– O Josette. O prztyczkach.

– No. Pozory mylą. Bo w środku moja Josette ma busolę, która zawsze pokazuje północ. Już z niejednym sobie poradziła. I nie tak zaraz odpuści.

Adamsberg zaniósł kieliszek krzepiącej mikstury do gabineciku Josette.

– Trzeba sobie patrzeć prosto w oczy, trącając się kieliszkami – wyjaśnił. – Inaczej to nie działa.

Josette uśmiechnęta stuknęła się z nim wedle zaleceń.

– Udało mi się odzyskać kawałek jednej linijki – powiedziała swoim wątłym głosem. – To strzępki usuniętej wiadomości. Której pańscy ludzie nie wyłowili – dodała z odrobiną dumy. – Są takie zakamarki, które najlepsi łowcy zapominają przeczesać.

– Szpara między ścianą a stopą umywalki?

– Na przykład. Zawsze lubiłam sprzątać na błysk, co przeszkadzało mojemu armatorowi. Niech pan zobaczy.

Adamsberg przysunął się do monitora i odczytał niezrozumiałą serię kilkunastu liter, które przetrwały: dam, ca, au, prz, ut, pot, wc.

Josette wyglądała na zachwyconą swoim znaleziskiem.

– To wszystko? – zapytał Adamsberg zawiedziony.

– Tylko tyle, ale zawsze to coś – rzekła Josette wesoło. – Bo ta grupa samogłosek, au, jest dość rzadka: autor, auto, klaun, sauna, nauka, laurka, dinozaur, kauczuk...

– I raut.

– Raut?

– Światowe przyjęcie wyższych sfer.

– A tak. Kiedy żyłam na wysokiej stopie, nazywaliśmy to koktajl. Ale nie ma wiele tych słów, jeśli pominąć wszystkie, które się zaczynają na „auto”.

– Michaël raczej z nauką nie miał nic wspólnego, z laurkami czy z sauną albo klaunem też wątpię.

– Zatrzymujemy więc auto i kauczuk. Może też chodzić o nazwisko. Jest jeszcze to „dam”, bardzo interesujące.

– Klasyczny kod na określenie amsterdamskiej obrotnicy statków. Michaël parł się dilerką, jestem tego prawie pewny.

– To by mogło pasować. Z tym „prz” jako przewieźć, przewóz, „ca” jako dostawca. Czy „kauczuk” może oznaczać prochy?

– Tak dla niepoznaki, jako szyfr? W życiu nie słyszałem, ale możliwe. Sok z konopi indyjskich, kauczuk... Czemu nie?

– To by dawało jakąś wymianę korespondencji związaną z dilerką. Sądząc po tych resztkach.

Josette zapisała na kartce rozproszone litery i przez chwilę oboje zastanawiali się w milczeniu.

– Nie mam pomysłu na to ut, pot, wc – oznajmiła w końcu Josette.

– Utarg potwierdzić wcześniej – zaproponował Adamsberg.

– Czyli mielibyśmy coś w stylu: Amsterdam, dostawca, kauczuk, przewieźć, utarg, potwierdzić, wcześniej.

– To nie ma nic wspólnego z Trójzębem – szepnął Adamsberg. – Michaël musiał się wdać w handel prochami za duży dla niego. To sprawa dla chłopców z narkotykowego, nie dla nas, Josette.

Josette subtelnie wypięła porto flip. Niezadowolenie pogłębiło zmarszczki na jej drobnej twarzy.

Retancourt pomyliła się co do kreta, myślał Adamsberg, rozgarniając ogień pogrzebaczem. Jak to mówili w Quebecu na rozgarnianie ognia?... Aha, przegrzebywanie. Przegrzebywanie ognia. Obydwie staruszki poszły spać, a on nie mógł zasnąć. Przegrzebywał ogień. Nigdy nie zidentyfikuje tego kreta, którego pewno w ogóle nie było. Tylko strażnik w bloku w Hull, wyłącznie on zeznał Lalibertému. A jeśli chodzi o przeszukanie jego mieszkania, to niewiele na nie wskazywało. Klucz położony kilka centymetrów dalej i jeden karton, który zdaniem Danglarda został ustawiony inaczej. Czyli w zasadzie nic. Nigdy nie znajdzie mało prawdopodobnego towarzysza wędrówki po przenosce. Nawet jeśli odtworzy wszystkie zbrodnie Fulgence’a, na tej makabrycznej ścieżce do końca życia pozostanie sam. Adamsberg czuł, jak jedna po drugiej puszczają liny, oddzielając go od świata, od którego oddalał się niczym drapieżny niedźwiedź na oderwanym kawale kry. Ukryty tutaj, pod osłoną porto flipów Clémentine i szarych papuci Josette.

Włożył kurtkę, naciągnął na oczy polarną uszankę i cichutko wyszedł w noc. Zanedbane uliczki Clignancourt były puste i ciemne, większość latarni się nie świeciła. Wsiadł na stary motorower Josette, pomalowany dwoma różnymi odcieniami niebieskiej farby, i dwadzieścia pięć minut później zahamował pod oknami Camille. Przywiedziony instynktownie do innego schronienia pragnieniem, by choćby popatrzeć w okna budynku i zaczerpnąć odrobinę zbawczego powietrza, które było od Camille, a raczej powstawało ze złączenia jego z Camille. Trzeba dwóch okien, żeby zrobić przeciąg, oświadczyłaby Clémentine. Doznał wstrząsu, gdy popatrzył w okno na siódmym piętrze. Oświetlone. A więc wróciła z Montrealu. Chyba że komuś podnajęła pracownię. Choć mogło być i tak, że świeżo upieczony tatuś krzątał się tam na prawach pana domu. Ze swoimi dwoma labradorami: jeden ślinił się pod zlewem, drugi pod syntezatorem. Adamsberg wpatrzył się w prowokująco jasne okno, czyhając na cień tamtego. Zawładnięcie tym miejscem przez kogoś innego przeszło go jak wiertło, przed oczami stanął mu widok faceta chodzącego nago, faceta z jędrnymi pośladkami i płaskim brzuchem. Ten obraz dotknął go do żywego.

Z kawiarenki na dole budynku dochodziły pikantne wonie i brzęczenie pijackich rozmów. Identycznie jak ze Śluzy. Świetnie, rzekł sobie Adamsberg, przypinając do słupka motorower. Porządny kieliszek koniaku rozwieje jak pył tego gołego faceta, który pozwala swoim labradorom ślinić się na podłodze pracowni. Z tym gościem z psami poradzi sobie techniką definitywnego wykończenia stosowaną przez Limaka, pokój jego pamięci: przemieni faceta w lepką kulę bibuły.

Drugie planowe pijaństwo w dorosłym życiu, pomyślał Adamsberg, otwierając zaparowane drzwi. Może tego wieczoru nie będzie eksperymentował z mieszankami. A może będzie. Za pięć tygodni zasiądzie w fotelu u Brézillona pozbawiony pamięci, pracy, brata, dziewczyny z północy i wolności. Chwila nie była sposobna do roztrząsania kwestii mieszania alkoholi. Pieprzone labradory, rozmyślał przy pierwszym koniaku. Wciśnie je w wieżę fasadową katedry, tak że tylnymi łapami będą wierzgały w powietrzu. Co się stanie z zabytkową budowlą, kiedy wszystkie otwory klejnotu sztuki gotyckiej zapchane będą przez tę dziką menażerię? Czy udusi się z braku powietrza? Zsinieje i skona? A może puch, puch, puch i eksplozja? A czy potem, zastanawiał się przy drugim kieliszku, katedra się zawali? I co będzie z kupą gruzów, nie wspominając o stworzeniach uwięzionych w rumowisku? Sakramencki problem dla Strasburga.

A gdyby nadmiarem stworzeń pozatykał okna w GRC? Zablokowałyby dostęp

tlenu, powietrze by przesiąkło śmierdzącymi wyziewami zwierząt... Laliberté padłby martwy w swoim gabinecie. Trzeba by uratować Sanscartiera Dobrego przed uduszeniem. I Ginette z tą jej maścią. Tylko czy wystarczy mu zwierząt? Pytanie było ważne, taka operacja wymagała dużych stworzeń, nie jakichś tam ślimaków czy motyli. Będą mu potrzebne porządne egzemplarze, w miarę możliwości zionące ogniem jak smoki. A smoków nie znajduje się pod każdym kamieniem, one jak te tchórze kryją się w niedostępnych pieczarach.

Ależ tak, smoków jest od groma w madzongu, uzmysłowił sobie i walnął pięścią w kontuar. O tej chińskiej grze wiedział tylko tyle, że składa się z całej kupy smoków, i to wszelkiej maści. Wystarczy pogrzebać jak stary Guillaumond trzema palcami i poutykać ile trzeba gadów w drzwiach i oknach, nie pomijając żadnych szpar. Czerwone pójdą do Strasburga, zielone do GRC.

Nie był w stanie dopić czwartego kieliszka. Zataczając się, dotarł do motoroweru. Ponieważ nie zdołał odpiąć zabezpieczenia przed kradzieżą, kopniakiem otworzył bramę na dole kamienicy i przytrzymując się poręczy, wspiął się na siódme piętro. Żeby pogadać ze świeżo upieczonym tatusiem, żeby podać mu godzinę, o której chce mu powiedzieć *by, by*. I żeby zwędzić mu te dwa kundle. Do nich dołoży doberman sędziego, super się nadadzą do zapchania otworów katedry. Ale Limaka nie weźmie, nie, nie, to był sympatyczny śliniak, sprzyjał mu, podobnie jak jego komórkowy skarabeusz. Świetny plan, rzekł sobie, opierając się o drzwi pracowni Camille. Przypląw myśli powstrzymał jego palec, zanim dotknął dzwonka. Alarm rozbrzmiewający w pamięci. Uwaga. Byłeś pijany na umór, kiedy wykończyłeś Noëllę. Uwaga, nie wchodzić. Już nie wiesz, kim jesteś, nie wiesz, co jesteś wart. Tak, tylko że kurde, potrzebował tych labradorów.

Camille otworzyła i zdumiała się, ujrzawszy go w drzwiach.

– Sama jesteś? – zapytał Adamsberg bełkotliwie.

Camille kiwnęła głową.

– Bez psów?

Z trudem wypowiadał słowa. Nie wchodzić, szeptał mu pomruk rzeki Outaouais. Nie wchodzić.

– Jakich psów? – spytała Camille. – Jean-Baptiste, jesteś pijany. Przychodzisz o północy i gadasz o jakichś psach?

– Gadam o madzongu. Wpuść mnie.

Niezdolna dość szybko zareagować Camille usunęła się na bok. Adamsberg chwiejnie podszedł do kuchennego barku, na którym stały resztki kolacji. Pobawił się kieliszkiem, karafką, widelcem, badając palcem ostrość jego zębów. Niepewna Camille zatrzymała się pośrodku pomieszczenia, usiadła po turecku na taborecie przy pianinie.

– Wiem, że twoja babcia miała madżonga – podjął Adamsberg, zająkując się. –
Pewnie nie chciała, żeby szwabić, hę? „Oszwab mnie tylko, a wraz cię nadzieję”.
Jajcary z tych babć że ho ho!

LII

Josette źle spała, a jeszcze przebudziła się o pierwszej nad ranem w apogeum koszmarnego snu: śniło jej się, że z drukarki wychodzą czerwone kartki, fruną przez pokój i opadają na podłogę. Nic się nie dało przeczytać, wydruki przykrywał ten natarczywy kolor.

Wstała cichutko i poszła do kuchni, gdzie przygotowała sobie talerz ciastek z syropem klonowym. Clémentine, okutana w gruby szlafrok, dołączyła do niej jak nocny stróż robiący obchód.

- Nie chciałam cię obudzić – przepraszającym tonem powiedziała Josette.
- Nosi cię i nosi – zauważyła Clémentine.
- Nie mogę spać. Ale to nic, Clémie.
- Martwi cię ta maszyna?
- Pewnie tak. Śniło mi się, że wychodziły tylko nieczytelne kartki.
- Dojdiesz do tego, Josette. Wierzę w ciebie.

Do czego dojdę? zastanowiła się Josette.

– Wydaje mi się, że śniła mi się krew, Clémie. Wszystkie kartki były czerwone.

- Z maszyny lał się atrament?
- Nie. Tylko te kartki wylatywały.
- A, to nie była krew.
- Wyszedł? – zapytała Josette, uświadomiwszy sobie, że kanapa jest pusta.
- Widać tak. Gdzieś go poniosło, tak bywa czasem. On też się gryzie. Pojedz sobie i popij, to usypia – poradziła, grzejąc sobie mleko w garnuszku.

Zamknąwszy pudełko z ciastkami, Josette się zastanawiała, do czego właściwie ma dojść. Narzuciła sweter na pizamę i usiadła zamyślona przed wyłączonym komputerem. Laptop Michaëla leżał obok, niepotrzebny prowokujący śmieć. Trzeba dojść do właściwego wyniku, pomyślała Josette, do tego, który mi umknął w trakcie koszmaru. Nieczytelne kartki wskazywały, że popełniła błąd w odszyfrowywaniu liter Michaëla. Gruby błąd, przekreślony na czerwono.

No pewnie, stwierdziła, odczytując swoje odtworzenie fragmentów uratowanego zdania. Co za bzdura wyobrazić sobie, że tyle szczegółów będzie podawanych w odniesieniu do jednej dostawy prochów. Że będzie przypomniany deal, towar, ciężar i miasto pochodzenia. Może jeszcze podać swoje nazwisko i adres? Jak na dilerski list taka gadatliwość Michaëla nie miała sensu. Tak, tak,

Josette musiała przyznać, że się bardzo pomyliła i jej praca została przekreślona na czerwono.

Cierpliwie wpatrzyła się w ciąg liter: dam, ca, au, prz, ut, pot, wc. Próbowwała składać różne słowa, wymyślała różne kombinacje – bez sukcesu. Irytowała ją ta blokada. Przyszła Clémentine z kubkiem mleka w ręce, zajrzała jej przez ramię.

– To ci nie daje spać? – spytała.

– Pomyliłam się i próbuję zrozumieć.

– Hm, moja droga, powiedzcie ci coś?

– Słucham.

– Ta sprawa to chińszczyzna. A chiński rozumieją tylko Chińczycy, mają to we krwi. Zagrzać ci mleka?

– Nie, dziękuję, Clémie. Skupię się na tym.

Clémentine cicho zamknęła za sobą drzwi. Nie należało przeszkadzać, kiedy Josette łamała sobie głowę.

A Josette na powrót zajęła się odzyskanymi grupami liter. Wpatrywała się w nie po kolei, próbując dopasować słowa. Klaun, sauna, kauczuk... Clémentine miała słuszność, to była chińszczyzna.

Wbiła ołówek w kartkę. Pewnie, że to chiński. Któreś słowo nie było francuskie, tylko chińskie, w obcym języku. Kto nim władał, ten miał je we krwi. Płynęło w nim jak rzeka, indiańska rzeka. „Outaouais”, napisała nerwowo pod grupą „ut”. Tym razem poczuła w sobie błogosławione kliknięcie hakera, który dopasował klucz do właściwego zamka. A „dam” to od Adamsberga, nie od Amsterdamu. Zadziwiająco, pomyślała, jak bardzo bliskość zaciera kontury rzeczy oczywistych. Dowiedziała się tego we śnie z czerwonymi kartkami. To nie krew, zapewniła Clémentine. Jasne. Nie krew, tylko czerwone kanadyjskie liście spadające jesienią na drogi. Zagryzając wargę, Josette zapisywała kolejno słowa, które wreszcie wyciekały z pęknięcia i z łatwością ustawiały się jedno za drugim: „pot” to spotykać, spotkać, „wc” – dziewczyna, a nie „potwierdzić wcześniej”.

Dziesięć minut później rozluźniona wpatrywała się w swoje dzieło, teraz pewna, że szybko zaśnie: Adamsberg – praca – Gatineau – przenoska – Outaouais – spotykać – dziewczyna. Położyła kartkę na kolanach.

Czyli Adamsberg faktycznie ciągnął za sobą donosiciela, tego Michaëla Sartonnę. W samo morderstwo niczego to nie wносиło, ale przynajmniej zyskiwał pewność, że Sartonna go śledził i gromadził informacje o tym, kogo spotykał na przenosce. Po czym te informacje przekazywał dalej. Josette wsunęła kartkę pod klawiaturę i zakopała się w pościeli. Przynajmniej nie był to błąd hakera, lecz po prostu w rozszyfrowaniu.

LIII

– Daj madżonga – powtarzał Adamsberg.

Camille się zawahała, w końcu przysłała do niego do kuchni. Stan upojenia alkoholowego pozbawiał uroku głos Adamsberga, teraz bardziej piskliwy i łamiący się. Rozpuściła dwie tabletki w szklance wody i podała mu.

– Pij – powiedziała.

– Potrzebuję smoków, rozumiesz. Wielkich smoków – wyjaśnił, zanim wypił.

– Nie mów tak głośno. Po co ci smoki?

– Muszę pozatykać okna.

– W porządku – zgodziła się Camille. – Pozatykasz je.

– Labratory faceta też mi są potrzebne.

– Jasne. Nie mów tak głośno.

– Dlaczego?

Camille nie odpowiedziała, lecz Adamsberg powiódł wzrokiem tam, gdzie zerknęła. W głębi pracowni dojrzał, choć jak przez mgłę, łóżeczko dziecięce.

– A, faktycznie – oznajmił, unosząc palec. – Dziecko. Nie obudzić dziecka. Ani tatusia od piesków.

– Wiesz? – spytała Camille obojętnie.

– Jestem gliniarzem, wiem o wszystkim. O Montrealu, dziecku, świeżo upieczonym tatusiu z psami...

– To dobrze. Jak tu dotarłeś? Piechotą?

– Na motorowerze.

Cholera, pomyślała Camille. Nie mogła pozwolić mu odjechać w tym stanie. Wyjęła starą grę w madżonga odziedziczoną po babci.

– Graj – powiedziała, kładąc pudełko na barze. – Pobaw się kostkami. Ja poczytam.

– Nie zostawiaj mnie. Pogubiłem się i zabiłem dziewczynę. Wytłumacz mi tego madżonga, chcę znaleźć smoki.

Camille krótko obrzuciła Adamsberga wzrokiem. Uznała, że chwilowo jedyne, co może zrobić, to skupić jego uwagę na kamieniach madżonga. Dopóki tabletki nie zaczną działać i nie będzie mógł ruszyć w drogę. I musi zaparzyć mu mocnej kawy, by nie zasnął z głową na blacie.

– Gdzie smoki?

– W tej grze są trzy rodziny kamieni – zaczęła wyjaśniać Camille kojącym

głosem, ostrożnie, jak każda kobieta zagadnięta na ulicy przez człowieka niepanującego nad sobą. Trzeba wtedy mówić spokojnie i zniknąć, jak tylko się da. Musi go zająć babciną grą. Podała mu kubek czarnej kawy. – Tu masz rodzinę monet, tu rodzinę znaków, a tu bambusów od numeru jeden do numeru dziewięć. Rozumiesz?

– Do czego to służy?

– Do grania. A to są wiatry: wschodni, zachodni, północny, południowy.

I twoje smoki.

– Aha – z zadowoleniem przytaknął Adamsberg.

– Cztery smoki zielone – ciągnęła Camille, układając przed nim kamienie – cztery smoki czerwone i cztery dziewicze. W sumie dwanaście smoków. Wystarczy ci tyle?

– A to? – zapytał Adamsberg, wskazując niepewnym palcem bogato zdobiony kamień.

– To kwiat, jest ich osiem. One się nie liczą w grze, ale bywają przydatne.

– I co się robi z całym tym tałatajstwem?

– Gra się – cierpliwie powtórzyła Camille. – Zbiera się pungi, kongi i czou, czyli różne kombinacje kamieni. Pungi mają największą wartość. Dalej cię to interesuje?

Adamsberg niemrawo kiwnął głową i wypił kawę.

– Zbierasz kamienie, póki nie masz kompletu układów. Bez szwabienia, jeśli to możliwe.

– Oszwab mnie tylko, a wraz cię nadzieję. Tak mawiała moja sakramencka babcia. „Powiedziałam Schwabowi: zbliż się tylko, a wraz cię nadzieję”.

– No dobrze. Już umiesz grać. Skoro tak się tym pasjonujesz, zostawiam cię, a ty sobie pograj. Tu masz zasady.

Camille usiadła z książką w głębi pracowni. Musiała poczekać, aż mu przejdzie. Adamsberg ustawiał słupki z kamieni do madżonga, słupki się zawały, a on mamrocząc coś, zaczynał od nowa, od czasu do czasu ocierając oczy, jakby mu strasznie było żal. Pod wpływem alkoholu wywnętrzał się bardzo emocjonalnie, na co Camille odpowiadała lekkim skinieniem głowy. Po przeszło godzinie zamknęła książkę.

– Jeśli czujesz się lepiej, idź już – powiedziała.

– Najpierw chcę zobaczyć tego faceta z psami – oznajmił, podnosząc się szybko.

– Dobrze. Jak chcesz się za to zabrać?

– Wykurzę go z kryjówki. Wykurzę faceta, który się chowa i nie śmie spojrzeć mi w twarz.

– To możliwe.

Adamsberg rozkołysanym krokiem przemierzył pracownię, po czym skierował się do pokoju na półpiętrze.

– Nie ma go na górze – ostrzegła Camille, składając madzonga. – Możesz mi wierzyć na słowo.

– Gdzie się zaszły?

Camille bezsilnie rozłożyła ręce.

– Nie tutaj.

– Nie tutaj?

– Zgadza się. Nie tutaj.

– Wyszedł?

– Odszedł.

– Zostawił cię? – krzyknął Adamsberg.

– Tak. Nie krzycz i przestań go szukać.

Adamsberg przysiadł na poręczy fotela, wystarczająco już trzeźwy dzięki lekarstwu i zaskoczeniu.

– Kurczę, zostawił cię? Z dzieckiem?

– Zdarza się.

Camille kończyła układać w pudełku kamienie.

– Cholera – głuchym głosem rzekł Adamsberg. – Naprawdę nie masz farta.

Camille wzruszyła ramionami.

– Nie powinienem był odejść. – Pokręcił głową. – Chroniłbym cię, stanowiłbym tamę – mówił, rozkładając ręce. I naraz pomyślał o szefie bernikli.

– Trzymasz się już na nogach? – spytała łagodnie Camille, podnosząc oczy.

– Pewnie, że się trzymam.

– To idź już, Jean-Baptiste.

LIV

Adamsberg dotarł do Clignancourt jeszcze nocą, zdziwiony, że udało mu się jechać prawie prosto. Kuracja zastosowana przez Camille wzburzyła mu krew i otrzeźwiła głowę, tak że ani nie chciało mu się spać, ani nie łupało go pod czaszką. Wszedł do ciemnego domu, dorzucił polano do kominka i patrzył, jak zajmuje się ogniem. Widok Camille wstrząsnął nim do głębi. Odszedł od niej znienacka, a teraz ujrzał ją znowu w tym nieznośnym położeniu – facet ulotnił się pod krawatem, na paluszkach w wypastowanych butach, zabierając swoje kundle. Wpadła w ramiona pierwszego durnia, jaki się napatoczył, durnia, który potrafił jej wszystko wmówić. I oto rezultat. Kurde, nie pomyślał nawet, żeby zapytać o płeć dziecka ani o jego imię. W ogóle nie przyszło mu to do głowy. Stawiał słupki z kamieni do madżonga. Plótł o smokach i o tej grze. Właściwie czemu tak mu zależało na tych smokach?... A tak, z powodu okien.

Pokręcił głową. Pijaństwo ani trochę mu nie służyło. Od roku nie widział Camille i proszę, wylądował u niej naprany, zażądał, by wyjęła madżonga, domagał się zobaczenia świeżo upieczonego tatusia. Istny szef bernikli. Nad nim też nie będzie miał litości, użyje go do zapchania katedry – będzie głupio gęgał bezsilny na samej górze dzwonnicy.

Wyjął z kieszeni broszurkę z zasadami gry w madżonga, którą zabrał od Camille, i kartkował ją ze smutkiem. Porządną broszurkę pożółkłą ze starości, broszurkę sakramenckich babć. Monety, bambusy, znaki, wiatry i smoki, tym razem wszystko pamiętał. Wolno przeglądał zasady gry, szukając układu, którego zdaniem Marie Guillaumond jej mąż nie był w stanie zdobyć. Zatrzymał się przy układach specjalnych, bardzo trudnych do zebrania. Na przykład zielony wąż, pełen sekwens bambusów z pungiem zielonych smoków. Dla zabawy, dla rozrywki. Przejechał palcem wzdłuż wykazu układów i zatrzymał się na układzie honorów: złożony z pungów smoków i wiatrów. Na przykład: trzy wiatry zachodnie, trzy południowe, trzy smoki czerwone i para wiatrów północnych. Układ najwyżej punktowany, prawie nieosiągalny. Stary Guillaumond słusznie miał go w najgłębszym poważaniu. Tak samo jak Adamsberg w głębokim poważaniu miał reguły gry, które trzymał teraz w ręce. Nie tej broszurki chciał dotykać, lecz Camille, jednego z niezbędnych elementów potrzebnych mu do życia. Spartaczył to. Tak samo

spartaczył swoje życie na tej leśnej ścieżce, jak spartaczył polowanie na sędziego, kończąc je w ślepym zaułku w Collery, skąd wywodziła się biała smoczyca.

Adamsberg zastygł. Biała smoczyca. Biały smok. Camille o nim nie mówiła. Szybko podniósł z podłogi broszurkę i otworzył ją. Honory: smoki zielone, smoki czerwone i smoki białe. Camille mówiła o nich „dziewicze”. Cztery wiatry: wschodni, zachodni, południowy, północny. Adamsberg zacisnął palce na cienkim papierze. Cztery wiatry: Soubise, Ventou, Autan i Wind. I Brasillier: ogień, czyli znakomity smok czerwony. Z tyłu broszury wypisał szybko dwanaście ofiar Trójzęba, dodając jeszcze jego matkę, razem trzynaście. Matka, pierwotny biały smok. Mocno ściskając w palcach długopis, Adamsberg starał się wypatrzeć kamienie madzonga na wykazie sędziego, w jego „układzie honorów”. Tym, którego ojciec nigdy nie mógł zebrać, a Fulgence, oddając mu najwyższą cześć, wściekle gromadził figury. Za pomocą trójzębu symbolizującego ojcowską dłoń, która zbiera kamienie madzonga. Fulgence zbierał swoje ofiary żelaznymi palcami. Ile kamieni trzeba, aby układ był pełny? Ile, na litość boską?

Czując, że dłonie mu się pocą, wrócił do początku opisu reguł gry: trzeba zebrać czternaście kamieni. Czternaście. Brakowało zatem jednej sztuki, aby sędzia zakończył swoją grę.

Adamsberg czytał nazwiska i imiona ofiar, szukając ukrytego pod nimi elementu madzonga. Simone Matère. *Mater*, czyli matka, to biały smok. Jeanne Lessard, zielony smok, bo jak *lézard*, jaszczurka. W innych nazwiskach na razie niczego nie dostrzegał. Nie potrafił odnaleźć w nich powiązań czy to ze smokiem, czy z wiatrem. Nie miał pojęcia, co począć z nazwiskami: Lentretien, Mestre, Lefebure. Wyłowił jednak już cztery wiatry i trzy smoki, siedem nazwisk z trzynastu, o wiele za dużo, by uważać to za przypadek.

Wtem uświadomił sobie, że jeśli nie robi błędu, jeśli sędzia istotnie stara się zgromadzić czternaście elementów z układu honorów, znaczy to, że Raphaël nie zabił Lise. Wybór dziewczyny nazwiskiem Autan wskazywał na rękę Trójzęba, a zatem oczyszczał rękę jego brata. Nie oczyszczał jednak ręki Adamsbergowej. Nazwisko Noëlli Cordel nie kojarzyło się z żadnym z honorów. Kwiaty, przypomniał sobie, Camille powiedziała coś o kwiatach. Znowu zaczął wertować zasady gry. Kwiaty, kamienie niebiorące bezpośredniego udziału w grze – gracz je zatrzymuje, ale nie wchodzi do żadnego układu. To poniekąd takie ozdobniki, pozostające poza serią. Ofiary dodatkowe, dopuszczalne zgodnie z zasadami madzonga. Nie musiały być nadziane na ten właściwy trójząb.

O ósmej rano Adamsberg w kawiarni czekał na otwarcie biblioteki miejskiej, co

rusz zerkając na zegarki, wczytując się w zasady gry w madżonga, powtarzając nazwiska ofiar. Mógł oczywiście zwrócić się o pomoc do Danglarda, ale kolega z pewnością wyraziłby sprzeciw w obliczu jego nowej ekstrawagancji. Najpierw przecież wpuścił go w sprawę z nieboszczykiem, potem ze stulatkiem, a teraz jeszcze ta chińska gra. Tyle że chińska gra bardzo rozpowszechniona w czasach, gdy Fulgence był dzieckiem, nawet na wsi i u babci Camille.

Teraz wiedział, dlaczego w oparach zamroczenia alkoholowego domagał się, by Camille pokazała mu tę grę. Już w pokoju hotelowym w Richelieu myślał o czterech wiatrach. Obcował ze smokami. Poznał grę, która znaczyła każdy wieczór dzieciństwa sędziego, wiedział, jaki układ jest chlubą dla gracza – układ niedostępny dla kalekiej ręki jego ojca.

Wpadł do biblioteki tuż po otwarciu i pięć minut później na jego stoliku wylądował opasy etymologiczny słownik francuskich imion i nazwisk. W takim napięciu, w jakim gracz rzuca kości, modląc się o trzy szóstki, Adamsberg rozłożył swoją listę nazwisk. Wypił trzy kawy, żeby się trzymać po nieprzespanej nocy, i teraz ręce mu drżały na książce jak dłonie Josette.

Najpierw sprawdził nazwisko Brasillier: pochodne słowa *brasier*, błyszczec, i *braise*, żar. Świetnie, ogień, czerwony smok. Następnie upewnił się co do ukrytego znaczenia nazwiska Jeanne Lessard: nazwa miejscowa Essart, Essard, znacząca *lézard*, jaszczurka. Zielony smok. Z większym niepokojem przystąpił do nazwiska Espir, licząc, że znajdzie powiązania z wiatrem. Espir: w starofrancuskim tchnienie, oddech. Piąty wiatr, osiem sztuk z trzynastu. Adamsberg przetarł dłonią twarz z nieprzyjemnym wrażeniem, że konno przeskakuje przez groźne przeszkody i wierzchowiec brzuchem może strącić belkę albo się o nią potknąć.

Najbardziej tajemnicze zagadki miał przed sobą. Enigmatycznego Fèvre'a, który być może zmiecie w pył jego wydumane dowody. Fèvre: kowal. Potężny zawód ścisnął mu trzewia. Fèvre, prosty cholerny kowal. Adamsberg oparł się o krzesło i zamknął oczy. Skupić się na tym kowalu z młotem w garści. Wykuwa zęby wideł? Otworzył oczy. Z podręcznika szkolnego, w którym parę tygodni wcześniej oglądał wizerunek Neptuna, wyłonił się przed nim Wulkan, bóg ognia, przedstawiony jako robotnik przy gorejącym palenisku. Kowal, władca ognia. Nabrał powietrza i obok „Fèvre” pospiesznie wpisał boskiego kowala, czyli drugiego czerwonego smoka. Po czym przeszedł do nazwiska Lefebure: zob. Lefèvre, Fèvre. To samo, czyli trzeci czerwony smok. Pung zebrany. Dziesięć elementów na trzynaście.

Adamsberg zwiesił ręce i na chwilę zamknął oczy, zanim stawił czoło nazwiskom Lentretien i Mestre.

Lentretien: zniekształcone Lattelin, które znaczy *lézard*, jaszczurka. Zielony

smok, zanotował przy tym nazwisku pismem coraz bardziej koślawym z powodu napięcia w dłoni. Kilkakrotnie rozprostował i zwinął palce, po czym wziął na tapetę nazwisko Mestre.

„Mestre: w starookcytańskim *moestre*, południowa forma słowa *maître*, mistrz, pan. Zdrobnienia Mestrel lub Mestral, warianty Mistrala. Wskazywał północ wystawioną na mistral, wiatr najważniejszy”. Wiatr najważniejszy, zanotował.

Odłożył długopis i odetchnął, wdychając długi haust tego zimnego najważniejszego wiatru, srogiego, wiatru, który zamykał jego wykaz i chłodził rozpalone policzki. Adamsberg szybko dokonał rekapitulacji swojego układu: miał pung z czerwonych smoków (Lefebure, Fèvre i Brasillier), dwa pungi z wiatrów (Soubise, Ventou, Autan, Espir, Mestre i Wind), parę z zielonych smoków (Lessard i Lentretien), parę białych smoków (Matère i matkobójstwo). Razem trzynaście. Siedem kobiet, sześciu mężczyzn.

Brakowało czternastego elementu, aby zamknąć „układ honorów”. Musiałby to być albo biały, albo zielony smok. Bez wątplenia mężczyzna, by uzyskać idealną równowagę między płciami, między ojcem a matką. Wyczerpany i zlany potem Adamsberg zaniósł cenną księgę bibliotekarce. Zyskał oto dostęp do mrocznego sezamu, miał klucz, złoty kluczyk Sinobrodego otwierający drzwi do izby umarłych.

Wykończony wrócił do Clémentine, nie mogąc się doczekać, kiedy rzuci bratu ten klucz nad Atlantykiem, kiedy wykrzyczy, że jego koszmar się zakończył. Josette jednak nie dała mu na to czasu, zaraz bowiem wetknęła mu do rąk na nowo rozszyfrowane strzępki odzyskanej wiadomości. „Adamsberg – praca – Gatineau – przenoska – Outaouais – spotykać – dziewczyna”.

– Nie spałem tej nocy, pani Josette, nie jestem w stanie zebrać myśli.

– To te zlepkki liter z komputera Michaëla. Zrobiłam błąd na całej linii, dlatego zaczęłam od „ut”. To nie żaden „utarg”, tylko Outaouais. A „au” jest z Gatineau. I razem wyszło mi to.

Adamsberg skupił się na słowach zanotowanych drżącym pismem Josette.

– Przenoska – wyszeptał.

– Michaël jak najbardziej informował jakiegoś zleceniodawcę. Nie był pan sam na tej ścieżce. Ktoś wiedział.

– To tylko domysły, pani Josette.

– Nie ma tak wielu znowu słów z tymi zbitkami, które by w kontekście pasowały do siebie. Tym razem jestem pewna, że odczytałam to prawidłowo.

– Świetnie. Ale domysły nigdy nie będą miały wartości dowodu, rozumie pani?

Właśnie wyrwałem brata z otchłani, ale ja ciągle w niej tkwię pod wielkimi głazami.

– Za zaryglowanymi drzwiami – sprostowała Josette. – Za grubymi zaryglowanymi drzwiami.

LV

Raphaël Adamsberg znalazł wiadomość w piątek rano, wiadomość, której jego brat nadał temat „Łąd”. Od okrzyku marynarzy, pomyślał Raphaël, od okrzyku żeglarzy dostrzegających mglisty zarys kontynentu. Musiał przeczytać e-mail kilkakrotnie, nim wreszcie odważył się zrozumieć sens tej napisanej w pośpiechu i zmęczeniu mętnej płątaniny smoków i wiatrów, w której mieszało się ucho sędziego, piasek, matkobójstwo, wiek Fulgence’a, okaleczenie Guillaumonda, wioska Collery, trójzęb, madżong, układ honorów. Jean-Baptiste pisał tak szybko, że gubił litery, a nawet całe słowa. Pisał rozdygotany i ten dygot dotarł aż do Raphaëla, przekazany został z brata na brata ponad oceanem niesiony falami, potem przybój rozbił się o jego schronienie w Detroit i bez ceregieli rozdarł kłębowisko cieni, pośród których wiódł swoje potajemne życie. Nie zabił Lise. Siedział wyciągnięty w fotelu, pozwalając, by jego ciało unosiło się na tym brzegu, niezdolny dociec, jakimi pokrętnymi ścieżkami Jean-Baptiste zdołał dotrzeć do morderstw popełnionych przez sędziego i odtworzyć je. Kiedyś w dzieciństwie zapuścili się tak daleko w góry, że ani jeden, ani drugi nie był w stanie dojrzeć wioski czy nawet ścieżki. Jean-Baptiste wspiął się wtedy na jego ramiona. „Nie płacz – powiedział. – Postaramy się zrozumieć, którądy ludzie chodzili wcześniej”. I potem co pięćset metrów znowu wspinał się na jego plecy. „Tędy”, mówił, schodząc.

To właśnie Jean-Baptiste zrobił teraz. Wspiął się i rozejrzał, którądy chodził Trójzęb, wypatrzył jego krwawą drogę. Jak pies, jak bóg, pomyślał Raphaël. Jean-Baptiste raz jeszcze sprowadzał go do wioski.

LVI

Tego wieczoru ogniem zajmowała się Josette. Adamsberg zadzwonił do Danglarda i do Retancourt, po czym całe popołudnie przespał. Pod wieczór, jeszcze ociężały, zasiadł na zwykłym miejscu koło kominka i patrzył, jak hakerka przegrzebuje ogień, a potem bawi się płonąca gałązką. Jak kreśli w półmroku ogniste kółka i ósemki. Pomarańczowy punkcik wirował drżący, Adamsberg zaś zastanawiał się, czy podobnie jak drewniana łyżka w rondlu z kremem ten patyk ma moc rozgniatania grudek, wszystkich grudek, które cisnęły się wokół niego. Josette włożyła adidas, w których jeszcze jej nie widział, niebieskie ze złotym paskiem. Jak sierp ze złota w polu kwitnącym gwiazdami, pomyślał.

– Mogłaby mi pani pożyczyć ten patyk? – zapytał.

Wsunął jego koniuszek w ogień, potem zaczął wywijać nim w powietrzu.

– Ładne – powiedziała Josette.

– Tak.

– Nie da się rysować prostokątów w powietrzu. Tylko kółka.

– To nic, nie przepadam za prostokątami.

– Zbrodnia Raphaëla była wielkim prostokątnym rygłem – zaryzykowała Josette.

– Tak.

– I dzisiaj ten rygiel odskoczył.

– Zgadza się. – Puch, puch, puch i eksplozja, pomyślał. – Ale został jeszcze jeden – podjął. – I nie da rady posunąć się dalej, dopóki jego też się nie wyłamie.

– Podziemia są bezkresne, inspektorze. Zostały tak pomyślane, że można nimi chodzić z miejsca w miejsce. Wszystko jest tam ze sobą połączone, można wędrować od ścieżki do ścieżki, od drzwi do drzwi.

– Nie zawsze, pani Josette. Mamy przed sobą rygiel, który ma wszystkie rygle pod sobą.

– Czyli?

– Rygiel uspiętej pamięci, ukrytej na dnie jeziora. Mojej pamięci przysypanej kamieniami, mojej osobistej pułapki, mojego upadku na ścieżce. Tego rygła żaden pirat nie zdoła wyłamać.

– Rygiel po ryglu, jeden za drugim po kolei, to klucz dobrego hakera – zauważyła Josette, zgarniając na środek paleniska żar rozsypany po bokach. – Nie da się otworzyć drzwi numer dziewięć, póki się nie odblokuje numeru ósmego.

Rozumie pan, inspektorze?

– Ależ tak – uprzejmie zapewnił Adamsberg.

Josette nadal zagarniała żar wzdłuż płonącego polana.

– Przed rygłem pamięci – ciągnęła, końcem szczypiec wskazując rozżarzony kawałek drewna – jest ten, który sprawił, że upił się pan w Hull i wczoraj.

– On też jest chroniony przez nieprzebytą barierę.

Josette z uporem pokręciła głową.

– Wiem, wiem, pani Josette – westchnął Adamsberg. – Dla zabawy zajrzała pani do FBI, ale rygły życiowych nie da się zhakować tak jak maszyn.

– To bez różnicy.

Wyciągnął nogi w stronę paleniska, wolno obracając patykiem w powietrzu, czując, jak przez buty promieniuje nań ciepło płomieni. Niewinność brata wracała do niego wolno jak bumerang, przenosząc go ze zwykłych ścieżek, modyfikując kąt widzenia, otwierając przed nim zakazane tereny, gdzie jak mu się wydawało, świat jakby dyskretnie zmienił strukturę. Jaką strukturę, właściwie nie wiedział. Wiedział natomiast, że kiedy indziej – jeszcze wczoraj – drobnej hakerce w niebieskich adidasach ze złotym paskiem nigdy by się nie zwierzył z historii z Camille, dziewczyną z północy. A to właśnie uczynił, opowiedział jej wszystko, od początku aż po rozmowę po pijaku poprzedniego wieczoru.

– No i widzi pani – zakończył. – Przejścia brak.

– Mogę dostać z powrotem patyk? – nieśmiało spytała Josette.

Adamsberg oddał jej gałązkę. Josette rozżarzyła jej koniec w ogniu i znów zaczęła kreślić drżące kręgi.

– A czemu szuka pan przejścia, skoro sam je pan zarygłował?

– Nie wiem. Bo stamtąd na pewno dochodzi powietrze, a bez powietrza to uduszenie albo eksplozja. Jak katedra strasburska z pozatykanymi oknami.

– Coś podobnego! – zdumiała się Josette, nieruchomiejąc. – Zatkali katedrę? Ale dlaczego?

– Nie wiadomo – odparł Adamsberg z wymijającym gestem. – Ale zrobili to. Zatkali smokami, minogami, psami, ropuchami. I jedną trzecią żandarma.

– Aha – skwitowała Josette.

Położyła patyk na blasze przed paleniskiem i zniknęła w kuchni. Przyniosła stamtąd dwa kieliszki do porto, które postawiła drżącymi rękami na gzymsie kominka.

– Wie pan, jak się nazywa? – spytała, przy napełnianiu kieliszków rozlewając nieco wina.

– Trabelmann. Jedna trzecia Trabelmanna.

– Nie, mówię o dziecku Camille.

- Aaa... Nie zapytałem. Byłem pijany.
- No tak. – Podała mu porto. – To pańskie.
- Dziękuję – odparł Adamsberg, biorąc kieliszek.
- Nie mówiłam o kieliszku – zaznaczyła Josette.

Zakreśliła jeszcze kilka świetlistych kręgów, dopiła wino i oddała patyk Adamsbergowi.

– Cóż, zostawię pana – powiedziała. – Rygielek był malutki, ale przepuszcza powietrze. Może za bardzo.

LVII

Danglard szybko notował, słuchając kolegi z Quebecu.

– Zdobądź mi to jak najszybciej – powiedział. – Adamsberg rozpracował trasę sędziego. Tak, i teraz wszystko się zgadza, ma podstawy. Z wyjątkiem morderstwa na przenosce, które dalej nie pasuje. Więc żebyś tego nie wypuścił... Nie... Trudno, wykombinuj coś... Wiadomość Sartony będzie bez wartości, to tylko rekonstrukcja. Oskarżenie rozprawi się z tym w mig. Tak... Jasne... Gotów wyjść z tego cało, więc postaraj się.

Zamienił jeszcze kilka słów z rozmówcą, po czym odłożył słuchawkę. Odnosił mdlące wrażenie, że teraz wszystko zawiśnie na włosku. Że tym samym wszystko wygra albo wszystko przegra. Zostało mu niewiele czasu i taki krótki był ten włoszek...

LVIII

Adamsberg i Brézillon umówili się w dyskretnej kawiarni w VII dzielnicy po południu, w porze niewielkiego ruchu. Adamsberg szedł na spotkanie z głową zwieszoną w polarnej czapie. Poprzedniego wieczoru po odejściu Josette długo jeszcze siedział, żarzącym się patykiem kreśląc w mroku ulotne ogniste kręgi. Wydawało mu się, że odkąd tamtego feralnego dnia przejrzał obojętnie gazetę w biurze, bez przerwy tkwi w jakimś obłądnym zamieszaniu, rzucony na wzburzone wody na tratwie miotanej wiatrami Neptuna od pięciu tygodni i pięciu dni. Jako hakerka doskonała, Josette trafiła w samo sedno, on zaś się dziwił, że wcześniej tego nie załapał. Dziecko zostało poczęte w Lizbonie i było jego. Ta zaskakująca prawda uciszyła jedną nawałnicę, ale równocześnie wzbudziła wicher niepokoju, który dmuchał i wył na nieodległym horyzoncie.

„Jesteś prawdziwym bałwanem, inspektorze”. Niczego nie zrozumiałeś. Danglard jak wielki ciężki balast siedział na swoim sekrecie. Adamsberg uciekł tak daleko, oboje z Camille zamknęli się sztywno w milczeniu. Uciekł równie daleko jak Raphaël, gdy udał się na wygnanie.

Raphaël mógł sobie teraz usiąść, on jednak musiał nadal biec. Rygiel po ryglu, zaleciła Josette w tych swoich ciężkich niebieskich adidasach. Rygiel przenoski pozostawał ciągle niedostępny. Ale rygiel Fulgence’a znajdował się w jego zasięgu. Adamsberg pchnął drzwi obrotowe luksusowej kawiarni na rogu avenue Bosquet. Kilka pań popijało herbatę, jedna pastis. Wypatrzył swojego szefa upozowanego niczym szary pomnik na kanapce obitej czerwonym aksamitem, ze szklanką piwa na błyszczącym stoliku.

– Zdejmijcie tę czapę – nakazał od razu Brézillon. – Wyglądacie jak wieśniak.

– To mój kamuflaż – wyjaśnił Adamsberg, kładąc uszankę na krześle. – Technika polarna, pozwala zakryć oczy, uszy, policzki i podbródek.

– Pospieszcie się, Adamsberg. Już i tak wykazałem się uprzejmością, godząc się na tę rozmowę.

– Poprosiłem Danglarda, żeby poinformował pana o następstwach ekshumacji. O wieku sędziego, rodzinie Guillaumondów, matkobójstwie, układzie honorów.

– Zrobił to.

– I co pan sądzi?

Brézillon zapalił swojego grubego papierosa.

– Przyjmuję wszystko z wyjątkiem dwóch punktów. Dlaczego sędzia dodał

sobie piętnaście lat? Że zmienił nazwisko po zamordowaniu matki, to oczywiste. W partyzantce to nie było trudne. Ale wiek?

– Dla Fulgence’a cenna była władza, nie wiek. Na co po wojnie mógł liczyć dwudziestopięciolatek z dyplomem prawnika? Tylko na wolną wspinaczkę szczebelek po szczebelku w charakterze podrzędnego prawniczyny. A on chciał czego innego. Przy swojej inteligencji, mając parę fałszywych referencji, mógł szybko osiągnąć szczyty. Pod warunkiem że będzie w stosownym wieku. Takie ambicje wymagały dojrzałości. Pięć lat po ucieczce był już sędzią w Nantes.

– Rozumiem. Punkt drugi: Noëlla Cordel. Nic nie wskazuje, że jest czternastą ofiarą. Jej nazwisko nie ma żadnego związku z tymi honorami w grze. Tak że nadal siedzę tu sobie i gawędzę ze zbiegłym mordercą. To was nie uniewinnia, Adamsberg.

– Sędzia zostawił na swojej drodze jeszcze inne ofiary dodatkowe. Na przykład Michaëla Sartonnę.

– To jeszcze nie zostało udowodnione.

– Takie jest przypuszczenie. Przypuszczenie również w odniesieniu do Noëlli Cordel. I przypuszczenie co do mnie.

– To znaczy?

– Jeśli faktycznie sędzia postanowił zastawić na mnie pułapkę w Quebecu, to mechanizm mu się zaciął. Uciekłem ludziom z GRC, a przez ekshumację stracił ochronę, jaką była dla niego sfingowana śmierć. Jeżeli uda mi się to ogłosić, Fulgence straci wszystko: reputację, a zwłaszcza honor. Nie podejmie takiego ryzyka. Zareaguje jak najszybciej.

– Wyeliminuje was?

– Tak. Dlatego muszę ułatwić mu sprawę. Muszę wrócić do swojego mieszkania jak najbardziej jawnie. A on przyjdzie po mnie. O to chcę dzisiaj pana prosić. Na kilka dni.

– Czy wyście oszaleli, Adamsberg? Chcecie zastosować taką starą sztuczkę? Wabia? Z furiatem, który ma trzynaście zbrodni na sumieniu?

Raczej starą sztuczkę z komarem uwięzionym w ciemnościach głęboko w uchu, pomyślał Adamsberg, stary podstęp z rybą ukrytą w szlamie na dnie jeziora. I komara, i rybę wabi się za pomocą światła. Nocny połów ze światłem. Ale tym razem trójząb trzymała w garści ryba, nie człowiek.

– Nie ma innego sposobu.

– Bardzo ofiarny plan, Adamsberg, nie oczyści was jednak ze zbrodni w Hull. O ile sędzia was nie utłucze.

– Rzyko jest.

– Jeśli w swoim mieszkaniu zostaniecie ujęci żywi albo martwi, GRC oskarży

mnie o niekompetencję albo o współudział.

– Powie pan, że odwołał obstawę, żeby mnie dopaść.

– I wtedy będę musiał natychmiast was wydać – stwierdził Brézillon, zgniatając niedopałek szerokim kciukiem.

– I tak za cztery i pół tygodnia mnie pan wyda.

– Nie lubię posyłać swoich ludzi na zatracenie.

– Niech pan się umówi ze sobą, że już nie jestem pańskim człowiekiem, tylko działającym na własną rękę zbiegiem.

– Zgoda – westchnął Brézillon.

Wessany za pomocą efektu minogowego, pomyślał Adamsberg. Wstał i nałożył swój polarny kamuflaż. Po raz pierwszy Brézillon podał mu rękę na pożegnanie. Niewątpliwie przyznając w ten sposób, że nie jest pewien, czy jeszcze go kiedyś zobaczy żywego.

LIX

Adamsberg w domu Clémentine w Clignancourt wepchnął kamizelkę kuloodporną i broń do torby, uściskał obydwie staruszki.

– To tylko krótka wyprawa – wyjaśnił. – Niedługo wrócę.

Z tym że nie na pewno, myślał, idąc starą uliczką. Po co ten nierówny pojedynek? Żeby rozegrać swoje ostatnie posunięcie i raczej uprzędzić śmierć albo nabić się na trójzab Fulgence’a, niż pograć się w mroku przenoski i żyć w nieświadomości z Noëllą nadzianą na widły. Jak przez mleczną szybę widział ciało dziewczyny kołyszące się pod lodową pokrywą. Słyszał jej płaczliwy głos: „I wiesz, co mi zrobił mój chum? Biedna Noëlla, z buzią w wodzie. Noëlla już ci o nim mówiła? O gliniarzu z Paryża?”.

Przyspieszył, idąc ze zwieszoną głową. Nie mógł wciągnąć nikogo do udziału w tej starej sztuczce z komarem uwięzionym w ciemności. Nie pozwalało mu na to brzemie winy, które go przygniatało od zabójstwa w Hull. Fulgence mógł się otaczać sługusami i rozpętać istną jatkę, ubić Danglarda, Retancourt, Justina, zalać krwią całą brygadę. Krwią, która objawiła się Adamsbergowi przed oczami, przynosząc ze sobą czerwoną szatę kardynała Richelieu. Idź sam, młodzieńcze.

Płęć i imię. Uznał, że niestosownie będzie umrzeć, nie wiedząc tego, może nawet popełni błąd. Wyjął komórkę za jedną z czerwonych łapek i z ulicy zadzwonił do Danglarda.

– Coś nowego? – zapytał nadkomisarz.

– To się okaże – odparł ostrożnie Adamsberg. – Poza tym, wyobraź sobie, dokopałem się do świeżo upieczonego tatusia. Nie chodzi o godnego zaufania człowieka w wypastowanych butach.

– Nie? A o kogo?

– A, to taki jeden.

– Cieszę się, że znalazłeś odpowiedź.

– Właśnie. Chciałbym się przedtem dowiedzieć.

– Przedtem?

– Chcę tylko wiedzieć, jakiej jest płci i jak ma na imię.

Adamsberg przystanął, by poprawnie wyryć informację w głowie. Nic nie zapadało mu w pamięć, kiedy się poruszał.

– Dzięki, Danglard. I jeszcze jedno: wyobraź sobie, że z żabami to też działa, przynajmniej z rzekotkami. Eksplozja.

Posępna chmura towarzyszyła mu w drodze do dzielnicy Marais. Wziął się w garść, dotarłszy do swojej kamienicy, długo obserwował okolicę. Brézillon dotrzymał słowa: obserwację odwołano i przejście było wolne – z mroku w jasność.

Szybko dokonał przeglądu mieszkania, po czym napisał pięć listów przeznaczonych dla Raphaëla, swojej rodziny, Danglarda, Camille i Retancourt. Impulsywnie dodał jeszcze słówko dla Sanscartiera. Pożegnalny pakiecik złożył w sypialni w skrytce, o której wiedział Danglard. Do przeczytania po jego śmierci. Po zimnej kolacji, którą zjadł na stojąco, wziął się za sprzątanie, zmienił pościel i podarł prywatną korespondencję. Odchodzisz pokonany, rzekł sobie, wystawiając worek ze śmieciami w sieni kamienicy. Odchodzisz martwy.

Wydawało mu się, że wszystko jest na miejscu. Sędzia nie będzie się włamywał. Na pewno zażądał od Michaëla Sartony dorobienia kluczy. Fulgence potrafił przewidywać. Dlatego nie zdziwi się, gdy zastanie inspektora czekającego nań z bronią w ręku. To Adamsberg wiedział, podobnie jak wiedział, że będzie sam.

Trzeba trochę czasu, nim sędzia zostanie powiadomiony o jego powrocie, nie zjawi się wcześniej jak nazajutrz albo za dwa dni wieczorem. Adamsberg spodziewał się go o konkretnej porze na podstawie jednego subtelного szczegółu: sędzia lubował się w symbolach. Z pewnością bardzo mu będzie pasowało zakończenie drogi Adamsberga o godzinie, w której wrobił jego brata trzydzieści lat wcześniej. Między jedenastą wieczorem a północą. Adamsberg mógł zatem przygotować drobną niespodziankę, bazując na tym przedziale czasowym. Będzie mógł uderzyć wprost w dumę Fulgence’a, czyli tam, gdzie on uważał się jeszcze za nietkniętego. Po drodze kupił zestaw do gry w madzonga. Rozłożył kamienie na niskim stoliku, a układ honorów zebrany przez sędziego ustawił na specjalnej podstawce należącej do zestawu. Do układu dodał dwa kwiaty za Noëlle i Michaëla. Widząc, że jego sekret został odczytany, Fulgence może coś powie, zanim zaatakuje. I może to da Adamsbergowi kilka dodatkowych sekund.

LX

W niedzielę wieczorem o dwudziestej drugiej trzydziści Adamsberg włożył ciężką kamizelkę kuloodporną i kaburę z bronią. Pozapalał wszystkie lampy na znak, że jest w domu, aby wielki owad ukryty w pieczarze wypełził do światła.

O dwudziestej trzeciej piętnaście szcęk zamka ostrzegł go o wejściu Trójzęba. Sędzia beztrąsko zatrasnął drzwi. Cały on, pomyślał Adamsberg. Fulgence wszędzie był u siebie, gdzie chciał i kiedy chciał. „Spuszczę na ciebie grom, kiedy mi się spodoba”.

Adamsberg podniósł broń, jak tylko starzec znalazł się w jego polu widzenia.

– Cóż za barbarzyńskie powitanie, młodzieńcze – rzekł Fulgence zgrzytliwym starczym głosem.

Nie zważając na wycelowany w siebie pistolet, zdjął długi płaszcz i rzucił go na krzesło. Chociaż Adamsberg był przygotowany na to spotkanie, spał się na widok postawnego starca. Zmarszczek miał dużo więcej niż przy ich ostatnim spotkaniu, sylwetkę jednak nadal prostą, wyniosłą, gesty władcze, takie jak Adamsberg zapamiętał z dzieciństwa. Głębokie bruzdy na twarzy przydawały mu jeszcze bardziej diabolicznej urody, którą tak się zachwycały kobiety w wiosce.

Sędzia usiadł, założył nogę na nogę i przyglądał się grze rozłożonej na stoliku.

– Niech pan siada – polecił. – Mamy do pogadania.

Adamsberg nie ruszył się z miejsca, wycelował dokładniej, obserwując zarazem wzrok sędziego i ruchy jego rąk. Fulgence uśmiechnął się i ze swobodą oparł wygodnie. Szczery uśmiech sędziego, składowa jego urody, cechował się tym, że odsłaniał uzębienie aż po pierwsze zęby trzonowe. Z wiekiem jego szerokość jeszcze się zwiększyła, powodując, że zuchwa sztywniała mu wtedy dość makabrycznie.

– Nie stać pana na to, młodzieńcze, nigdy nie było pana stać. A wie pan czemu? Bo ja zabijam. A pan jest zwykłym szaraczkiem, zwykłym policjantem. Którego byle nieudolne morderstwo przemienia w strzęp człowieka. Tak, jest pan szaraczkiem.

Adamsberg powoli okrążył Fulgence'a i stanął za nim z lufą pistoletu o kilka centymetrów od jego karku.

– W dodatku nerwowym – podjął sędzia. – Co nie dziwi u szaraczka. – Wskazał układ smoków i wiatrów. – Wszystko się zgadza – ciągnął. – Dużo czasu pan potrzebował.

Adamsberg nie spuszczał z oka tej groźnej dłoni, białej dłoni o przesadnie długich palcach, stawach dzisiaj guzowatych, paznokciach wciąż tak samo wypiełgnowanych, dłoni poruszającej się w przegubie z osobliwym wdziękiem, ruchem miękko rozkołysanym, jakie widuje się na dawnych obrazach.

– Brakuje czternastego kamienia – powiedział. – To będzie mężczyzna.

– Ale nie pan, Adamsberg. Pan oszwabił mój układ.

– Zielony czy biały smok?

– A co to pana obchodzi? Nawet jeśli będę w więzieniu, nawet jeśli spocznę w grobie, nie umknie mi ten ostatni element układu. – Palcem wskazał dwa kwiaty, które Adamsberg ustawił obok układu honorów. – Ten kamień symbolizuje Michaëla Sartonnę, a ten Noëllę Cordel – stwierdził.

– Tak.

– Pozwoli pan, że skoryguję układ. – Włożył rękawiczkę, ujął kamień symbolizujący Noëllę i odrzucił go na stos. – Nie lubię błędów – rzekł chłodno. – Zapewniam, że nie chciałoby mi się jechać za panem do Quebecu. Za nikim nie jeżdżę ani nie chodzę, Adamsberg, ja wyprzedzam. Nigdy nie byłem w Quebecu.

– Sartonna przesyłał panu informacje o przenosce.

– Tak. Śledziłem pańskie ruchy od Schiltigheim, o tym pan wiedział. Morderstwo popełnione na tej ścieżce w lesie nadzwyczajnie mnie ubawiło. Zbrodnia po pijaku, bez wdzięku, bez premedytacji. Co za prostactwo, Adamsberg. – Odwrócił głowę, spojrzął na broń. – Przykro mi, szaraczku, ale to pańska zbrodnia i panu ją zostawiam.

Przez twarz przemknął mu uśmiech, Adamsberga zaś oblał zimny pot na całym ciele.

– Spokojnie – ciągnął Fulgence. – Zobacz pan, że łatwiej to udźwignąć, niż człowiekowi się wydaje.

– Czemu zginął Sartonna?

– Za dużo wiedział – odparł sędzia, na powrót odwracając się do gry. – Na takie ryzyko sobie nie pozwalam. Dowie się pan też – powiedział, biorąc nowy kwiat i kładąc go na podstawce – że doktor Colette Choisel nie ma już wśród żywych. Nieszczęśliwy wypadek samochodowy. I że były młodszy inspektor Adamsberg niebawem podąży za nią – dodał, kładąc na podstawce trzeci kwiat. – Pod ciężarem brzemienia winy, zbyt słaby, by stawić czoło więzieniu... cóż, odebrał sobie życie. Wśród szaraczków takie rzeczy się zdarzają.

– A więc tak chce pan to załatwić?

– Tak, zwyczajnie. Niechże pan usiądzie, młodzieńcze, irytuje mnie pańskie napięcie.

Adamsberg stanął przed sędzią z bronią wycelowaną w jego pierś.

– Może mi pan zresztą być wdzięczny – dodał Fulgence z uśmiechem. – Ta szybka formalność uwolni pana od nieznośnego życia, bo wspomnienie zbrodni nie dałoby panu spokoju.

– Moja śmierć nie uratuje pana. Sprawa jest zamknięta.

– Wszyscy winni zostali osądzeni za swoje zbrodnie. Bez moich zeznań nikt niczego mi nie udowodni.

– Piasek w trumnie jest dowodem.

– Właśnie, to jedyny punkt zaczepienia. Dlatego doktor Choisel odeszła. I dlatego dziś jestem tutaj, rozmawiam z panem przed pańskim samobójstwem. Nie przystoi, młodzieńcze, grzebać w cudzych grobach. To wielki błąd.

Fulgence stracił pogardliwy wyraz twarzy, przestał się też uśmiechać. Patrzył na Adamsberga twardym wzrokiem najwyższego sędziego.

– Ten błąd pan naprawi – podjął. – Podpisując krótkie wyznanie, normalne przed samobójstwem. Wyjaśni pan, że spreparował zawartość grobu. Że moje zwłoki pogrzebał w lesie koło Richelieu. Oczywiście pod wpływem obsesji i gotów na wszystko, by rzucić na mnie morderstwo na przenosce. Rozumie pan?

– Niczego nie podpiszę, Fulgence.

– Ależ podpisze pan, szaraczku. Bo jeśli pan odmówi, znajdziemy dwa dodatkowe kwiaty do tego układu. Pańską przyjaciółkę Camille i jej dziecko. Rozprawię się z nimi zaraz po pańskim zgonie, zapewniam. Siódme piętro, drzwi po lewej.

Fulgence podał Adamsbergowi kartkę i długopis, który starannie przedtem wytarł. Adamsberg przełożył broń do lewej ręki i pisał pod dyktando sędziego. Powiększając litery „r” i „j”.

– Nie! – Sędzia wyrwał mu kartkę. – Normalnym charakterem pisma, słyszy pan? Zacznie pan od nowa. – Podał mu nową kartkę.

Adamsberg wykonał polecenie.

– Świetnie – rzekł Fulgence. – Niech pan poskłada grę.

– Jak pan doprowadzi mnie do samobójstwa? – spytał Adamsberg, zbierając kamienie madżonga jedną ręką. – Jestem uzbrojony.

– Ale głupio ludzki. Liczę więc na pełną współpracę z pańskiej strony. Po prostu będzie pan posłuszny. Przystawi broń do skroni i pociągnie za spust. Jeśli mnie pan zastrzeli, dwaj moi ludzie zajmą się pańską przyjaciółką i progeniturą. Czy wyrażam się jasno?

Adamsberg opuścił pistolet pod wpływem uśmiechu sędziego. Tak pewnego swojej skuteczności, że ostentacyjnie przyszedł bez broni palnej. Zostawił za sobą zwłoki ewidentnego samobójcy i wyznanie, dzięki któremu będzie wolny. Adamsberg spojrzał na swoje magnum, śmieszny atrybut siły, i wyprostował się.

Niecały metr za sędzią stał Danglard, który posuwał się cicho jak Kulka. W czapce z obciętym pomponem, pojemnikiem z gazem w prawej ręce, berettą w lewej. Adamsberg podniósł broń do czoła.

– Niech pan da mi trochę czasu – poprosił, przesuwając lufę ku skroni. – Na parę ostatnich myśli.

Fulgence wzgardliwie wydał wargi.

– Szaraczkę – powtórzył. – Liczę do czterech.

Na dwa Danglard rozpylił gaz i przerzucił berettę do prawej ręki. Fulgence zerwał się z krzykiem, stając przed Danglardem. Nadkomisarz, który po raz pierwszy widział twarz sędziego, na pół sekundy się zawahał i to wystarczyło, by Fulgence wymierzył mu cios w podbródek. Danglard rąbnął ciałem o mur i strzelił, nie trafił jednak sędziego, który już był przy drzwiach. Adamsberg pognał po schodach za starcem uciekającym ile sił w nogach. Przez ułamek sekundy miał go na linii strzału i wycelował w plecy. Kolega go dogonił, kiedy opuszczał broń.

– Słuchaj – rzekł Adamsberg. – Jego samochód rusza.

Danglard zbiegł po ostatnich stopniach i wypadł na ulicę z bronią w wyciągniętej ręce. Za daleko, nawet w opony nie strzeli. Samochód musiał czekać na sędziego z otwartymi drzwiami.

– Kurde, czemuś nie strzelił? – krzyknął, zawracając.

Adamsberg siedział na drewnianym stopniu z bronią u stóp, spuszczonej głową, rękami zwieszonymi z kolan.

– Cel z tyłu, cel uciekający. To nie obrona konieczna. W ten sposób już dość nazabijałem.

Danglard zaciągnął kolegę do mieszkania. Korzystając ze swojego policyjnego nosa, znalazł znajomą butelkę jałowcówki i nalał do dwóch kieliszków. Adamsberg podniósł rękę.

– Spójrz, Danglard. Drzę. Jak liść, jak czerwony liść.

„Wiesz, co mi zrobił mój chum? Ten glina z Paryża? Mówiłam ci już?”

Danglard jednym haustem wychylił swój kieliszek. Następnie wyjął telefon, nalewając sobie od razu powtórnie.

– Mordent? Mówi Danglard. Najwyższa ochrona mieszkania Forestier Camille, rue des Templiers dwadzieścia trzy, siódme piętro, drzwi po lewej. Dwaj ludzie dzień i noc przez dwa miesiące. Powiedzcie jej, że to mój rozkaz.

Adamsberg łyknął jałowcówki, zęby dzwoniły mu o kieliszek.

– Danglard, jak to zrobiłeś?

– Jak gliniarz, który wykonuje swoją robotę.

– Jak?

– Prześpij się najpierw – polecił Danglard, patrząc na znużoną twarz Adamsberga.

– Po co? Żeby śnić koszmary? To ja zabiłem Noëllę.

„Zostawił ją z buzią w wodzie. Biedna Noella. Mówiłam ci już? Mówiłam ci, co mi zrobił mój chum?”

– Wiem – powiedział Danglard. – Mam wszystko nagrane.

Pogrzebał w kieszeni i wyjął z piętnaście sponiewieranych tabletek różnego kształtu i koloru. Okiem eksperta obejrzawszy zapasik, wybrał szarawą pigułkę, którą podał Adamsbergowi.

– Połknij to i kładź się spać. Zabiorę cię o siódmej rano.

– Dokąd?

– Odwiedzimy jednego gliniarza.

LXI

Danglard wyjechał z Paryża i prowadził ostrożnie na autostradzie spowitej gęstą mgłą. Mówił do siebie, kłął do siebie, nie posiadając się ze złości, że nie zdołał ująć sędziego. Samochód niezidentyfikowany, nie można wszcząć poszukiwań. Siedzący obok Adamsberg zdawał się obojętnie podchodzić do tej porażki – on był więźniem przenoski. W ciągu jednej krótkiej nocy pewność popełnienia zbrodni spętała go jak bandaże mumię.

– Nie masz co żałować, Danglard – rzekł wreszcie bezbarwnym głosem. – Nikt nie łapie sędziego, mówiłem ci.

– Na Boga, miałem go w zasięgu ręki.

– Wiem. Też mnie to spotkało.

– Jestem gliniarzem, byłem uzbrojony.

– Ja też. To niczego nie zmienia. Sędzia przelatuje jak piasek między palcami.

– Przymierza się do czternastego morderstwa.

– Jak się u mnie znalazłeś, Danglard?

– Ty czytasz z oczu, głosu, gestów. Ja czytam z logiki słów.

– O niczym ci nie powiedziałem.

– Przeciwnie. Zaalarmowałeś mnie z niesamowitym wyczuciem.

– Nie zaalarmowałem cię.

– Zadzwoiłeś do mnie w związku z dzieckiem. „Chciałbym się przedtem dowiedzieć”, powiedziałaś. Przedtem, czyli przed czym? Zanim pójdziesz do Camille? Nie, już u niej byłeś, pijany. No to zadzwoniłem do Clémentine. Odebrała jakaś kobieta o drżącym głosie. To ta twoja hakerka?

– Tak. Josette.

– Zabrałeś broń i kamizelkę. „Niedługo wrócę”, powiedziałaś i uściskałaś ją. Ta broń, uściski i zapewnienia świadczyły o twojej niepewności. Przed czym? Przed starciem, w którym ryzykowałeś własną skórę. Z sędzią ani chybi. A żeby się z nim zetrzeć, nie było wyjścia: musiałaś się mu wystawić na swoim terenie. Stara sztuczka z wabiem.

– Z komarem. Tak.

– Z wabiem.

– Niech ci będzie.

– Sztuczka, w której wabik daje się pożreć. Puch i eksplozja. O czym wiedziałaś.

– Tak.

– Ale ty tego nie pragnąłeś, skoro mnie uprzedziłeś. Od soboty wieczór siedziałem na czatach w piwnicy budynku naprzeciwko. Przez okienko miałem bardzo dobry widok na wejście. Uważałem, że sędzia uderzy po zapadnięciu nocy, ewentualnie po jedenastej wieczorem. Dla niego ważne są symbole.

– Czemu przyszedłeś sam?

– Z tego samego powodu co ty. Żeby nie było jatki. Pomyliłem się albo przeceniłem własne siły. Bylibyśmy go dopadli.

– Nie. Sześciu ludzi nie zatrzyma Fulgence’a.

– Retancourt by go zablokowała.

– Właśnie. Rzuciłaby się na niego, a on by ją zabił.

– Nie miał broni.

– Miał laskę. Laskę-szpadę. Jedną trzecią trójzębu. Nadziały ją.

– Możliwe – zgodził się Danglard, pocierając brodę.

Rankiem Adamsberg przekazał mu maść od Ginette, toteż teraz żuchwa nadkomisarza błyszczała na żółto.

– Pewne. Niczego nie żałuj – powtórzył Adamsberg.

– O piątej rano dałem sobie spokój i wróciłem znowu wieczorem. Sędzia zjawił się trzynaście po jedenastej. Szedł swobodnie, był taki wysoki, taki wyniosły, taki stary, że nie dało się go przeoczyć. Stałem pod twoimi drzwiami z mikrofonem. Mam nagrane jego wyznania.

– I wyparcie się zbrodni na przenosce.

– To też. Podniósł głos, kiedy mówił: „Za nikim nie jeżdżę ani nie chodzę, Adamsberg, ja wyprzedzam”. Skorzystałem z tego, żeby otworzyć drzwi.

– I uratować wabia. Wielkie dzięki, Danglard.

– Wezwałś mnie. To moja robota.

– I wydanie mnie kanadyjskiemu wymiarowi sprawiedliwości. To też twoja robota. Bo jedziemy do Roissy, prawda?

– Tak.

– Gdzie będzie na mnie czekał cholerny kanadyjski gliniarz. Zgadza się, Danglard?

– Zgadza się.

Adamsberg oparł się w fotelu i zamknął oczy.

– Jedź wolno w tej mgle, nadkomisarzu.

LXII

Danglard zabrał go do jednej z licznych kawiarni na lotnisku, gdzie wybrał stolik na uboczu. Adamsberg opadł na krzesło bezwładnie, ze wzrokiem idiotycznie wlepionym w czubek głowy swojego partnera, w ten obcięty pompon, który przypominał roześmianą twarz niepasującą do reszty. Retancourt złapałaby go mocno i przerzuciła jak piłkę ponad granicami, zmusiłaby do ucieczki. To jeszcze było możliwe, Danglard bowiem miał dość taktu, by nie założyć mu kajdanek. Mógł jeszcze rzucić się biegiem i zwiać, nadkomisarz nie byłby w stanie go doścignąć. Ale obraz własnej ręki przebijającej trójzębnymi widłami Noëlle skutecznie odbierał mu inicjatywę. Po co uciekać, skoro nie może chodzić? Skoro obezwładnia go strach, że znowu znajdzie sobie ofiarę, że oprzytomnieje, chwiejąc się na nogach, z czymś trupem na ziemi? Równie dobrze może skończyć tutaj, w rękach Danglarda, który melancholijnie popija kawę z koniakiem. Przed oczami przewijały mu się setki pasażerów, ludzi wyjeżdżających lub właśnie przybyłych, wolnych, z sumieniem czystym jak stos świeżo wypranej i wyprasowanej pościeli. Gdy tymczasem jego sumienie napawało go wstrętem niczym sztywna z brudu zakrwawiona szmata.

Naraz Danglard podniósł rękę w geście powitania, Adamsberg zaś ani drgnął. Triumfująca mina nadintendenta była ostatnią rzeczą, którą miał ochotę zobaczyć. Dwie duże dłonie spoczęły na jego ramionach.

– A nie mówiłem, że dopadniemy drania? – usłyszał.

Adamsberg odwrócił głowę i spojrzał w twarz sierżanta Fernanda Sanscartiera. Wstał i instynktownie uścisnął mu rękę. Boże drogi, czemu Laliberté akurat Sanscartierowi rozkazał przyjechać po niego?

– Tobie to przypadło w udziale? – zapytał z ubolewaniem.

– Wykonywałem rozkazy – odparł Sanscartier z tym swoim pocziwym uśmiechem Sanscartiera Dobrego. – Mamy do pogadania – dodał, siadając naprzeciwko. Mocno uścisnął dłoń Danglardowi. – Dobra robota, nadkomisarzu. Czołem. Krucafiks, ale u was gorąco – powiedział, zdejmując watowaną kurtkę. – Tu jest kopia akt – rzekł, wyjmując teczkę z torby. – A tu próbka. – Pomachał małym pudełeczkiem Danglardowi przed nosem, nadkomisarz z aprobatą kiwnął głową. – Analizy już porobione. Porównanie wystarczy, żeby przypieczętować oskarżenie.

– Próbka czego? – spytał Adamsberg.

Sanscartier wyrwał mu jeden włos z głowy.

– Tego – wyjaśnił. – Włosy są strasznie zdradzieckie. Lecą jak czerwone liście. Ale trzeba było przerzucić sześć kubików różnego śmiecia, żeby je znaleźć. Masz pojęcie? Sześć kubików dla paru włosów. To jak szukanie igły w stogu siana.

– Nie musiałeś. Mieliście moje odciski na pasku.

– Ale jego odcisków nie było.

– Czyich?

Sanscartier odwrócił się do Danglarda z brwią zmarszczoną nad swoimi oczami Dobrego.

– On nie wie? – zapytał. – Kisiłeś go w niepewności?

– Nie mogłem nic powiedzieć, póki sprawa się nie wyklarowała. Nie lubię robić fałszywych nadziei.

– Ale wczoraj wieczór, krucafiks!... Wczoraj mogłeś mu powiedzieć!

– Wczoraj wieczór mieliśmy akcję.

– A dziś?

– W porządku. Trzymałem go w niepewności. Osiem godzin.

– Do chrzanu z ciebie chum – burczał Sanscartier. – Czemuś go zwodził?

– Żeby w trzewiach poczuł, co przeżywał Raphaël. Strach przed sobą, wygnanie i zakaz wstępu do swojego świata. To było konieczne. Osiem godzin, Sanscartier, to pikuś, żeby zrozumieć brata.

Sanscartier huknął w stolik pudełkiem na próbki i rzekł do Adamsberga:

– Włosy twojego diabła. Które się plątały w sześciu kubikach gnijących liści.

W jednej chwili Adamsberg pojął, że Sanscartier właśnie wyławia go na powierzchnię, na powietrze, wyciąga z nieruchomego szlamu jeziora Pink. Wykonawszy rozkazy Danglarda, a nie Lalibertégo.

– To nie były przelewki, co to, to nie – wyjaśnił Sanscartier – bo wszystko musiałem robić poza biurem. Wieczór, w nocy albo z samego rana. I jeszcze tak, żeby szef mnie nie przyłapał. Twój nadkomisarz przyssał się jak pijawka, w głowie mu się nie mieściły miękkie nogi i zaraz potem ten konar. Byłem zbadać sprawę na przenosce i poszukać miejsca, gdzieś się wywalił. Szedłem tak jak ty od Śluzy przez taki czas, jak mówiłeś. Przeszukałem odcinek jakichś stu metrów. Znalazłem świeżo połamane gałązki i poruszone kamienie dokładnie naprzeciw wycinki. Chłopcy już zlikwidowali obóz, ale młode klony posadzili.

– Mówiłem, że to było blisko wycinki – zauważył Adamsberg, oddychając krótko. Ręce skrzyżował, palce zacisnął na rękawach kurtki, całą uwagę skupił na tym, co mówi sierżant.

– No, i nie było niskiej gałęzi nigdzie w okolicy, *man*. Nie gałęzią oberwałeś, aż ci się gwiazdy pokazały. I wtedy twój nadkomisarz poprosił, żebym odszukał

nocnego stróża. Tylko on mógł coś widzieć, rozumiesz?

– Rozumiem. I znalazłeś go? – spytał Adamsberg, któremu usta tak zeszytywniały, że z trudem wymawiał słowa.

Danglard zatrzymał przechodzącego kelnera i zamówił wodę, kawy, piwo i croissanty.

– Krucafiks, to było najgorsze. Udałem, że źle się czuję, żeby wyjść z pracy, i poleciałem się wywiedzieć w magistracie. Gdzie tam! Te roboty prowadzili federalni. Musiałem się pokatulać aż do Montrealu, żeby znaleźć nazwę przedsiębiorstwa. Muszę ci powiedzieć, że Laliberté miał po dziurki w nosie moich wiecznych chorób. A twój nadkomisarz stale psioczył na mnie przez telefon. Dostałem nazwisko stróża. Był na wycince w górnym biegu Outaouais. Znowu wzięłem wolne, żeby tam pojechać, ale mówię wam, szefowi o mało żyłka nie pękła.

– I stróż był? – zapytał Adamsberg, po czym duszkiem wypił szklanekę wody.

– Nie bój nic, złapałem go za jaja w pikapie. Ale z gadaniem to już była inna para kaloszy. Wił się jak piskorz i najpierw serwował mi jakieś głodne kawałki. No to w końcu poszedłem na całość i go postraszyłem, że wyląduje w pace, jeśli dalej mi będzie wciskał kit. Za odmowę współpracy i ukrywanie dowodów. Głupio mi dalej opowiadać, Adrien, może ty byś...?

– Stróż, niejaki Jean-Gilles Boisvenu – podjął Danglard – widział faceta, który w niedzielę wieczorem czekał na ścieżce w dole. Wziął lornetkę z noktowizorem i zaczął podglądać.

– Podglądać?

– Boisvenu był pewien, że gość prowadzi się z facetami i czeka na swojego chłoptasia – wyjaśnił Sanscartier. – Wiesz, przenoska to ich miejsce spotkań.

– Tak, wiem. Stróż mnie pytał, czy zadaję się z facetami.

– Strasznie go to ciekawiło – ciągnął Danglard – więc nie odrywał się od lornetki. Wymarzony świadek, uważniejszego ze świecą szukać. Ucieszył się, jak usłyszał, że ktoś nadchodzi. Wszystko wyraźnie widział przez lornetkę. Tyle że sprawy nie potoczyły się tak, jak przypuszczał.

– Skąd wiadomo, że to było na pewno w nocy dwudziestego szóstego?

– Bo to była niedziela i Boisvenu psioczył na weekendowego stróża, który olał robotę. Zobaczył, jak ten pierwszy facet, wysoki siwy, wali drugiego gałęzią w łeb. Ten drugi runął na ziemię. Boisvenu się skulił. Wysoki wyglądał na złego, a on się nie chciał mieszać w małżeńskie kłótnie. Dalej jednak ich podglądał.

– Wbity w fotel pikapa.

– Właśnie. Liczył, że sytuacja się rozwinie w gwałt na ogłuszonej ofierze.

– Rozumiesz? – wtrącił zarumieniony Sanscartier.

– I faktycznie, ten wysoki zaczął drugiemu zdejmować szalik, rozpinąć kurtkę. Boisvenu z lornetką rozpląszczył się na przedniej szybie pikapa. Siwy złapał cię za ręce i zacisnął je na czymś. Na rzemieniu, powiedział Boisvenu.

– Na pasie – wyjaśnił Sanscartier.

– Na pasie. Ale rozbieranie i macanie na tym się skończyło. Facet zrobił ci zastrzyk w szyję, Boisvenu się zarzekał, że tak było. Widział, jak wyjął strzykawkę z kieszeni i przyszykował.

– Miękkie nogi – rzekł Adamsberg.

– Mówiłem, że to mnie gnębiło – powiedział Danglard, nachylając się do niego. – Aż do gałęzi szedłeś normalnie, zataczając się. Kiedy oprzytomniałeś, nogi odmawiały ci posłuszeństwa. Następnego dnia też. Skutki nadużycia mieszanki alkoholi znam aż za dobrze. Przerwa w życiorysie nie zawsze się zdarza, a miękkie nogi już w ogóle. Do tego musiało być coś jeszcze.

– W jego uważaniu – uściślił Sanscartier.

– Narkotyk, jakiś lek... – mówił Danglard. – Podał go tobie i tak samo podawał innym oskarżonym, którzy nic potem nie pamiętali.

– Później – kontynuował Sanscartier – siwy wstał, a ciebie zostawił na ziemi. Boisvenu chciał wtedy interweniować, już przy tej strzykawce chciał. Strachliwy nie jest, nie bez kozery został stróżem nocnym. Tyle że nie mógł. Adrien, możesz mu powiedzieć czemu?

– Bo się unieruchomił, miał spętane nogi – wyjaśnił Danglard. – Przygotował się na widowisko, siedział w fotelu w kombinezonie spuszczonej do kostek.

– Boisvenu strasznie się wstydził, jak to opowiadał – włączył się znowu Sanscartier. – Zanim się ogarnął, starego już nie było. Ciebie Boisvenu znalazł zamroczonego, z twarzą całą we krwi. Zaciągnął cię do swojego pikapa, położył i przykrył kocem. I czekał.

– Dlaczego? Dlaczego nie wezwał policji?

– Nie chciał, żeby go wypytywali, czemu nie ruszył tyłka. Prawdy nie mógł powiedzieć. Nie nadawała się do wyznania. A jakby zełgał, że szczał ze strachu albo się drzemnął, straciłby robotę. Nie najmuje się stróża, który trzęsie gaciami czy śpi jak niedźwiedź. Dlatego wolał trzymać buzię na kłódkę i zabrać cię do pikapa.

– Mógł mnie zostawić na ścieżce i w ogóle umyć ręce.

– Wobec prawa. A w swoim uważaniu czuł, że Pan Bóg strasznie by się wściekł, jakby zobaczył, że zostawia faceta na pewną śmierć, i chciał się zrehabilitować. Przy takim jak wtedy mrozie mogłeś zamarznąć na amen. Postanowił sprawdzić, jak się masz z tą bulą na czole i strzykawką w szyi. Zobaczyć, czy to było coś usypiającego czy trucizna. Wiedział, że to się szybko

okaże. A w razie czego planował wezwać policję. Siedział przy tobie ponad dwie godziny, a że spałeś, puls miałeś równy, to i Boisvenu się uspokoił. Jak zacząłeś się budzić, uruchomił silnik, pojechał przecinką i wysadził cię u wylotu przenoski. Wiedział, że chodziłeś tamtędy, znał cię.

– Czemu mnie przewiózł?

– Uznał, że w tym stanie nie dałbyś rady dojść i jeszcze byś wpadł do lodowatej rzeki.

– Porządny chum – rzekł Adamsberg.

– Z tyłu jego pikapa była kropelka zaschniętej krwi. Pobrałem próbkę, zasz nasze procedury. Facet nie łągał, to było twoje DNA. Porównałem je z... ze... – Sanscartier się zaciął.

– Ze spermą – dokończył Danglard. – Wniosek: między jedenastą a wpół do drugiej nad ranem nie było cię na przenosce. Jean-Gilles Boisvenu miał cię w swoim pikapie.

– A wcześniej? – zapytał Adamsberg, pocierając zimne usta. – Między dziesiątą trzydzieści a jedenastą?

– O dziesiątej piętnaście wyszedłeś ze Śluzy – odparł Sanscartier. – O wpół do jedenastej wszedłeś na przenoskę. Nie mogłeś dojść do wycinki ani do trójzębu przed jedenastą, kiedy zobaczył cię Boisvenu. I nie wzięłeś wideł. Nie brakowało niczego. Sędzia miał własne narzędzie.

– Kupione na miejscu?

– Tak. Udało nam się ustalić, że nabywcą był Sartonna.

– Rany były zanieczyszczone ziemią.

– Coś niekumaty dziś jesteś – stwierdził Sanscartier z uśmiechem. – Pewnie dlatego, że jeszcze nie dowierzasz. Twój diabeł ogłuszył dziewczynę koło kamienia Champlaina. Umówił się tam z nią w twoim imieniu i czekał. Walnął ją z tyłu, potem zaciągnął jakieś dziesięć metrów dalej do jeziorka. Zanim ją nadział na widły, musiał rozbić lód na błotnistym jeziorku. Wtedy zęby się pobrudziły.

– I zamordował Noëlle – szepnął Adamsberg.

– Sporo przed jedenastą, może nawet przed wpół do jedenastej. Wiedział, o której mniej więcej tamtędy przechodzisz. Zdjął dziewczynie pasek, ciało wrzucił pod lód. Potem zaczął się na ciebie.

– Dlaczego nie w pobliżu ciała?

– Za duże ryzyko, gdyby ktoś przechodził i wtrącił się. Przy wycinie były grube drzewa, mógł się łatwo ukryć. Rozwalił ci głowę, naćpał cię i odniósł pasek w pobliże zwłok. O włosach pomyślał nadkomisarz. Bo nic nie świadczyło, że to był sędzia, kapujesz? Danglard liczył, że kiedy włókł ciało, posiał jakieś włosy na tych paru metrach, które dzieliły kamień Champlaina od jeziorka. Mógł przystanąć

dla odpoczynku, przeczesać się ręką... Zdjęliśmy tam wierzchnią warstwę ściółki grubą na półtora cala. Po twojej eskapadzie znów był mróz. Były spore szanse, że włosy nie spłynęły z wodą. I tym sposobem znalazłem się z sześcioma kubikami tego cholerstwa, gnijących liści i gałęzi. I z tym – dodał Sanscartier, wskazując pudełeczko z próbkami. – Podobno masz parę włosów sędziego.

– Znalazionych w Zamku, tak... Kurde, Danglard, czy ten Michaël... Schowałem torebkę u siebie. W kuchni, w szafce z butelkami.

– Zabrałem ją razem z dokumentami związanymi z Raphaëlem. Michaël nie wiedział, że to masz, więc nie szukał.

– A ty czemu zaglądałeś do tej szafki?

– Szukałem jakiegoś wspomagacza myślenia.

Inspektor kiwnął głową szczęśliwy, że Danglard znalazł jałowcówkę.

– Fulgence zostawił też płaszcz u ciebie – dodał nadkomisarz. – Kiedy spałeś, zebrałem dwa włosy z kołnierza.

– Nie wyrzuciłeś go chyba? Tego czarnego płaszcza?

– A co? Zależy ci na nim?

– Nie wiem. Może.

– Wolałbym położyć łapę na draniu niż na jego łachach.

– Danglard, czemu on mnie wrobił w morderstwo?

– Żebyś cierpiał, a przede wszystkim żebyś zgodził się palnąć sobie w łeb.

Adamsberg pokręcił głową. Perwersja diabła.

Zwrócił się do sierżanta:

– Sześć kubików... Chyba nie przerzucałeś tego sam?

– Wtedy już powiadomiłem Lalibertégo. Miałem zeznanie stróża i DNA z krwi z pikapa. Krucafiks, ale się rozsierdził, kiedym się przyznał do łgarstwa z tymi chorobami. Wierz mi, objechał mnie z góry na dół i obsobaczył zdrowo. Nawet mnie oskarżył o współdziałanie z tobą i że ci pomogłem zwiać. Przyznać trzeba, że jak ten głupi pchałem palec między drzwi. Ale przemówiłem mu do rozumu i w końcu spuścił z tonu. Bo wiesz, u szefa w pierwszej kolejności liczy się akuratność. No więc ochłonął, pomyślał, pomyślał i wyszło mu, że faktycznie coś tu nie gra. Rachu-ciachu i już wszystkich postawił na nogi, i dał zgodę na szukanie dowodów. I uchylił oskarżenie.

Adamsberg patrzył na przemian to na Danglarda, to na Sanscartiera. Na dwóch ludzi, którzy nie odstąpili go ani na centymetr.

– Nie mów nic – odezwał się Sanscartier. – Wracasz z bardzo daleka.

Samochód wolno się posuwał w korku przy wjeździe do Paryża. Adamsberg

usadowił się z tyłu, pólleżał na siedzeniu z głową opartą o szybę, oczami półprzymkniętymi, obserwując znajomy pejzaż przesuwany się za oknem, obserwując karki dwóch ludzi, którzy wyciągnęli go z tego. Koniec uciekania Raphaëla. I koniec jego uciekania. Ulga i nowość odczuć były tak przemożne, że czuł się śmiertelnie zmęczony.

– Aż się wierzyć nie chce, żeś poskładał tę historię z madżongiem – rzekł Sanscartier. – Laliberté oniemiał, powiedział, że to koronkowa robota. Sam ci to powie pojutrze.

– Przyjeżdża?

– Normalne, żeś go znieubił, ale pojutrze jest uroczysta nominacja twojego nadkomisarza. Pamiętasz? Ten wasz wielkogłowy Brézillon ściągnął naszego nadintendenta. Szykują się do wspólnego zakończenia sprawy.

Adamsbergowi w głowie się nie mieściło, że gdyby chciał, mógłby pójść tego dnia do brygady. Mógłby chodzić bez polarnej czapy, popchnąć drzwi, powiedzieć cześć. Uściskać dłonie. Kupić chleb. Usiąść na parapecie nad Sekwaną.

– Szukam sposobu, żeby ci podziękować, Sanscartier, i nie znajduję.

– Nie martw się, to już załatwione. Wracam w teren w Toronto, Laliberté mnie awansował. Dzięki temu, że tyś się tak koncertowo nachirzył.

– Ale sędzia zwał i gdzieś się zaszył – zauważył Danglard ponuro.

– Zostanie skazany zaocznie – powiedział Adamsberg. – Vétilleux wyjdzie z pierdła, inni też. W sumie tylko to się liczy.

– Nie, nie – sprzeciwił się Danglard, kręcąc głową. – Ma być jeszcze czternasta ofiara.

Adamsberg usiadł prosto i łokcie położył na oparciach przednich foteli. Sanscartier pachniał mleczkiem migdałowym.

– Wydedukowałem czternastą ofiarę – powiedział z uśmiechem.

Danglard zerknął na niego w lusterku wstecznym. Pierwszy prawdziwy uśmiech, zauważył, od ponad sześciu tygodni.

– Ostatni kamień układu – wyjaśnił Adamsberg – to element najważniejszy. Bez niego reszta się nie liczy, rozgrywka jest nieważna i nie ma sensu. Ten kamień determinuje zwycięstwo układu honorów, dźwiga całą rozgrywkę.

– Logiczne – stwierdził Danglard.

– Tym najważniejszym, najcenniejszym kamieniem będzie biały smok. Ale biały smok najwyższej rangi, kończący układ, honor w pełnym znaczeniu słowa. To błysk, grom, białe światło. On nim będzie, Danglard. Trójzab dołączy do ojca i matki w pungu doskonałym, złożonym z trzech kamieni, kiedy już dzieło zostanie dokonane.

– Nadzieje się? Na trójzab? – rzekł Danglard, marszcząc brwi.

– Nie. Jego naturalna śmierć zamknie sama układ. On tak powiedział, Danglard, masz to nagrane. „Nawet jeśli będę w więzieniu, nawet jeśli spocznę w grobie, nie umknie mi ten ostatni element układu”.

– Ale przecież musi zabijać ofiary tym cholernym trójzębem – zauważył Danglard.

– Tej nie musi. Sędzia sam jest trójzębem.

Adamsberg opadł na tylne siedzenie i w jednej chwili zasnął. Sanscartier popatrzył na niego zdziwiony.

– Często tak usypia zniecka?

– Jak się nudzi albo kiedy jest poruszony – wyjaśnił Danglard.

LXIII

Adamsberg przywitał się z dwoma nieznanymi policjantami, którzy trzymali wartę przed drzwiami Camille, i pokazał im swoją legitymację – jeszcze na nazwisko Denisa Lamproie.

Nacisnął na dzwonek. Poprzedni dzień spędził, wracając do życia w samotności i cudownym odrętwieniu, z trudem sam ze sobą odnajdując kontakt. Po siedmiu tygodniach w zawierusze wiatrów kardynalnych znalazł się na piasku oczyszczony, zmoczony, z zasklepionymi ranami od Trójzęba. A równocześnie ogłupiała i zdziwiony. Wiedział jedynie, że musi powiedzieć Camille, iż nie zabił. Przynajmniej tyle. I jeśli znajdzie sposób, dać jej do zrozumienia, że wykurzył faceta z psami. Czuł się nieswojo z mundurową czapką pod pachą, w lamowanych spodniach, kurtce ze srebrnymi epoletami, z medalem na piersi. Czapka przynajmniej zasłaniała widoczne resztki wygolonej łysiny.

Camille otworzyła na oczach funkcjonariuszy. Dała im znak potwierdzający, że zna swojego gościa.

– Dwaj gliniarze bez przerwy mnie pilnują – powiedziała, zamykając drzwi – i nie mogą się dodzwonić do Adriena.

– Danglard jest w prefekturze. Domyka potężne akta. Gliniarze będą cię pilnowali przez co najmniej dwa miesiące.

Chodząc w tę i w tą po pracowni, Adamsberg mniej więcej streścił całą historię, starając się pominąć Noëllę i znowu wplątując w opowieść komórki na płycie laboratoryjnej. W połowie przerwał i oświadczył:

- Wykurzyłem też faceta z psami.
- Dobrze – powoli rzekła Camille. – I jak ci się widzi?
- Taki jak poprzedni.
- Fajnie, że ci się podoba.
- No, tak jest łatwiej. Będziemy mogli uścisnąć sobie dłonie.
- Na przykład.
- Wymienić po męsku kilka słów.
- Też.

Adamsberg kiwnął głową i dokończył opowieść – o Raphaëlu, ucieczce, smokach. Przed wyjściem zwrócił jej broszurkę z zasadami gry w madžonga

i cicho zamknął za sobą drzwi. Ich lekkie stuknięcie wstrząsnęło nim. Każde z nich znajdowało się po swojej stronie tej płyty z drewna, żyli na oddzielnych płytkach, które on własnoręcznie zarygłował. Przynajmniej jego dwa zegarki niestrudzenie szły naprzód, trącąc się dyskretnie w parze na lewym nadgarstku.

LXIV

Wszyscy w brygadzie stawili się w regulaminowych mundurach. Danglard zadowolonym spojrzeniem wodził po setce osób zebranych w Sali Soborowej. W głębi przygotowano podwyższenie na oficjalną mowę inspektora, przedstawienie przebiegu służby, wyliczenie zasług, przypinanie nowych insygniów. On także wygłosi mowę, będą podziękowania, coś na wesoło i emocje. Potem powinszowania od kolegów, luźniejsza atmosfera, jedzenie, picie i gwar. Zerkał na drzwi, czyhając na Adamsberga. Nie mógł wykluczyć, że kolega nie zdecyduje się przyjść na tak oficjalną i huczną uroczystość.

Przyszła już Clémentine w swojej najpiękniejszej kwiecistej sukience w towarzystwie Josette w kostiumie i adidasach. Clémentine czuła się bardzo swobodnie z papierosem w ustach, spotkawszy starego znajomego, sierżanta Gardona, który swego czasu był tak uprzejmy i pożyczył jej talię kart, czego nie zapomniała. Wątła hackerka, bezcenna istota wyjęta spod prawa i rzucona naraz w policyjny światek, nie odstępowała Clémentine ani na krok, oburącz trzymając kieliszek. Danglard zadbał o odpowiednią jakość szampana i zamówił go w obfitości, jakby chciał temu wieczorowi nadać maksymalny ciężar gatunkowy, nasycić go drobnuteńkimi bąbelkami, które będą buzowały jak najęte. Dla niego ta ceremonia była nie tyle wręczeniem mu awansu, ile zakończeniem kłopotów Adamsberga.

Młodszy inspektor Adamsberg dyskretnie stanął w drzwiach i Danglard się zmartwił, zobaczywszy, że nie włożył munduru. Ale zaraz spostrzegł swoją pomyłkę, gdy patrzył, jak przybysz niepewnie idzie przez tłum. Człowiek ten, o przystojnej kościstej sniadej twarzy, to nie był Jean-Baptiste, lecz Raphaël Adamsberg. Dopiero teraz nadkomisarz zrozumiał, dlaczego plan Retancourt mógł się powieść pod samym nosem gliniarzy z Gatineau. Wskazał Raphaëla palcem Sanscartierowi.

– To on – powiedział. – Brat. Ten, który gada z Violette Retancourt.

– Nie dziwota, że wywiódł w pole moich kolegów – rzekł Sanscartier z uśmiechem.

Adamsberg wkroczył niedługo za bratem w czapce wciśniętej na wygoloną głowę. Clémentine bez ogródek zmierzyła go wzrokiem.

– Trzy kilo zgrubł, moja droga – powiedziała do Josette z dumą z dobrze wykonanej roboty. – Pasuje mu ten niebieski mundur, ładnie wygląda.

– Teraz, kiedy już nie ma rygli do wyłamywania, nie pochodzimy razem po podziemiach – zauważyła Josette z żalem.

– Nic się nie martw. Gliniarze ciągle napytują sobie biedy, taki fach. On wcale nie skończył, wierz mi.

Adamsberg uściśnął dłoń bratu i rozejrzał się wokoło. W sumie taki powrót do brygady, gdy od razu musiał stawić czoło wszystkim oficerom i podoficerom w komplecie, odpowiadał mu jak najbardziej. Dwie godziny i będzie po wszystkim: po powitaniach, pytaniach, odpowiedziach, wzruszeniach i wyrazach wdzięczności. To dużo prostsze niż chodzenie od osoby do osoby, od pokoju do pokoju i tłumaczenie każdemu od nowa. Puścił rękę Raphaëla, Danglardowi dał znak porozumiewawczy i dołączył do grona oficjeli, które tworzyli Brézillon i Laliberté.

– *Hey, man* – rzekł na wstępie Laliberté, klepiąc go w ramię. – Całkiem zszedłem z kursu, zupełnie na manowce. Zechcesz przyjąć przeprosiny? Żem cię traktował jak pospolitego kilerą?

– Wszystko na to wskazywało – odparł Adamsberg z uśmiechem.

– Gadaliśmy o próbkach z twoim szefem. Wasi technicy siedzą po godzinach, żeby wszystko zostało dopięte jeszcze dzisiaj. Te same włosy, *man*. Włosy tego twojego sakramenckiego diabła. Nie chciałem w to wierzyć, ale miałeś rację. Koronkowa robota.

Brézillon, bardzo francuski w mundurze, wytrącony z równowagi poufałością Lalibertého, sztywno uściśnął dłoń Adamsbergowi.

– Cieszę się, że widzę was żywego, inspektorze.

– Aleś mnie niezłe wpienił, kiedyś zwiął – przerwał mu Laliberté, mocno szturchając Adamsberga. – Szczerze ci powiem, że wpadłem w szewską pasję.

– Wyobrażam sobie, Aurèle. U ciebie co w myśli, to na języku.

– Nie dobieraj sobie do głowy, już mi przeszło. *Right?* Tylko tak mogłeś utrzymać kurs. Masz łeb jak na takiego, co szufluje chmury.

– Inspektorze – wtrącił Brézillon – Favre jest przeniesiony do Saint-Étienne, pod nadzorem. Jeśli o was chodzi, nie będzie ciągu dalszego, umorzyłem sprawę, w sensie że to było zwykłe zastraszenie. Ale w to nie wierzę. Już wtedy sędzia wam leżał na wątrobie, mam rację?

– Tak.

– No to pilnujcie się na przyszłość.

Laliberté chwycił Brézillona za ramię.

– Się nie bój – powiedział. – Drugiego takiego diabła jak ten sakramencki demon ze świecą nie znajdziesz.

Zakłopotany inspektor uwolnił się od łapska nadintendenta i przeprosił. Mównica czekała.

– Śmiertelny nudziarz z tego twojego szefa – skomentował Laliberté, wydymając usta. – Gada jak z książki, a sztywny, jakby kij połknął. Zawsze taki jest?

– Nie, zdarza mu się zgnieść niedopałek kciukiem.

Zdecydowanym krokiem w stronę Adamsberga szedł Trabelmann.

– Koniec z twoimi wspomnieniami z dzieciństwa – powiedział, ściskając mu dłoń. – Bywa, że książkę ziele ogniem.

– Czarny książę.

– Czarny książę po prostu.

– Dzięki, żeś tam był, Trabelmann.

– Przepraszam za katedrę strasburską. Oczywiście byłem w błędzie.

– Nie ma za co przepraszać. Towarzyszyła mi przez całą drogę.

Adamsberg spostrzegł, wspominając katedrę, że menażeria się wyniosła – również z dzwonnicy, z okien wysokich i niskich, a także z głównego wejścia. Zwierzaki wróciły na swoje stałe miejsca, Nessie do jeziora, smoki do bajek, labradory do marzeń sennych, ryba do różowego jeziora, szef bernikli nad rzekę Outaouais (z angielska Ottawę), jedna trzecia komendanta do biura. Katedra znów była czystym klejnotem sztuki gotyckiej, godnie sięgającym chmur, dużo wyżej niż on.

– Sto czterdzieści dwa metry – rzekł Trabelmann, biorąc lampkę szampana. – Nikt tak wysoko nie sięgnie. Ani ty, ani ja.

I roześmiał się w głos.

– Chyba że w bajce – zauważył Adamsberg.

– Jasne, inspektorze, jasne.

Po przemówieniach, po przypięciu insygniów Danglardowi Salę Soborową wypełnił gwar rozmów i dyskusji, głosy i pokrzykiwania wzmagały się, w miarę jak ubywało szampana. Adamsberg przywitał się z dwudziestoma sześcioma agentami swojej brygady – od jego ucieczki wszyscy z zapartym tchem czekali przez dwadzieścia dni, nikt jednak nie dawał wiary oskarżeniu. Usłyszał głos Clémentine, wokół której cisnęli się Gardon, Josette, Retancourt – jej z kolei na krok nie odstępował Estalère – i Danglard pilnujący poziomu trunku w kieliszkach napelnianych, jak tylko widział, że pokazuje się w nich dno.

– I co? Nie miałam racji, jak mówiłam, że ten duch mocno się uczepił? A więc to ty, moje dziecko – dodała, zwracając się do Retancourt – trzymałaś go pod

kiecką przed samym nosem glin? Ilu ich było?

– Trzech. Na sześciu metrach kwadratowych.

– A to dopiero. Ale takiego jak on da się podnieść jak piórko. Zawsze mówię, że najlepsze są najprostsze pomysły.

Adamsberg z uśmiechem podszedł do Sanscartiera.

– Krucafiks, fajnie to widzieć – rzekł Sanscartier. – Wszyscy paradnie odstawieni, hę? Tyś też się odsztafirował. Ładnie ci w tym. Co to za srebrne liście masz na naramiennikach?

– Nie klonowe. Dębowe i oliwne.

– Co znaczą?

– Mądrość i Pokój.

– Nie obraź się, ale nie powiedziałbym, że to do ciebie pasuje. Lepsza by była inspiracja, a nie mówię tego, żebyś się sadził na nie wiadomo co. Tylko że nie ma liści, które by to symbolizowały.

Sanscartier zmrużył w zadumie swe oczy Dobrego, zastanawiając się nad symbolem Inspiracji.

– Trawa – podsunął Adamsberg. – Jak by ci się widziała trawa?

– A może słoneczniki? Ale głupio by wyglądały na naramiennikach gliniarza.

– Moja intuicja to czasami naprawdę chabiezie, jak ty byś powiedział. Zielsko.

– Nie może być!

– Oj, może, może. A bywa, że jak się zatnie, to ani rusz. Mam pięciomiesięcznego syna, Sanscartier, i zrozumiałem to dopiero trzy dni temu.

– Krucafiks! Tak żeś się rąbnął?

– Kompletnie.

– Ona cię puściła w trąbę?

– Nie, ja ją.

– Już jej nie kochałeś?

– Nie. Nie wiem.

– Ale latałeś za dziewczynami.

– Tak.

– Czyli robiłeś ją w bambuko i to złościło twoją dziunię.

– Tak.

– Czyli przyszła chwila, żeś złamał słowo i bez słowa wziął nogi za pas?

– Trudno to lepiej ująć.

– I dlatego poszedłeś w tango wtedy w Śluzie?

– Między innymi.

Sanscartier duszkiem wychylił lampkę szampana.

– Nie bierz tego do siebie, ale skoroś taki przez to poobijany, znaczy, żeś się pogubił. Kapujesz?

– Bardzo dobrze.

– Ja tam jasnowidzem nie jestem, ale radziłbym, żebyś się zastanowił i zajarzył wreszcie.

Adamsberg pokręcił głową.

– Trzyma się z dala ode mnie jak od czegoś groźnego.

– Ha, jeśli chcesz odzyskać jej zaufanie, próba nie strzelba.

– Niby jak to zrobić?

– No, jak na wycince. Wycinają uschłe drzewa i sadzą nowe klony.

– Jak?

– Tak jak mówię. Wycinają uschłe drzewa i sadzą nowe klony.

Sanscartier palcem narysował sobie kółko na skroni na znak, że ta operacja wymaga refleksji.

– Daj se na wstrzymanie, uruchom kalapitrę? – rzekł Adamsberg z uśmiechem.

– Właśnie, *man*.

O drugiej nad ranem bracia Adamsbergowie wracali piechotą, idąc takim samym krokiem, w takim samym rytmie.

– Jadę do wioski, Jean-Baptiste.

– Też przyjadę. Brézillon posłał mnie na tygodniowy przymusowy urlop.

Podobno jestem przemęczony.

– Myślisz, że chłopaki dalej tam bawią się w eksplozje ropuch koło studni?

– Na pewno, bracie.

LXV

Ośmiu uczestników quebeckiej wyprawy odprowadziło Lalibertégo i Sanscartiera na lotnisko Roissy, na lot o 16.50 do Montrealu. W ciągu siedmiu tygodni Adamsberg po raz szósty przybywał na to lotnisko – za każdym razem był w innym stanie ducha. Kiedy znaleźli się pod tablicą przylotów i odlotów, był niemal zdziwiony, że nie widzi tam Jeana-Pierre’a Émile’a Rogera Feuilleta, porządnego gościa, któremu chętnie by uściśnął dłoń.

Odszedł kilka kroków od grupy z Sanscartierem, który koniecznie chciał mu podarować swoją specjalną kurtkę na niepogodę z dwunastoma kieszeniami.

– Ale uwaga – tłumaczył Sanscartier – to pokręcona kurtka, bo dwustronna. Czarna strona dobrze cię chroni, śnieg i deszcz spływają, nic nie czujesz. Po stronie niebieskiej widać cię dobrze na śniegu, ale nie jest wodoszczelna. Możesz przemoknąć. No więc zależnie od humoru nosisz ją raz na jedną stronę, raz na drugą. Weź to sobie do serca, to jak w życiu.

Adamsberg przejechał ręką po odrastających włosach.

– Rozumiem – powiedział.

– Weź ją – powiedział Sanscartier, wciskając kurtkę Adamsbergowi w rękę. – Z nią o mnie nie zapomnisz.

– Nie ma takiego ryzyka – mruknął Adamsberg.

Sanscartier klepnął go w ramię.

– Włącz światła, przypnij narty i szusuj swoją trasą, chumie. I powodzenia.

– Pozdrów ode mnie wiewiórkę wartownika.

– Krucafiks, zauważyłeś wiewióra? Géralda?

– Tak ma na imię?

– Tak. W nocy dekuje się w dziupli, w dziurze w rynnie, która jest owinięta przed zamarzaniem. Sprytne, co? A w dzień chce być przydatny. Wiesz, że miał ostatnio kłopoty?

– Nic nie wiedziałem. Ja też siedziałem w dziupli.

– Zauważyłeś, że się zgadał z jedną dziunią?

– Jasne.

– No więc ta dziunia puściła go w trąbę. Gérald był strasznie sponiewierany, całe dni siedział w dziupli, nosa nie wytykał. Wieczór w domu łuskałem mu

orzechy laskowe i rano zostawiałem przy rynnicy. Po trzech dniach pękł i podjadł sobie. A szef się wydarł na nas, nic, tylko chciał wiedzieć, co za dureń przynosi orzechy Géraldowi, ale siedziałem cicho, ma się rozumieć. Już i tak mi nazdał w związku z twoją sprawą.

– A teraz jak?

– Niedługo tak się chował, on wrócił do roboty, a dziunia do niego.

– Ta sama?

– A, tego to nie wiem. Z wiewiórkami niełatwo się połapać. Z wyjątkiem Géralda, jego bym rozpoznał nawet w stadzie. Ty nie?

– Chyba też.

Sanscartier raz jeszcze potrząsnął jego ręką i Adamsberg z żalem patrzył, jak idzie do odprawy.

– Przyjedziesz jeszcze kiedyś? – spytał go Laliberté, mocno ściskając mu dłoń. – Jestem twoim dłużnikiem, co mówię z przyjemnością. Nie krępuj się, przyjedź popatrzeć na czerwone liście i połączyć po przenosce. Obecnie to już nie jest przekłeta ścieżka, spokojnie kiedy bądź możesz się nią przejść.

Trzymał jego dłoń w swej garści jak z żelaza. Oczy nadintendenta, w których Adamsberg dotąd zauważał tylko trzy emocje, serdeczność, akuratność i gniew, spowijała mgiełka zadumy, zmieniając mu twarz. Zawsze jest coś innego pod powierzchnią wody, pomyślał, wspominając jezioro Pink.

– Wiesz co ci powiem? – ciągnął Laliberté. – Nie da się wykluczyć, że i wśród gliniarzy potrzebni są tacy, co szuflują chmury.

Puścił jego dłoń i także odszedł. Adamsberg odprowadzał wzrokiem jego barczyste plecy, gdy w tłumie pasażerów podążał do odprawy. W oddali dostrzegł jeszcze głowę Sanscartiera Dobrego. Chętnie by pobrał niewielką próbkę jego życzliwości, umieścił ją na kartoniku, a potem na papierowym krążku złożył na dnie komórki, następnie zaś wprowadził ją do swojego DNA.

Siedmioro członków brygady kierowało się do wyjścia. Adamsberg usłyszał Voiseneta, który go wołał. Odwrócił się i wolnym krokiem dołączył do kolegów, trzymając kurtkę sierżanta przewieszoną przez ramię.

Włącz światła, przypnij narty i szusuj swoją trasą.

I daj se na wstrzymanie, *man*.

A potem uruchom kalapitrę.

Nota autorska

„Akuratność, akuratność i jeszcze raz akuratność. Nie znam innego sposobu, żeby się udało” – to cytat wzięty z quebeckiego telewizyjnego programu publicystycznego dla UQAM (Université du Québec à Montréal), Quebec, lata 2001, 2002.

Metody operacyjne i sformułowania naukowe odnoszące się do procedur związanych z badaniem odcisków genetycznych w Kanadzie pochodzą z artykułu *Bank danych genetycznych GRC wzorem dla całego świata* w: „La Gazette”, t. 62, nr 5/6, publikacje Żandarmerii Królewskiej w Kanadzie, 2000.

Narodowa Baza Danych Genetycznych mieści się w Dyrekcji Generalnej GRC w Ottawie. Filia położona w federalnym parku Gatineau jest tworem wyobraźni autora.

¹ Przeł. Z. Bieńkowski.